

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR VIII/WIOSNA 2009

Miejska Biblioteka Publiczna

DZIAŁ INFORMACJI, BIBLIOGRAFII

I WIEDZY O REGIONIE

ul. Warszawska 12a

21-500 Biała Podlaska

tel. 083 341 64 52 informacja@mbp.org.pl



CENA 11,47 ZŁ*

(W TYM 0% VAT)



A WIĘC, PANIE I PANOWIE, KICZ

Na kogo wypadło na tego być!

KICZ to temat przewodni kolejnego zeszytu „Koziegorynku”. A pisanie wstępniaka do tego numeru wypadło na mnie. I może słusznie. Ale zacznijmy może od maleńkich definicji. Kicz to utwór literacki, bądź dzieło z innego zakresu dziedzin twórczości. Niekiedy technicznie dopracowany, ale pozbawiony wartości intelektualnych czy artystycznych. Oparty na stereotypach myślowych i formalnych oraz uproszczeniach. Bywa, że posługuje się poetyką sentymentalną i jest związany z kulturą masową w różnych wydaniach, włączając w to kulturę straganowo-jarmarczną. W pewnych okresach pojęcie kiczu zmieniało się, np. pogardzana przez modernistów i awangardzystów secesja stała się po latach modna i szanowana. Wydaje się, że jest jeszcze dosadniejsze określenie, może wręcz obraźliwe dla twórcy, mianowicie *szmira*. A to już potoczna nazwa utworów tandetnych, sztampowych, pozbawionych walorów artystycznych, posługujących się schematami i stereotypami, nie podlegających regułom dobrego smaku, plasujących się poniżej przeciętnego poziomu uznawanego w danym okresie za warunek sztuki. O!

Akapit drugi. Kilkanaście lat temu, kiedy na Marszałkowskiej w Warszawie, jeszcze w starym Empiku, nabyłem pewne szanowne pismo literacko-artystyczne, notabene ukazujące się do dzisiaj, trafiłem na pewien utwór. A może raczej, używając drugiego określenia, szmirę literacką, która w tamtym czasie wyleczyła mnie natychmiast z prowincjonalnych kompleksów. A utwór, dość mocno go parafrazując, miał mniej więcej taką treść. *Siedzę w wychodku i wydalam gazy...*, po czym dalej leciała sobie niewybredna treść. Przeżyłem wtedy terapię szokową, jednocześnie dostrze-

gając, że wartością artystyczną mogą stać się ludzkie... odchody. Kicz? Szmira? Artystyczna zgnilizna? A jaki jest miernik artystycznego piękna? Bardzo prosty. Albo coś mi się podoba, albo nie. Albo natychmiast mnie zachwyci, albo natychmiast odrzuci. Koniec, kropka. Cokolwiek: muzyka, obraz, utwór literacki - liczy się pierwsze wrażenie. Ech, mniejsza o definicyjne spory określające co jest dziełem, a co kiczem lub szmirą. Kwestia gustu. Kwestia wewnętrznego odbioru. Ale kiczem lub szmirą może być sytuacja, kiedy np. zarządzanie lokalnym potencjałem kulturalnym staje się bolesnym wydawaniem własnej niemocy i próbą wykazywania, że działania twórcze są setnym kołem u wozu. Pewna pieśń wykonywana przez jednego z naszych lokalnych weteranów sceny muzycznej brzmiała tak: „jeszcze będzie pięknie, jeszcze będzie wspaniale”. Wystarczy zacząć dbać i pielęgnować rzeczy, które jednym swoim muśnięciem wnoszą do naszego życia odrobinę piękna i radości. Dlatego, obok zalewającej nas tandety, plastiku i spychania na margines nieważności rzeczy wartościowych, należy mieć nadzieję, że duch dzieł pięknych obroni się sam i nadal będzie przykuwał uwagę tych, którzy nie zostali pozbawieni czujników piękna i dobrego smaku.

Zapraszamy do lektury!

Mariusz Bober

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR VIII/WIOSNA 2009



FELIETONY

Jerzy Chromik, Łukasz Jasik, Janusz Korwin - Mikke, Dominika Leszczyńska, Katarzyna Redmerska, Damian Sitkiewicz

NA CENZUROWANYM

"Konfrontacje współczesności", "Protokół" Le Clezio, Stefana Dardy "Dom na wyrebach", "Opowiadania" Padraiga Pears'a, tomiki Justyny Fruzińskiej, Józefa Zenona Budzińskiego, Doroty Korwin-Piotrowskiej, Eligiusza Dymowskiego i Tomasza Sobieraja, twórczość Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego, Ewy Stec "Romans z trupem w tle", "Naśmierciny" Krzysztofa T. Dąbrowskiego, kino Fatiha Akina oraz kiczu recenzja nieopublikowana

ESEJE

Klaudia Bączyk, Michał Dybaczewski, Rafał Jaworski, Marcin Królik, Tomasz Krzykała, Arkadiusz Kulpa

OPOWIADANIA

Urszula Gronowska, Zbigniew Masternak, Jerzy Reuter, Katarzyna Ryrych, Oskar Szwabowski

ROZMOWY

Anny Jankowiak ze
Zbigniewem Bieniakiem



CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)

Artur Rimbaud

MINIATURY

Klaudia Bączyk, Eloy M. Cebrian, Krzysztof T. Dąbrowski, Jerzy Grajewski, Mariusz Kargul, Maria Kryńska-Szostak, Paweł Mateja, Arek Stosur, Joanna Zakrzewska

POWIEŚĆ

Andrzej Wielecki

EPISTOLOGIUM

Z. Marka Piechockiego rozmowy listowne

PULP KOZITION

Karol Graczyk o filmie, muzyce, literaturze

PREZENTACJE

Robert Wieczorek

WERSZE

Marta Barszczewska, Paweł Czyżewski, Marta Gracz, Karol Graczyk, Izabela Iwańczuk, Magdalena Kaczor, Mariusz Kargul, Beata Patrycja Klary, Marcin Kowal, Lidia Kowalczyk, Maria Kryńska-Szostak, Krzysztof Kuzko, Kamil Kwidziński, Henryk Maksymowicz, Joanna Małek, Zofia Mikula, Irena Naumowicz, Benedykt Olszewski, Małgorzata Osak, Patryk Pieczarka, Bartłomiej Pietraszuk, Małgorzata Południak, Nestor Sakaczbia, Jurata Bogna Serafińska, Wojciech Szmigoi, Kamil Wojciechowski, Celina Woryna, Małgorzata Zalewska, Tadeusz Zawadowski, Artur Zióntek

ZDJĘCIA

Joanna Bukowska, Hubert Czarnocki, Grażyna Hankiewicz, Dariusz Hankiewicz, Bogumiła Jarecka, Mirosław Koczkodaj, Krzysztof Kuzko, Tomasz Młynarczyk, Grzegorz Pawlak, Jarosław Sujczyński, Paweł Żochowski



KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

Redaguje zespół

Mariusz Bober (promocja)
Przemysław Krupski (skład)
Dariusz Magier (proza)
Adam Świć (poezja)

Kontakt

kozirynnek@rasil.home.pl
www.kozirynnek.com

Wydawca

Radzyńskie
Stowarzyszenie Inicjatyw
Lokalnych
Konfraternia Kozirynnek
ul. Rynek 9
21-300 Radzyń Podlaski
www.rasil.home.pl

Zdjęcia

© Radzyński Klub
Fotograficzny „Klatka”
www.rkf-klatka.art.pl

ISSN 1897-2365

Druk

AWA-DRUK
Tel. (083) 352 25 91

Nakład 500 egz.

Tekstów nie
zamówionych nie
zwracamy. Zastrzegamy
sobie prawo do skrótów
tekstów prozatorskich i
zmian tytułów.



Fot. na okładce
Tomasz Młynarczyk

Grafika na tylnej okładce:
Człowiek kosmosu wg *Księgi*
dział Bożych Hildegardy z Bingen;
miniatura z 1230 r.

FELIETONY





DOMINIKA LESZCZYŃSKA

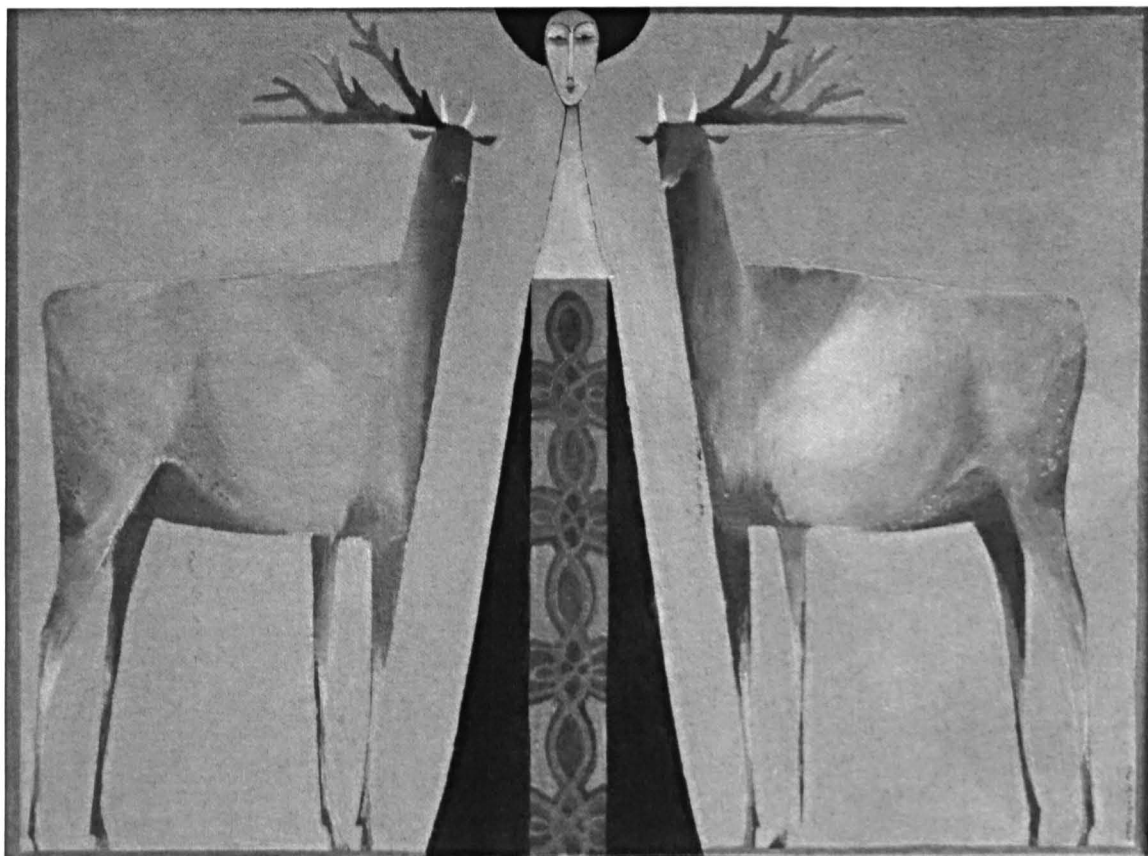
OSWAJANIE KICZU

Kicz to zjawisko ponadstylowe. Przeciwwstawia się prostocie, przekracza zasady funkcjonalności i logiki, unika wszystkiego, co trudne i niewygodne. Kicz skrojony jest na miarę przeciętnego odbiorcy, i w odróżnieniu od sztuki wysokiej rozcieńcza wszelką oryginalność. Czyni go to zrozumiałym i akceptowalnym przez ogół, a także dostępnym dla każdej kieszeni. To taka „sztuka szczęścia”. Kiedyś brzydzono się kiczem, dzisiaj na nowo przeżywa on okres świetności, jest „trendy”. Cóż, nie ja jedna marzę o makatce z jeleniami na rykowisku albo łabędziami na stawie.

Po wojnie mój dziadek kupił okazjnie dwa pokaźnych rozmiarów obrazy. Nad łóżem małżeńskim Leszczyńskich zawisł oleodruk przedstawiający grupkę kąpiących się półnagich nimf, w asyście unoszących się

nad nimi pulchnych uskrzydłonych elfów. Drugi nabytek malowana na czarnym aksamicie, secesyjna scena z majestatycznymi pawiami przechadzającymi się po parku wypełnił ścianę w sąsiednim pokoju. Dziadkowego entuzjazmu nie podzielała moja babcia, i nieraz wytykała mu tę „inwestycję w sztukę”. Pewnie odetchnęła z ulgą, kiedy w latach 60. jakiś majster za wykonaną robotę zażyczył sobie obu obrazów. Dziś trochę żal...

W ubiegłym roku kolejny z rodziny postanowił „oswoić kicz”. Mój ojciec-malarz po prostu wziął go na warsztat. Konkretnie jelenie na rykowisku. Myślę, że z paru powodów. Na jesiennych plenerach w Małych Pieninach po raz pierwszy w życiu usłyszał króla lasu. Donośne beczenie niosło się przez leśne ostępy, odbijało echem



 Marek Leszczyński *Rykowisko*

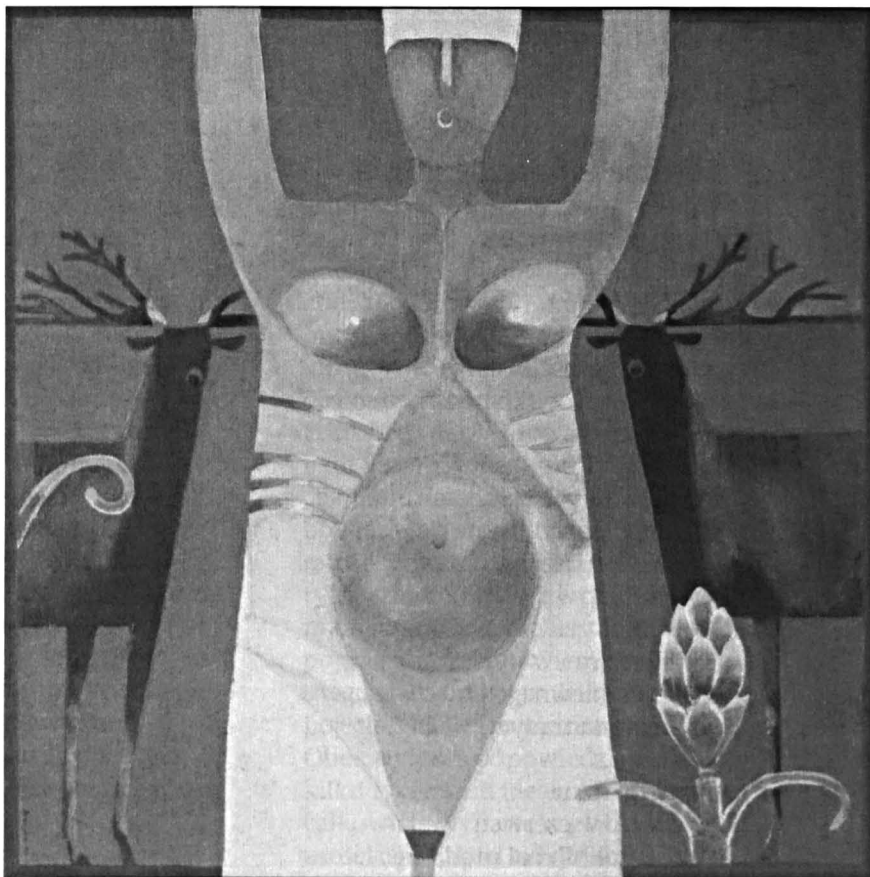
w dolinach, aż przeni-
kał dreszcz. Wystar-
czyło wyobrazić sobie
silną, pełną wdzięku
sylwetkę pojawiającą
się, i - po zakończo-
nych walkach godo-
wych - znikającą w
sielankowym pejzażu.
Doskonały temat na
cykl obrazów, tym
bardziej, że historycy
sztuki z góry skazali
jelenie na rykowisku na
artystyczny niebyt,
klasyfikując jako kicz
w czystej postaci.

Rykowiska Marka Leszczyń-
skiego są po trosze ma-
larską prowokacją. Ich
bohaterowie to kobie-
ty i parzystokopytne.
Swoje role odgrywają
na gładkich płaszczy-
znach koloru, pośród
wyrastających tu i
ówdzie stylizowanych
kwiatostanów

„pseudo-karczocha”

(ulubiony motyw artysty). Dekoracyjne,
umowne sylwetki upodabniają scenę do
papierowej wycinanki. Rogacze zawsze
ustawione są antytetycznie: wyczekują na
dalszy rozwój wypadków, zwracają się ku
nam, a niektóre - splecione porożem - już
rozpoczęły walkę na śmierć i życie. Powo-
dem całego zamieszania są bez wątpienia
eleganckie kobiety, nagie lub półnagie
panny. Figury wciśniętych w bikini mode-
lek pozostawiają nieraz wiele do życzenia,
dlatego niektóre - jakby zawstydzone -
gotowe są czym prędzej zejść ze sceny.
Mimo napięcia, jakie niesie temat sam w
sobie, nie odczuwamy strachu ani dre-
szczyku emocji - raczej zaciekawienie.

Może to zasługa kolorystyki: preferowane
są gamy słodkich różów, cukierkowych
zieleni, rzadziej - jarmarcznych błękitów.
Rama również istnieje umownie. Jej fun-
kcję pełni kolorowy obrys, sugerujący, że



✎ Marek Leszczyński *Rykowisko*

obraz nadaje się do powieszenia wprost na
ścianie. Jak typowa makatka.

Moje ulubione *Rykowisko* (2008) urzeka niedo-
powiedzeniami. Jest to jedna z kilkunastu
kompozycji, element niedużego cyklu po-
wstającego „do wypalenia żaru”, jak mówi
artysta. Po stronie formy mamy malarską
wariację w różach, zieleniach i błękitach,
ze wszystkimi cechami „gatunku” wymie-
nionymi powyżej. Po stronie anegdoty
spoglądające na nas, choć przecież niewi-
dzące byki oraz pręgowaną jak tygrys,
przeżoną czymś płowowłosą dziewczynę.
Mam cichą nadzieję, że to dopiero po-
czątek „oswajania kiczu”.





WOJCIECH SZMIGON

Wierna Lipa w Beniowej

Tutaj w Bukowcu
zaczyna się droga
sacrum et profanum

Ktoś napisał
przyszedłem tylko po Zbawienie
chyba kredą

Na utraconych ścieżkach
niewidzialnego świata
oczom na przeciw
wychodzą

Świadectwa
z przycerkiewnego cmentarza
wysiedlona tradycja

A raz do roku
podobno w czerwcu
Archanioł Michał modli się
za dusze mieszkańców

Wieś Benedykta od młynów
dziwnie nieistniejąca
pierwszym światłem utkana
z wrażeń

Fragmenty kamiennych
opowieści
poświęcony nóż
porozrzucane kwiaty

Nad ziemią Beniowej
wciąż czuwa zbójnik
Oleksy Dobosz
gdy wierna Lipa patrzy
głębiej

W otwartą przestrzeń
odkrywanej głuszy
czas iść

Przez zapomnienie
zapachem pokrzyw
jak tęsknotą



DAMIAN SITKIEWICZ

PAPKULTURA

Nastąpiły w Polsce, po okresie „socjalizmu z ludzką twarzą” i okrągłym stole, dwie dewaluacje. Choć, gdyby rozejrzeć się uważnie i przeanalizować historię ostatniego dwudziestolecia, byłoby ich znacznie więcej. Dewaluacje te dokonały się w dwóch dziedzinach odległych od siebie o całe lata świetlne, lecz tylko pozornie odległych. Pierwsza z nich - dewaluacja złotego mająca miejsce w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia zamieniła nasze miliony w tysiące a nasze tysiące w złote. Kolejna zaś dewaluacja dokonała się w sferze kulturalnej, jeśli nie - o zgrozo! - kulturowej. Otóż coś, co one-gdaj uznawano za kicz, czyli chałturę, przestało w oczach wielu nim być, a zostało podniesione do rangi zwykłej, niczym niezmałconej kultury pop, która (co ważne!) nie musi przecież bezpośrednio korespondować z kiczem.

Niechaj przywołam wszędobylskie w poprzedniej dekadzie utwory disco-polo zalewające nie tyle rynek, co wiele rynków miast i pomniejszych ośrodków municypalnych naszej ojczyzny. Jak chcieliby niektórzy, disco-polo, choć utożsamiane z wsią, nie wywodzi się z nurtu wiejskiego, a wręcz przeciwnie - jest wytworem miejskim czy się to komuś podoba czy nie. Gros bowiem twórców tego nurtu to nie tylko miastowi, ale wręcz wielkomiejscy grajkowie.

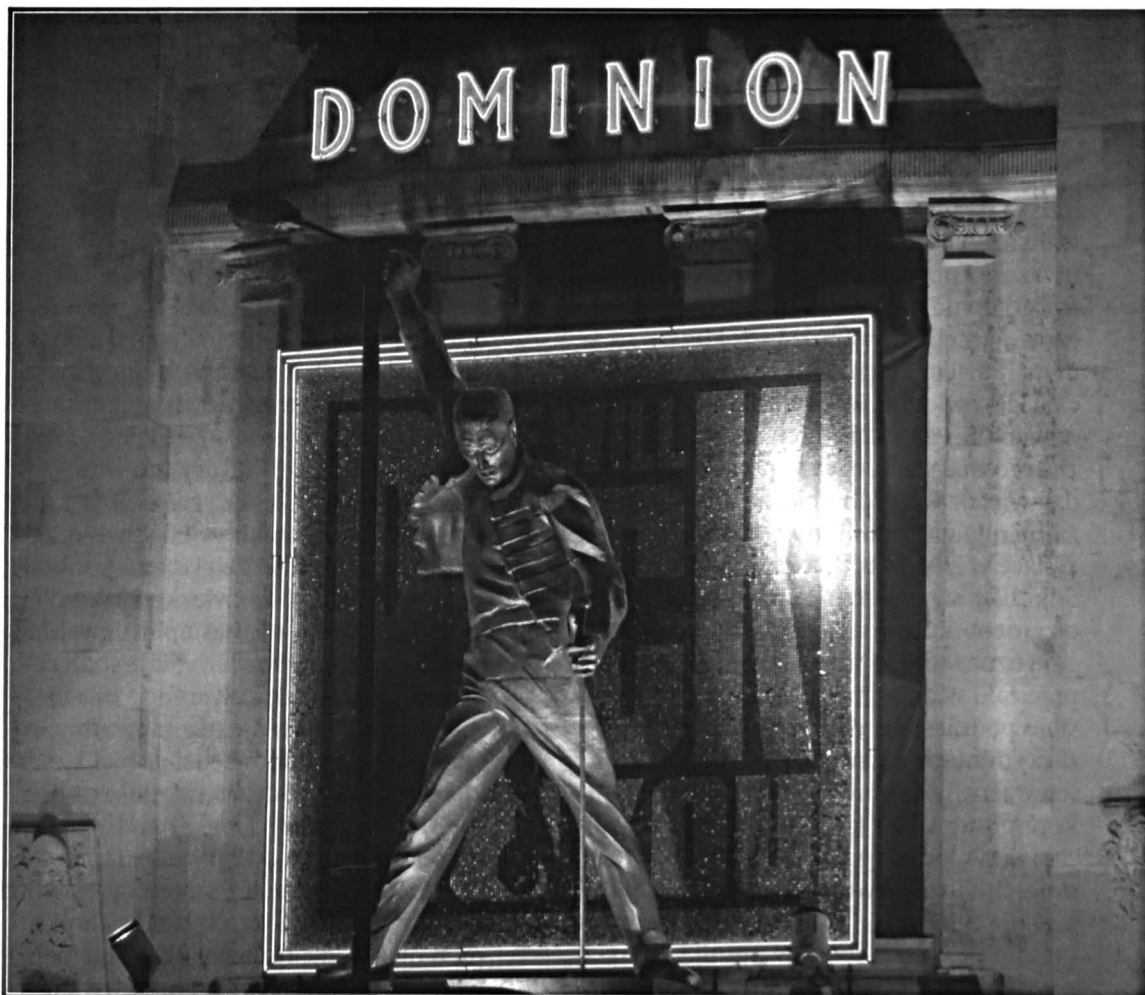
Muzyka ta i związana z nią estetyka stanowiła klasyczny wyraz kiczu wraz z dziwnym wyglądem śpiewających, prząsnymi tekstami oraz wyglądem, strojem grajków - dresy, którymi zachłystywano się w owym czasie.

Co ciekawe kultura disco polo, a przede wszystkim wspomniana już estetyka tego nurtu (prof. Tatarkiewicz zapewne przewraca się w grobie) w ciągu niespełna 10 lat przepoczwarzyły się w nowy, nieznany dotąd polskiej scenie rozrywkowej tandem (tandet chciałoby się rzec) seksualności i brutalności. Wytworem tej przemiany są popkulturalne kukły pokroju Dody, Joli Rutowicz czy pseudostylści o provenien-

cji pedalskiej pokroju Jacykowa oraz całe grupy zjadaczonych mamisynków. I nie mam na myśli ich poglądów, przekonań, orientacji i tym podobnych bzdetów, ale chodzi o estetykę, w której tkwią zarówno oni jak i cała współczesna papka anty-kulturowa, wdzierająca się w umysły nawet najbardziej zagorzałym ignorantów. Postuluję więc wprowadzenie do terminologii współczesnej kultury terminu „papkultura” (od *papka* i *kultura*). Jest ona bowiem tak przenikliwa i nachalna, że ratunkiem przed jej działaniem jest bodaj tylko śmierć. Czy w związku z tym nie mam racji? Czyż nie nastąpiła dewaluacja pojęcia kiczu? Albowiem dla współczesnego zjadacza popkultury nie istnieje pojęcie KICZU, bo nie ma na nie miejsca. Obok starości, odpowiedzialności i jeszcze kilku rycerskich ideałów zostało ono całkowicie wyparte w głąb podświadomości (specjaliści od rynku reklamy - demiurgowie współczesnych osobowości neurotycznej wiedzą, co robią). Zamiast nich otrzymujemy wulgarny, „splebeizowany język”, który podsycany jest nie lepszym zachowaniem. Pewien mężczyzna,



Tomasz Młynarczyk



📷 Bogumiła Jarecka

którego kiedyś znałem, został zmuszony w latach 40-tych do służby w Informacji Wojskowej. Jak opowiadał, pierwsze przekleństwo, jakie usłyszał, padło w 1946 roku z ust żołnierza sowieckiego. Jak mawiał: *przed wojną, nawet pośród robotników nie słyszało się takich słów.*

Ale czasy te nie było związane z naszą papkulturą. Wówczas takie sformułowania nie były tak powszechne jak dziś. Ale kiedyś wulgarność szokowała, a dzisiaj to już nic nie szokuje. Element szoku stanowi immanentny fragment papki. Tedy więc dziwić nie mogą stroje gwiazd papkultury skrojone na podobieństwo lalek (Dlaczego więc teatry lalek przeżywają dzisiaj kryzys?). Sztuczne rzęsy, tipsy, odsłonięte pępki, kolorowe fatalaszki podobają się odbiorcom, którzy pełniąc rolę naśladowców chodzą po ulicach w tym samym.

Ale palicho to wszystko. Może to minie i na-

stanie era ludzi czytających? Oby. Chociaż ludzie od trendów - trędowaci nie dopuszczą do tego, gdyż najbardziej bolesnym faktem staje się finansowanie tych kiczowatych płyt, filmów, reklam i programów telewizyjnych. A więc ten film sfinansuje Chrobry z banknotu dwudziestozłotowego, inny przez Kazimierza Wielkiego z pięćdziesiątki. Dwustuzłotowy Zygmunt Stary odpowie za muzykę rozrywkową. Szkoda tylko, że ci królowie są bezwolni w rękach managerów ze świata kultury. Ubolewam bowiem nad upadkiem masowej kultury, która nie tylko wytwarza kicz, ale otrzymuje na jego promocję sporą kasę. Kończę, bo oskarżam mnie o nutę dekadencją albo katastroficzną, a pracownicy INSTYTUTU PAKULTURY o próbę rewolty o odbieranie im chleba.



MARTA GRACZ

samotność

nie jestem ofiarą lecz spełnieniem
zaklinam smutki i uciszam radość
a niebo jest mi posłuszne
kiedy cierpliwie zliczam jego niedoskonałości
w każdym dziś
częstka samouświadamiania rozdziera mnie na pół
przyśpieszając bieg wydarzeń
krucha niedowartościowana materia
przenika przeze mnie
ewoluuje
odradzam się
w zwyczajnym jutrze
na przekór obcowania z Bogiem
osaczona namolnym przemijaniem
jakaś część obumiera i rodzi się na nowo
by rozliczać mnie z czynów
i gilotyną odcinać głowę która odrasta
w kokonie marzeń i nadziei
zanikam

paramour

w kularach nocy rozdarta prawda
pędzi na ośle niepodkutym koniem
pod suknią Ewy pod żebrem Adama
gniewem płonie grzywą powiewa
męczy ją czekanie
nuży podróż bezkresna
w kajdanach myśli
w kokonie przemijania
nim otworzy usta
zaparska zasapie
strzeli kopytem
oczy czarne jak heban zmruży
przystanie na chwilę
odpocznie
potem powali się na murawie
zanim znów pogalopuje
pod płaszczem ciemności osłoni
schowa głęboko tajemnice
do następnej przejażdżki

o poranku

moja osobista cisza
na w połę przytomna odsypia na stojąco

czas płynie zbyt szybko
kiedy otwieram oczy

ktos dzwoni do drzwi
ekspres skrzypi po raz drugi

filiżanki o tej porze są takie same
budzę się po trzeciej

sąsiadka nazywa rzeczy po imieniu
nawet nie słyszę z której strony

nadbiega nowy dzień



KATARZYNA REDMERSKA

Ostatnio zastanawiałam się kiedy, tzn. w jakim wieku, możemy powiedzieć o kimś, że jest stary? Dlaczego nachodzą mnie takie myśli? Ponieważ pewne bliskie mi osoby w przeciągu kilku dni dowiedziały się, że wiek 50+ to już wiek, powiedzmy *mojżeszowy*. Pani X, usłyszała słowa „starsza pani” a pan Y obcinając żywopłot usłyszał, jak młoda dziewczyna przechodząc obok niego, oznajmiła swojemu towarzyszowi, że gdy już będzie takim starszym panem, to też będzie zajmować się podcinaniem, żywopłotu. Takie słowa mogą doprowadzić do załamania, zwłaszcza owego pana Y, bo jak wiadomo mężczyźni gorzej znoszą tzw.: „kryzys wieku średniego” a usłyszane jeszcze z ust młodej dziewczyny mogą doprowadzić do poważnych frustracji. Tak więc, kiedy możemy mówić o wieku starczym? Chyba w ogóle nie wypada o tym mówić. Jest to naturalna kolej rzeczy. Ważne abyśmy starzejąc się czuli się w swojej skórze dobrze. Mężczyźni z wiekiem „dojrzałym” mają trochę lepiej, bo mówi się, że im mężczyzna starszy tym mądrzejszy, odpowiedzialny itp. Kobieta zaś zawsze powinna być młoda. Owszem znane jest powiedzenie, że kobieta starzeje się jak dobre wino. Większość z nas kobiet wolałaby jednak być jak młode wino i uderzać do głowy. Każdy wiek jest piękny i ma swoje uroki. Nie warto słuchać reklam karzącym nas gonić za młodością. Podobnie jak nie warto słuchać poradników TV dla kobiet. Denerwują mnie programy typu: *Być damą*, *Szkola randkowania*, *Perfekcyjna pani domu*. Dziwne, że nie ma męskich odpowiedników takich programów. Cóż z tego, że obejrzę program *Być damą*, w którym nauczę się podawać po królewsku krewetki, prawdopodobieństwo, że gościć będę u siebie księcia Karola z małżonką jest przecież znikoma? A gdy wracam z pracy zmęczona, potencjalny mąż i dzieci wolą zjeść coś konkretnego. Podobnie z programem *Szkola randkowania*. Powiedzmy, że dostosuję się do rad ekspertów, pójdę na kolację z potencjalnym narzeczoną, gdy jednak podczas kolacji delikwent nie

PORADNIKI KOBIECE



Hubert Czarnocki

zachowa się tak jak mówili eksperci to co? Mam nerwowo pod stołem wertować zapisane porady i głowić się, które pasują do zaistniałej sytuacji? Program *Perfekcyjna pani domu* to już zupełny nonsens. Pani w programie tym mówi, że wszystkie przedmioty powinnyśmy mieć w pudełkach wiklinowych, może ja jednak wolę pudełko z rafii? Czy to znaczy, że już nie jestem perfekcyjną panią domu? Zapytałam mojej drogiej „połowy” czy jego dobry smak jest nadszarpięty, gdy podaje mu kolację na talerzach nie będących w kolorze kości słoniowej i na dodatek ozdobionych złotym szlaczkiem. Drogi przyjaciel powiedział, że nie, zwłaszcza, że to on podaje kolacje i mógłby o to samo zapytać. Tak, to jednak już zupełnie inny temat. Dlaczego nie ma programów typu: *Jak przetrwać z mężczyzną kibicem*, *Jak znaleźć złoty środek by mężczyzna, zamiast „zaraz”, mówił „już kochanie”*. Myślę, że byłyby one o wiele bardziej przydatne i nie budziłyby takiej frustracji.



BENEDYKT OLSZEWSKI

Żonglerka

kto potrafi niech spróbuje
zrobić z siebie kilka pitek
rzucić w górę
mienić się i zmieniać ciągle
ponad ziemią się unosić
cieszyć innych feerią siebie
wszystko wraca zbyt pokornie
w ręce pewne i swobodnie
leci znowu

tak wytrzymaj całe życie
bez fuszerki i bez ruchu

ktoś ci nogę wnet podkłada
inni patrzą jak w zwierciadło
no i wreszcie coś ci spada

Drogi bliźni

pobiegł do kościoła
jak na skrzydłach
błoniastych

krzyżem, plackiem
krzyżem, na klęczkach
gimnastyka

podobno zrozumiał
i żałuje
i poprawił się

łatwo się wykpił
nigdy nie przeprosił
nas

Manualia

znowu mam ręce delikatne
na tyle by obejmować
bez sprawiania bólu
tak jak powinno być
w obejmowaniu

nie siebie lecz kogoś
mną zajmą się inni



ŁUKASZ JASIAK

TERAZ KRÓLEM JEST BŁAZEN

Od upadku PRL-u minęło już 20 lat, okrągła liczba, okrągły stół. Mówi się, że było to wyjście z cienia Związku Radzieckiego, a ja bym to określił wyjściem z deszczu pod rynnę i nie chodzi mi już tutaj o dobrodziejstwa, jakie niesie ze sobą Unia Europejska, ale o tych ludzi, od których ma zależeć choćby przyszłość naszego Narodu i o demokracji. Gdzie się podziało to coś, ten duch, w którym drzymało pojęcie obowiązku. Bezwiedza pogrążająca ludzi w braku alternatyw na przyszłość. Świadomy zanik kultury politycznej, gdzie automatycznie kształtuje się model zaściankowy. Wszystko sprawia wrażenie, że ważne jest dziś i jutro, ale bez wielkiego wybiegu w przyszłość, a wczoraj - „wczoraj, to już było i nie wróci więcej”. Świat, w którym media kierują systemem, a ideologia wyparowała wraz z jednym z wiosennych deszczy. Posługując się słowem Leszka Kaźmiercza-

ka - głupcy, co pokochali nie treść, ale formę. W tym społeczeństwie ciężko nawet o jakiejkolwiek poszanowanie dla bohaterów historycznych, a pojęcie patriotyzmu wydają się być zupełnie obcym. Tego nie ma. Czasy współczesne wychowały pokolenie w okresie znacznego dobrobytu, gdzie wszystko już osiągnęło pewną stabilizację i przybrało pewne barwy. Rzekomy problem tkwi w tym, że zrobiło się zbyt kolorowo, a ludzie dali się nabrać. Atomowy napływ globalizacji, co w ukryciu działa po hasłem „sypią się banknoty, sypią się monety”, a moda jest na to co nowe i co modne - *zachodnie trendy*. Tudzież widoczna przewaga wyglądu nad intelektem, a w skrajnych przypadkach taki oznacznik typuje się mianem „tragedii”. Zatrącenie własnych wartości w pogoni za autografem. Moda na opaleniznę i prężne mięśnie, które w komplecie z



Mirosław Koczkodaj

krótkim karkiem i *full* audio znakomicie współgrają.

Obok różnorodnych kolorów, jak *reakcyjny* czarny, jak *wiecznie żywy* czerwony, czy może ten ze świata islamu - zielony, najmłodniejszym staje się różowy. Przytaczając fragment utworu zespołu Kaliber 44 *Konfrontacje*: „Jak to? za dużo rzeczy tu przechodzi gładko, coś mi się wydaje, że się rozbrykało stadko” - wydaje mi się być jak najbardziej na miejscu. Słupki w dziale apatii stale rośnie, a liczba oportunistów równoległe z nim. Powagę już dawno zbutowano, bądź sama zginęła w tłumie ludzi, którzy kierują się wyrazem kolorowych czasopism, odrzucając przy tym grube książki, które nie idą ścieżką show z poklaskiem. Demokracja, która sama w sobie jest głupia, jest tylko potwierdzeniem, że dwie umalowane landryny, mają przewagę nad jednym profesorem. To przykre, kiedy ideałem, czy po prostu idolem do naśladowania, jest pani D. z sylikonem w kłacie, bądź pan R., który tak ćpał, że aż doczekał się ekranizacji filmowej. Brak odpowiednich wzorców oraz dobrego pasterza, który potrafiłby uspokoić i oswoić to bydło. Wszystko, co piękne, staje się już utopią. Na wadze traci Kościół. Globalizacja. Pokolenie głupców, z których tylko nieliczni potrafią się dostosować i bronić przed uległością medialnych pułapek. Osób, które wiedzą, czym jest kultura i godność, jaka była przeszłość i potrafią to docenić, jest niewielu. Ludzi, którzy różnią się od tych, dla których ważniejsze znaczenie ma halloween, nocne disco, czy upojne walentynki.

Wszyscy domagają się wolności, ale czy potrafią z niej korzystać? Na ile wystarczy sztuczne pozorowanie własnej osoby, kiedy w środku zawsze będzie pustka i obojętność. Uległość sztuką manipulacji, sztuką samozniszczenia, a jaki może być tego skutek? Myślę, że odpowiedź daje się poznać wraz z nutami prymitywnej muzyki dyskotekowej, ale obym się mylił. Społeczeństwo jest znacznie podzielone, przypuszczam, że ludzie, którzy zostaliby zapytani o swoją

narodowość, mieliby równie duży problem jak ci, którzy uczestniczyli w plebiscycie Górnego Śląska z 1921 roku. Brak przywiązania do kraju ojczystego to nie nowość w tych czasach. Fascynacja obcą kulturą, która wzbudza pogardę do własnej - bardzo częste zjawisko. Jeden z psychologów w rozmowie na uczelni poruszył temat emocji, jakoby emocjami bardziej kierowały się kobiety aniżeli mężczyźni, jednak na koniec dodał, że ich wszelka wiedza na ten temat legła w gruzach wraz z powstaniem subkultury emo.

Nie ma się co dziwić, że starsze pokolenia mają takie mniemanie o współczesnej młodzieży. Idąc ulicami miasta nie sposób nie zauważyć kogoś, kto ma na sobie tzw. „arafatkę”, a więc po raz kolejny nasuwa się wpływ popkultury i mody. Nikt nie wie, że kefija to jeden z symboli arabskich od lat 30 XX wieku, czy ktoś wiąże je jednak ze zjawiskiem antysemityzmu? Z reguły posiadacze arafatek to osoby, które mają w głowie zakodowane wartości typu: „peace and love”, „pojednanie dla wszystkich”. Takich popkulturowych wyskoków jest aktualnie cała masa i są one wpajane w młode umysły dość systematycznie. Ikony typu Che Guevara nie wymagają komentarzy. Epoka makdonaldyzacji i emitowania corocznej reklamy „coraz bliżej święta, coraz bliżej święta”. Serwisy internetowe, w których człowiek dostaje ocenę od 1 do 10, a na jej podstawie myśli, że jest „super” - bo z reguły zapada coś w rodzaju wymiany barterowej, towar za towar, a więc 10 za 10. W taki sposób budujemy przyszłą Polskę. W taki sposób utwierdzamy się w przekonaniu, że budowa samej kultury i postrzegania świata jest utopią przez duże „U”.





HENRYK MAKSYMOWICZ

wołanie

dwie płaszczyzny ścian
czerwone ucho
ukryty spazm
suchość

palący równy ślad
czerwona ręka
drżący strach
w mękach

niezmienna ciągła myśl
czerwone oczy
uciec wyjść
wyskoczyć

niedobry dziwny świat
czarny woal
osiem lat
woła

świat pełen głuchej ciszy
czyste ręce
nie słyszy
nie chce

w murach surmy dma
duma rozkwita
w górę się pna
elita

wiem

świat nie jest zły
i pełen łez
to tylko ty
tak chcesz

nie widzisz kwiatów
pełnych barw
znaków
które dał

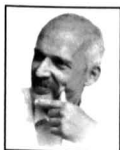
nie słyszysz trel
pełnych nut
a on wybielił
zmiótł

nie czujesz woni
leśnych brzóz
a on pogonił
zwiózł

nie chwytasz każdej
z ulotnych chwil
a on odważnie
drzwi

wyrzuć to z siebie
już nadszedł czas
przytuli ciebie
utuli nas

ujrzysz inaczej
to co dziś złe
zobaczę
wiem



JANUSZ KORWIN-MIKKE

Z ARCHIWUM JKM

CZERWONE KAPTURKI PODNOSZĄ GŁOWY

Anty-bohaterem wydanej jak najbardziej za „komuny” noweli naszego największego pisarza, p. Stanisława Lema, jest Małapucy Chałos. Jegomość ten wybudował na jednej z planet (zamieszkałych przez roboty) socjalizm: roboty zamiast indywidualnego pobierania prądu z chmur, były połączone szeregowo; od tej pory tylko jeden musiał doić chmurę - a reszta mogła nic nie robić. Niestety: każdy sądził, że to ten inny powinien doić, zapanowało więc powszechne bezprądie. Wreszcie roboty obaliły władzę Małapucego, a nawet zaczęły go cokolwiek torturować. Bohater noweli uwolnił Małapucego (nb. ubranego w malinowy (!) kubrak) z rąk oprawców - na co ten podziękował i oświadczył: „No to lecę na moją planetę, by znów roboty połączyć - był drobny błąd: trzeba było połączyć je równolegle, zamiast szeregowo”. Na takie *dictum* wybawiciel ponownie wydał Małapucego w ręce oprawców. I słusznie - bo Czerwoni są niepoprawni, a nie ma takiej męki, jaka wyrównałaby to, co zrobili i robią ludzkości... co najgorsze, jak Małapucy: w najlepszej wierze, ożywieni dobrymi chęciami.

Ten motyw znamy zresztą już z opowieści *Król Maciuś Pierwszy* Henryka Goldszmita (ps. „Janusz Korczak”)...

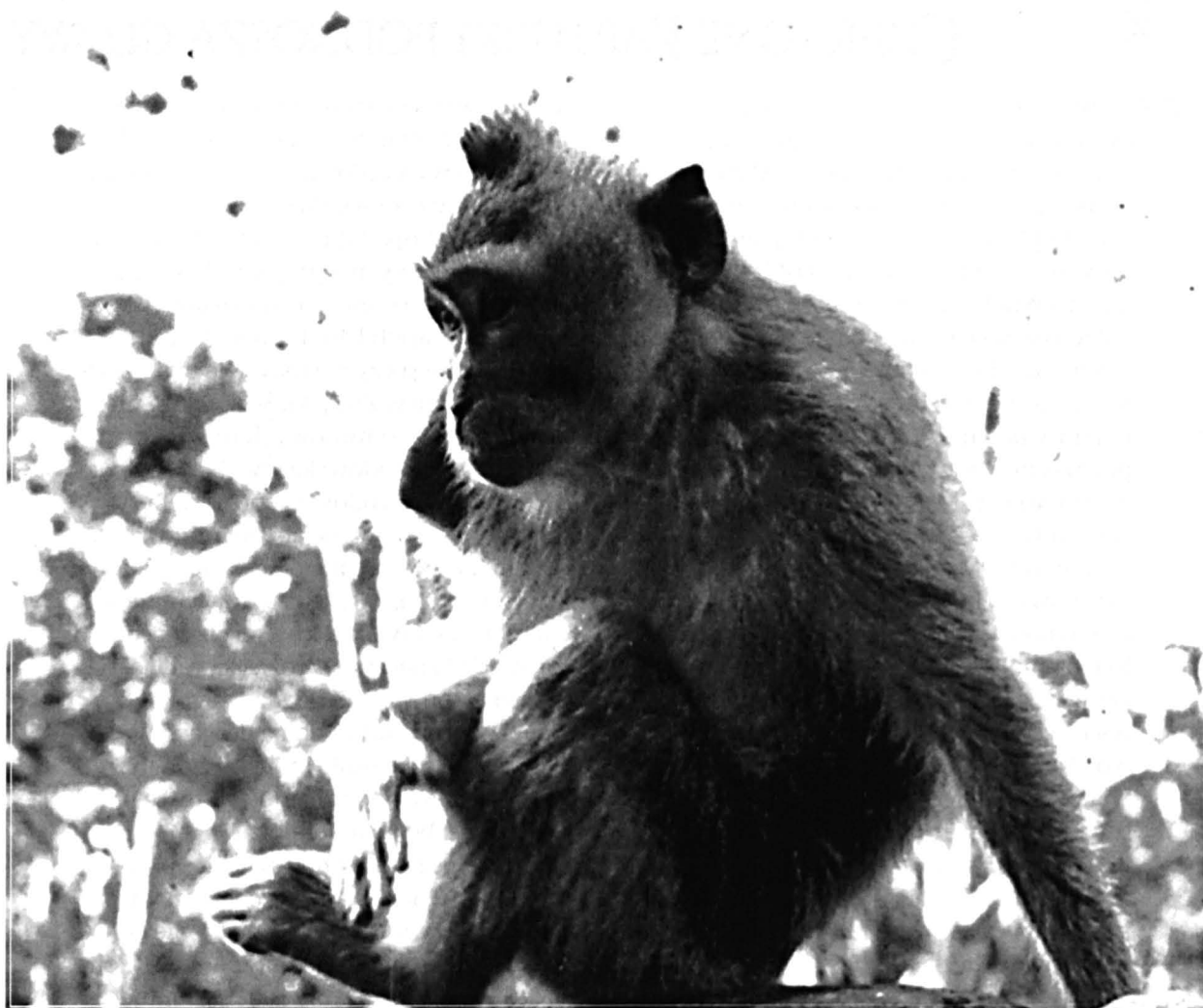
W tej chwili główną troską polskiej Lewicy jest stworzenie Nowej, Lepszej Lewicy - bo poprzednia, to nie była Prawdziwa Lewica, gdyż zdradziła Ideały Lewicy. Jest to zresztą prawda: gdy Lewica obejmuje władzę, jak np. śp. Józef Piłsudski w 1918 czy 1926 roku, natychmiast przekonuje się, że jej pomysły to stek bzdur - i musi choć w części zachowywać się jak normalni ludzie, a nie jak socjaliści - bo po wprowadzeniu w życie NAPRAWDĘ ideałów socjalistycznych państwo by wyglądało jak Kambodża w pięć lat po objęciu władzy przez piekłoszczyka Pol-pota, który zresztą swój pomysł naprawy kraju

opracował na paryskiej Sorbonie, za co nawet otrzymał doktorat czy licencjat!! Może nie wymordowaliby 1/3 narodu ale panowałby tym większy głód...

Tak więc nawet np. stalinizm, był ZNACZNIE mniej lewicowy, niż projekty „Wielkiego Wschodu”, po części zresztą zrealizowane w takich krajach Unii Europejskiej jak Belgia, Francja czy Niemcy. Nie uwierzycie Państwo - ale w Związku Sowieckim nie było nawet przymusowych ubezpieczeń OC od samochodów; każdy płacił indywidualnie za spowodowane przez siebie szkody! Socjalizm socjalizmem, ale każdy, komu lewicowość nie przemacerowała mózgu do cna, wie, że jeśli dowiem się, że za moje szkody płaci ktoś inny, to będę prowadził znacznie bardziej zawadiacko - i liczba trupów rośnie... Sądzę, że różnica między liczbą zabitych na drogach w Polsce - a liczbą osób, które by zginęły, gdyby nie było socjalizmu - wkrótce przekroczy liczbę ofiar Pol-pota...

Ciekawe, że (poza mną) nikt nie chce postawić pod sąd za ludobójstwo tych, którzy wprowadzili przymusowe ubezpieczenie od OC! Pomysły Lewicy stają się niebezpieczne. „Polityka” udostępniła łamy jakiemuś młodemu huncwotowi, p. Sławomirowi Sierakowskiemu, który wśród tabunu bzdur napisał: „Niezbędna wręcz stała się redefinicja pojęć obywatelstwa, wolności, równości”... Co do ostatniego, mamy przynajmniej jasność: chodzi o redefinicję znaną z książki śp. Eryka Artura Blaira (ps. „Jerzy Orwell”) pt. *Folwark Zwierzęcy*; brzmiało to tam: „Wszyscy są równi - ale niektórzy są równiejsi”.

Nie wiem, o co chodzi z Wolnością: wydawało mi się, że Lewica już ją zredefiniowała za śp. Jerzym Wilhelmem Fryderykiem Heglem. Wśród ludzi normalnych mówi się, że jestem wolny OD czegoś; Lewica mówi o wolności DO czegoś - np. „Wolność do zasiłku dla bezrobotnych”. Pomijając łama-



📷 Jarosław Sujczyński

niec gramatyczny i semantyczny, „wolnym” w tym sensie jest np. niewolnik - bo ma „wolność” do miski zupy, kieszonkowego, wyra do spania - a przede wszystkim ma zagwarantowaną „wolność do posiadania miejsca pracy” (o co tak się bije Lewica w imieniu bezrobotnych - których zresztą sama stworzyła). Ciarki przechodzą na myśl, co tu jeszcze można „zredefiniować”....

Natomiast nie wiem, o co chodzi z „obywatelstwem”? Może o to, by prawo głosu w Polsce posiadał Niemiec, któremu na tydzień przed wyborami zachciało się przyjechać na Ziemię Utracone (po polsku:

„Ziemie Odzyskane”). A może o to, by „obywatelem” był tylko ten, kto podziela ideały Lewicy? To też już było: np. za bolszewików „bywsiye ljudi” praw obywatelskich nie posiadali. A może o przyznanie (jak postuluje niemiecka SPD) prawa głosu 16-latkom - lub (jak chce Labour Party na Nowej Zelandii) - goryłom (bo człekokształtne i zagrożone)?

Nie mam pojęcia. Ale brzmi to naprawdę bardzo groźnie...





MAŁGORZATA POŁUDNIAK

Zdrada we krwi

Kto kogo przygarnął
 uniesiony palec przy filiżance
 na chusteczce inicjały
 doskonała dykcja
 pierś wypięta
 brzuch wklęsły
 wymawia moje nazwisko
 - z kreską - bez kreski
 skóra woskowa
 wyobcowane ciało
 bezcenne
 usta dziwki zlizuję
 zgrzytam zębami do kości
 tak musiało się skończyć
 cztery filiżanki kawy
 butelka wina
 pusta pod stołem
 starość daje jasne fakty
 jego lekarz wypisał zgon

Entelechia

poprowadź mnie zmysłowo
 wzdłuż Łazienek do Wisły
 kiedy mówisz że jestem ładna
 kocham się z tobą
 rozrywając granice

zmęczona
 zapijam łykiem wody

ostatnie spojrzenie
 na ciężarne pajęczyny
 odkrywam anemię much
 bezradna w spóźnionym objęciu
 oscyluję w bezwyjściu
 chcę mieć święty spokój

Nałóg

Wciągam ich czułośćkowość
 niewzruszona podkreślam
 oczy ostatnim kieliszkiem
 przyjaznej drwiny, pij pij
 chciwie sadowię cię obok
 chociaż nie widzą, jesteś

potykali się o nas
 wychodząc na papierosa
 kiedy tańczyliśmy w milczeniu
 poszukiwałam ciebie i mnie
 w pijanych cieniach
 pozornie patrzyłam gdzieś obok

koniec imprezy
 pościel poświęcę księżycu łowi
 poczuć na sobie odrobinę ciężaru
 niepohamowaną męskość
 na szyi nominały podniecenia
 pomyślałam, chcę być w domu

zmyłam z siebie
 warczące spojrzenia dnia
 w strumieniu prysznica
 wykrzyczałam tęsknię
 piersi pełne przebiegła
 fala gorąca, pragnienie.



JERZY CHROMIK

ULICA WARSZAWSKA

NO TO CO, ŻE KOCHAM SVOJE MIASTO...

Napisane - 1 kwietnia 2009

Korekta - 1 maja 2009

Na strychu rodzinnego domu nie ma już pocztówki dźwiękowej z piosenką Piotra Janczerskiego i grupy skiflowej NO TO CO. Poszła za znaczki pocztowe, bodaj z fauną Madagaskaru. Był rok 1968. Do Pragi jechały czołgi. Dlaczego przez Radzyń Podlaski?

*Wierście mi - ja kocham swoje miasto,
miasto, gdzie nie byłem już od lat.*

Powinno być - nie mieszkam. Ostatnio bywałem regularnie, ale przez 34 lata nie pojawiałem się codziennie na deptaku Ostrowieckiej. Nie wszystkim mogę się już ukłonić, bo czas zmienił twarze dobrych i złych znajomych z PRL.

*Gdy noc otuli najpiękniejsze z miast,
Dachy kamienic w kapeluszach z gwiazd,*

Tu można usiąść po północy na dachu. Noce są inne, gwiazdy świecą jaśniej, bo smog chadza spać wcześniej niż w Warszawie. - A wy, synowie kamieniczników, ciszej tam - zwykł mawiać na matematyce mój licealny wychowawca, dopóki nie wybudował sobie domu.

*Zaraz ze zmierzchem zasypia stary park,
Gasną światła, w kawiarniach cichnie gwar.*

Choć kryzys - palą się światła, ale cisza po 20. straszy tak samo. Kawiarnie zamykają nadal za wcześnie. - Jurek - ja cię zawsze szanowałem - przekonuje w nocnym kolega, który trzy razy był w klasie VI b. Ile Ci brakuje? Dwadzieścia groszy do denaturatu - odpowiada.

*Księżyc nad mym miastem ma okrągłą twarz,
Każdy zaulek w mieście moim znam,*

No, może już nie każdy, bo pytam dawnego sąsiada, gdzie teraz jest najlepszy sklep ze

wspomnieniami. Rozkłada bezradnie ręce. Drugi sąsiad wciąż przeklina swoje życie na kredyt. Księżyc nad mym miastem miewa też pijacką twarz.

*Gdy bulwarami będziemy razem szli,
W Twoich włosach jego promień będzie śnił.*

Już tam nie chodzimy. Kobiety, które „mam na myśli powychodziły za mąż już” i nie spacerują za pałacem Potockich. Są też wdowy i kochanki. Tylko wina czasem brak? Nie, czas zrobił swoje. Nie tylko z Jej włosami.

*Na żadnej mapie nie znajdziesz tego miasta,
Jest za małeńkie, by nazwę jego znać.*

To nieprawda, piłkarze Orląt pukali do drugiej ligi, powiat wrócił po latach wygnania, a ser Radamer jest widywany przy butelkach bordeaux na francuskich stołach. Nie ma powodów do popadania w kompleksy. A że nadal nie ma świateł ulicznych? No to co!

*W wąskich uliczkach latarnie świecą jasno,
Może kiedyś powrócę jeszcze tam.*

Powracam teraz co tydzień. W Ulanie jest jak w przedsionku dzieciństwa i młodości. Numer domu 56. Taki rocznik. Wspólnota liczb. Tata powtarzał przed śmiercią - dziękuj Bogu, że nie przyjeżdżasz tu z kluczami. Na razie otwiera mi mama...

*Wierście mi - ja kocham swoje miasto,
Miasto, gdzie nie mieszkam już od lat...*



NA CENZUROWANYM



ARTUR ZIONTEK

KONFRONTACJE WSPÓŁCZESNOŚCI

„Konfrontacje współczesności”, to seria powstała w Siedleckim Towarzystwie Naukowym w ramach działań podejmowanych i inicjowanych przez Sekcję Historycznoliteracką. U podstaw namysłu nad nią legło szereg pytań o tytułową współczesność. O kondycję kulturową i mentalną społeczeństwa w dobie dynamicznych przemian - raz na lepsze, raz na gorsze - zachodzących w Polsce i Europie. Jak tę współczesność widzą studenci, pracownicy naukowcy i twórcy? Jak jawi się ona współtworzącemu zbiorowości konkretnemu podmiotowi? A historia, historia literatury, historia sztuki? Czy mowa o nich sprowadza się tylko do szafowania teczkami, wspomnieniem przymusowych - więc nielubianych - lektur szkolnych i równie przymusowych wycieczek muzealnych? Czy może jednak historia i spuścizna kulturowa ojców (odwołuję się tu do Polibiusza) ma w sobie nieustanny polot świeżości nieskażony zapachem naftaliny? Dość oczywistą odpowiedź dał już w 1948 roku Robert Ernst Curtius w klasycznej dziś monografii *Literatura europejska i łacińskie średniowiecze*, a można przytoczyć by jeszcze Simone Weil i jej ideę „zakorzenienia” oraz teorię „długiego trwania” Fernanda Braudela. Wszystkie te koncepcje składają się na dość klarowny obraz myślenia o współczesności, jako kategorii czasowej trwającej między przeszłym a przyszłym, gdzie trudno mówić o jednej nie przywołując drugiej. Nie chodzi więc o trywialne umiejscowienie chronologiczne, jakby chciał to najwinnie czytać „erudyta mniejszy” w dziennikarskim ufryzowaniu (mniejsza o nazwiska), a tak właśnie, w myśl tych koncepcji, czytanie współczesności przez całą kulturową spuściznę: dziedzictwo i tradycję, tworzące naszą tożsamość. Długie trwanie idei i form, ciągłość mimo rozmaitych powikłań i przemian historii - to podstawowe założenie towarzyszące temu myśleniu. Dawne epoki rzutują na współczesność i trwają w niej osobliwie - jak pisał Antoni Czyż. Określają też nas bez naszej wiedzy i poza doświadczeniem całą siecią mimo-

wolnych ponowień i analogii.

Pytania i podjęty wokół nich dyskurs niemalże wymusiły powołanie takiej serii wydawniczej, w której do głosu dochodziliby przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych i twórczych. By móc uzyskać w miarę pełny obraz poszczególnych stanowisk, seria nie może realizować się w ramach jednej tylko odgórnie ustalonej formy wypowiedzi. Stąd też, jak głosi podtytuł, czytelnik spotkać będzie w niej mógł poezję, prozę, eseje, ale też i rozmowy. Wszystko po to, by myśleć i zgłębiać współczesność barwną i bogatą w konteksty kulturowe. Dostrzec w niej oryginalność nie kłócącą się z wciąż twórczym trwaniem minionych epok. Interesuje nas w końcu współczesność nie zamykana w geograficznych granicach kraju, ale i szukająca jego kontekstu w Europie i świecie...

Pierwszymi tomami serii były *Przypadki Vincenta Bisiou* Roberta Olewińskiego i *Aneks* Grzegorza Przepiórki. Obie książki były czytane niemal natychmiast i przychylnie przyjęte przez czytelników i krytyków, zyskując niezwykle aprobatywne recenzje w „Nowych Książkach” i pismach lokalnych, jak choćby „Siedlecki Nieregularnik Literacki”, czy „Nowe Echo Katolickie”. Były też jednak i nieudane próby udźwignięcia ciężaru recenzyjnego. Choć w swej wymowie jednoznacznie pozytywne, to jednak nietrafne interpretacyjnie i pokazujące, że Polacy znają się już nie tylko na piłce nożnej i skokach narciarskich, ale także bez zbytniego skrupowania, przez fakt nabycia umiejętności czytania, uzurpują sobie prawo do „znania się” na prawidłach poezji.

Obu tym tomikom patronował „Siedlecki Nieregularnik Literacki”, z którym obaj autorzy a także autor obu wstępów, czyli wyżej podpisany - byli związani. Grzegorz Przepiórka był Redaktorem Naczelnym, ja wielokrotnie do niego pisywałem a potem współtworzyłem kolegium redakcyjne pisma, Robert Olewiński zaś debiutował literacko na jego łamach. Z różnych przy-

czyn, na które złożyły się rozmaite sprawy zawodowe członków redakcji i „rozpierzchnięcie” się, pismo zawiesiło swą działalność.

Zatem od trzeciego tomu serii, którym są *Estetyki* Roberta Olewińskiego opatrzone wstępem semiotyka i teoretyka literatury dr Romana Bobryka, „Konfrontacje Współ-

czesności” ukazywać się będą pod patronatem, jak zawsze życzliwego i otwartego myślowo, kwartalnika kulturalnego „Kozirynek”. Wypada więc mieć nadzieję, iż korzyści z tego mariażu będą obopólne.



MARTA BARSZCZEWSKA

Wychodzenie za balustradę

własnego lęku
i ograniczoności
rozwija w nas
nowe zapachy
pobudza
nasze sensory
ubiera w wiarę spełnienia

Chroń mnie

Boże
Przed śmiercią
Uczuć
Przed chłodem słów
Mrozem wiary
Okryj mnie płaszczem
Gorących miotłań

Kiedy nie ma

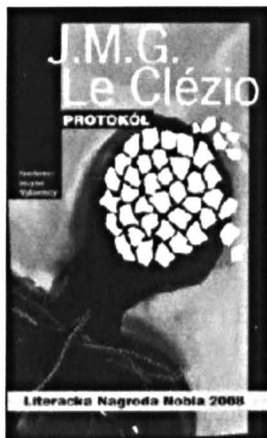
już o czym
rozmawiać
a zostajemy
nagle sami
można mówić
o ptakach
o wiośnie
cieplejszym deszczu
o uczuciach
i karmić się uprzejmościami

Zastygło spojrzenie

widnokrag zaokrąglił się
do dwóch
brązowych punktów
zapatrzenie moje
twoje
nasze
oddech lekki
by nie ploszyć
porozumienia
które przysiadło
na nici
naszych spojrzeń

MACIEJ TOPOLSKI

DWUGŁOWY NOBLISTA



W przypadku Le Clézio, zesłorocznego Noblisty, przywołuje się znany zapisek z *Dzienników* Gombrowicza: o pięknej żonie, o samochodzie, „niezłej marki, niemniej przystojnym”, i o tym, że na jego ładniutkiej twarzy nie było widać sukcesu. W następnej linijce dodaje się, że autor *Pornografii* mylił się tylko w tej jednej kwestii... Nie mówi się, że to właśnie *Protokół*,

napisany przez Francuza w wieku dwudziestu trzech lat, łączący te dwa skrajne światy: „z jednej strony uroda, zdrowie, sława, fotosy, Nicea, róże, samochodzik, z drugiej ciemność, noc, pustka, samotność, absurd, śmierć”. Debiut ten wznowiony przez Państwowy Instytut Wydawniczy (pierwsze wydanie pochodzi z roku 1965, z której drugie czerpie kilka stron) jest swoistym badaniem pisarskiego gruntu, smakowaniem go, co nie znaczy - bo obok takich laureatów jak Perec (1965) i Céline (1932) Le Clézio otrzymał w 1963 roku Prix Renaudot - nieudane czy bezbłędne.

Noblista zaznacza we wstępie do *Protokołu*:

„zdaje mi się, że istnieją ogromne dziewicze obszary do odkrycia (...) oczekujące jeszcze autora i czytelnika” i wrażenie tych przestrzeni pozostaje do końca książki, tak jakby Le Clézio raz wkraczał z kijkiem podróżnika na nieodkryte tereny, po chwili jednak wycofywał się, zmieniając styl, narratorów etc., tworząc „powieść-gre, powieść-lamigłówkę”. Autor widzi, że ten utwór nie jest bez skazy, że jest rozgadany, po prostu niedoskonały i szczerze - na szczęście oraz „uczciwie” - o tym mówi, przygotowując czytelnika: to można było zrobić lepiej, ale po co, skoro trzymacie moją powieść i już czytacie, skoro zacząłem nową, o tym i o tym. Pojawia się więc (oprócz ambicji) zapowiedź odejścia od *nouveau roman* i przyszła zmiany warty; która zakreśliła szerszy krąg czytelników; i która pozwoliła Noblistom napisać coś, co

przypominałoby Conana Doyle’a i „odwoływałoby się do uczuciowości”, co w polskich księgarniach urealnione zostało w *Pustyni*, *Onitszy* oraz *Uranii*. Ale o tym nikt, nawet sam Le Clézio nie mógł wtedy wiedzieć, tak też trzeba brać tę przedmowę jak mrugnięcie okiem, z dopiskiem u dołu: Oddany państwu, J.M.G. Le Clézio, jak chwył: zapłaciłeś, więc kupisz następną - a dlaczego? - bo będzie lepsza.

Protokół rozpisany został na siedemnaście rozdziałów, od A do R. Jako sprawozdanie z życia głównego bohatera nie został ukończony, wcale nie musiał być zupełny, nawet zdający relację - trzeba zaznaczyć, że rzadko przejmując własny głos - twierdzi: „byłoby naprawdę bardzo dziwne, gdyby któregoś z nadchodzących dni nie było nic do powiedzenia o Adamie albo o k i m s s p o ś r ó d n i e g o (podkreślenie moje, MT)”. Ale Adam Pollo nie ma przyjaciół, jest podrzutkiem, niechcianym dzieckiem współczesnego społeczeństwa, podległym jedynie sobie, żyjącym na skraju miasta nałogowym palaczem. Zrzucając motor do morza, uciekając z rodzinnego domu, rezygnując ze wszystkiego, prócz petów, piwa, czekolady i żarcia znajduje opuszczoną willę, w pobliżu której, rozkładając się na dwóch krzesłach, opala się i przez czarne okulary patrzy na morze. Nie wie, razem z Le Clézio, jaka jest jego przeszłość, nie potrafi jej określić, nadać kilku punktów, których byłby pewny i które mógł wyznaczyć dla lepszej orientacji. *Protokół* obfituje w niewiadome, już czwarta strona okładki nie jest tak naprawdę zgodna, co do treści książki, nie ma „całej pewności”, stawia znak zapytania. Adam w jednej ze scen próbuje uściślić pewne informacje, rozwikłać nieścisłości na własną rękę. Ale dopiero list od matki mówi coś więcej o jego służbie wojskowej, dopiero w ostatnim rozdziale trafia do zakładu psychiatrycznego, w którym studenci wraz z doktorem próbują określić siedzące w nim schorzenia. Bohater po wywiadzie zostaje sam na sam ze swoimi urojeniami, hipochondrią i zamąceniami umysłowymi. Tak więc debiut Le Clézio zdaje się być

protokołem rozbieżności, niekiedy rozjaśnia się, próbuje porozumieć, ale bezskutecznie, bo opowieść dobiega końca i tych kilku sprawozdawców-narratorów, albo ten jeden ostatni „bierze się” za historię innego człowieka, zawsze jednak z pierwiastkiem pierwszego, stworzonego przez Boga, na własne podobieństwo.

Imię i nazwisko bohatera stanowi ważny element układanki, jaką jest *Protokół*, przedstawia bowiem cały jego stosunek do świata: alienację, ale i tęsknotę za ludźmi, za życiem, za jego zaletami i wadami, za zabawą i jednocześnie chwilami smutku czy walki z wrogami. Adam jest więc Apollem (A+Pollo), ojcem ludzkości i bogiem życia, podobnym niekiedy do beckettowskiego Malone'a; nawet w swoich słowach (kobiety rodzące dzieci nad mogiłami) przypomina Irlandczyka. Jednakże bohater Le Clézio nie umiera i nie chce umierać, „bo to nie musi być takie wypoczynkowe, być umarłym. To jakby przed urodzeniem. Pewno kipi się chęcią zmartwychwstania. Zdaje mi się, że to by mnie męczyło”. Kupuje pocztówkę z kobietą, raz porównaną do madonny, nad którą unosi się aureola, zaraz jednak, gdy kropla deszczu spada na fotografię, do Wenery, która jak na dobrze znanym obrazie zakrywa piersi. Adam wymyśla Michéle, w żółtym zeszycie pisze do niej listy; w zeszycie, który ktoś znajduje później w męskim WC i próbuje dokładnie odtworzyć, wyrwa po wyrwie, wszystkie zapiski, wszystkie notatki razem (dosłownie!) ze skreśleniami. Ale młoda kobieta nagle zaczyna żyć, rozmawiać, wychodzić z domu, by na koniec zdradzić z jakimś amerykańskim facetem. Adam bowiem - jako Apollo - potrzebuje innych, przebywania pośród ludzi lub świadomości innego istnienia, uczestniczenia w nim i śledzenia go, jak na przykład psa ulicami miasta. Natomiast Michéle została stworzona (nie ryzykujemy słowa powołana) przez głównego bohatera do zaspokojenia popędu lub zwyczajnie bycia przy bogu miłości, towarzyszenia w orszaku. Między nimi dochodzi jedynie do gwałtu, który nie ma swojej siły, odpowiedzi czy krzty niebezpieczeństwa - Michéle poddaje się i ostatecznie nie donosi na policję. Ale takich prób jest więcej; gdy Adam próbuje

rozmawiać ze staruszką w zoo, jego pytania zbliżają się do molestowania; sposób, w jaki reaguje na słowa studentki Julianne R. (czy to nie przypadek, że ostatni rozdział kończy się na literę „R”? - w rozdziale „M” Adam szuka Michéle - rozdział „A” jest o „pewnym facecie, który siedział przed otwartym oknem; chłopak za wysoki, trochę przygarbiony, a nazywał się Adam Pollo” ...) jest tylko pragnieniem bycia przy kimś, tęsknotą za zwykłymi relacjami między kobietą i mężczyzną, napisaniem dla niej poematu, zaś po wyjściu z zakładu dla obłąkanych marzeniem zamieszkania „gdzieś na Południu”. Dlatego Adam zatrzymuje się na widok wyrytych w liściu aloesu inicjałów zakochanych (to nic, że mają siebie gdzieś) i gdyby chciał wyrycić na drzewie swoje i kogoś imię i nazwisko byłoby to tylko:

ADAM POLLO ADAM POLLO

Wszystko sprowadza się do samotności, Apollo podkreśla wyobcowanie Adama Pollo jako Adama, jako pierwszego człowieka, z którego ludzie wzięli początek. Ale żadne ludzkie uczucie nie równa się z uczuciem ojca ludzkości: gdy Bóg nie stworzył jeszcze kobiety, a w pobliżu przechadzały się nieokiełznane i groźne bestie. Główny bohater *Protokołu* nie ma jednak zamiaru oswajać zwierząt, okazuje się, że pies, za którym podążał i którego obserwował podczas stosunku z suką, ma już swój dom, a jeżeli jakiś szkodnik wkracza do zajętej przez niego willi, traktuje go jak wroga, zabija i wyrzuca przez okno (patrz: pojedynek ze szczurem - najbardziej plastyczny rozdział powieści). W tym momencie pojawia się jeszcze jedna kwestia - Adam jest każdym, jest prawie bogiem, ma „łączność” ze wszystkimi kobietami i mężczyznami, bo to on zapłodnił Ewę, to z jego plemników powstało pierwsze dziecko, to on jest niejako w każdym z nas. Czuje więc tę jedność, która tworzy z ludzi istoty wieczne, że „jeszcze stulecie lub dwa, a staną się posagami”, ponownie zleją się w pojedyncze okazy, rajska kobietę i rajskiego mężczyznę, po przemianach, po tym jak żyli obok maszyn z plastiku, szkła czy metalu, po tym, jak czas się skończy będą mieli w sobie „nieśmiertelną cząstkę ognia elektrycznego”. Ale to nastąpi wkrótce, teraz Adam Pollo może się przechadzać po

ulicach i palić papierosa, czuć jak na innym kontynencie stu facetów i trzysta kobiet, wyjmuje go z paczki i odpala. To prawda, że przez unicestwienie czasu, zestawianie wszystkiego, co można zwielokrotnić i powtórzyć do jednego, czyli do Rodzaju, Adam staje się po trochu geniuszem i szaleńcem, zepchniętym na bok, uznanym za niespełna rozumu. Ale on bierze z tego dziwny rodzaj przyjemności „jak gdyby (...) wymyślił księżyc albo napisał Biblię”.

Le Clézio wykorzystuje idące za tym możliwości, scena z wyłowionym z morza topielcem, który „Był dobrym ojcem. Nieczęsto chyba chodził do burdelu. (...) Obiecał nawet kupić telewizor”, podaje jak w sztuce teatralnej, kto, spośród gapiów, jaki ma zawód i co najważniejsze zmienia ustawienie: Adam od teraz staje się dalszy, jakby nieco mniej ważny od innych, od otoczenia. Noblista kilka stron dalej wkleja wycinki z gazet, po chwili zaś przenosi czytelnika do Kostnicy, gdy wdowa z córką rozpoznają przykrytego białym prześcieradłem ojca i męża. Autor *Protokołu* nie poprzestaje, idzie jeszcze dalej: niby w długim ujęciu kamery pokazuje całe miasto, zbliżając i oddalając szklaną powiekę, przedstawia niezwiązanego z fabułą żebraka, małżeństwo oglądające telewizję, kobietę z książką w ręku i wreszcie dwunastoletniego Adama, który rysuje na kartce papieru księżyc i słońce, człowieka i trawę, świat w trakcie Aktu Stworzenia. Jednak każdy z tych zabiegów, jak się okazuje, jest jedną z niezliczonych gier głównego bohatera, które stanowią dla niego środek przetrwania i pozwalają „żyć w pomniejszonym modelu świata, własnym, spokojnym”. Zabieg ten przypomina Cortazar'a, jego zabawy-opowiadania (np. o zegarkach) czy postać Olivieiry z *Gry w klasy*, gdy przywiązuje nitki w całym pokoju i wypada przez okno. Ale Adam nie potrzebuje samobójstwa. Wystarczy mu przetwarzanie rzeczywistości podług własnych zachcianek, mrużenie oczu i branie światła i telewizyjnych prostokątów ze współczesnego społeczeństwa (które Le Clézio krytykuje) z nieszkodliwego dla siebie punktu widzenia. Taki jest jego sposób na przeżycie, sposób na życie rozrywanej przez trzy osoby wyjątkowej jednostki, z której każda

domaga się swego i każda atakowana przez otoczenie i związane z nią drobnoustroje i niebezpieczeństwa jakoś się broni. Wszystkie osobowości: Adama - pierwszy człowiek, Apolla - bóg życia oraz Adama Pollo - przypadek wyjęty z zakładu dla obłąkanych (gdzieś tam jeszcze migocze Mesjasz, który dobrze symbolizuje szczur nazwany przez bohatera kocurem, rozkładający się w kolczastym krzaku, z powiekami ułożonymi w X, a także prawdziwie prorocza mowa Adama na ulicy), Noblista podkreśla, stawia pod kreską i zamyka rozdziałem na literę „R”. Dokłada jeszcze jedną, potwierdzoną przez oschłe usta lekarza, kostkę chorób psychicznych do swojej głównej postaci, która od pierwszych słów do ostatnich, mimo że przeszła tak długą drogę, znów jest sama, znów z jakąś nadzieją, zamknięta: wcześniej w willi, teraz w celi zakładu dla obłąkanych i zaczyna całą opowieść od początku:

„Bo trzeba iść dalej, wracać do krwi i limfy, aż do łona matki, gdzie - z ramionami i nogami zwiniętymi w jajo - zasypiamy z głową u elastycznej błony - pełni d z i w n y c h z i e m s k i c h s n ó w (podkreślenie moje, MT).”

Protokół rozrasta się: w miarę pisania o nim, rozgryzania go i ponownego czytania, nabiera odnóg i zaczyna chodzić jak pajak krzyżak, wspinać się i spadać, błędzić, ciągle z uczuciem *sensual ecstasy*, o którym, odnosząc się z pewnością do jego późniejszych książek, mówiła Akademia Szwedzka. To zmysłowe uniesienie ma jednak swój początek w nagrodzonym przez francuskich dziennikarzy debiucie, tej niepokojącej powieści, gdzie wiedza - to, co ma się w ręku i to, co trzymając pewnie pozwala iść dalej - nieustannie jest przekreślana, podważana przez kolejne składniki, „uważane za niedopogodzenia; jak kiedy pisze się na białej kartce dziwaczne zestawienia słów”. Tak więc czytelnik zmuszony będzie złamać sobie głowę nad tą antypowieścią (przyjmując, że nie jest to prawdziwa powieść) i stwierdzi, że zeszlóroczny Noblista, wie-dział, jak wprawić w zakłopotanie, że już w tak młodym wieku zbudował labirynt, z którego on sam i jego bohater Adam Pollo, wychodzą prawie równocześnie.





ZOFIA MIKUŁA

Alienacja

Bał głodnych pasji rozpoczął się wczoraj.
 Obcas złamany, a noc nadal tańczy,
 czarne pończochy zsunięte do kolan.
 Kostki już kryją, sunie cień szarańczy.

Roztańczone pasje szyderczo, złowieszczo,
 zęby wyszczerzone pokazują z wdziękiem.
 Porwane pończochy uduszą to ścierwo.
 Choć nogi zranione na kamieniu klękne.

Jedwabną chustą przykryję pomniki,
 włosy rozpuszczę z wiatrem niech polecą.
 Przez srebrne lata, bal się kończył niczym,
 sen nocy błyszczał lodową świecą.

Lodu nie zapalę, jak ufać płomieniom,
 wciąż łaknące syczą satanicznym dźwiękiem.
 Gdy fałszywy cielec na wolność spopiela
 choć nogi zranione na kamieniu klękne.

Kuriozalnie z szypułkami

W *Wenecji* otworzyli letnie ogrody,
 muzyk zasiadł do pianina.

Czekałeś na mnie zawsze niecierpliwie
 jak na pierwsze truskawki.
 Roześmiana podawałam dojrzałe, a ty
 zachłannie wpychałeś do ust z szypułkami,
 jakbyś chciał nasycić się na wieczność.

Dzisiaj z zaciekawieniem wpatrujesz się w obraz,
 a przecież oboje znamy tę parę.
 Tylko chłopiec na płótnie jakby posiwał.
 zamyślony popija wciąż letnią herbatę.

Bezradność

- *Martynce*

Ścigana czerwoną plamą z asfaltu
 nastoletnia Marii
 z obawą podaje rękę.

Nie potrafi kochać.
 Nie potrafi ufać.

Obcina krótko włosy,
 by nie wołały przytul.

Zostawiliście mnie

MARIUSZ KARGUL

POLSKI NASTĘPCA STEPHENA KINGA

Idzie sobie strzyga i idzie, przez pola i łąki, strykając na lewo i prawo jadowitą śliną, spomiędzy podwójnego rzędu dawno nie-mytych zębów. Myśli tylko ciągle, kogo by tutaj jeszcze dźgnąć szponiastym paluchem albo przyprowadzić o zawał serca.

Wbrew pozorom, strzygi można napotkać w trakcie wykonywania bardzo prozaicznych (i prozatorskich) czynności. Najczęściej mają z nimi do czynienia mężowie/zięciowie wracający nad ranem do domu. Stoją wtedy przyczajone za drzwiami, a w miejsce tradycyjnego atrybutu grozy, w postaci puszczyka, towarzyszy im broń obotłuczna. Człowiekowi i tak już pęka głowa, nogi płaczą się niemiłosiernie, usta i język wyschły na wiór, pod powiekami zalega tona piachu, a tu trzeba dodatkowo przejść przez małą inkwizycję i stoczyć półprzytomnie bój z siłą nieczystą. Oj tak, często nie zdajemy sobie nawet sprawy, czy ktoś za naszymi plecami nie dybie przypadkiem na nasze marne dusze i jeszcze bardziej sponiewierane przez los, powłoki cielesne

Ale generalnie debiutancka powieść Stefana Dardy *Dom na wyrębach*, nie traktuje o walce ze zgubnym nałogiem alkoholizmu, choć konsumpcja C₂H₅OH zajmuje w niej poczesne miejsce. Nie jest też kompendium tłumaczącym niepojętą do dzisiaj dla nikogo skomplikowaną naturę relacji damsko-męskich. I to w wymiarach doczesnych i pozagrobowych. Do książek „pod poduchę” też się raczej nie zalicza, no chyba, że ktoś jest masochistą, uwielbia czytać „powieści grozy”, a potem gasić światło w całym domu i po omacku szukać drogi do łazienki.

Owoc debiutanckich trudów Stefana Dardy jest mądrą i wielopoziomową opowieścią o tym, że wszyscy musimy w życiu za coś płacić, że wszystko ma swoją cenę, a najwięcej płaci się za marzenia, spokój ducha i szczęście. Jeżeli nawet „na tym świecie” nikt nie ma nic przeciwko temu, zawsze mogą się znaleźć istoty lub siły, którym się



to nie spodoba, a na myśl o których sięgamy niemal odruchowo po ulubiony talizman czy atrybut religijny. Wielu z nas oficjalnie stwierdza, że nie wierzy w duchy i upiory, ale tak na wszelki wypadek dodajemy, że „coś” w tym jednak musi być, że oprócz świata namacalnego i odbieranego za pośrednictwem dostępnych nam zmysłów, są jeszcze rzeczy i zjawiska, „o których nie śniło się nawet filozofom”.

Doświadczył tego główny bohater powieści Marek Leśniewski. Dobrze rokujący wykładowca i prawnik, zlikwidował swoje wrocławskie sprawy, a przy okazji dawne życie osobiste, i przeniósł się na Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie, do „małego, zacisznego domku”. Idylla trwała krótko. Stanowczo za krótko, jak dla kogoś, kto chciał „tylko” spokojnie pracować dalej zawodowo, kochać, być kochanym, podpatrywać intymne życie żurawi i znaleźć kawałek swego miejsca na ziemi.

Leśniewski, tak jak każdy „normalny” człowiek, brał wszystko początkowo za wytwór przewrażliwionej wyobraźni,

ewentualnie skutki samotnych alkoholowych posiedzeń, wreszcie efekt działań sąsiada, co to bardziej wygląda na kuzyna Hannibala Lectera, niż osobę gotową pożyć nam szklanek cukru. I my powoli dajemy się autorowi w to „wciągać”. Aż nagle, tak do końca nie wiadomo, gdzie i kiedy, następuje moment przejścia na stronę bohatera, trzymania za niego kciuków, i bezapelacyjnego zaakceptowania istnienia zjaw żywiących się nienawiścią, cierpieniem i bólem osób, które niegdyś kochały.

Z realistów i sceptyków, jakim był na początku Marek Leśniewski, przekształcamy się powoli w osoby szukające wyjścia z tak dramatycznej sytuacji. „Odkurzamy” więc szybko w pamięci wszelkie historie o wampirach, upiorach i południcach, starając się przypomnieć co skuteczniejsze metody walki z nimi. Większym sentymentem zaczynamy darzyć medaliki, wodę święconą, gromnice, czosnek, osikę w ogródku i telefon do wujka egzorcysty. Być może najlepszą bronią jest tutaj prawdziwa wiara i zdrowe poczucie humoru, to nic, że w pewnych momentach wisielczego.

Stefan Darda nie używa w swej powieści nie wiadomo jakich środków wyrazu, tylko po to, by nas przerazić. Posuwa się o krok dalej. Do książki wpisujemy ogólnie w stylistykę thrillera lub horroru przemycą wartości, jakich gdzie indziej nie uświadczysz. Jest więc miejsce na lirykę, humor, celne obserwacje życia przyrody. Do tej pory jeszcze nigdzie nie spotkałem się z tym, żeby ofiara ataków strzygi kazała się jej całować w tylną część swego ciała czy serwowała jej „wiązanki” słowne. A to bardzo wiele wnosi, obniża trochę napięcie, daje szansę na nabranie dystansu do toczącej się akcji. Nie tak jak u Mickiewicza, że tylko „dokoła trumny stałmy kołem”, uuuhhhuuu itd.

Dom na wyrębach jest też poniekąd powieścią wpisującą się w szerszy nurt rozważań o kryzysie wieku średniego. Tak się złożyło, że ostatnio miałem okazję zapoznać się z *Niech to nie będzie sen* Daniela Odiji i *Gestami* Ignacego Karpowicza. W obu tych książkach główni bohaterowie uciekają z

miejskich molochów, by szukać siebie samego w bardziej spokojnych i sprzyjających rozmyślaniom okolicznościach. Podobnie jak u Dardy, mają po około czterdzieści lat, zastanawiają się co dalej, wiele już stracili, nie chcą zaprzepaścić reszty.

Każdego z tych autorów znam osobiście i bardzo cenię ich dokonania literackie. Cieszę się jednak, że Stefan Darda obrał własną drogę, której zamierza się dalej konsekwentnie trzymać. Nie bał się przypięcia mu „łatki” epigona Stephena Kinga. Dla niego to komplement, nie obelga. Najtrudniej jest bowiem napisać książkę, która autentycznie „wciąga”, którą czytamy z „zapartym tchem”, „od deski do deski”. Najłatwiej jest czepiać się kogoś, że powielił stare schematy, sprzedaje się lub idzie na komercyjną łatwiznę. Stefanowi Dardzie udało się coś prawie nierealnego – napisał to, co szczerze chciał napisać, znalazł wydawcę, który dostrzegł w nim świetnie zapowiadającego się autora (postawił na nikomu nieznanego debiutanta), osiągnął sukces rynkowy (trzy tysiące nakładu, który rozszedł się w pierwszym miesiącu sprzedaży i trzeba było robić dodruk!), a przy tym pozostał nadal sobą (skromnym urzędnikiem z Przemysła, któremu też marzy się w przyszłości życie z dala od miasta).

Co równie tutaj istotne, obronił przy okazji wartość artystyczną swego debiutu. O książce nie zapomina się w dwie minuty po przeczytaniu ostatniej strony, tylko jeszcze długo myśli się o niej w różnych chwilach codziennej egzystencji. A to niełatwe, skoro tyle spraw potrafi nas absorbować swą natarczywością.

Autor mógł się starać „popelnić” powieść psychologiczną. Mógł problemy poruszane w *Domu na wyrębach* usiłować ubrać w formę, którą krytyka zaszufladkowałaby z czasem, jako: „powieść niosącą ważne treści filozoficzne pod przykrywką inklinacji metafizycznych, dezawuuującą zastany obraz realnego świata, za pośrednictwem indyferentnych środków stylistycznych i rozbudowanych synantropijnie dychotomicznych konwergencji słownych głównego bohatera, miotającego się

między szekspirowskim być a jungowskim mieć". Taaa, ale dzięki Bogu Stefan Darda nie dał się skusić na lep taniej popularności książki, z której nikt by nic nie zrozumiał, ale w publicznych dyskusjach na jej temat, wszyscy kiwaliby z głęboką zadumą głowami; jak ten znawca sztuki w tundrze przed zamrażającą kupą mastodonta, który myślał, że ma przed sobą artefakt jednego z zapomnianych plemion dalekiej północy.

W tym alternatywnym scenariuszu wydarzeń głównemu bohaterowi mogło się wszystko wydawać. Mogło mu się wydawać, że ktoś dybie na jego życie, mógł w końcu nawet nie wiedzieć czy jeszcze żyje czy nie. Żurawie kołujące nad Wyrębami mogły się zastanawiać czy są żurawiami (a nie np. sztukasami). Pohukujący puszczyk mógł się zastanawiać czy to rzeczywiście on pohukuje, a nie samo echo. Sąsiadowi Leśniewskiego mogło się ubzdurać, że ucieka sam przed sobą, a przyjacielowi Marka, że chyba mu się wydaje, że jego kumpel ma delirkę i jest lekko szurnięty.

Upiorowi mogło się wydawać, że kogoś stale nawiedza. Czytelnicy mogli się zastanawiać czy aby ktoś ich nie nabija w butelkę, wydawcy mogło się wydawać, że coś wydał, a autorowi - że coś napisał.

Ktoś kiedyś nakręciłby może na tej podstawie film. Kamera stałaby w jakimś ciemnym kącie, ukazując ciemność i czerń. Ręka operatora drżałaby niczym ciało wampira przebijanego osikowym kołkiem, a nad wszystkim rej wodziłaby muzyka rodem z garkuchni polowej drugiej dywizji piechoty. Nie można nie przypuszczać, że w ślad za tym pojawiłyby się „Złote Lwy”, „Brązowe Niedźwiedzie” i „Oscary”. A czytelnik i tak dalej zachodziłby w głowę - „ale panie, o co w tym wszystkim biega?”. A ja odpowiem: Lubyczanin popełnił powieść grozy i chwała mu za to! Społeczeństwo czeka na ciąg dalszy, zatem do pióra panie Stefanie, do pióra.

Stefan Darda, *Dom na wyrębach*, Videograf II, Katowice 2008.



MARCIN KOWAL

Kicz

Kiedy forma sięgnie kiczu
Świat zaleje złote światło
Z zawsze zachodzącego słońca
Drzewa szumieć będą wiosennie
Deszcz spadnie tylko gdy zapłaczę
I nagle stanę się centrum wszechświata
Ode mnie zależeć będzie Noc i Dzień
A w całej swej wielkości
Nadal będę marny
Pomimo tego będę idealny
Dla każdego dobry
Dla wrogów okrutny
Z zadziornym uśmiechem
Co dzień ratować będę świat
Który z każdym kolejnym dniem
Staje się kwintesencją kiczu

DARIUSZ MAGIER

CELTYCKI ANTEK

Książeczkę połknąłem w jedną niedzielę. A niedziela to dobry dzień do lektury opowiadań Pádraiga Pearse'a - irlandzkiego działacza narodowego, członka Ligi Gaelickiej i Bractwa Republikańskiego, rozstrzelanego przez Anglików za udział w powstaniu wielkanocnym w maju 1916 roku. Nostalgiczne opowieści z morałem z życia wiejskich dzieci z początku XX wieku przypominają nieco utwory polskich klasyków: Marii Konopnickiej czy Bolesława Prusa. Jednakże w utworach Irlandczyka jest ów celtycki duch, który znacznie wykracza poza polskie pozytywistyczne moralizatorstwo uzyskiwane kosztem epatowania czytelnika przynębiającymi obrazami wiejskiej biedy, ciemnoty i zabobonu. Chociaż bieda na wsi pod zaborem angielskim nie była mniejsza niż pod rosyjskim, cel Pearse'a jest inny. Oto ze zwyczajnych opowiadań, jakich wiele przekazywało się z ust do ust na ówczesnej prowincji, tworzy istne przypowieści, które ukazują nie tylko prawdziwe życie chłopów, ale dodatkowo widzimy je przez pryzmat magicznego i nostalgicznego światła. Zanurzone w przysłowiowej irlandzkiej katolicyzacji, niosą ów pierwiastek transcendencji, który sprawia, że życie ich bohaterów, zgodne z rytmem natury, zdaje się być w swej prostocie i mądrości nie lada pociągające. Nie dlatego, by przekazywały coś nieznanego, nowego. Przeciwnie, przekaz jest w chrześcijańskim świecie jak najbardziej klasyczny: przekonanie, że na naprawienie krzywd i nawrócenie nigdy nie jest za późno (*Jezusek*), że szczęśliwe i zgodne z powołaniem życie zależy od prawidłowej formacji rodzinnej i ukierunkowania w okresie dzieciństwa (*Książdz*), że w życiu jest coś ważniejszego niż materia i mamona (*Eoghainin od Ptaków*), że najbiedniejszy rodzinny dom jest lepszy od bezdomności i tułaczki (*Drogi*), że można zwyciężyć pozornie

tracąc wszystko to, co najcenniejsze - życie (*Br'd Pieśniarka*), a prawda rzeczywiście wyzwala (*Złodziej*).

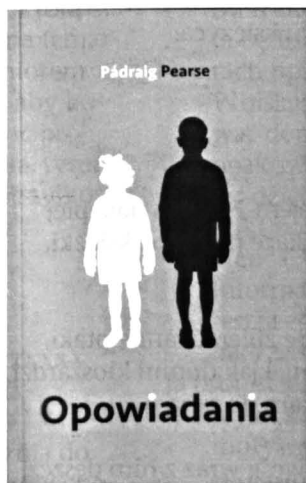
Wszegobecny nastrój celtyckiej mitologii sprawia, że prosta narracja Pádraiga Pearse'a w ogóle nie razi, przeciwnie staje się najlepszym językiem do przekazania tych oczywistych prawd człowieczego losu. W ten sposób konkretne miejsce na ziemi i konkretne problemy stają się przypowieściami, które można odczytywać w każdym miejscu pod słońcem, gdziekolwiek dotarła cywilizacja łacińska. Nawet koszmarny angielskiej niewoli, notabene wyartykułowany wprost w jednym tylko opowiadaniu (*Zalobnica*), jest tu tylko pretekstem do przekazania głębszych treści.

Czytając opowiadania Pearse'a wielokrotnie natkniemy się na archetypy idei tkwiących w podszewce naszej cywilizacji i ogrzewanych dziś wielokrotnie pod płaszczykiem nowości, jak chociażby motyw uczuć drzemających w martwych przedmiotach towarzyszących człowiekowi, nabywanych

przezeń dzięki wieloletniemu obdarzaniu ich miłością przez człowieka, jak chociażby w *Pinokiu* Carla Collodiego czy kreskówkowym *Toy Story*. Tyle że w *Bairbre*, opowiadaniu sygnatariusza irlandzkiej Deklaracji Niepodległości, podane jest to w pełnym tajemniczości i niepokoju, kryjącym się gdzieś poza kregiem światła rzucanego przez płomień na palenisku, nastroju celtyckiej gawędy wędrownego pieśniarza.

Opowiadania Pádraiga Pearse'a, które swoją premierę miały w latach 1905-1909, ukazują się w Polsce po raz pierwszy. Ciekawa to lektura, nie tylko - jak sugeruje tłumaczka - dla studentów filologii angielskiej.

Padraig Pearse, *Opowiadania*, tłum. Anna Paluch, Norbertinum, Lublin 2008, ss. 127.





JOANNA MAŁEK

Sukienka na zamek

Rumianek parzę w pół minuty od słońca,
oknem na oścież wyciera się wiosna

i zmierzchem ocieka polna droga. Pod wieczór,
oblana cichym skradaniem, usta zapinam

na haczyk jak letnią sukienkę na zamek.
Nasiąkam pragnieniem. W lesie jest pusto

o tej porze nocy, szare ćmy szukają mostów,
świeży strumień zmroku zalewa oczy,

a niebo, jakby atrament rozlało nad listem
do elektryka, o więcej blasku księżyca.

Kloszardzi

Zalewam się ciepłym spokojem. Na stres najlepiej
kruszyć dziurawiec. Melisa każe pakować książki,
a głóg przyćmiewa węch.

Od dzisiaj równo pijana będę zbierać ranne ptaki,
poić je i zjadać ze skrzydłami. I jak dumni kloszardzi,
na mokrym asfalcie poczekam do rana.

Stalowe niebo spada na głowę, a wraz z nim deszcz.
Brudny i ponury. Noszę w sobie ogromną depresję.
Doliny pełne tramwajów, w nich notorycznie piszę wiersze.

Dzisiaj ostatni dzień popołudnia i znów pada.
Pytasz *dłaczego my?*
Bo nikt nie zniósłby tego lepiej od nas.

Rozmowa z fotografem

Modelki nie śpią. One pluja kwasem
na swoje młodsze siostry. Nie rozbierają się
przy Mozarcie. Te nuty spowalniają tempo migawki,
która ma przecież trawić we wrzeniu,
okładać lodem męskie spojrzenia i koić wargą.

Górną od zewnątrz, a dolną, gdy rozpacz wylewa się
z butelki whisky. Studio ospale się pręży.
Ile ich miałeś? - *Wszystkie.*

JURATA BOGNA SERAFIŃSKA

RECENZJA NIEOPUBLIKOWANA

Kilka lat temu pewne wydawnictwo przysłało mi książeczkę do zrecenzowania. Dzieło to było tak strasznym kiczem, że nie wiedziałam początkowo co z tym fantem zrobić. W końcu postanowiłam napisać prawdę. Napisałam i wysłałam. Oczywiście mój tekst nigdy się nie ukazał. Wydawcy chodziło bowiem nie o rzetelną recenzję, ale o tzw. „dobrą recenzję”. Dobrą - to znaczy wykazującą, że książka jest cacy. I na pewno znalazł się ktoś, kto taką recenzję napisał.

Znalazłam przypadkiem, właśnie dzisiaj, w swoim archiwum tekst - recenzję, którą napisałam ponad dwa lata temu na temat tomiku będącego kiczowatym gniotem. Ale ponieważ nie chodzi mi o to, aby komuś dokuczyć, a tylko przedstawić problem - zaiksuje wszystkie nazwiska, tytuły i nazwę wydawnictwa. Pozostanie tylko opis problemu pod tytułem „Kicz”.

Kicz

Wolałabym nie pisać recenzji z „XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX XXXXXXXX XXXXXXX-XXXXXX”.

Fakt iż pisze się dla dzieci nie upoważnia do stosowania taryfy ulgowej. Utwory wchodzące w skład książeczki pod tytułem „XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX” są według mnie bardzo niedopracowane - wolałabym nazywać je po prostu rymowankami.

Jeśli pisze się wiersze tradycyjne to powinny mieć one elegancki rym i rytm. W „XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX” rytm jest często zakłócony, a rymy bywają najczęściej tzw. częstochowskie - na przykład czasownikowe.

Przykłady: *zapuka - szukać, dociera - otwiera, szczekać - uciekać, wierzy - szczerzył, złapie - chrapie, znosi - poprosi, opowiadać - pogadać, gnają - spadają*

Jest też wiele przykładów tego samego rymu powielanego wielokrotnie nawet w tej samej rymowance - n.p. *pieski - zamieszki*.

Autor zastosował również rymy znane nam od niepamiętnych czasów na przykład z Elementarza - *„płynie rzeka - pełna mleka”, kotem - plotem*.

Takie gnioty-zbitki można napisać, jeśli się chce, w godzinę. Tylko po co? Oczywiście po to aby wydać książkę, skoro jest chętny wydawca. Interesująca wydaje się jednak motywacja wydawcy. A może chodzi tu po prostu tylko i wyłącznie o kasę za **krypto-reklamę?**

W wierszu „XXXXXXXXXXXXXXXX” jest informacja, że nasz dzielny kot ma w torbie **WHISKAS**. To jedyny (poza tytułami) wyraz w całej książeczce napisany samymi dużymi literami. Taka reklama, przemyciona w utworach dla dzieci, powinna być chyba zabroniona. Ciekawi mnie czy książeczka ta będzie dokładana gratis w supermarketach np. przy zakupie więcej niż kilograma Whiskas-u. A może będzie się ją otrzymywać dopiero przy zakupie trzech dużych opakowań?

A więc dzieci zostały poinstruowane jaki produkt powinny kupować dla swego ulubieńca. Widocznie ktoś uznał, że jest to informacja warta wydania książeczki. Cała reszta została podporządkowana celowi nadrzędnemu.

Ja osobiście nie kupię tego „dzieła”. Od „Wierszyka XXXXXXXXXXXX” z XXXXXXXXXXXX lokomotywą wolałabym czytać dzieciom „Lokomotywę „Tuwima, a zamiast rymowanki „Z XXXXXXXX w XXXXXXXXXXXX” - wspaśniały wiersz Konopnickiej „Na jagody”. Mamy tak wiele pięknych wierszy dla dzieci czy musimy więc karmić je produktami posledniego rodzaju?

Podsumowując - nie wiem dlaczego wierszyki, nie wiem dlaczego XXXXXX. Ja dałabym tytuł „Rymowanki pospolite”. Te rymowanki są rzeczywiście „pocieszne czyli po prostu śmieszne - w tym jednym przypadku zgadzam się z opinią w notce na okładce. Tylko czy chodzi o to aby u naszych dzieci wyrabiać zły gust, nawet jeśli te zbitki słowne będą je śmieszyć.

Więc jeśli potrzebna jest laurka - to niech ją napisze ktoś inny. Ja nie napiszę o gniotach jako o arcydziełach

(XXXXXXXXXXXXXXXX „XXXXXXXXXXXXXXXX”, 36 s., wydanie I 2006, XXXXXXXX Wydawniczy XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX 2006/7)





KAROL GRACZYK

Życie po porodzie nie istnieje

Patrząc z odpowiedniej perspektywy jesteśmy bezdomni od zawsze. Jelita bloków plują nami na świeże i mokre powietrze, jakby codziennie trzeba było iść krawędzią kranu,

kropla w kroplę, zawsze z jakąś misją. Bezdomni też mają kupę spraw na głowie: chroniczny brak wódki, dzieci pozostające przy matkach i wiara, której nie uratują nawet gruzy

kościółów. Życie po porodzie nie istnieje. Może jej piękna twarz wylaniająca się przy kumplu rzygającym wczorajszym samogonem. Są miejsca, z których nie sposób się stoczyć. Zaraz

wracam, albo nie ruszę się nigdzie. Póki co jesteśmy tu, a tam pójdziesz w dół, tam pójdziesz w dół.

Henri Landru wychodzi na łowy

Henri Landru wstaje z łóżka, pali tytoń i wychodzi przed dom. Jest zimny grudzień, od mrozu wszystko zmienia się w szkło. Z portfela spoglądają zdobyci nocą przywódcy Trzeciej Republiki.

Henri Landru wraca do domu, zamyka drzwi, rozpala w piecu. Siada na fotel i czyta gazetę. Każda garść popiołu jest mu bliższa od poprzednich kobiet. Typowy artysta krwi.

Wczoraj: Henri Landru wyszedł na łowy. Pani Collomb była nieostrożna jak kilka przed nią i jeszcze kilka po niej. Do wieczora było ciepło, później sytuację rozpalili Landru.

Dziś: Henri Landru czyta gazetę i pali tytoń. Resztki Pani Collomb uchodzi przez piec.

ANNA NOGAJ

ROZWAŻANIA O (NIE) WIERZE

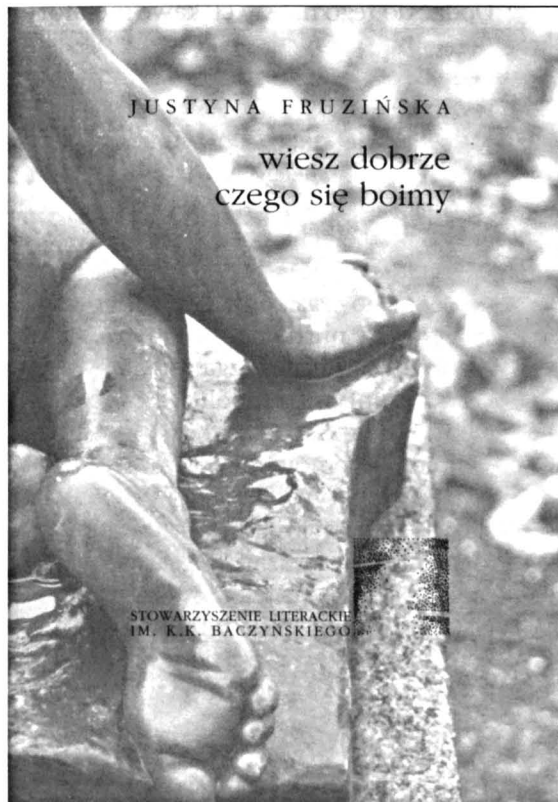
Tom poetycki *Wiesz dobrze czego się boimy* Justyny Fruzińskiej tkany jest z materii słownej niezwykle delikatnej. Subtelność słowa nie odbiera jednak żadnemu z tekstów dramaturgii, i już na początku należy zaznaczyć, iż jest to lektura wymagająca skupienia i dłuższych przemyśleń.

Tytułowe *wiesz dobrze czego się boimy* antycypuje profil osoby adresata, do którego podmiot liryczny zwraca się w liczbie mnogiej, wpisując siebie w określoną zbiorowość ludzi związanych podobnymi słabościami, lękami etc. Początkowa myśl, iż chodzi o Boga weryfikuje się w kolejnych lirykach, gdzie bohaterka Fruzińskiej będzie zmagająca się z własną wiarą, pytaniami stawianymi sobie i Stwórcy, z cierpieniem i samotnością. Jest to dramatyczna spowiedź, intymne wołanie za Jezusem i różne próby konfrontacji najgłębszego „ja” z Tym, od którego dawno się odeszło. Ale czy naprawdę?

„Czasem tęsknię, za frasobliwym
Kawałkiem drzewa
Które było moje
Ciepłe dobre znane” (***)

Wahanie podmiotu odzwierciedla się w ciągłym balansowaniu na granicy dobra i zła, strachu i pragnieniu pokoju, i w końcu wierze i niewierze. Te wewnętrzne zmagania człowieka wyrażające się w bolesnej eksploracji przeszłości i dotykaniu tego co święte, transcendentne tylko przez zimną szybę niosą ogromny ból szarpający dusze bohaterki. Jest to ból nie do wytrzymania, bo pozostawia swoją ofiarę w sytuacjach krańcowych, czyni spustoszenia na sercu, a ran nic nie zabliźnia. Przeciwnie. Są one wciąż rozdrapywane i podmiot świadomości zanurza się w nie, aby jeszcze raz popatrzyć, choć to podpatrywanie nie daje ukojenia.

„Eli Eli lama azawtani
Nie mogłeś ugodzić celniej



Wiesz dobrze czego się boimy
My ateści" (*Psalm. Dawidowy*)

Oprócz tęsknoty wynikającej z tego wchodzenia na grząskie tereny własnego „ja” jeszcze nie ukształtowanego w pełni do przyjęcia nowej roli „ja” niewierzącego, ateisty, pojawia się droczenie z Bogiem, wręcz drwienie sobie z Jego zabiegów i starań o nawrócenie zagubionej owieczki. Strach uciekającej jest tym większy, gdyż wynika ze świadomości swojego zagubienia i słabości, oraz z faktu bliskiej obecności Boga. Co więcej, podmiot wie, że grzeszy, czuje się winny, że nie potrafi na nowo zawierzyć, choć miejsce pozostałe po Tym, który dał sens i prowadził ziele rozpaczą i pustką.

Do połowy jest to lektura niezwykle frapująca i nie nużąca, co ważne. Z przyjemnością smakuje się kolejne wiersze, dzieli na części i analizuje. Wyczuwalne jest nieustanne pulsowanie emocji i wzrastające napięcie,

co autorce udaje się osiągnąć m.in. dzięki umiejętnemu budowaniu nastroju poprzez krótkie zwięzłe słowne komunikaty, ale semantycznie bogate, celnie spointowane. Dodać do tego należy ciekawe metafory - nie jest ich dużo, ale efektownie skonstruowane wpływają na estetyczną trafność wypowiedzi.

Szkoda, że w wierszach słabszych brakuje już tego nerwu drżącego w każdym wersie, szarpiącego za serce. Autorka jakby odchodzi od przyjętej na początku struktury poetyckiej wypowiedzi, przez co zwarty do pewnego czasu obraz powoli rozpada się i główny nurt lirycznej opowieści rozplywa w liczne rozgałęzienia. Mocna w wyrazie i intymna modlitwa, można by rzec - odważne spoglądanie Bogu w oczy, słabnie. Niby mówi się o tym samym, ale z innej perspektywy. Kolejne wypowiedzi stają się dygresyjnymi wycieczkami od epicentrum rozważań; Bóg, jako adresat, nie pojawia się już tak często, na rzecz wspomniania o Nim w sposób pośredni. Podmiot draży swoje wnętrze, ale nie kieruje już monologów do Stwórcy, zdaje

się odsuwać na bok w zwątpieniu, użalać nad sobą i ogólną kondycją człowieka. Jednym słowem, ogień uczuć, emocji pulsujących na początku, stopniowo wypala się i po lekturze odczuwalny jest pewien niedosyt, że to nie tak miało być, że inaczej.

Ale, ale nie można narzekać, gdyż debiutancka książka Fruzińskiej jest ogólnie bardzo dobra. Autorka pokazała na co ją stać; zgrabnie porusza się w materii słowa, zaskakuje trafnością skojarzeń, budowaniem zwięzłych wypowiedzi będących prawdziwym wulkanem wzruszenia. Nie nadużywa metafor, unika dłużyzn i nie pozwala się nudzić. A te mielizny, na które zaprowadziła nas na końcu poetyckiej wędrówki, można jej śmiało wybaczyć, bo jestem pewna, że wartki strumień emocji towarzyszący nam od pierwszego wersu z czasem dotrze i tam.

Justyna Fruzińska, *Wiesz dobrze czego się boimy*,
Łódź 2008, s. 43.



MARIA KRYŃSKA-SZOSTAK

Lara i ja

W roku w którym Gagarin odebrał ostatnie kwiaty,
narodziłam się ja i Lara Croft,
fikcyjna postać z gry komputerowej.
W kraju trwały protesty,
próbowano fikcję odróżnić od prawdy.
Przez jakiś czas miałyśmy jasność,
świat był biało-czarny.
Wszechświat nam się przyśnił jak okrąg,
a w nim ład, porządek.
Lara odkryła wkrótce w tworzącej się historii
naturę hipertekstu,
(którą zmieniać można
zależnie od losowo wybranej esbe-teczki)
Matrix rozszerzać się zaczął,
powiększała fikcja.
Ja?
Wierzę tylko poetom,
gdyż świadczą nieustannie,
że zbliżają się tylko
do prawdy.*

MARIUSZ BOBER

ZDZISŁAW TADEUSZ ŁĄCZKOWSKI W PIÓRZE...

Zofii Korzeńskiej

Zofia Korzeńska pozycję o Łączkowskim zaczyna tak „Zdzisław Tadeusz Łączkowski to jeden z głównych przedstawicieli kręgu tzw. poetów kulturowych - obok Zbigniewa Herberta, Janusza St. Pasierba i kilku innych wielkiej miary pisarzy [...]”. Zauważa, że autor będąc poetą kulturowym, nie został w pełni doceniony, mimo wielkich osiągnięć ideowo-artystycznych i mimo, że krytycy bardzo wysoko ocenili tę twórczość. Jak czytamy w pracy Korzeńskiej, Łączkowskiego nazwano *poeta doctus*.

Termin ten pojawił się w późnych latach pięćdziesiątych. Poeta w swoich utworach ukazuje bogactwo kultury śródziemnomorskiej jak i dorobek kulturowy ludzkości. Pokazuje również wynaturzenia w naszej kulturze. Nade wszystko bierze w obronę człowieka pisząc, że to sam człowiek jest wartością. Ukazuje powstającą przepaść pomiędzy mieć czy być i wszelkie dylematy związane z wyborami dotyczącymi tych dwóch skrajnych postaw.

Wyborów, które w dzisiejszym świecie stają się coraz trudniejsze. Autor z całą pewnością ukazuje piękno kultury polskiej, również ludowej. Staje się strażnikiem czystości języka ojczystego, który w dobie technologii i Internetu degraduje się i upraszcza. Korzeńska porządkuje motywy i symbole jakimi posługuje się Łączkowski w kilka grup. I są to: motywy biblijne, wątki i motywy z literatury starożytnej Grecji i Rzymu (klasyki starożytnej), motywy nowożytnej kultury europejskiej, motywy kultury amerykańskiej, azjatyckiej, afrykańskiej oraz sprawy rangi ogólnoswiatowej (np. wolność, sprawiedliwość, pokój i bezpieczeństwo, ekologia naszej planety itp.). W wielu opracowaniach dotyczących twórczości Łączkowskiego bardzo wyraźnie zaznaczone są inspiracje wnoszone z Biblii, które stanowią kanwę dla wielu utworów. Pojawiają się zwroty „oczarowany Biblią”. Korzeńska

ZOFIA KORZEŃSKA

ZDZISŁAWA TADEUSZA ŁĄCZKOWSKIEGO OGRODY KULTURY



Starachowice - Kielce 2008

pisze o istnieniu w twórczości Autora poetyckich pomników, które dotyczą wielkich i powszechnie znanych w świecie ludzi, którzy zasłużyli się czymś niezwykłym dla europejskiej czy światowej kultury. Autorka podkreśla, że w jej szkicu trudno jest ukazać pełne bogactwo twórczości Łączkowskiego biorąc pod uwagę cały jego twórczy dorobek. Zauważa, że „aż dziwne, że tak wielki poeta jest w gruncie rzeczy nie w pełni w Polsce doceniony, a jego dorobek twórczy za słabo spopularyzowany. Na to się złożyły zapewne czynniki pozaliterackie, a przede wszystkim jego światopogląd i bezkompromisowa postawa, nie akceptowane w czasach, kiedy przyszło mu żyć i tworzyć”. I czytamy dalej: „Nie wszedł natomiast głównie z powodów ideowych - do programów szkolnych, a tym samym do powszechnej świadomości społecznej”.

Wydaje się, że szkic Zofii Korzeńskiej jest jednym z ciekawszych i dogłębnych opracowań po twórczości Łączkowskiego, wyróżniającym się, obok tak wielu kalek po jego życiorysie i twórczości.

Poznając jednak samego autora uznamy, że ciągle pozostaje nieodgadniony, a jego godna podziwu aktywność twórcza wymagałaby ciągłych aktualizacji szkiców pisanych o nim.

Elżbiety Cichli-Czarniawskiej

Obok pozycji Zofii Korzeńskiej *Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego ogrody kultury*, pojawia się drugi, osobisty wręcz szkic po twórczości Łączkowskiego w piórze Elżbiety Cichli-Czarniawskiej. Jak czytamy w słowie od autorki: „Urzekająca i zadziwiająca bogactwem, w zakresie zarówno problematyki, jak i środków wyrazu, poezja i proza Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego towarzyszy nam już od kilku dziesiątków lat i wciąż dostarcza powodów do głębokich przemyśleń i wielu wzruszeń, wciąż zaskakuje świeżością dokonań dawnych i najnowszych.”, „[...] należy mocno podkreślić, że wobec niej mają zobowiązania historycy i krytycy literatury.” Autorka również mówi o dużym dorobku twórczym jak również nieustającej aktywności godnej podziwu. Cichla-Czarniawska w swoim szkicu analizuje takie formy autora jak: liryki, poematy, powieści i opowieści, małe prozy artystyczne oraz mikrodamaty.

Pomija eseje, recenzje, publicystykę, artykuły krytycznoliterackie i dotyczące innych dziedzin. Autorka liczy, że dzięki jej szkicowi poszerzy się krąg zainteresowanych tą wybitną i - na szczęście - niełatwą do zaszkladkowania twórczością. Kiedy w roku 1957 pojawił się

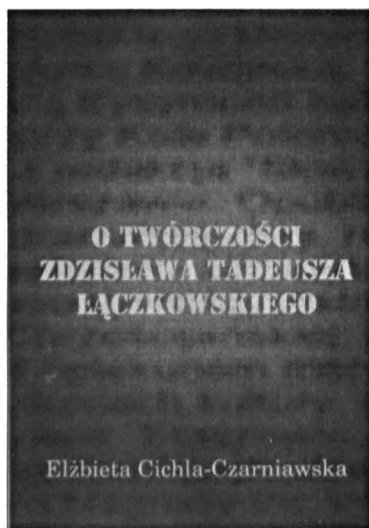
tom Zdzisława Łączkowskiego pt. *Słoneczniki gorejące*, bardziej wrażliwi odbiorcy poezji bardzo szybko zauważyli znaczące nazwisko. Pierwsze słowa Prologu brzmiały tak: „Oto spełniają się liryczne sny”, które nie są czczym przechwalaniem się debiutanta.

„Czemu istnieją pieśni
które nie uzdrawiają butwiejących drzew
czemu rodzą się słowa
które sieją rdzę i pleśń?
Oto nadszedł czas miłowania”.

Autorka podkreśla wrażliwość autora oraz posiadaną konsekwencję z jaką zajmuje się swoimi dziełami prowadząc je przez zmieniające się trendy i zawirowania koncepcji. Zaś Danuta Kostewicz pisze tak: „Łączkowski nie ulega modom. Żaden z panujących współcześnie guru nie skusił go na swe manowce, nie skusił do stworzenia pretekstu, który zakłamywałby rzeczywistość, który oddaliłby go od ideału rzeczywistego piękna, od ideału prawdy”. Z pracy Cichli-Czarniawskiej dowiadujemy się również o początkach twórczej drogi Łączkowskiego. O tym, że twórczy start był udany a pisali o nim wnikliwi interpretatorzy tacy jak: Alina Świdarska, Wojciech Natanson, Zbigniew Irzyk, Julian Rogoziński, Tadeusz Kłak. Było jasne, że niemal z „marszu” Łączkowski trafia do plejady znakomitych nazwisk, jako autor odrębny, wyraźny i rozpoznawalny. Z pozycją *O twórczości Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego* Elżbiety Cichli-Czarniawskiej należy zapoznać się koniecznie. Jest to pozycja, która z pracą Zofii Korzeńskiej znakomicie się uzupełniają. Tym sposobem, powstały dwa solidne opracowania po twórczości Zdzisława T. Łączkowskiego.

Zofia Korzeńska, *Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego Ogrody Kultury*, Oficyna Wydawnicza „Radostowa”, Starachowice - Kielce 2008.

Elżbieta Cichla-Czarniawska, *O twórczości Zdzisława T. Łączkowskiego*, Norbertinum, Lublin 2008.





PAWEŁ CZYŻEWSKI

Wielebny niebyt

Co sen, co jawa sam już nie wiem
 Wstrzymując przed nazwaniem rozum
 Co świat, co Bóg, i kto tam jeszcze...
 Wszystko mnie męczy leżę znowu

Co chwycić, a nad czym przejść dalej?
 Czego mam słuchać, kochać żeby?
 Gdy źródeł brak wczorajszej chwały
 Sam wciska się wielebny niebyt

Proszę cię jeszcze jedna próba!
 Niezgadzająca z prądem mina...
 Taka, co mężnie wstaje z łóżka
 Co złe układy ostro zrywa!

*

Bo zawsze, gdy za dużo gadam
 Zamiast otwarcie, walcząc skrycie
 To w końcu tracę zmysł gdzie prawda
 W wielebnym budząc się niebycie

Niedziela - zdejmowanie blokad

Więc spacer. Najlepiej daleko
 Od Krzyny po PeKaP, i z powrotem
 Przyjrzeć się dobrze znanym miejscom
 Wędrowki dusz nieodgadnione...

Zluzować zacisk, sobą pobyc
 Powzruszać się, podenerwować
 Popatrzeć przechodniowi w oczy
 Nie szukać w nim jedynie wroga

A kiedy wreszcie się odnajdę
 Narzucić życiu swe warunki
 Miłości dawać hojne garście
 I grzechem swym się umieć smucić

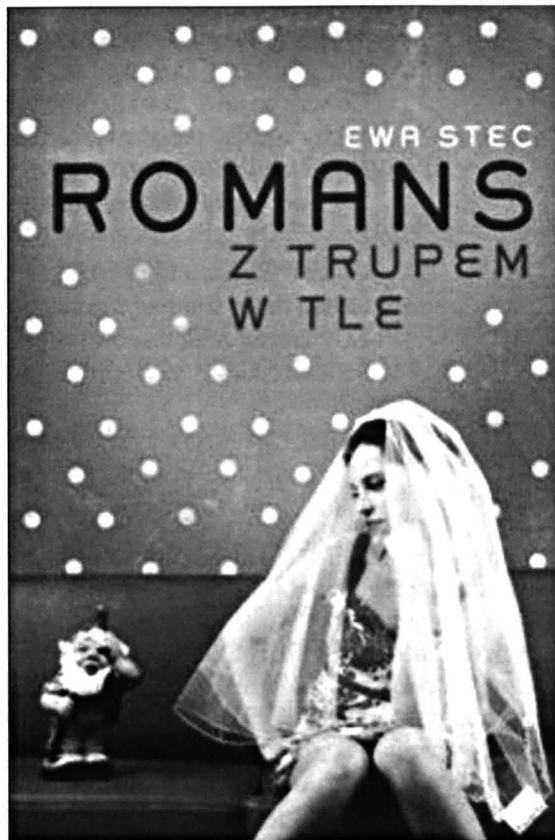
*

Dzięki, że stoisz, na mnie czekasz
 Po całotygodniowych bojach
 Biało, spokojna i niedzielna...
 Moja!

BEATA PATRYCJA KLARY

CZYTADŁO NIE MUSI PACHNIEĆ KICZEM

Kategoria czytała w pierwszym odruchu budzi negatywne skojarzenia. Czytało to bowiem powieść tak łatwa w czytaniu, że aż pozbawiona wszelkich głębszych treści. To jednak tylko pozory, gdyż czytało może również stanowić prozę dobrą. Co to jednak znaczy dobra proza a to przede wszystkim, że napisana jest zróżnicowanym językiem, w pomysłowy sposób, z inteligencją i perfekcyjnym wykonaniem. Czytało więc nie musi być określeniem pejoratywnym, nie musi pachnieć kiczem. Kicz w literaturze to tekst łatwy, banalny, z bohaterami pięknymi, bajkowymi. W takiej książce wszystko tchnie tandetą, stwarza pozory szczęścia i rzekomego ukojenia. Ale przecież czytała z założenia książki z happy endem, książki mające bawić i dawać wytchnienie, mogą się gdzieś o kicz otrzeć. Nie zawsze. Takim przykładem jest najnowsze książka (debiutancka) Ewy Stec *Romans z trupem w tle*. Ta powieść przeczytana przeze mnie w egzemplarzu recenzyjnym (nim ukazała się na rynku księgarskim), sprawiła mi dużo przyjemności. Jest to czytało. Jak najbardziej, ale czytało dobre. Książka masowa, popularna, nie wykluczająca jednak waloru wysokoartystycznego. *Romans z trupem w tle* nawiązuje do świetnej twórczości Joanny Chmielewskiej. Sam tytuł to już odwołanie do *Trudnego trupa* czy do *Romansu wszechczasów*. A dalej w odwołaniach jest tylko lepiej. Główny bohater to Jerzy Bond ach któż Bondę nie zna; główna bohaterka Agnieszka Rusalka nie inaczej jak romantyczka z natury. Trup jest, a jakże, ale trup nieoczekiwany. Akcja zawiła, wciągająca, oparta na realiach polskiego miasta. Zapis komunikatywny z ogromnym poczuciem humoru. Tutaj Ewa Stec dorównuje Chmielewskiej budując kryminał w sposób groteskowy z elementami ironii, która czytelnika najnormalniej w świecie bawi. Właściwie wątki kryminalny i miłosny, schodzą na plan drugi. Nie



ma w książce kiczowatego „makatkowego” piękna, nie ma nostalgii, ckliwości, przesłodzenia, za to jest rzeczowość, są bohaterowie z krwi i kości, jest tęsknota za miłością, ale nie ma ozdobnego erotyzmu, który trąci kiczem. Książka wciąga, intryguje, bawi błyskotliwymi wypowiedziami i uroczymi wręcz zbiegami okoliczności. Ewa Stec pisze już drugą książkę. Czekam na nią z nieukrywaną ciekawością, polecając *Romans z trupem w tle* bez powiewu kiczem.

Ewa Stec, *Romans z trupem w tle*, Kraków 2009





KRZYSZTOF KUZKO

Chwila

chwila
to
tylko zew serca
krzyk duszy
bezkresny ból
czas bez zegara
wspomnienie wieku
czekanie na ...
chwilę

po pięćdziesiątce

po pięćdziesiątce
uleciały sztafety pięćdziesiątek
za zdrowie godniej pijemy
już ranek bez sushi

po pięćdziesiątce
wzrok niesokoli
słuch amuzyczny
refleks szachisty

po pięćdziesiątce
dzieciństwo bliższe pamięci
podstawówka miłsza
nauczyciele lepsi

po pięćdziesiątce
marzenia minimalne
kochanie pełniejsze
arytmią serca

po pięćdziesiątce
pozostali prawdziwi przyjaciele
a przyszłość
bliższa Panu

Rudno

Jan Chrzyciel
pielegnuje tradycję
cmentarnej kapliczki
podlaskie piaski
prześląkły bohaterską krwią Unitów
kanonik Puszkiewicz
współcześnie patronuje parafii
tylko słowiki niezmiennie
kwilą radością nad pobliskimi polami
Rudno trwa
lubię ciszę łąk nad Żarnicą

XXX

żeby w tym życiu
nabrać wprawy
pozwól tylko
sercu bić
rytmem pozytywu

ZDZISŁAW TADEUSZ JACZKOWSKI

SŁOWO JEST ŚWIĘTOŚCIĄ

Kolejny tomik wierszy Józefa Zenona Budzińskiego *Przekroilem niebo krążkiem księżycy* na dobre już zapisuje się w życiu literackim naszej współczesności. Są to wiersze odważne, gdyż bronią szlachetności słowa, a dzisiaj to przecież odwaga; odwaga, gdyż to co czynią niektórzy młodzi i nie tylko młodzi twórcy napawa wręcz o przerażenie.

Na początku było słowo i słowo stało się ciałem. Te ważne święte słowa wymagają od pisarza szacunku, ale i ogromnej odpowiedzialności. Bo słowo - to jeszcze niedawno znaczyło człowiek. Deptanie, pogarda, degeneracja słowa, jest deptaniem, pogardą i degeneracją człowieka. Czas obecny przekreśla wiele wartości.

Jakże często bywa przeciwko światu, człowiekowi. Porażające jest, iż człowiek dzisiaj jest przeciwko drugiemu człowiekowi. Nawet w rodzinach więzy krwi już nic nie znaczą. Górują zawiść, nienawiść, a miłość rodzinna znajduje się w kącie. Obowiązkiem artysty jest ocalać świat, człowieka, ocalać także poprzez słowo i słowem. Słowo - to piękno, więc buduje. Brud - to zło, więc niszczy.

I młody jeszcze, bo poeci są zawsze młodzi - Józef Zenon Budziński, z zawodu kolejarz, z powołania poeta - pragnie ocalać słowo, a słowem istotę, każdą, ludzką zwierzęcą i to co daje i przynosi nam natura w darze.

Piękny to gest poety:

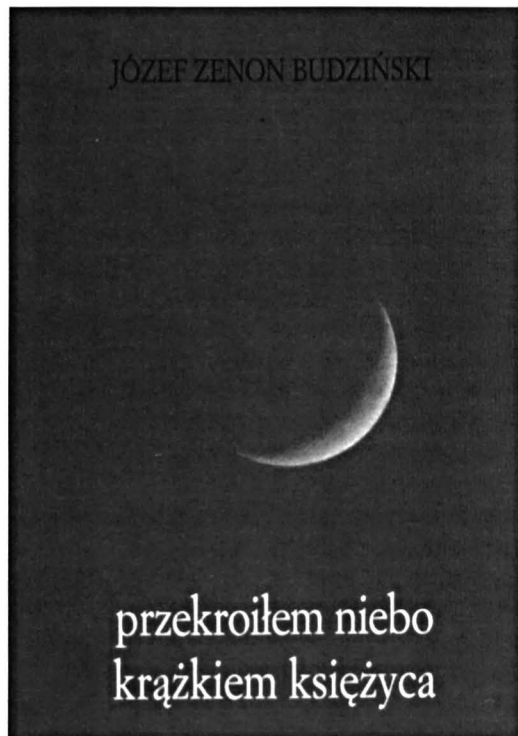
*Żyć nie można
zapisując na brudno
dzień po dniu*

A dalej:

*Uwity wiersz
jak gniazdo*

Ileż w tych wersach nadziei, piękna, wiary w to co przyjdzie!

Budziński to jeden z tych błogosławionych, którzy mówią o ekologii natury i człowieka, o ekologii duszy człowieka, o której tak często wspomina wielki poeta ks. Jan Twardowski. Ratować i ocalać wszystko co nam służy, pozostawiać ślad, ślady, gdyż one są poza przemijaniem.



*Cisza w mojej
głowie
Choć słyszę
słowa ...*

To wielkie wyznanie Poety nie mówi tak jak często wyznawał Tadeusz Różewicz, iż poezja jest milczeniem, bo nie jest (chyba tylko w sensie metaforycznym) ale mówi, że ta sztuka, to szczególny rodzaj kontemplacji i twórczego zamyślenia nad sensem trwania.

To ogrom tajemnicy, której każdy artysta dotyka, ale czy jest w stanie dotknąć?

Elżbieta Cichła-Czarniawska, pisze m.in. o wierszach Budzińskiego: „Napięcie dramatyczne pojawia się w wierszach Budzińskiego jakby mimochodem, w pozornie beznamiętnej, a przecież aż palącej wypowiedzi”.

To cenne zdanie poetki Elżbiety Cichli-Czarniawskiej. Cenne, gdyż odkrywa u Poety Józefa ukryty dramat jego wierszy.

Zaś poeta - kapłan Eligiusz Dymowski uczula nas - i słusznie (to ważne w dzisiejszych czasach), że Budzińskiego „wielkim atutem jest wręcz ascetyczne dobieranie słów...”.

Tak, to też cenne spostrzeżenie. Budziński zbyt wielką wagę i honor przywiązuje do słowa, aby poprzez dłużyzny i nijakość, a także paplaninę - kaleczyć jego wręcz boski wymiar.

Od siebie chciałbym dodać, że poezja Józefa Zenona Budzińskiego jest dyskretna, wręcz lapidarna i w najwyższym stopniu liryczna, może nawet w jakiejś mierze zawierająca pierwiastki intuicji kobiecej, ale przecież to cechuje poetów z prawdziwego zdarzenia.

Ładna jest sfera przeżycia religijnego Poety, o czym też wspomina Elżbieta Cichła-Czarnecka. Jest to przeżycie, które odbywa się we wnętrzu Poety nigdy na zewnątrz; jest to zawsze jego osobista sprawa.

*Kartka
papieru to
Kosmos
może oddech
może kropla
wody*

*może po prostu
słowo
proch.*

Zastanawiam się, czy w ten sposób Poeta może się modlić? Myślę, że tak!

Czy w czasach ogólnego chaosu, nade wszystko młodej polskiej liryki, Józef Zenon Budziński nie jest prekursorem tego co w poezji nadejść powinno, a mianowicie czystości, nieskazitelności języka? Chyba jednak tak. Dziękuję więc poecie za wzruszenie, którego doznałem przy lekturze *Przekroilem niebo krążkiem księżycy*, gdyż to „przekrojenie nieba” przypomniało mi, jak moja babcia krzyżem żegnała bochen chleba, a potem kroila go kromka po kromce. Świętość! I tylko świętość! Czy więcej mówić trzeba?

Józef Zenon Budziński, *Przekroilem niebo krążkiem księżycy*, Łośgraf, Warszawa 2008, ss. 91.



ARTUR ZIOŃTEK

**Wczesnowiosenny niedługi poemat
o pięknie i niecierpliwym czekaniu letnich upałów,
choć wiele niosą one zagrożeń, jak choćby udar**

O jejciu, jejciu
jak tu ładnie
oraz pięknie
a także wspaniale

tak tu ślicznie coś śpiewa
coś innego pachnie wybornie
no i widok przejmujący

ludzie młodzi piją
starzy spacerują
poeci piszą

i wszędzie takie ekstra sznurki
na dziewczęcych tyłkach
i tak świetnie spodnie
się w te tyłki pyszne
wrzynają

a ptak pogwizduje radośnie
że szok

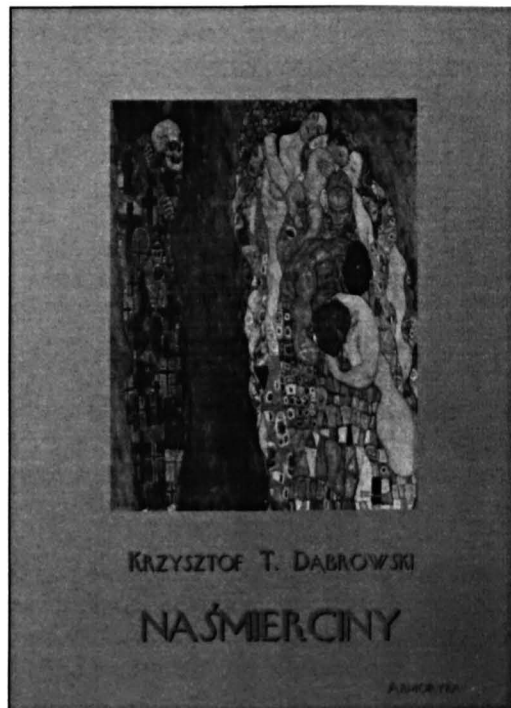
a szok to udar

MARIUSZ BOBER

NAŚMIERCINY KRZYSZTOFA T. DĄBROWSKIEGO

Kolejny raz zderzam się z Krzysztofem T.

Dąbrowskim śledząc rozwój jego twórczej kariery. Jak mi się wydaje, w sposób skuteczny, sposób bardziej skuteczny niż jest to w przypadku innych autorów. Krzysztof potrafi zadbać oto, by twórczych projektów nie odkładać do szuflady. By skłonić się do zagłębienia w jego książki. Przeszukując Internet napotykam m.in. na takie wypowiedzi nt *Naśmiercin*: „Zbiór oryginalnych opowiadań polskiego współczesnego pisarza. *Naśmierciny* to znakomicie napisany zbiór opowieści niesamowitych, zachowujących klimat twórczości zarówno Stanisława Lema jak i Sławomira Mrożka. Oryginalnym pomysłem towarzyszy mistrzostwo pióra”. Już pobieżna lektura pokazuje sprawność warsztatową, jak również to, że teksty pisane są równo, choć każdy z nich to inny temat. Sam tytuł jest oryginalny, koduje się w jednej z wielu szarych komórek. Zwykle próba dokonania recenzji wielu książek, jakie spoczywają na biurku redaktora musi znaleźć punkt zaczepienia. O ile dla autora jego książka to własne najukochańsze dziecko, to recenzent obłożony stertą książek musi znaleźć coś, co spowoduje, że podąży dalej za autorem. 14 kwietnia podążyłem dalej dzięki tylko jednemu zdaniu z opowiadania *Non Omnis Moriar*: „Wszystko, co w życiu wywalczył, zawdzięczał temu, że nigdy się poddawał, nawet z beznadziejnych sytuacji”. Bo czego potrzebuje czytelnik? Odnaleźć siebie w książce autora? Odnaleźć zdania, które wskażą mu drogę? Jeśli tak się stanie, autor staje się tego dnia mędrce dla zagubionego. Tego dnia, zagubionym był recenzent, mędrce autor. A pozostała treść książki? Proszę, oto fragment: „Pamiętam wielką oslepiającą światłość, uczucie bezgranicznego szczęścia i przepelnienia wszechogarniającą miłością. Zostałem wyrwany z tego stanu. Wessany do ciemnego tunelu. Pochwyciły mnie dwie świetliste istoty. Cudowne światło coraz bardziej się oddalało, aż znikło zupełnie... raj



utracony. Nie czułem żadnego lęku, wszystko było rozkosznie obojętne. Gdy zlecieliśmy na ziemię istoty puściły mnie. Znalazłem się obok swego ciała. Stałem spokojnie i patrzyłem. Z początku było mi ono zupełnie obojętne - jakbym oglądał jakiś nudny eksponat w muzeum, lecz coś zmusiło mnie, bym wniknął w powłokę cielesną, a wtedy stosunek do niej diametralnie się zmienił. Ożyłem. Leżałem teraz na chodniku, czując silny ucisk w piersi. Zaczęły powoli powracać zmysły, przez kilka chwil mocno otumanione...”.

Jeśli nie jesteś ani recenzentem ani redaktorem zawalonym stertą książek, możesz sięgnąć po *Naśmierciny*. A ja w tych dniach naśmiercałem się próbując uniknąć rozległego zawału serca doświadczając patologii upolitycznionych decyzji związanych z lokalną prasą. I cóż pomyślałem, po następnych *Naśmiercinach* może będzie żyło nam się lepiej.

Krzysztof T. Dąbrowski, *Naśmierciny*, Wydawnictwo Armoryka, Sandomierz 2008, ss. 90.



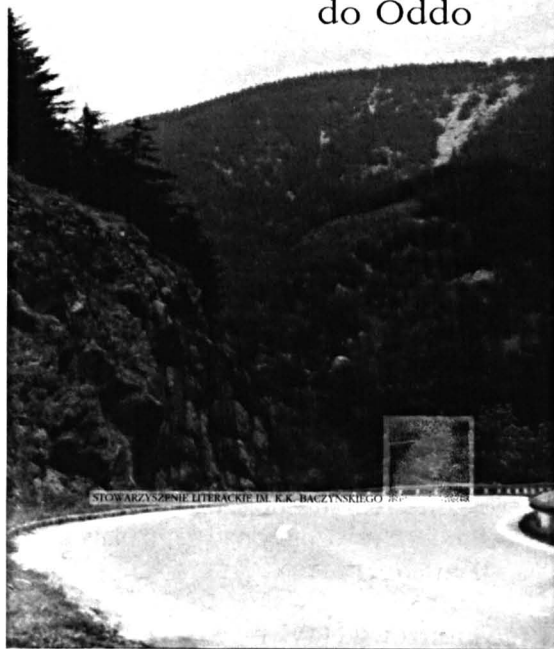
ANNA NOGAJ

TROPIĄC TAJEMNICE ISTNIENIA

Miło się czyta i nie chce się kończyć - tą konstatacją zaczę omówienie nowego tomu wierszy Korwin-Piotrowskiej. Dzieje się tak dlatego, iż autorka sprawnie włada piórem i pewna jest swojego warsztatu, co procentuje pisaniem dobrym, a może nawet wybornym. Wiadomo *de gustibus non est disputandum*, jednak ta dawna maksyma odnosić się może tylko do treści poruszanej w *Podróży do Oddo*, bo formie nic zarzucić nie można. Wyważone wersy, dbałość o szczegóły, operowanie obrazową metaforą świadczy o dojrzałości artystycznej poetki, a przy okazji sprawia czytelnikowi smakowitą czytelniczą ucztę. Czym więc można się karmić czytając liryczny notes Doroty Korwin-Piotrowskiej i jakich doznań być uczestnikiem?

Pierwsze odczucie towarzyszące mi podczas lektury to świadomość partycypowania w dwu światach, dwu płaszczyznach czasowych przeglądających się w sobie każdego dnia, jak w zwierciadle. Mówi się dużo o rzeczach niby błahych, a nie zauważanych przez człowieka, chwilach pozornie nieważnych, nijakich. Podmiot zdaje się być kimś bardzo wrażliwym, kto zagląda z zaciekawieniem w każde miejsce, odsłania to, co zakryte i mówi: zobacz, obok ciebie jest tyle szczęścia, tylko sięgnij po nie, odwagi! Jak się okazuje prawdziwe piękno mieszka w tym co niedopowiedziane i do końca nie wyjaśnione, gdyż u autorki wszystkie zabiegi poetyckie czynione są po to, aby przełożyć „Niewidzialne na Niewyraźalne”. Życie często zaskakuje i nie należy uczyć się go na pamięć: „świat się świeci a my niepotrzebnie uczymy się go gasić” (*Tak to*). Najlepiej jest więc zająć się tym, co właśnie staje się, dojrzewa na naszych oczach. Bohater(ka) poezji Korwin-Piotrowskiej wsłuchuje się w ciszę, która „w najmniejsze ziarnko maku zasiana cierpliwie” (*gramatyka ciszy*), szuka miejsc, gdzie można odpocząć - nie wypełnionych krzykiem, ludźmi, ale paradoksalnie najpełniejszych w znaczenia i życie:

DOROTA KORWIN-PIOTROWSKA

Podróż
do Oddo

„Dni nas podają sobie
Chwytnymi palcami
A my
W rozciąłym czasie
Po prostu sadzimy hiacenty” (*doliczyć ciszę*)

W tropieniu czasu znajdującego się „w nawiasie” nie przeszkadza przeświadczenie, że życie człowieka włożone zostało w określone granice „od-do”. Podmiot liryczny przedziera się do tego, co poza „tu i teraz”, - nieustannie szukając prześwitów, drażąc korytarze, bo tam „za krawędzią świata rozpada się wszystko w rozedrgany pył, wściekły rozprysk światła, w tęczujące wrzaski” (*ogłuszeni*). W tej wyjątkowej podróży zatrzymuje się na kolejnych przystankach, gdzie przeżywa dobre spotkania, obserwuje wschody słońca, podziwia przyrodę:

„Wszedłem polanę.
Nie było człowieka
Który by wcześniej tam wkroczył” (*pokos*)

Jest to wręcz celebrowanie danego momentu i uwznioślanie najdrobniejszych przejawów życia. Rzeczywistość obserwowana oczyma podmiotu nie mieści się w ramach zwyczajnego świata, odartego z tajemnicy i koloru; tutaj czyta się między wierszami i widzi więcej. W taki właśnie sposób przedstawiony jest temat damsko-męski; w bardzo czułych rejestrach poetyckiej mowy. Zmysłowość tychże liryków sprawia, iż napięcie pulsujące w każdym z nich chłonie się jak gąbka. Bo jakże można nie wzbudzić w sobie niepokoju (oczywiście w pozytywnym tego słowa znaczeniu), jeśli staniami się współuczestnikami takiej o to intymnej sytuacji:

„To było piękne: czekałeś na mnie, a ja
wiedziałam, że będziesz czekał.
Moje zmęczenie pasowało do Twoich ciepłych
dłoni,
Twoje zmęczenie do mojego ciepłego policzka.
Nasze oddechy rozpięły nad nami biały parasol”
(*Przystanek*)

Ten mistrzowski liryk mówi sam za siebie i

świadczy o artystycznym kunszcie poetki. Bo niby taki zwykły, odarty z wymyślnej metaforyki krótki tekst, a ile niesie ze sobą emocji...

Duże brawa należą się także za lingwistyczne zabawy (*Świętościąt, Pojęcia podstawowe, J@*) oraz oryginalne i pomysłowe rozplanowanie formy graficznej wiersza. Do tego należy dodać umiejętne poruszanie się autorki w różnych strukturach artystycznej wypowiedzi: w poetyckiej miniaturze, kilkuwersowych tekstach, ale i w dłuższych komunikatach przybierających znamiona prozy. Każdy z nich zbudowany według przemyślanej konstrukcji zaskakuje, a przejścia od jednego do drugiego są niezwykle płynne. Patrząc na całość uzyskujemy obraz zwarty, nie zawierający żadnych dysonansów i miejsc pustych.

Podróż u boku Doroty Korwin-Piotrowskiej jest niezapomnianą przygodą, podczas której nudzić się nie można. Dojrzałe pisanie plus osobliwy sposób obrazowania to poetycka wizytówka autorki. Warto się skusić, naprawdę.

Dorota Korwin-Piotrowska, *Podróż do Oddo*, Łódź 2008, s. 58



NESTOR SAKACZBIA

co do sztuki

beziemienny las otwieram. okno
szybciej. przy da się
namalować śpiew gałęzi. wszystkich
w mieście małym albo,
jak małym rzeczy widać
kiedy nie liczy się powtarzanych,
połamanych, produkcji taniej anegdot
pewnych nikogo

*dzieło żyje, nie do oddechu należące
światło przed zamknięciem; data,
życie, w sklepie niesie się, uchodzi
prawda stępła o facecie: nie - że nie.*



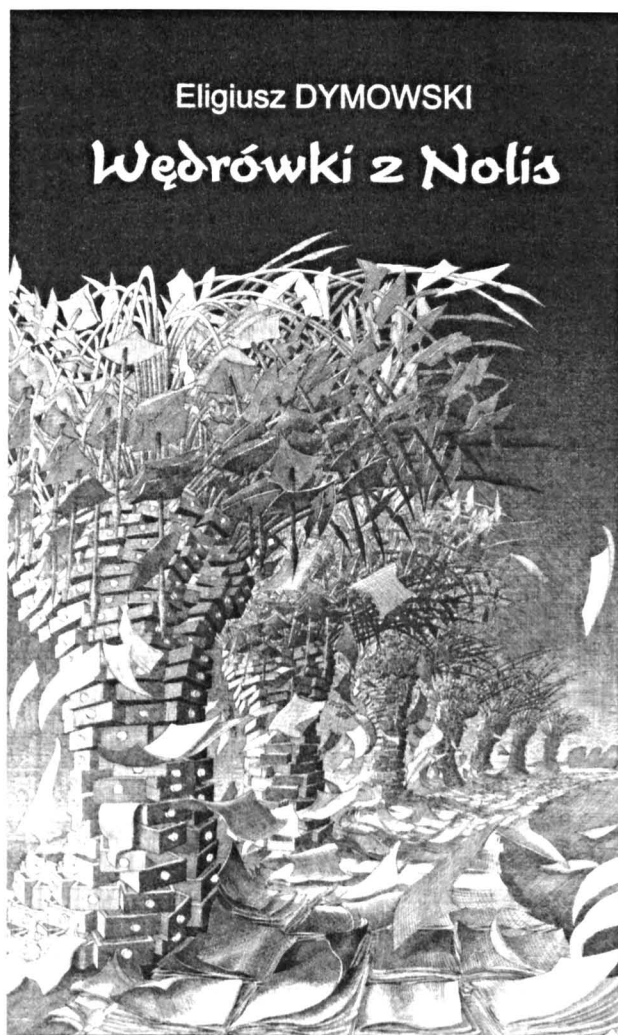
MARIUSZ BOBER

WĘDRÓWKI Z ELIGIUSZEM DYMOWSKIM

Jak zwykle, wszystkie, bez wyjątku, rzeczy do recenzowania muszą przeleżeć jakiś czas na moim redakcyjnym biurku. Kiedy ten czas stężeje, należy podjąć temat. *Wędrowki z Nolis* trafiają do mnie z dedykacją dr Eligiusza Dymowskiego. Odnajduje w nim kartkę w kratkę, na której kresliłem pierwsze szkice, i co tam odnajduje? Zatrzymuje się na okładce przypominającej drzewa podczas wichury. A drzewa te jakby szuflady i kartki. Okładka skojarzyła mi się z Chopinem i płaczącymi wierzbnami. To co z pewnością przykuwa uwagę, to lekkość zawarta w tej poezji. Poezji franciszkanina. Sam dr Eligiusz Dymowski to wykładowca teologii pastoralnej, poeta i krytyk literacki. Studiował teologię w Krakowie i na Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie. Doktoryzował się w Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Marta Fox pisze tak o twórczości poety „Zazdrość poecie tego, że umie znaleźć ciszę, obłaskawić codzienność, obudzić dobre myśli, zapamiętać chwile, szukać nowych ścieżek, dziękować, modlić się w drodze, uczyć się miłości...”.

I rzeczywiście, lektura tego tomu jakiegoś późnego wieczoru dostarczyła spokoju i ukojenia. Do tego tomu chce się wracać. Zaś Zofia Korzeńska podaje klucz do całego zbioru pisząc: „więc 'wędrowanie', 'podróż', 'droga', 'odległość', 'czekanie' to słowa-klucze całego zbioru tej poezji. Wędrowanie jest tu metaforą. 'Droga', 'pielgrzymowanie' to znane nam dobrze z religii i z literatury metafory naszego ziemskiego życia. A sam tomik zaczyna się utworem „Z „Dziennika podróży” Faona” słowami:

„Tę pieśń przyszło mi pisać
gdy dusza rozdarta
jak kurtyna w teatrze
nim spektakl w teatrze
nim spektakl
Gdzie ukryta jest prawda
powiesz - dobra Nolis!
Czy żyć
znaczy ciągle
szukać bratniej dłoni?”



Ale kimże jest Nolis? I jak czytamy w słowach Korzeńskiej „A Nolis? Może symbolizuje ludzką miłość, ludzką przyjaźń, ludzkie szczęście wiecznie uciekające, na które cierpliwie czekamy, którego czasem zaznajemy, a potem wspominamy i wiecznie mamy na nie nadzieję?”

Ja mam nadzieję, że jeśli trafisz na poezję dr Eligiusza Dymowskiego, zatopisz się w jej cieple. Notabene, również sam Eligiusz to niezwykle przyjazny człowiek, z którym można kontemplować o życiu i jego troskach. A na koniec dla oczyszczenia zatopić się w słoneczne *Wędrowki z Nolis*.

JAN SIWMIR

LOT NAD BOCIANIM GNIAZDEM

*Wszyscy razem: wciągnać powietrze...
wypuścić powietrze...
oddychać rytmicznie; serca mają bić
wszystkim z szybkością podaną
na kartoniku
z porządkiem dziennym.
Równo jak zsynchronizowane cylindry.
Ken Kesey
„Lot nad kukułczym gniazdem”*

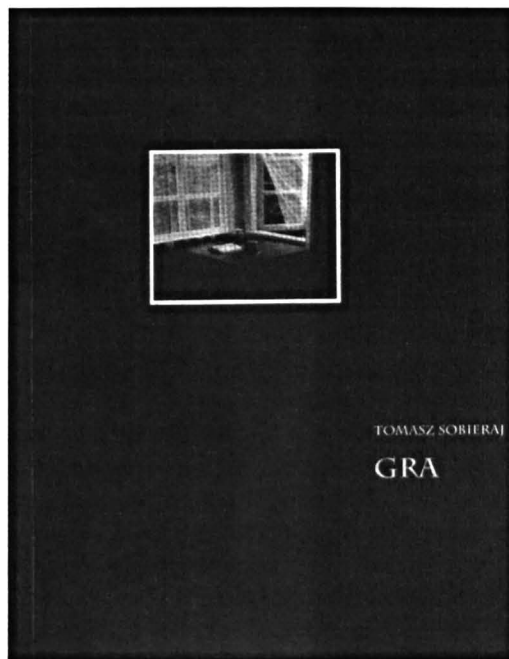
Nazbierałem gadżetów, zabawek, durnostojek udających piękno, pseudo-przydatnych ulepszaczy życia. Futra sporo ważą, ale są takim miłym synonimem luksusu, fajka ze starej gruszy, złota komórka na dotyk...

Wsiadam na statek, na którym orkiestra gra disco-polo. Odurza mnie zapach tańczących kobiet piżmo i feromony. Kapitan z przylepionym do twarzy uśmiechem wyciąga rękę. Przysiągłbym, że uśmiech jest szczery. Sprawdzam czas na roleksie. Bardziej, żeby móc podwinąć rękaw i pochwalić się napisem za całkiem sporą szybkością, niż z ciekawości, jaką porę dnia mamy. W końcu, czy to istotne? Liczy się przecież tylko dobry kucharz, piękne kobiety, przednie wino i świat. Świat stojący otworem.

Ojciec zapakował mi kilka książek na drogę. Przeglądam je teraz niedbale; jakieś powieści, katalog aut, instruktaż prowadzenia statku. Czyżby przewidywał kłopoty?

Wyrzależem odruchowo na pokład. Piękne niebieskie niebo, leniwie sunące barany i dużo, dużo słońca. Popatrzyłem na ręce - została w nich niewielka książeczka z dyskretnym tytułem „Gra”. Tajniki brydża? Ależ jestem w nim mistrzem. Otworzyłem na chybił - trafił.

„Wyglądamy jak układ równań
Na pomiętej kartce szaleńca
Chyba, że jest jeszcze gorzej
I jesteśmy już tylko
Zwykłą kolonią istnień
Na pożywece
W końcowej fazie
Eksperymentu”.



Zatrzęsło. Mój statek wpadł na lodową górę. Przekładałem kartki jedna po drugiej, przypominając sobie dawno zapomniane chwile, w których myślałem, w których patrzyłem na świat zdziwiony, bo nic nie było oczywiste.

„Połknąłem srebrne motyle
Upadłem na niebo”.

A potem zstępowałem coraz niżej, w dół góry lodowej i jak pierwszy z najpierwszych archeologów odkrywałem wykute w nich obrazy, a pod dotykiem opuszków palców rozpoznawałem swoje własne oczy.

Tomasz Sobieraj, autor lodowej góry, zagrał ze mną *va banque*. Proste słowa, proste obrazy ułożone w niespotykany sposób zaważały o mnie, drażniły, niepokoiły. Przez chwilę słyszałem głos wołający anioły:

„Jutro pogracie z drugiej strony Ziemi
W wybuchy wulkanów i huragany”.

Czarna dziura metafizyki wypełzła z codzienności rozpiętej pomiędzy kamiennym podwórkiem a oknem francuskiej

kawiarni. Pękły schematy.
 Mój ojciec powiedziałby zapewne, że to efekt
 świetnego warsztatu autora, że wpływ
 Nietzschego, bunt Witkacego. Stryj do-
 łożyłby przewrotną logikę Schopen-
 chauera i dystans Oscara Wilde'a. A ja
 wrzucam linę w ciemną toń i sprawdzam
 dotykiem każdą wypukłość, każdą „pła-
 czącą kobietę/ i dziewczynę/ stojącą z nie-
 znajomym”. Powoli zrzucał gorset
 gąsienicy. Aż w końcu zszedłem tak nisko,
 że mogłem zobaczyć Chrystusa, jak błogo-
 sławił nową stację benzynową.
 Wtedy zacząłem powoli, dojrzałe kołować nad
 bocianim gniazdem. A na niebie został
 nietrwały ślad moich skrzydeł. Siostra
 Ratched próbowała mnie ściągnąć z

powrotem, siostra Gryzelda usiłowała
 mnie wtłoczyć do jednej z tych małych,
 zapchlonych szuflad. Za późno. Dla mnie
 rozpoczęła się GRA. Teraz ja będę rozdawał
 karty. Synchronizując własny cylinder ze...
 spustem. Świat bowiem usilnie prosi się o
 gwałtowną i niestandardową lobotomię.
 Żegnaj Titanicu.

Tomasz Sobieraj, *Gra*, Studio Komunikacji Wizualnej
 2008 r., s. 68, wstęp - Georg A. Fichte.



IZABELA IWAŃCZUK

Wschód

niesłusznie nie wszystek nie wprost
 tak pęka maj gdy nadzieją
 jeszcze zieleni się nów gdy
 niebo skaleczone światłoczułym
 szkiełkiem dnia
 zsyła na nas jak zbawienie
 herbacianą esencję życia

* * *

zanurz się
 oddychaj głębią
 złóż ofiarę

twoja mleczna trójpasmówka

metafora istnienia

przebiśnieg milczenia na polaci ust

* * *

śpiewna litania świtu
 jasny powój mitu

dni dobrych bzy
 nocy straconych lzy

pochylona ciepłem majowym
 nad królem jaśminowym

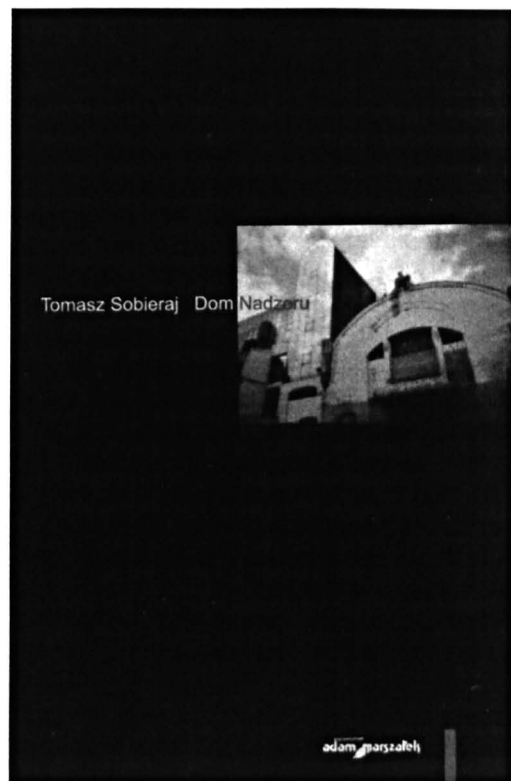
Maryjo za nimi
 bądź modlitwami czystymi

MARIUSZ BOBER

DOM NADZORU
TOMASZA SOBIERAJA

Dom Nadzoru to pełne czarnego humoru, doskonale warsztatowo utwory, sugestywne, intelektualne i jednocześnie impresyjne przypowieści z absurdu, pozornego świata, w którym żyjemy. Świata woskowych figur i osobliwości, zamkniętych w idealnym więzieniu Jeremy'ego Benthama.
G. A. Fichte

Jak zwykle w każdej pozycji doszukuję się treści, które przykują moją uwagę i które uderzą w bliskie mi przemyślenia. Każda książka w zasadzie powinna być przewodnikiem lub inspiracją na dany dzień. I tak, w *Domu Nadzoru* już w słowach Zygmunta Hermana „W jednym z esejów Jana Błosińskiego czytamy, iż «Pisanie nie jest niczym innym, tylko walką, jaką toczy artysta z ludźmi o własną wybitność...». Jak dowodzi statystyka i historia, większość artystów tę walkę przegrywa”. Zaczyna się od ważnego stwierdzenia (które czyżby pozabawia złudzeń twórców miernych, a dobrym ustawia poprzeczkę) i od razu dylematy, na jakie z pewnością napotkają na swoje drodże do wybitności? I ten sam Herman pisze o Sobieraju, że twórczość Tomka cechuje siła i styl, które nie dopuszczają myśli o przegranej, jaką jest obojętność czy zapomnienie. Czyżby Sobieraj to również zwolennik pozytywnego myślenia? Dla mnie osobiście najwięcej przemyśleń dostarczył pierwszy rozdział książki *Mohel*, w którym odnajduje jakże oddające dogłębne przemyślenia filozoficzne Sobieraja. Czytam: „Czy moja miara długości, czasu, moralności, byłaby gorsza od wzorca fizyków, kapłanów lub od wzorca najgorszego, czyli wybranego demokratycznie przez tłum? Cudze normy, nawet boskie oczywiście, jeśli naprawdę istnieją to zamach na wolność, mord woli i człowieka, powstanie zniewolonej białkowej maszyny. Jest pewne, że unicestwienie istniejących zasad i praw, stworzenie nowego, prostego systemu, wyłączonego Tak i Nie, albo pełna anarchia, to jedyne sposoby wyzwolenia i oczyszczenia człowieka, stworzenia go na nowo, bez udziału Boga.”



W książce takich filozofii jest więcej, choć osobiście chciałbym znaleźć kolejne i kolejne akapity traktujące o kondycji świata i człowieka. Unikam świata, jaki Sobieraj w części zamykającej prezentuje w rozdziale *Kolosalna morda miasta*, a w której to możemy zobaczyć zdjęcia ukazujące nędzę, odrapane ściany kamienic, drobnych pijaczków, czy dzieciaki wymysławające na ulicy zabawy. A przecież to również nasz świat. Sobieraja szczególnie cenię sobie za jego odwagę wyrażania niezależnych poglądów, co również potwierdza w swoich słowach Zygmunt Herman piszący o książce tak: „Z pewnością zaskoczy jej polityczna niepoprawność, wyrażająca się chociażby w krytycznym stosunku do tzw. demokratycznego świata i jego tzw. zdobyczy, świata stanowiącego dla autora jedynie (a może co najwyżej?) zbiorowisko „białkowych maszyn”, istic po flaubertowski „unurzanych w tym samym błocie”. Poważni czytelnicy docenią wyjście pisarza poza obowiązujące konwencje [...]”. I

dalej „Tomasz Sobieraj dowodzi, że rzeczy wielkie nie ilością słów, ale ich kompozycją i wagą, takie jak *Dom Nadzoru*, nie powstają podczas dożynek, jarmarków czy w stodole, a jedynie w zacisznych intelektualnych enklawach, do których wstęp mają bardzo nieliczni, za okazaniem talentu, wiedzy i dojrzałości”. Niezależnie od tego, czy oryginalny a może indywidualny styl myślenia Tomka Sobieraja przypadnie Ci do gustu, z pewnością stykając się z jedną z wybranych form artysty-

cznego wyrazu znajdziesz stwierdzenia, które wyrzują się w Twojej pamięci i nieuchronnie zmuszą do myślenia nad otaczającym nas światem. Sobieraj to zdecydowanie wolnomysliciel, który na własną rękę buduje nowe, twórcze wyspy w świecie pogrążonym w kryzysie twórczym i intelektualnym.

Tomasz Sobieraj, *Dom Nadzoru*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2009, ss. 74.



JACEK JĘDRZEJEWICZ

KULTUROWY BORDERLINE

Głową w mur (*Gegen die Wand*, 2004) w reżyserii Fatiha Akina, to film, w którym autor wyraźnie korzysta ze swych własnych korzeni kulturowych oraz własnego doświadczenia egzystencjalnego. Najnowszy film tego twórcy: *Na krawędzi nieba* (*Auf der Andersen Spite*, 2008) jest już wyrazistym potwierdzeniem świadomego wyboru tej wąskiej drogi; twórcy wyraźnie dojrzałego, spokojniejszego w tempie i wyrafinowanego narracji, lecz dalej konsekwentnie penetrującego problematykę tożsamości współczesnego Europejczyka z pogranicza kultur.

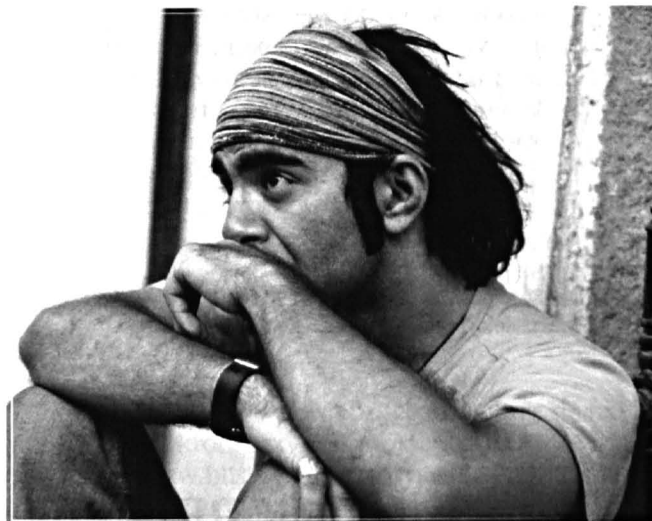
Wcześniejsze filmowe obrazy Fatiha Akina wskazują wyraźnie na szerszy szlak poszukiwań, tak środków wyrazu jak i bliskiej sobie tematyki: *Szybko i bezboleśnie* (1998) oraz *Solino* (2003), to obrazy nie posiadające jeszcze tak wyraźnego, naznaczonego osobistym doświadczeniem „charakteru filmowego pisma”; nie mniej jednak już zarysowują w szkicowej jeszcze postaci, tematy ważne dla młodego twórcy: społeczne nie-zakorzenie, kulturowe nie-zakorzenie, egzystencję bez jednoznacznych korzeni narodowych; funkcjonowanie, bycie, istnienie; na granicy europejskich dróg. Społeczny margines - nie w sensie li tylko patologii społecznej, choć i tam prowadzą drogi wykorzenia w przypadku bohaterów *Głową w mur* - a raczej jako miejsce nie penetrowane jak dotąd dogłębnie przez media, kulturę a w

szczególności film - jak pokazują obrazy Akina, sztukę wciąż bliską rzeczywistości, umożliwiającą syntezę ważnych tematów, najsilniej opiniotwórczą i opiniotwórczą ze sztuk wizualnych.

Urodzony w 1973 roku w Hamburgu Fatih Akin, niemiecki reżyser tureckiego pochodzenia, reprezentuje już tę grupę imigracyjną, która nie jest bierna, tak wobec przeszłości jak i przyszłości: próbuje twórczo i krytycznie, odnosić się aktualnej rzeczywistości transformującej Europę, lecz nie w skali globalnej a raczej w odniesieniu do „małych ojczyzn” a wręcz ich „podwórkowych” niuansów i zależności, gołym okiem nie dostrzegalnych dla tzw. białego Europejczyka; tak Anglo-sasa z Berlina czy Londynu jak i Słowianina z Warszawy czy Bratysławy.

Jednak największą siłą najdojrzałych obrazów Akina; *Głową w mur* jak i *Na krawędzi nieba*, nie jest ich partykularyzm kulturowy, etnologiczny czy społeczno-polityczny a wręcz odwrotnie; uniwersalność opowiadania o bliższym, bo po części „zeuropeizowanym”, choć wciąż tak odległym człowieku z innej tradycji religijnej (islam), kulturowej (orient), czyli pozornie dla przeciętnego, białego, Europejczyka; kogoś wciąż z antypodów mentalnych i psychologicznych, socjologicznych.

Fenomen Akina polega na tym, że będąc człowiekiem wywodzącym się „z krawędzi” kultur: turecko - niemieckiej czy

Kadr z filmu *Na krawędzi nieba*

nawet europejsko - orientalnej, potrafi twórczo spojrzeć na obie strony: paradoksalnie; tak z wnętrza własnego doświadczenia bycia niemieckim - Turkiem czy też tureckim - Niemcem, jak i dystansu niepełnej przynależności do którejkolwiek ze stron. Jego korzenie tkwią właśnie „w krawędzi” i nie kompletnie identyfikują się z którąkolwiek ze stron i grup narodowych, społecznych i etno-kulturowych. Siła filmów Akina nie leży przecież w ich oryginalnej formie ani treści opowiadania formalnie, paradokumentalnie, po śladach Kieślowskiego idzie tu Akin podobnie jak meksykańin Alejandro Gonzales Innaritu (*Amorres Perros*, 2000; *21 gramów*, 2003) - siła ta na pewno leży natomiast w świeżości spojrzenia na ten margines Europy i Europejczyków, czyli świata, który był jak do tej pory - by zacytować tu Krzysztofa Kieślowskiego - „nie opisany za pomocą kamery”.

Tu, z nostalgią pozwólmy sobie na dygresję; tak, przecież film, X-ta Muza, jako doskonałe medium, w czasach pre-internetowych, było w stanie komunikować się z widzami właśnie przez możliwość syntetycznego opisu zjawisk nieopisanych a leżących w zasięgu wzroku: tak nam bliskich a równocześnie dalekich, bo paradoksalnie niezrozumiałych; wystarczy przypomnieć sobie *Dekalog* Krzysztofa Kieślowskiego, w którym pokazał, że każdy człowiek jest

małą ojczyzną, odrębną i nie poznaną dla nieuwważnego obserwatora planetą, ale jej problemy (etyczne, moralne) są tożsame z problemami obserwatora. To, co Mircea Eliade opisuje jako *coincidentio oppositorum*; doskonale pasuje do określenia tego stylu.

Właśnie film - bo tak doskonały instrument komunikacji jakim jest internet, będąc jedynie tygłem, konglomeratem nie daje możliwości syntetycznego opisu - jako spuścizna literatury i malarstwa powstałych na starym kontynencie, najgłębiej oddaje specyfikę tego co nie uchwytnie w samym literackim czy mówionym słowie; dokłada to co najsilniej i bezpośrednio oddziałujące; obraz. Film; może operować tym, co jest w literaturze czy muzyce możliwe do ekspresji w bardzo długim przebiegu: może operować czasem i przestrzenią. Kino Fatih Akina doskonale się do tego nadaje; może pokazać Hamburg i za sekundę Istanbuł; łączyć etniczną, tradycyjną opowieść „folklorystyczną” z dramatem współczesnego wykorzenionego rockersa o osobowości *borderline*, Cahita (*Głową w mur*); który w ekstazie krzyczy po angielsku z Niemiecko-tureckim akcentem: *punks not dead!* Akin dzięki filmowi, może równolegle prowadzić ząbwiąjące się, równoległe dyskursy, które za chwilę mogą być *spointowane* jako „czasowa” zmyłka (*Na krawędzi nieba*).

Swego rodzaju wprawką, ćwiczeniem na turecką tożsamość, był też dokumentalny film Akina, dystrybuowany w Polsce pod nadinterpretującym tytułem; *Życie jest muzyką* (*Crossing the Bride; The song of Istanbul*, 2005). Ten doskonale zrealizowany dokumentalny obraz, jest próbą penetracji całego spektrum środowiska muzycznego Istanbułu; od najnowszych podgatunków techno, rapu po przeszłość, tradycję; również jakby siłą kulturowej grawitacji znów jest głosem „z krawędzi” bo narratorem którego punkt widzenia przejmujemy, jest niemiecki muzyk, zblazowany Europejczyk, który już wszystko słyszał i widział; Alexander Hacke z alternatywnej formacji *Einstürzende Neubauten*. Jej trudna, alternatywna nazwa pamięta jeszcze czasy,

gdy West-Germany dzielił mur odgradzający ich od DDR a Berlin był miastem na krawędzi.

Kulturowy *borderline*, stał się swego rodzaju stylem i charakterem autorskiego pisma Fatiha Akina; potwierdzonym właśnie w ostatnim obrazie *Na krawędzi nieba* (*Auf der Andersen Spite*); oryginalny niemiecki tytuł podkreśla istnienie obu stron widzianych „z krawędzi”. Niestety, niebezpieczeństwo może zaistnieć w stylu jako schemacie; następnie filmy tureckiego-Niemca będą już wymagały bądź kontynuacji bądź radykalnej zmiany; kontynuacja bez świeżości może spowodować wyeksploatowanie się tematyki i formy. Z kolei zbyt radykalna zmiana może spowodować utratę siły przekazu, która bierze się z właśnie z penetracji marginesu. Tak stało się w przypadku Alejandro Gonzaleza Innaritu przy filmie *Babel* (*Babel*, 2006), który popsuł nieco jego charakter pisma jak i wizerunek poprzez komercyjny mariaż z producentami i aktorami z Hollywood (Brad Pitt) oraz ze sztuczną próbą siłowania się z uniwersalizacją a raczej synkretyzacją tematu.

Na koniec, należy podzielić się jeszcze hipotezą, co do źródła inspiracji, odkrycia i ukierunkowania swej drogi przez młodego Akina; jest nim z pewnością dostrzeżenie u innego reżysera-kolegi twórczej potencji w tym, „co się zna”. Ponieważ kino Europejskie nie produkuje rocznie setek, lecz nieledwie kilka lub parę dobrych, interesujących filmów a te genialne zdarzają się niestety tylko, co jakiś czas; twórczy i świadomi reżyserzy znają najważniejsze dokonania swych kolegów. Otóż należy ze świadomością zauważyć, że Fatih Akin zainspirował się, co jest dziś przecież w powszechne w tłumnym szumie medialnym, i naturalne również dla podpatrujących się twórców; zainspirował się, tak stylistyką jak i tematyką od reżysera również posiadającego arabskie, a dokładnie marokańskie korzenie. Chodzi o twórcę we Francji; Abdeltatifa Kechiche. Jego doskonały film *Wina Woltera* (*Le Faut de Voltaire*, 2000) wyraźnie ukierunkował

Akina, że trzeba opowiadać o tym co się samemu zna; o swym własnym, wąskim ale doskonale sobie znanym podwórku. Tak Akin ukierunkował się na „kulturowy *borderline*” i tak powstał naprawdę doskonały i niezwykle autentyczny scenariusz i film *Głowa w mur*; bo jak zaznaczyliśmy na wstępie, wcześniejsze filmy reżysera były w swym charakterze poszukiwawcze. Nie sugerujemy tu, że Akin coś „ściągnął” od starszego kolegi Abdela; tak naprawdę *borderline* nie był najważniejszy w obrazie Kechiche; tego twórcę interesują bardziej mechanizmy społeczne w powiązaniu z politycznymi. Reżyser nagrodzonego w 2008 roku w Cannes, filmu *Kuskus* (inny tytuł *Sekret ziarna*, oryg. *La Graine et la Mule*, 2007) w swej opowieści Wina Woltera ukazującej losy młodego imigranta z Maroka, który próbuje normalnie funkcjonować we Francji, po-oświeceniowej „kolebce praw człowieka”, Kechiche główny akcent kładzie na paradoks, że wrażliwy, uczciwy człowiek z zewnątrz, musi się dostosować do obłudy otaczającej go w rzeczywistości Paryskiej społeczno-polityczno-kulturowej maszyny, bo jeśli nie zostanie przez nią pożarty bądź wyrzucony na zewnątrz. Akin kładzie akcent na psychologię a nawet kulturową duszę swych wykorzenionych bohaterów, nie mniej jednak, jak się wyczuwa, zafascynował się sposobem ukazywania bohatera przez Kechiche: portretowaniem go z bliska, jak najbardziej autentycznie.

Na koniec refleksja z naszego podwórka: w Polsce z recepty kulturowego *borderline*, korzystał przez wiele lat Kazimierz Kutz, i trzeba powiedzieć, że jego śląskie obrazy, opowiadające o bohaterach, których znał od dzieciństwa, były najlepszymi w jego filmografii; pod względem artystycznym jak i próby czasu. Wystarczy przypomnieć; *Sól ziemi czarnej* (1970), *Perła w Koronie* (1972), *Paciorki jednego różańca* (1980). Opowiadając wtedy o małej ojczyźnie „na krawędzi” językowej, kulturowej, gospodarczej i historycznej, o swym Śląsku, Kutz był świeży, autentyczny i niepowtarzalny.



MAŁGORZATA ŻALEWSKA

E-7

na krawędzi miasta
w świetle brudnej obwodnicy
zmęczona zawilgocią nocy
wyczekuje klienta

po smutnym cieple
uwodzicielskiego piękna
niczym światło latarni
przesuwają się
zaczepiające słowa

między niebem a piekłem
purpurowe usta szukają drogi

Kicz

co łaska

negatywne piękno
w puzderku naiwności
ratuje swą godność

wnet zostaje zbawione

trudniej wyzwalać
kicz z gorsetu
naszych codzienności

Moja kołysanka

tupot myśli
zapisanych w CV
zwija arkusz dnia

tulę sumienie
do powłoki nocy
uspokajam blizny
za mną
we mnie
przede mną

doganiam sen

Pozory

Starość w środku życia?
Nigdy!

Po to przebierasz się
za kogoś innego.
Po to uciekasz
od siwych zdobień.

Paletą pozorów
skrywasz historię.

A ja?
Poważnie traktuję słowa syna:
„Będę Cię kochał nawet wtedy,
gdy Twoje włosy będą zupełnie białe”.





KLAUDIA BACZYK

*kto Boga stworzył
uczeń zapytał
ksiądz dał się przyłapać
poczerwieniał nie wie...*
ks. J. Twardowski, *Bóg*

„Meksykanie giną w drodze do amerykańskiego raju”, „W Iraku szykuje się powtórka z Wietnamu”, „Zgwałcona siedmiolatka”... - to tylko niektóre z nagłówków ostatnich gazet. Kiedy stało się oczywiste, że w pewnym momencie życia człowiek zapragnął być panem i władcą innych jednostek, zabrać im, to wszystko, co posiadają najcenniejszego? Kiedy tak naprawdę przestaliśmy czuć się bezpieczni? W dzisiejszych czasach nikogo już nie dziwią morderstwa, kradzieże, gwałty. Co prawda nadal nas to szokuje, jednakże zdajemy się być przyzwyczajeni do ciągłej wojny o prymat w świecie człowieka. Niczym zwierzęta udowadniamy swoją siłę, często-krotnie opierając się na zasadach powszechnie uznawanych za niewłaściwe. Czy w takim świecie ciągłego boju o życie, człowiek potrafi zachować podstawy moralności?

Problem zetknięcia moralności ze złem zdaje się być niezwykle poważną kwestią, a każda złowroga informacja płynąca do nas poprzez świat mediów ukazuje się jako kolejna próba podważenia naszej duchowości, religii, tego, do czego wielu z nas docierało przez całe swoje życie. W takim momencie nieważnym staje się fakt, iż to ktoś nakierował nas na Boga, otworzył przed nami Jego świat, bowiem to my i tylko my musimy opowiedzieć się po danej stronie, naprawdę uwierzyć. Od razu zatem pozwolę sobie wyjaśnić zastosowanie formy „my”, by uniknąć posądzeń mnie o zakłamanie. Będę ją stosowała bowiem bardzo często i to nie tyle dlatego, że jestem wierząca, ale dlatego, iż żyjemy w społeczeństwie mimo wszystko nadal bardzo silnie zakorzenionym w religii, a skoro żyje w tym społeczeństwie, owa

CHĘĆ ZROZUMIENIA

kwestia nie powinna być mi obca). W takiej oto chwili stajemy się bezsilni, by na nowo dokonać wyboru, odnaleźć się w Bogu bądź odrzucić Go już na zawsze. Samotność człowieka wytworzona właśnie w zestawieniu ze zbrodniami świata zdaje się stanowić codzienność i być naturalną od tysięcy, jak nie od milionów lat. Wtedy, wzorem literackich bohaterów, kroczymy ciemną nocą, by zdecydować, jak chcemy żyć. Istotnym także wydaje się być odnalezienie odpowiedzi na pytanie: czy w owej wędrówce ma nam towarzyszyć Bóg? Wijemy się zatem pod naciskiem skomplikowanych pytań o wiarę, zło i śmierć, pragnąc choć na chwilę zawładnąć naszym istnieniem, pokierować nim w wybrany przez siebie sposób. To władanie jednakże jest marzeniem tylko chwilowym, bardzo ulotnym, bowiem kiedy tylko pojawiają się problemy obwiniamy tego samego Boga, który miał dać nam wolną wolę, by na niego rzucić winę za wszelkie zło świata. G. Bernanos w zapomnianym już *Pamiętniku wiejskiego proboszcza* zdaje się doskonale przedstawiać obraz człowieka, próbującego zmierzyć się z mitami przekazywanymi od pokoleń a własnymi spostrzeżeniami na temat religii: „Może Bóg chciał włożyć na moje barki brzemię, od którego uwolnił swoje wyczerpane stworzenie”.

Z jednej strony ów cytat może wydać się bluźnierczym obrazem Boga, który to miałby za sprawą egoistycznych pobudek oddać część obowiązków człowiekowi. Z drugiej natomiast to ten sam człowiek nagle zyskuje tak wiele cech wspólnych z Panem, może go wspierać, bowiem Stwórca niezależnie od tego, jak jest wielki, ma wiele cech jak najbardziej człowieczych, nie siedzi na tronie i nie izoluje się od swych wiernych. Bóg bowiem, jeśli już staje się obiektem naszej wiary, zyskuje miano Kogoś stałego, trwającego przy nas nieodzownie, już na zawsze.

Niektórzy ludzie, jak pisze S. Weinberg: „Mają tak szeroką i elastyczną koncepcję Boga, że

jest nieuchronne, iż go znajdują, ilekroć zaczną go szukać. Często słyszy się takie stwierdzenia, jak «Bóg to absolut», «Bóg to Wszechświat», «Bóg to nasza lepsza natura». Oczywiście, podobnie jak w przypadku każdego innego słowa, słowu «Bóg» można przypisać dowolne znaczenie, jakie tylko nam się podoba.

Kim zatem jest ów Bóg, którego szukamy? Dla jednych jest on zawistny, dumny i mało-stkowy, a dla innych jawi się jako jedyny stwórca świata. Bez względu jednak jak ocenimy postać biblijnego Pana, dla milionów ludzi jest on największym, niedoścignionym wzorem, ojcem, pomagającym w chwilach zagrożenia. Należy o tym pamiętać zwłaszcza w czasach, kiedy to religia stała się punktem drwin i żartów. Wielokrotnie bowiem słyszymy o atakach na poglądy ludzi, na ich własną kreację Boga. Dziś już mało kto traktuje Go jako wymagającego i mściwego Stwórcę. Częściej bowiem dostrzec możemy Pana jako całkowicie upersonifikowaną postać, zmęczoną własną rolą i odpowiedzialnością (wystarczy obejrzeć komedię pt.: *Bruce Wszechmogący* reż. T. Shadvaca).

Oczywiście wielokrotnie są to jedynie niewinne żarty na temat starotestamentowego Boga, który wymagał od ludzi bezsprzecznego posłuszeństwa, jednakże nie ulega wątpliwości, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu tego typu obraz byłby niedopuszczalny. Dziś jednakże, w świecie komercji i ciągłego odchodzenia od religii, ludzie potrzebują bliższego wizerunku Pana, kogoś, kto nie tylko zagrozi nam palcem ostateczności, ale przede wszystkim osoby, która w każdej sytuacji nas wysłucha i zrozumie. Dlatego właśnie coraz odleglejszym zdaje się być stwierdzenie, jakoby judaizm, chrześcijaństwo i islam były: „Religiami boga mieszkającego w niebie. To religie w dosłownym sensie patriarchalne - Bóg jako Wszechmogący Ojciec. Za sprawą tego Boga i jego ziemskich męskich delegatów od dwóch tysięcy lat kobiety w tych krajach muszą znosić życie w pogardzie”.

Dziś już bowiem nikt nie patrzy na Boga jako na surowego mężczyznę, na każdym kroku zaznaczającego swą męskość. Ludziom



📷 Mirosław Koczkodaj

przybliżono Stwórcę, przez co stracił On trochę ze swej boskości, ale za to zyskał kontakt z drugim człowiekiem. Dzięki temu właśnie religie są nadal bardzo popularne i od nikogo nie wymaga się już jasno określonej postawy: dewocyjnej wiary w Boga i Kościół lub ateizmu. Dziś, dzięki życiu w ciągłym zagrożeniu i popularyzowaniu komercji, człowiek może żyć blisko wykreowanego przez siebie Boga, niekoniecznie poczuwając się do obowiązku całkowitego posłuszeństwa wobec Kościoła. Właśnie ta wolność powoduje, że wiara bądź niewiara jest jak najbardziej indywidualną kwestią każdego z nas, że nie stanowi już tematu tabu, a jest po prostu trwaniem w spokoju, w bliskości z drugim człowiekiem, bez względu na jego przekonania. Oczywiście, owa tolerancja jest niezwykle utopijną wizją, jednakże każdy z nas ma dziś pełne prawo, by swobodnie pokierować własną wiarą, by tak, jak niegdyś Bóg, samemu ulepić Pana takiego, jaki będzie nam najbliższy i to



📷 Bogumiła Jarecka

właśnie do niego wznosić swe modły. Modlitwy ludzi wyglądają różnie, jednakże zawsze jest w nich siła i pragnienie spokoju:

Dopilnuj, by w określonym czasie nie zdarzyła się żadna katastrofa.

Dopilnuj, by wszelkie plany wroga nie zostały wykonane.

Dopilnuj, by wrogowie nie ruszyli na rzeź i nie plądrowali.

I niezależnie od tego, czy decyzja będzie dobra czy zła, odwróć od nas burzę ulewnym deszczem.

W chaosie otaczającego zła, winno się bowiem spojrzeć głębiej, zajrzeć gdzieś ponad to wszystko i na nowo odrodzić się w Bogu. Powierzając Mu swoje lęki i wszelkie wątpliwości, mamy możliwość pocucia, czym jest potęga wiary. Dzięki temu możemy stać się bogatsi wewnątrz, piękniejsi: „Życie jest zawsze procesem: procesem przemian i rozkwitu, procesem nieustającej interakcji pomiędzy strukturą organiczną a środowiskiem. Jabłoń nigdy nie stanie się wiśnią; ale zarówno jabłoń, jak i wiśnia mogą się stać mniej czy bardziej pięknym drzewem, zależnie od swego organicznego uposażenia i środowiska. Stopień wilgotności i nasłonecznienia, zbawienny dla jednej rośliny, dla innej będzie zabójczy. Nie inaczej jest człowiekiem”.

Jak łatwo zauważyć w modlitwach nie ma wyrażonych pragnień niszczenia wrogów, nikt nie mówi o zbrodniach i krzywdach,

nikt nie złorzeczy, bowiem rozmowy z Bogiem są ponad to. Nawet jeśli stanowią one jedynie monologi, ich potęgą jest właśnie myślenie o wszystkich, dbanie o każdego człowieka. Siła modlitwy polega na okazywaniu dobra innym ludziom, na pragnieniu pomocy tym, którzy zblądzili. Sądzę, iż strasznym, choć zapewne niejednokrotnie prawdziwym wydaje się stwierdzenie A. Einsteina: „Dziwna jest nasza sytuacja tu, na Ziemi. Każdy z nas pojawia się z krótką wizytą, nie wiedząc po co, choć czasem może nam się zdawać, że potrafimy odgadnąć jej cel. Z perspektywy codziennego życia jednakże pewnej rzeczy możemy być pewni: człowiek jest tu dla dobra innych ludzi, przede wszystkim tych, od których uśmiechu i dobrostanu zależy nasze udane szczęście”.

Odlóżmy zatem na chwilę kwestię wiary w Boga, bowiem ona bez względu na to, jak nazwiemy Stwórcę zdaje się być bez znaczenia w zestawieniu z wiarą w człowieka. To bowiem od nas samych zależy w jaki sposób będziemy kreować naszym życiem. Tytułowy proboszcz z tekstu G. Bernanosa powiedział: „Człowiek jest człowiekiem, który wcale nie jest wart więcej niż w czasach pogańskich”.

To, czy wierzymy tak naprawdę nic o nas nie mówi. Sami musimy zdecydować, jak chcemy żyć, co jest dla nas najważniejsze. Zdaje się bowiem, iż tak naprawdę nie ma znaczenia jak nazwalibyśmy swojego Boga, liczy się bowiem fakt, iż w całym tym zgiełku zła i okrucieństwa, potrafimy na chwilę się zatrzymać, powiedzieć „stop” i zajrzeć w głąb siebie. Wówczas, sięgając po najbardziej skryte pokłady naszej moralności, jesteśmy w stanie znów odnaleźć siebie i jak ksiądz Sieciech z powieści J. Andrzejewskiego pt.: *Lad serca* zatrzymać się nad kwestią ludzkiego postępowania i pomyśleć: „...jak wydrzeć z siebie zło, które w nas czai się zawsze wyczekujące, zawsze gotowe do skoku? Jak pochwycić wroga, który jest w naszej krwi i w naszych myślach?”

Jak bowiem chcemy żyć?!





KAMIL WOJCIECHOWSKI

Luna-parki

nie rysuję pożegnania
nie zataczam żadnych kół na kartce

nie umiem rysować
podłoga jest twarda i niewygodna

na karuzeli dostaję mdłości
gdy patrzę w kierunku przeciwnym
a z kieszeni wyciągam nieważne
bilety do lunaparku

otwarte okno trzaska i pęka
mi głowa myśli spływają rzeką
topiąc się

z dna słychać podstępnie nuconą
piosenkę dla zakochanych

Pięć minut

dwudziesta trzecia za pięć minut
jasnożółte światło latarni
walczy zaciekle z mrokiem
zacieram marznące ręce i stoję
teraz zamyślony nierozmowny
zabieram cię w odległą podróż
nie mamy bagażu, biletów
tylko siebie i kilka spraw nie załatwionych
ty masz zazdrosnego chłopaka
ja ślady szminki na ubraniu
więc jedziemy, chłodno
spoglądasz na mnie, podziwiasz
szarociemne bezgwiezdne niebo
opowiadam o poezji choć nigdy
nie czytałem poezji żadnej
tylko ciało twoje i myśli
więc jedziemy, chłodno
naszą gramatykę tworząc
nasz automat skończony nieudolnie
poza rozkładem pięć minut

Obraz z kamery za bramką

Rytualne wyznaczanie granic boiska, odmierzanie
stopek, wreszcie słupki z butelek po napojach Helleny
albo z kamieni i patyków.

Dziewczyny oglądające mecz wesoło pokrzykiwały
żując turbówki i pijąc oranżadę z foliowych torebek.
Niekiedy po gołu dawały się całować.

Kiedyś zamiast grać na komputerze, biegaliśmy
za piłką do utraty tchu, zęba albo zbitego kolana.
Nie było gwizdka ani żółtych kartek.



MARCIN KRÓLIK

BŁOGOSŁAWIONE ZŁUDZENIA

Dosyć sporo ostatnio myślę o Krakowie.

Przypominają mi się zadymione knajpy pełne podchmielonych lewicujących intelektualistów, poetów i pisarzy; teatr Słowackiego z niedzielnymi porankami poetyckimi, nabrzmiałe historią kościoły, poruszające serca „prawdziwych Polaków” okno przy Franciszkańskiej trzy oraz festiwal żydowski na Kazimierzu - obowiązkowy punkt pielgrzymek tych spod znaku „ach”, „och”, „ą”, „ę”.

I oto widzę w tym bełkotliwym, pulsującym tyglu siebie z tamtych romantycznych czasów, gdy łudziłem się, że uda mi się go podbić. Dopiero później - po tym jak kolejny redaktor z właściwą Krakąterom uprzejmą wyższością, rozłożywszy bezradnie ręce stwierdził, że coś w tych moich tekścikach jest, ale nie widzi perspektywy na wprowadzenie ich na rynek - zaczęło do mnie docierać, że Kraków, owa Mekka rozczwierkanych polonistek, pań redaktorek prowadzących w radiu magazyny bardzo kulturalne, tudzież Anglików walących tu całymi tabunami, żeby się urznąć tanim piwem, ujaść tanim ziołem i dziubnąć tanią panienkę, ma w sobie coś z *Madonny* Edwarda Muncha. Potrafi być urokliwy i uwodzicielski, ale orbitując wokół niego dostatecznie długo, orientujesz się, że jest zbyt pogrążony w swej permanentnej ekstazie, by odpowiedzieć na twoje zaloty, zbyt próżny, zbyt - jak ująłby jeden z magiczno kultowych krakowskich poetów - ksobny. W żadnym innym mieście nie sący się tak jadu, jeśli komuś cokolwiek się uda i jego praca wyrwie się z pajęczyny krewnych i znajomych królika do tak zwanego szerokiego odbiorcy, ani tak długo nie opija czyjejs porażki. W Krakowie zazdrości się z większą inteligencją, finezyjniej, przez co bardziej boli - zupełnie jakby sypali ci sól na otwartą ranę.

Jeśli jesteś tam obcy, pozostajesz obcym. Możesz chodzić do Pięknego Psa, Alchemii, Bunkra czy Zwisu; bywać na modnych

performansach, na których młodzi, gniewni, antykapitalistyczni pisarze biczą się pętkami parówek, na wernisażach, wieczorkach poetyckich i premierach; wtrącać swoje trzy grosze do toczonych nad kuflem dyskusji o tolerancji dla gejów i lesbijek, ale jeśli nosisz wypalony na czole stygmat obcości, twoje wysiłki spełzną na niczym. Oni wyczuwają obcych tak jak psy wyczuwają strach. A mimo to wciąż kochasz ten przeklęty Kraków niczym jakaś głupia pinda, która z płaczem ucieka z mieszkania do zakonnic, przysięgając sobie, że tym razem już na pewno złoży skargę, a po tygodniu wraca do męża, by ten grzmotnął jej tępym łbem o futrynę. Lecz Kraków ma też dobre strony. Mogłeś na przykład spotkać na Rynku Czesława Miłosza spacerującego o laseczce w otoczeniu wianuszka przyjaciół, zjeść obiad w studenckiej jadalni, gdzie całkiem przyzwoity zestaw obiadowy kosztował dziesiątaka, wypić kieliszek grzanego wina, albo wędzoną herbatę w jednej z przytulnych herbaciarni. Mogłeś otwierać się na tę urokliwość, chłonać ją, ssać jak sutek, zamykać w sobie, ale był jeden warunek, którego należało przestrzegać, jeśli nie chciałeś zostać wydalony jak to co zazwyczaj się wydala - pod żadnym pozorem nie próbuj stać się częścią tego układu.

Myśli o Krakowie mają cierpko gorzki smak rozgryzanej aspiryny, więc wyobraźnia przenosi mnie do Paryża z przełomu XIX i XX wieku. Jest to Paryż Moneta, Degasa, Picassa, Matise'a, Apollinaire'a, Ezry Pounda, Gertrudy Stein, Hemingwaya i Miro; najnowocześniejsze miasto ówczesnej cywilizacji zachodniej, gdzie musiał znaleźć się każdy, kto chciał się liczyć; ocean nieskończonych możliwości dla tych, co mieli wystarczająco ikry, by po nie sięgnąć; kuźnia nowych idei i kadź, w której w cieniu symbolizującej jeszcze nieskompromitowaną wiarę w zbawienność postępu technologicznego stalowej wieży Eiffle'a kwitł i kipiał intelektualny ferment

mający położyć podwaliny pod nadciągającą milowymi krokami nową epokę. Bawię się z rozkoszą tym wyobrażeniem. Już prawie słyszę jak tegie konsjerżki odganiają żebraków ze swoich bram. Dolatują mnie poranne melodyjne nawoływania kwiaciarek i koźlarzy, którzy za parę groszy napełniają ci dzbanek kozim mlekiem dojonym prosto z jędrnych wymion. Na ekranie zapłakanej szyby widzę siebie jako biednego artystę wynajmującego zakarałuszone poddasze na Montmartre włączającego się wieczorami z równie obdartymi przyjaciółmi po najtańszych burdelach w poszukiwaniu modelki albo przygody, bądź przesiadującego w zatłoczonych kawiarenkach, gdzie w gęstych oparach dymu rodziły się zarzewia rewolucji i nowych prądów, dopóki o bladym świetle nie wyprosiłby nas ostatni kelner ledwie widzący na oczy ze zmęczenia. Sto lat później, gdy wszystko to co wtedy rodziło się opromienione blaskiem nadziei, dobiega swego niezbyt chlubnego kresu, zastanawiam się czy tamten Paryż by mnie przyjął, czy może przeżuł i wypuł niczym grudkę parszywego tytoniu. Przenieść się tam i zostać na wieczność, jak figuryanka w zaklętej kryształowej kuli, bez wiedzy o przyszłości trwać w wiekuistym „teraz”. Zostać w Paryżu pierwszych trzydziestu lat dwudziestego wieku albo w Monterey w tamtych wspaniałych, gorących trzech dniach czerwca sześćdziesiątego siódmego i nie wiedzieć nic o Altamont trzy lata później i o Piekielnych Aniołach nadciągających na hałasliwych motocyklach z nożami, by zarządnąć kolejny mit - obojętnie gdzie, byle zachować błogosławione złudzenie, że może się wszystko.

Choć utyskuję salonom, w gruncie rzeczy tęsknię za nimi. Odczuwam nieprzeparty głód obcowania z ludźmi owładniętymi duchowym płomieniem, wymiany myśli, sporu, współzawodnictwa, ścierania się na twórczych polach. Potrzebna mi gleba, na której mogłaby zakiełkować moja odrębność. Ale, jak przekonałem się w Krakowie, dzisiejsze elity, cyganeria czy tak zwana arystokracja ducha to zaledwie żalosne strzępy, żyjący pozornym życiem pogrobowcy tamtych wspaniałych ludzi



Grzegorz Pawlak

obsiadających gwarne stoliki Ziemiańskiej czy Lilas. Ó, tak, do tamtych kawiarni chętnie bym zaglądała! Ale ich już nie ma i nigdy nie wrócą. Zostali tylko żałośni, sarkastyczni inteligenci boleśnie świadomi swej indolencji i szczerzący sardonicznie jadowite kły jak wystraszeni chłopcy nadrabiający miną. O nich to dopiero Gertruda Stein mogłaby powiedzieć: „Une generation perdue”. Pokolenie w istocie stracone do kwadratu, pokolenie zarażone tymczasowością, trawiące życie na robieniu zakupów w hipermarketach, gapiące się w ekrany i zdzierające kciuki na pisaniu idiotycznych esemesów. Tamci orbitujący wokół salonu panny Stein mogli pić, lajdaczyć się i nie mieć żadnych ideałów, lecz mimo to, a może dzięki temu, stworzyli dzieła, które przetrwały ich własną marność i z dużym prawdopodobieństwem przetrwają także nadchodzące wieki. Szukałem w Krakowie kogoś podobnego do nich, ale znalazłem tylko garstkę schowanych we własnych skorupach, zakom-



📷 Tomasz Młynarczyk

pleksionych snobów wymiecionych przez miotłę masowej kultury na marginesy życia i broniących tego ostatniego papierowego bastionu resztkami sił.

Z drugiej strony może po prostu jestem niesprawiedliwy, wściekły na tych, którzy okazali się lepsi albo sprytniejsi i przemawia przeze mnie zwykłą frustracją porażki i urażoną dumą. Bo być może nigdy nie istniał ten mój Paryż, a ludzie z Lilas wcale nie byli tak cudowni jak sobie wyobrażam i możliwe, że dość szybko pokazaliby mi miejsce w szeregu, podobnie jak uczyniło tych paru krakowskich redaktorków. Być może jedyne, w czym jestem naprawdę dobry, to malowanie świata własnej ułudy, wznoszenie - i to bez pełnego szkła - zamków na piasku. Ludzie zawsze zdradzali skłonność do idealizowania tego, czego nie doświadczyli na własnej skórze lub tego, co potencjalnie mogłoby się im przydać oraz melancholijną tęsknotę za tym co było i bezpowrotnie przeminęło - zwłaszcza gdy teraźniejszość zanadto im dopie-
kla.



MARIUSZ KARGUL

* * *

właściwie za bardzo nie wiadomo
z myślą o kim lub o czym oddaje się ducha
historycy, pisarze, politycy i apologety
siłą się później na domysły, teorie, dogmaty

czerwonym odpowiada, aby umierać za lud
czarnym z imieniem Boga na ustach
tym co bronią z przekleństwem wroga
tym co żywią z grudą gliny w przetyku

mordercy sądowi jeszcze wyrok na siebie każą podpisać
a tym, co to już bliżej niż dalej
klepsydra powolną niech będzie



BEATA PATRYCJA KLARY

między pociągami

Jestem niestosownie ubrana jak na poczekalnię.
 Marznę w cienkich pończochach. Wszystko dla wrażenia.
 W końcu zjawiasz się ciepłem.
 Po długim niewidzeniu poznajesz zapach kotki
 i że włosy dłuższe.
 Smakujesz ciemny Junan, który piłam wcześniej.

Zaczynamy drgać sobą.
 Wspięci na bliskości łagodzimy obrzęki.
 Musisz wracać.
 Ale jeszcze nie teraz.
 Jestem niestosownie ubrana jak na pożegnanie.

ballada wiejska

Wydeptujesz pokrzywy z ruin,
 bo chcesz mnie w środku zakolysać.
 Wpisani w klimakterium miejsca,
 w historii, których nikt już nie opowie,
 na zmurszałych deskach odciskamy siebie.
 Pocierana skóra nasącza się ciszą.
 Ktoś tu wcześniej robił to samo, tylko wtedy
 drzwi zamykano kluczem.

Proponujesz spróbować studni. Smakuje powitaniem.



RAFAŁ JAWORSKI

POEZJA A POETA, INDYWIDUUM A JEGO WYTWÓR

„Jeden jest najważniejszy” - uczył Heraklit.

Przedzieramy się przez chaszcze pojęć do matecznika filozofii. Bardziej przekonywująco jest wierzyć mędrcom z Efezu niż przywoływać poglądy Thomasa Carlye'a czy Fryderyka Nietzschego. Jeden jest najważniejszy. I to stanowi zasadę ogólną, ale i dotyczy też każdej z osobna dziedzin ludzkiej działalności, ars, sztuki, czy jak tam to zwał, również najsubtelniejszej z techn: poezji, poetyczności, narcyzowości w taflach wersetów, rzeźby w słowie. Jeden jest najważniejszy, ale jaki Jeden ma być, kiedy jawi się jako najważniejszy, jaki żeby nim był, stawał się?

Heraklit był pewien, że wyraża prawdę absolutną. „Gardził nie tylko ludźmi głupimi, ale także poetami i mędrkami uprawiającymi fałszywą (nie uczącą rozumu) *wielowiedzę* (polymathie)”. Zgodnie jego z poglądami, obiektywny sąd można uzyskać kiedy Logos duszy kontroluje narzędzia poznania w postaci zmysłów i intuicji, i umie w świetle postrzeganej (w całej jej dynamice) harmonii przetworzyć dane z informacji w sposób uczciwy, bowiem: „złymi świadkami są oczy i uszy dla ludzi, którzy mają barbarzyńskie dusze”. Tak więc zadanie Jednego jest niezwykle trudne: ma być najważniejszym dla ogółu; musi ocierać się boleśnie o prawdę uniwersalną (zdając sobie sprawę, że można do niej zaledwie dążyć) i próbować obiektywizować poznanie, doznane prawdy częściowe, a następnie podjąć się syntezy i jej projekcji w zasadzkach formy wypowiedzi. Wychodzę od filozofa, bo poznanie filozoficzne i poetyckie są tego samego gatunku. Wyraстая ze zdziwienia czy też podziwu. W XV wieku Pico della Mirandola twierdził, że „nie jest człowiekiem, kto nie uprawia filozofii”. Jeśli filozofia jest koniecznym warunkiem człowieczeństwa, to jakże bardziej koniecznym dla człowieczeństwa osoby jest pojmowanie świata w intuicyjnym akcie doznania typu poetyckiego. Oj,

tylko, że niezmiennie teraz zawężamy krąg tych ludzi, których należy zwać człowiekiem! Trudno. Taki temat.

A teraz skok. Przez trojańskiego konia dwudziestu pięciu stuleci, który przeniósł w sobie więcej zdradliwych a pysznych Ulisów niż Hektorów gotowych bezmiennie cierpieć - w obronie Miasta: jest wiek XXI. Nie szuka się już herosa w postaci czystej, wyprowadzonej z kwidytatywnych przesłanek etyki. Kilkadzieci lat temu Jacek Łukaszewicz (nawet w komunie) mógł pisać analizując współczesne mu zjawiska w dziedzinie poezji: „Chcemy, aby nasz bohater był silny i posiadał mądrość, z której ta siła się narodzi; chcemy aby działał świadomie i rozumnie, aby przekształcał siebie i świat”. Takie zdanie korespondoowało z odczuciami umysłowej czołówki i dużej części bardziej szarego tłumu osób. Teraz, w sferze kultury Zachodu, pożąda się idola. On niewiele - wymaga: wzorzec, który stanowi, jest zrozumiały i pochlebny wobec słabości osoby podległej jego urokowi. Jego hucpa jest wyznacznikiem zachowań, wektorem dla umysłów i zbiorowego etosu codzienności. Upadły autorytety. Autorytety przez duże A. Dzięki fałszywej koncepcji wolności podmiotu w społeczności, zależność ta, którą można sprowadzić w układzie międzyosobowym do relacji zwanej na terenie psychologii „dominacja - submisja”, wydaje się czymś totalitarnym, nieuzasadnionym. Owszem, funkcjonują wyrocznie społeczne, także w sferze twórczej, ale są sztucznie kreowane i wykorzystywane przez samych kreatorów w sposób zbyt przejrzysty, aby nie budziły odruchowego obrzydzenia.

(Dla odprężenia i gwoli stworzenia przerywnika w wywodzie wykonajmy wolę logiczną. Tatiana Okupnik napisała tekst piosenki: „Jestem ogniem, jestem lodem, jestem dla ciebie śniegiem i szczytem gór. Jestem niebem, jestem piekłem...” itp, itd. Teksty piosenek pisali wybitni poeci. W

melodię piosenek wtlaczano wiersze najwybitniejszych poetów. Per analogiam Tatiana O. jest poetką. Piosenka poetyczna Tatiany trafia do najszerzych kręgów odbiorców. Nawet tych drzemiących przy piwie i krakersach u wrót ekranu tv. Tak to wszyscy jesteśmy odbiorcami poezji i istnieje, może funkcjonować poezja zrozumiała. Wniosek: hic et nunc Okupnik vincit - Zagajewski ab... Ale dość... wesołkowatości.)

Historia literatury bywa częstokroć przedstawiana jako suma biografii poetów, prozaików i eseistów, i wyrasta z gleby dziejów powszechnych. Historia ta, której język kielzna naukowy aparat, gaworzy o pokoleniach, epokach, kresach, prądach, signum temporis, rodzeniu się i zdychaniu toposów, strukturach, hermeneutykach, itp. To jest gra krytyków, którzy chcą uzasadnić swoje istnienie, prestiż i przychody z okupacji uniwersyteckich katedr. Pewnie w jakiś sposób porządkują rzeczywistość i nie postulują o ich anihilację,

tylko o opamiętanie. Są zaledwie księgowymi historii literatury. Trochę pokory nikomu nie zaszkodzi. Pewien poeta wielbił Ulrikę Meinhof (wysmażył patetyczny poemat na topie realnego socjalizmu) i Andreasa Baadera (jej zbrojne ramię). Teraz, po ataku na WCT, nadal jest Profesorem - uczy studentów smaku literackości i zapewne wywołuje wykwintną zgagę postliryki. Historia literatury to historia dzieł literackich, przede wszystkim dzieł, za którymi ukrawał się i ukrywa autor. Dzieło jest istotne - nie życiorys, który po latach mniej bawi publikę i krytyków. Na nim jest ślad szmalu: nakład wydania, ranking sprzedaży, szum medialny, środowiskowy. Przykład. Krytycy biją się o prawo do publikacji każdego zdjęcia i wspomnienia o Rafale Wojaczku. Szukają „dojść” do rodziny i jak hieny tropią relikwie po nieszczęsnym samobójcy. Gotowi wzywać do sądu inne hieny. Biografia winna być deserem po wnikliwej analizie dzieła jako dania głównego. Trzeba jednak powiedzieć, że to





Jarosław Sujczyński

nie do końca prawdziwe - z tym dziełem oderwanym od człowieka tworzącego - co udowodnił to P. Johnson w książce *Intelektualści*. Wydaje się jednak, że do końca nie da się oderwać dzieła od biografii i biografii od dzieła. Najbardziej jaskrawym przykładem jest Norwid.

Smutne to zjawisko, kiedy np. Jarosław St. Jackiewicz pyta w niszowym piśmie: „Jaka jesteś współczesna poezjo?” I zaraz: „jaka być powinna?” Tzn., że krytyk rozróżnia „poezję” i „poezję współczesną”. I jest to tak oczywiste, że nie wymaga omówienia, czy konstatacji faktu. To bolesne nieporozumienie potwierdza rozwód poezji z poezją rzeczywistą. I to rozdarcie jest tak naoczne, że nie wywołuje u większości obserwatorów żadnej refleksji. To tak jak z muzeami sztuki. Na niektórych pisze „Muzeum Sztuki Współczesnej”. Jest to ostrzeżenie dla widza i konsumenta, że może spotkać tam dyferencjał z mechanicznego pługu zespawany z korbowodem samochodu marki syrena i taż konstrukcja zwie się *Instalacja XXXIL* autorstwa światowej sławy artysty X.Y. I drugi błąd myślowy w tymże artykule (konsekwencje degrengolady typu Gombrowiczowskiego): pisze się

dla treści. Tzn. naprzód jest proces poznawczy, a potem dla danych wyniesionych z tego procesu szuka się adekwatnych środków wyrazu. W takich opiniach tkwi brak światła z heraklikańskiego Logosu, który ma być sankcją dla artysty.

Natomiast jeśli wrócić do ponad trzyletnich dyskusji prasowych trzeba zapewne przywołać słuszne pojęcie „jaizmu”, które ewokował Stefan Pastuszewski: „Młodzi piszący doznają porażenia poezją, czy choćby tylko poetycznością i to w sposób wielce nieporadny... A na dodatek, egoistycznie zapatrzeni w siebie, piszą tylko o sobie. W ten sposób rodzi się „jaizm”, będący wyrazem wyjałowionych ekspozycji swego *ja* w każdym miejscu i na każdym kroku”. Należy jednak to pojęcie rozciągnąć na inne grupy piszących, w tym na twórców w pełni akme; na neofitów pracy w metaforach w wieku po-produkcyjnym; na tych, którzy nie rozliczyli się z przeszłością i podpierani poetami w sutannach deklamują swe wiersze na krakowskim rynku pod pomnikiem Wieszcza.

Najważniejszy jest jeden. Tak było zawsze. Z dziesiątków tysięcy zostaje On. Te tysiące są nieodzowne ze swym chybieniem twórczym i ułomnością biografii, ale - niewątpliwie przygotowują grunt pod Jego (jednego najważniejszego) spełnienie dokonane w aktach umysłu wtłoczonych w formę. A pamięć o tysiącach będzie efemeryczna. Niech im ziemia lekka będzie. Liczy się jeden. Wydaje się, że termin „jaizm” nie jest zbyt dokładny na opis zauroczonej sobą i słowem kompozycji psyche-hyle. Jeśli już to „Ja-izm”, „Ja-blebleplotyzm”. Brzmieniowo „jaizm” kojarzy się też jakoś mechanicznie z „robieciem sobie jaj”, jałową błazenadą, a przecież osobniki i osobniczki ściśle kręcące się wokół własnego ogona, zapatrzone w swój pępek czy części ciała bardziej intymne, swoje refleksje traktują niezmiernie poważnie. Niech ktoś spróbuje życzliwie zwrócić im (Ja-istom) uwagę choćby na oczywisty błąd formalny! Oczy matowieją, usta zacina gniew i uraza. A jeśli zapłacą żywą wodą kasy za warsztaty z krytykami o nazwiskach pojawiających się w werdyktach

konkursów, to są z uwagami, nawet polajanką, pogodzeni; pytają grzecznie, płaszcą się, ślinią. Zapłacili: mają dostać towar, dobre samopoczucie. Zleceniorobcy nie są zapiekli w negacji ich dokonań.

Przywołajmy teraz świadectwa Poetów, do których miana nie trzeba dodawać żadnych przymiotników. Z jednej strony: „Jeśli tematem sztuki będzie/ będzie dzbanek rozbity/ mała rozbita dusza/ z wielkim żalem nad sobą// to co po nas zostanie/ będzie jak płacz kochanków/ w małym brudnym hotelu/ kiedy świtają tapety”, a z drugiej: „To nie byle co, wejść tu, gdzie wszedłeś:/ czegoś zdołał dokonać, wielka to chluba. Nawet najniższy ten stopień wysoko/ jest wydzwignięty nad pospolity świat”. Ambiwaleńcja refleksji.

Indywidualność twórcy a wartość jego poezji – jak się ma? Nie ma tutaj odpowiedniości. Jakiegoś prawa liryki Talesa czy układu równań z czterema przynajmniej niewiadomymi: X – siłą charakteru, Y – głębią doznań, Z – odwagą twórczą, Q – opanowaniem odpowiedniej formy.

Żeby rozpocząć rzetelnie te dociekania, trzeba koniecznie przytoczyć sugestie krytyczne T. S. Eliota, które w tym kontekście są niezmiernie ważne. Poza tym przywołuję autorytet (dla mnie): *αὐτὸς ἐπὶ* (on, nasz mistrz). Eliot pisze w szkicu *Tradycja i talent indywidualny*: „Odwroćcie zainteresowań od poety ku poezji jest dążeniem godnym pochwały, bo doprowadziłoby do słusznego osądu konkretnej poezji i złej, i dobrej. Wiele osób umie się poznać na wyrazie szczerości uczuć w poezji, ale mniej jest takich, którzy potrafią ocenić doskonałość rzemiosła. Ale już bardzo niewiele wie, kiedy w poezji dochodzi wzruszenie znaczące, wzruszenie, które żyje w poezji, nie w biografii poety. Wzruszenie artystyczne jest bezosobiste. I poeta nie może osiągnąć tej bezosobowości, nie poddając się bez reszty dziełu, które ma wypracować. A łatwiej będzie wiedział, co ma robić, jeśli żyć będzie nie tylko w teraźniejszości, lecz i w teraźniejszych momentach przeszłości; jeśli będzie zdawał sobie sprawę nie tylko z tego, co jest

umarłe, lecz i z tego, co żyje”. To jest zadanie dla kolosów, tytanów, Herkulesów. Ale takie zadanie każdy poeta winien na swoją miarę realizować. Każdy może być Herkulesem swej słabości. „Ja-izm” cóż ma do tego!? Nie wpisuje się w ten krąg dokonań. Ja-iści nie wstępują na „pierwszy stopień” ten z wiersza Kawafisa, gdzie „na agorze spotkasz Prawodawców,/ których nie oszuka żaden awanturnik.” Jeśli, jak powiedziano wyżej, autorytety upadły, to czemuż ktoś ma tropić przeszłość w teraźniejszości, zmagać się z jej fantomami, w wojnie przeciwieństw stwarzać nowe jakości odniesień? Wystarczy mała dusza, nadmająca się swą wyjątkowością i rewelatorstwem własnych konstatacji, sama sobie drukująca swe wytwory.

Kiedy poeta, ten jeden, przepoczwarza się w najważniejszego? Odpowiem: kiedy wyraża prawdę, przekracza swe ja. I jest w tym konsekwentny i znajdzie jeszcze dla Niej odpowiedni język, dla swego przekraczania też. Cóż jest prawda? – powtórzmy pytanie Piłata. „Prawda jest zgodnością intelektu i rzeczy, kiedy to intelekt orzeka, że coś jest i to coś jest, lub że coś nie jest i faktycznie nie jest” – tę definicję przytacza Św. Tomasz z Akwinu, jako cytat z książki Izzaka Ben Salomna. Bardziej znana jest w wersji skróconej: *Veritas est adaequatio intellectus rei* – prawda jest zrównaniem (albo dostosowaniem) umysłu i rzeczy. Prawda w sztuce jest inna, nie taką miarą uchwytą. Jej źródłem staje się doświadczenie poetyckie (jakby pionowa chwila, gwałtowna jasność, umiejscowienie w czasie i przestrzeni tego, co istotne najistotniej) i doświadczenie ludzkie twórcy chwytającego głębią serca sens ludzkich spraw, wymiar wartości, które decydują o pełni bycia człowiekiem. W tych empiriach artysta niczego nie zmyśla, niczego nie kreuje *ex nihilo*, niczemu arbitralnie nie nadaje nazwy, ale jak w każdym przeżyciu poznawczym przyjmuje do wiadomości sens, wręcz go przyswaja w postaci wizji poetyckiej (niekoniecznie słownej), której źródłem jest bezpośrednia, pojęciowo nieukształtowana intuicja bytu, transparenca atemporalnej i ponadprze-

strzennej metafory świata i człowieka. Pytanie o prawdę trudno stawiać dzisiaj: została zdezonizowana jako wartość najwyższa. Wydaje się, że jednym z powodów jest pogląd na istotę poznania mający swe korzenie w epistemologii Locke'a, Hume'a i Kanta. Według niego **poznanie jest tworzeniem sensu i nadawaniem znaczeń**, co samo w sobie jest bądź niepoznawalne, bądź w ogóle pozbawione znaczenia. Skoro poznanie jest nadawaniem znaczenia, to konsekwentnie musi mieć inne kryteria prawdziwości. Według Dietricha von Hildebranda do detronizacji prawdy przyczynił się również historyzm, który głosił, że każda prawda jest tylko wyrazem epoki, oraz psychologizm uważający, iż wszelkie poglądy człowieka są tylko wyrazem jego struktury psychicznej. To sprawiło, że prawdę uważano za wyraz życia podmiotu, za przejaw jego osobowości, a nie za sens bytu w sobie. Następstwem był relatywizm i sceptycyzm, które przerosły się w niewiarę w prawdę. Kolejnym bodźcem do rugowania prawdy z życia jest konsumpcjonizm i bezmyślny hedonizm, których powszechność jest przytłaczająca, a ich opozycyjność wobec problemów tego typu oczywista. Jeżeli w imię twórczej swobody i konceptu, można Krzyż zanurzyć w moczu dla efektu kolorystycznego i nie tylko, albo z własnej pochwy wyciągać lalkę Barry i film z tej czynności sprzedać do Muzeum, to gdzie jest pole dla dyskursu z artystami (krytykami), aż tak wyalienowanymi z ludzkiej rodziny? Jeżeli gówno, kał, wydzieliny, krew na noszach stały się źródłem natchnienia dla sztuk, powiedzmy że wyzwolonych, to czymże będziemy my - konsumenci tejże dziedziny ludzkiego rzemiosła, po asymilacji duchowej tychże wytworów? Dlatego „**coś stałego**” - ikona... - nieśmiertelność niesiona z pokolenia na pokolenie, figura wieczności.

Nadałem tytuł rozprawce *Poeta a poezja, indywidualium a jego wytwór*. Jakbym zaczytywał z ciemnego Heraklita plasterki Logosu, za które Justyn apologeta oddał życie. Podstawą wszystkich rzeczy i zjawisk są walczące a jednocześnie tożsame przeci-

wieństwa „wojna jest ojcem i królem wszystkiego” - stwierdzał mędrzec z Efezu.

Justyn zaś twierdził, że każdy człowiek przychodzący na świat, a więc i każdy poeta, ma w sobie „zasiew Logosu” (spermata tou Logou), który uwidacznia się w dobrym (duchowym i materialnym). Jest nadzieja, że pępkizm ja-centrystów nie ulegnie zakorzenieniu. Bardziej naukowo postulując dotknij go redukcja ad nihilum. Po przeczytaniu tego co napisałem powyżej, wydało się, że utworzyłem nowożytny florilegium i że udało się mnie (autorowi) skryć za parawanem przytoczeń i logicznych łączników pomiędzy cytataми, że nie uchybiłem Tradycji i Autorytetom, że jednak są w tym tekście kiełkujące fasolki prawdy i on cały jest taką pękającą w ciepłej wilgoci bolesną fasolką.

Na koniec trzeba powtórzyć Eliota (repetitio est mater studiorum): „Wzruszenie twórcze jest bezosobiste”. Dzieje się w osobie i poprzez osobę, a jednak jest bezosobiste. Osobistość sterylizuje zarodki prawdy, może być tylko formą cząstkowego autentyzmu.

„Wzruszenie twórcze jest bezosobiste”. Esc



 Paweł Żochowski



KAMIL KWIDZYŃSKI

Skan poetycki

List do styczniowej zawieruchy.

Przepraszam że wyszedłem tak prędko. Mimo twoich pełnych ud wciąż miałem wizje sufitowe projekcje napędzane wiatrem że też znikniesz przy świetle lub w nim odetchniesz raz jedyny że białe światelko wyleci ci z ust i fruwać będzie wokół mnie -

widziałem już ją dokładnie. Dwa metry od wioski strzaskane i na rękach niosłem dziecięce ciało pokryte pęcherzami. Nie chciałem zabierać ci marzeń i setek wieczornych filiżanek które lubisz na jednym paluszku podnosić między stronami.

Dlatego wyszedłem. Bo choć imion własnych nie literowaliśmy między poduszkami - to przez całą noc rosły nam dwa krzewy cytrynowe. Nie chciałem cię straszyć ani robić z siebie wariata ale na każdym jeden owoc. Oświeślał lektury obopólnie - twój grzbiet cały był pokryty rzędami czarnych chińskich liter.

Jednak póki kontrolowałem oddech i przylegałem do drugiego serca było dobrze. Zrobiliśmy swoje i samotnie z przyzwyczajenia zasnęliśmy tylko pośladkiem się stykając. Mamrotałaś słodko że oszczędzisz na prądzie bo zawsze śpisz przy telewizorze.

Tych dwóch godzin nie zapomnę. Jak się rzuciła między snami pierś jej czerwoną sierścią pokryta. Z każdej strony szarpała blizny które zarastały latami. - Pani moich białych nocy wróciła i nadrabiała głód wyrastający już zbyt daleko poza organizm.

Chińskie czcionki migotały rzucone w najgłębszy cień pokoju. a twoje cytrynowe drzewko usychało oddając soki mojemu - pod sufit urosło i owoców w stratę brzemiennych ubrało dziesiątki. Skażone rodziło się niebo twojego przyszłego domu.

Przepraszam że wyszedłem tak prędko teraz rozumiesz. Nie chcę byś była kluczowym słowem w tytułach żalonych listów i tępych wierszy które krwawię nocami. Nie będę w hysterii składał na tobie kwiatów i pił przy nich wtórnymi godzinami.

P.S.

I jeszcze jedno dwie sroki usiadły na twoim śmietniku najpierw energicznie oglądały się na boki a później wsuwały dziób pod blaszaną klapę. Czy myślisz że my też tak życie smakujemy? Wiem to śmieszne. W końcu jesteśmy sobie obcy. Na razie.



TOMASZ KRZYKAŁA

BALZAK I JEGO COMEDIE HUMAINE - TRYLOGIA STRACONE ZŁUDZENIA

Na styku dwóch wielkich epok w historii i sztuce europejskiej, mianowicie kończącego się już i wypalonego intelektualnie średniowiecza oraz nadchodzącego, ale wciąż niepewnie jeszcze stawiającego kroki renesansu, pewien włoski poeta Dante Alighieri napisał swój wielki poemat i nazwał go po prostu *Komedią* (*Commedia*). Potomność dodała drugi człon do nazwy i w efekcie mamy dzisiejszą *Divina Commedia* - czyli *Boską Komedję* - niezaprzeczalny kamień milowy w literaturze europejskiej zawierający w sobie wszystko co niosło ze sobą średniowiecze, ale i wiele z tego, co dopiero miało się pojawić później w renesansowym humanizmie. Po wielkich eposach starożytności i żywotach świętych średniowiecza przyszedł więc czas na komedie, na trywialność codzienności. Do literatury wkroczyła jednostka ludzka. Był to zwykły człowiek posiadający swój

strach, swoją śmieszność, namiętności, pasję, a nie człowiek będący polem walki dla wielkich idei. Świat boski został zastąpiony światem relacji i interakcji społecznych, a ślepa wiara podejściem naukowym, według którego istota ludzka podlega pewnym prawom dającym się zbadać i zrozumieć, ale nie są to prawa determinowane religijnie - przeciwnie, nie mają one z religią zbyt wiele wspólnego.

W roku 1789 wiele epok historycznych i literackich po Dantem wybuchła Rewolucja Francuska. Po raz pierwszy na taką skalę (acz nie po raz pierwszy w historii - rewolucja w Anglii miała bowiem miejsce ponad wiek wcześniej) przekreślone zostają przywileje arystokratycznego urodzenia, do władzy dochodzi burżuazja, dotychczasowy porządek społeczny kończy się raptownie, a rozpoczyna się w zamian wielka niewiadoma. Ta wielka niewiadoma to czas walk, rewolucji, buntów i powstań na wszystkich niemal gruntach życia społecznego w całej Europie, a zwłaszcza we Francji; od sfery gospodarczej poczynawszy (rewolucja przemysłowa, bankructwo Banku Francuskiego), poprzez sferę społeczną (ciągłe restauracje monarchii i panowanie kolejnych rządów republikańskich, oraz Wojny Napoleońskie i kolejne warianty rządów kolejnych cesarzy, a wszystko to przeplatane rewolucjami, strajki i ruchy robotnicze), sferę kultury (pojawienie się romantyzmu, nowych trendów w malarstwie stojących w otwartym konflikcie z akademią francuską, czyli kanonem klasycznym) itp. Słowem dotychczasowy wygląd Europy zostaje zburzony, znikają prastare organizmy państwowe podbite przez dynamicznych sąsiadów (Rzeczpospolita Polska, Rzeczpospolita Wenecka) - wszystko się zmienia, pulsuje i zmierza do przewartościowania. Ale to przewartościowanie nie jest już wypadkową uniwersalistycznych sporów ideowych, jak w średniowieczu, czy w



epoce wojen religijnych - odbywa się ono na polu procesów społecznych i jest wynikiem nowego układu sił w społeczeństwie - jest więc częścią tego, co Dante jako pierwszy nazwał *Commedia*.

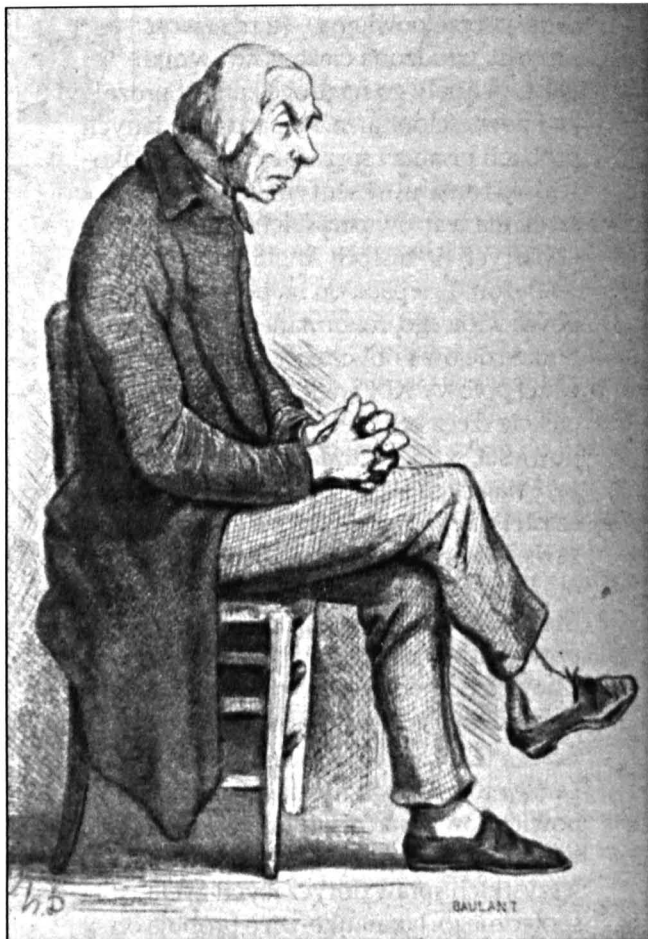
W takiej to atmosferze pierwszej połowy XIX stulecia rozwija się unikalna, niesamowita twórczość Honoré de Balzaca (1799-1850) - niespotykane zjawisko literackie, fenomen na skalę największych indywidualności twórczych i jakość sama w sobie.

Twórczość Balzaka to w istocie coś, co nie ma precedensu. Nie da się przecenić tego, co człowiek ów wniósł do literatury, sposobu w jaki to zrobił i tego czym stał się dla historii zarówno Francji, jak i Europy tamtego czasu oraz europejskiej literatury. Nie da się również przecenić tego czym była ta bujna, iście Francuska osobowość kiedy ją sportretować, jeśli zdamy sobie sprawę, że ten człowiek wytyczył i dopracował SAMODZIELNIE bieg literatury na ponad sto lat do przodu nie posiadając absolutnie innych wzorców i odniesień oprócz własnych pasji, zainteresowań, wścibstwa i genialnego umysłu, no i na dodatek arcyidealistycznego i arcyromantycznego założenia, że literatura jest „zwierciadłem spacerującym po gościńcu”, czyli nie ma, (kompletnie nie ma!!!) w naszej rzeczywistości dziedziny i pola, gdzie literatura by nie mogła wnikać. Ponieważ w tak bujnej osobowości łatwo się pogubić, to może zacznijmy od początku.

Honoriusz Balzak (zarówno imię jak i nazwisko Balzaka uległo spolszczeniu na gruncie literatury polskiej - wielce znamienita rzecz - powiemy o tym jeszcze, bo nie da się tego faktu przemilczeć) urodził się na południu Francji. Żył i umarł w epoce europejskiego Romantyzmu. Był on właściwie rówieśnikiem Mickiewicza, umarł zaś w tym samym roku co William Wordsworth, który zapoczątkował w Europie romantyzm. Żyjąc w czasach trwania jednej, silnej, zwartej epoki stawiającej nacisk na poezję i uwewnętrznione przeżycia, był Balzak odbiciem niezwykle trzeźwo na świat patrzącego ducha mieszczaństwa francuskiego (pomimo szlacheckiego nazwiska - dlaczego takie miał o tym też

sobie jeszcze powiemy). Ta trzeźwość umysłu, wrodzona ciekawość i wnikliwość, pchnęły go na drogę kariery prozaika i powieściopisarza. Po paru nieudanych próbach pisania i sprzedaży podłych jakościowo romansów sentymentalnych i sztuk dla teatrów paryskich (nomen omen - opartych na historii Anglii i na twórczości Byrona) - wpada on na pomysł cyklu powieściowego, rozumianego jako panorama dziejów i obyczajowości Francji pierwszej połowy XIX wieku. Powstaje w efekcie rzecz bez precedensu - ponad 100 powieści, sztuk teatralnych i opowiadań zazębiających się ze sobą pod względem czasu i miejsca akcji (zawsze Francja, zawsze czasy współczesne Balzakowi) oraz... pod względem bohaterów, postaci literackich. Powstaje gigantyczny cykl powieściowy należący (a właściwie tworzący go od podstaw) do nurtu realizmu powieściowego¹ i nazwany *Komedią Ludzką* (*La Comédie Humaine*). *Komedія Ludzka* to realistycznie napisany cykl powieściowy w którym pisarz jawi się jako wnikliwy obserwator i analityk wszystkich spraw dotyczących życia społecznego. Jak naukowiec próbuje on wyjaśnić czytelnikowi wszystkie mechanizmy tego życia. Można tutaj posłużyć się porównaniem Tadeusza (Boya) Żeleńskiego - tak samo, jak kucharz pichci potrawy, tak samo Balzak z zakasanyimi rękawami warzy dla nas w swojej „kuchni społecznej” nowe potrawy - czyli nowe książki właśnie.

Tytuł *Komedія Ludzka* nie jest więc tytułem przypadkowym. Tym samym, czym było dzieło Dantego dla świata idei, tym samym miało być dzieło Balzaka dla życia społecznego Francji. Do tego jeszcze dzieło Balzaka świadomie nawiązuje do renesansowego przełomu w widzeniu jednostki ludzkiej - tytuł celowo odcina się od tej „idealnej” boskości i ogniskuje zainteresowania czytelnika na człowieku, rozumianym jako istota społeczna. A wszystko to w samym apogeum romantyzmu, niosącego dokładnie odwrotne przesłania! Można by sobie pomyśleć, że faktycznie, z romantyzmem i poezją ma to niewiele wspólne-



Ojciec Goriot • Honoré Daumier

go. Nic bardziej mylnego! Przede wszystkim warto tu przytoczyć kilka faktów biograficznych z życia tej niezwykle soczystej osobowości i wspaniałego przy tym człowieka, którym był Balzak. Po pierwsze - jak on pisał? Głównie w nocy, ubrany w rodzaj habitu jak zakonnik (był bowiem człowiekiem - jak się to zwykło mówić - dość obfitych kształtów i garderoba dzienna była dla niego po prostu krępująca) pisał do rana wypijając przy tym litry kawy. Po drugie - co było dla niego głównym źródłem inspiracji? Rauty, przyjęcia, spotkania towarzyskie były dla niego i jego pisarstwa niezbędne do życia jak chleb. To tam wyszukiwał pierwowzorów postaci, portretując żyjące osobistości czasem aż nader dokładnie - wielu znało dokładnie realne odpowiedniki bohaterów zaludniających *Komedie Ludzką*. Niemala wrogów przysporzyły mu opisy portretu-

jące tę czy inną osobę w negatywnym świetle. Ostatnie pytanie wreszcie - co pozwalało mu stworzyć tak gigantyczny cykl spójnie ze sobą powiązanych powieści i setek zazębiających się wątków i się w tym nie pogubić? Przecież to niemal niemożliwe. Prawdę mówiąc gubił się Balzak nie raz, pomyłek i lapsusów popełniał wiele, ale pomimo tego *Komedia Ludzka* jest dziełem spójnym. Wydano nawet Répertoire de la Comédie humaine, czyli (że zacytuję tutaj znowu Tadeusza Boya-Żeleńskiego) „rodzaj skorowidza do całości utworów Balzaka”, czyli spis porządkowy jego książek. „Widząc, jak wszystkie wypadki, postacie schodzą się i wiążą w jedną całość, można by mniemać, iż całość ta, olbrzymia koncepcja *Komedii Ludzkiej*, jest tworem dokładnie i cierpliwie przemyślanym w każdym szczególe. Byłoby to omyłką; jest w niej o wiele więcej genialnej improwizacji, niż się wydaje”.²

Mamy więc obraz twórcy obdarzonego nimbem geniuszu i samotnie skupiającego się nad losami całego społeczeństwa, niejako biorącego na swoją odpowiedzialność całą ówczesną Francję. Podobnie jak Napoleon sam jeden zmienił mapę świata, tak Balzak, sam jeden stworzył nową „Sumę Teologiczną”³ swoich czasów. Taki obraz pisarza nie ma nic wspólnego z realizmem i naukowym podejściem do tematu - to w istocie głęboko romantyczny etos twórcy - arcyromantyczny nawet, jak to było już mówione wyżej. Dzisiejsza psychologia mówi też, że to bardzo ludzki, zdrowy wizerunek zakładający zaangażowanie i inwencję zarówno autora jak i czytelnika w miejsce zimnej analizy i beznamietnego gromadzenia danych - czyż nie wspominałem, że była to iście „soczysta” osobowość? Taki wysiłek był jednak ponad siły i Balzak umiera w wieku 51 lat - dzieli więc i tym faktem realia biograficzne z wieloma romantykami - własnym zdrowiem opłaca swoją twórczość.

Komedia Ludzka nie jest w żadnym razie dziełem naukowym - nie jest dziełem jednorodnym i (jak już mówiliśmy) pełno w niej niedociągnięć. Wiele części pozostawia sporo do życzenia pod względem litera-

ckim, wiele jest rozbieżności i niedociągnięć, które jednak w unikalny i pasjonujący sposób umiejscawiają nam osobę Balzaka w samym centrum jego dzieła. Jeżeli poczytamy trochę wybitnych dzieł realizmu i naturalizmu francuskiego, zwłaszcza Flauberta, Zolę, czy Maupassanta, zauważymy aseptyczną wręcz skłonność do usunięcia śladów osobowości autora i jego prywatnych poglądów z ram dzieła literackiego w imię realistycznego obiektywizmu. Nic podobnego u Balzaka! Z jego charakterem tak by się nie dało! Z całkowitą słuszością powiedzieć można, że żywy, dynamiczny charakter autora jest tu obecny w każdym miejscu jego dzieła, nie pozbawiając jego pisarstwa w żadnym razie realistycznej wymowy, tak jak realizmu rozmowy zasłyszanej na ulicy nie pozbawia fakt, że biorący w niej udział to nasi dobrzy znajomi. Przeciwnie! Przez to jego dzieło zyskuje dodatkowy, jakby teatralny wymiar (ale w dobrym znaczeniu tego słowa), a czytelnik nie traci kontaktu z życiem. Osoba Balzaka stała się w niezrównany sposób następną postacią literacką w *Komedii Ludzkiej* - wyobraźmy sobie jakiego kunsztu literackiego trzeba, żeby się na coś takiego poważić z dobrym skutkiem!

Pierwszymi książkami Balzaka jakie mi wpadły w ręce była trylogia *Stracone złudzenia* składająca się z części: *Dwaj poeci*, *Wielki człowiek z prowincji w Paryżu* oraz *Cierpień wymalaczy*. Szczerze powiedziawszy miałem szczęście, bo ta trylogia to jedna z głównych pozycji w *Komedii Ludzkiej*, wyśmienita pod względem literackim, a do tego wprowadzająca wątek utraconej niewinności, dżungli wielkiego miasta - jednym słowem, to literackie rozliczenie romantyczno-sentymentalnych mitów prowincji francuskiej o splendorze i powabie życia śmietanki towarzyskiej wielkiego Paryża.

Dobre pisarstwo Balzaka w jego najlepszych książkach ma tę cechę, że potrafi wciągnąć i zaabsorbować z wielką siłą. Od książki po

prostu nie da się oderwać. *Stracone złudzenia* napisane są z takim impetem, tak rozległym wachlarzem poruszanej problematyki, że pierwsze wrażenie oszołamia. Nie mniej jednak literacka wyrazistość opisów i niepowtarzalny sposób kreślenia sylwetek postaci Balzakowskich przychodzi z pomocą i pozwala zagubionemu nieco czytelnikowi odnaleźć się w tym świecie - w tej osobnej rzeczywistości, żywej w sposób konkurencyjny ze światem realnym. To tak, jakbyśmy nagle znaleźli się faktycznie w centrum wielkiej metropolii, pełnej zgiełku i pulsującej życiem. „Konsekwentne studiowanie Balzaka - pisze Oskar Wilde - przemienia naszych przyjaciół w cienie, znajomych w cienie cieni”.⁴ Czegoż tam nie ma! Balzak prowadzi nas przez wszystkie sfery życia i nie unika wnikliwej analizy żadnej z nich. Kiedy mówi o prowincji (w tej książce to akurat miasto Angouleme) wnika we wszelkie, dostępne sobie niuanse życia tamtych społeczności, ich sposób zorganizowania, ideały, horyzonty intelektualne itp. Kreśli wielką panoramę ówczesnej obyczajowości. Kiedy pisze o handlu, wnika w szczegóły buchalterii i prowadzenia ksiąg rachunkowych, kiedy pisze o produkcji papieru, podaje szeroki szkic historyczny tej gałęzi przemysłu (sic!) we Francji, omawia jej stan ówczesny, a potem, z jednakową wnikliwością opisuje wszystkie stadia produkcji, niejednokrotnie dodając ceny surowca, półproduktów i produktu końcowego z uwzględnieniem kosztów podatkowych, robocizny, dystrybucji i reklamy. Kiedy pisze o bankowości i kredytach, opisuje detale wszystkich słynnych afer i bankructw podając ich genezę i przyczyny, tkwiące nierzadko poza granicami Francji i związane z polityką globalną. To samo - czyli wielość detali - podaje Balzak w związku z przepisami dotyczącymi patentów i racjonalizacji opisując i wyliczając znane mu luki w przepisach - no czyż to nie imponujące? Z pojedynczymi postaciami postępuje podobnie, stając się wnikliwym i wiarygodnym (akurat w tej trylogii jest bardzo wiarygodny - w innych książkach bywa z tym różnie) obserwatorem

ludzkich charakterów i emocji. To tutaj właśnie, w literaturze Balzaka zostały położone podwaliny analitycznego psychologizmu literackiego, tak dokładnie wyzyskanego później przez Marcela Prousta, który sam był wielbicielem *Komedii Ludzkiej*. Postaci *Straconych złudzeń* powracają w niej jednej jeszcze powieści Balzaka i są to niepospolite postaci w niepospolity sposób opisane. Mamy więc absolutnie fenomenalnie nakreśloną sylwetkę Lucjana Chardon⁵, przedstawiciela mieszczaństwa, młodego chłopaka u którego idealizm zmagają się z ambicjami ponad miarę. Po tym jak Lucjan osiadł w Paryżu, przybiera on (całkiem zresztą bezprawnie) tytuł szlachecki i nazwisko De Rubempré. Ale zanim się to stało, zanim rozpoczyna się pogoń Lucjana za blichtrzem tego świata, zanim kończy się ona degrengoladą moralną i śmiercią (co jednak wykracza poza ramy *Straconych złudzeń* i dotyczy już kolej-

nej trylogii w ramach *Komedii Ludzkiej*, a mianowicie *Blasków i nędzy życia kurtyzany*) mamy tę postać opisaną tak dogłębnie, z takim wyczuciem, czasami wręcz sympatią autora, że bez wątpienia powiedzieć można - to jedna z najlepiej ujętych postaci literackich w historii. Plastyka tej postaci wręcz uderza!! „Jedną z największych tragedii mego życia - pisze znowu Oskar Wilde - jest śmierć Lucjana de Rubempré. Nigdy nie zdołałem się wyzwolić całkowicie z tego przejmującego bólu. Dosięga mnie w chwilach najwyższej radości, tłumnie raz wybuchy śmiechu”⁶. Czy jest jakieś wyjaśnienie tego szczególnego pietyzmu w podejściu Balzaka do postaci młodego parweniusza z Angouleme? Otóż jest. Historia Lucjana jest momentami bardzo zbieżna z historią samego Balzaka i z pewnością determinuje takie, a nie inne potraktowanie tej postaci. Lucjan Chardon (alias - de Rubempré) to postać niejednorodna - młody, dynamiczny chłopak o zaskakującym ładunku skrupułów i tradycjonalizmu, sentymentalny, zawadiacki, skromny, choć nienasycony, święty łotr - powiedzielibyśmy dziś. Takie nagromadzenie przeciwieństw i ekstremów w jednej osobie mogłoby być kanwą niejednej książki i jest fenomenem przekraczającym skalę środków wyrazu niejednej literatury narodowej - ale nie tej francuskiej. Tutaj, to właściwie chleb powszedni... Kim więc był w głębi sam imię Honoré de Balzac, skoro tak jaskrawą postać potrafił on odmalować piórem z taką finezją, z taką mnogością półtonów, a przy tym tak tętniącą życiem? Balzac był przedstawicielem klasy średniej (tak jak Lucjan) i wyjechał do Paryża po to, aby tam zawojować świat i zrobić fortunę na pisaniu (Lucjan też - jakżeby inaczej - chciał podbić świat), popadał tam w niekończące się problemy finansowe (znowu tak jak Lucjan) i bliski był tego żeby się kompletnie stoczyć. Właściwie gdyby nie pani Ewelina Hańska (Polka, najpierw kochanka, a potem żona Balzaka) oraz jej fortuna, to nie wiadomo, jak by się te wieczne, Balzakowskie problemy finansowe skończyły. Ale najbardziej charakterystyczną cechą stanowiącą podobieństwo



Ilustracja do *Straconych złudzeń* . Adrien-Moreau

między Balzakiem, a Lucjanem może być fakt, że sam Balzak posługiwał się nieistniejącym nigdzie prawem do szlachectwa i wymyślonym samodzielnie nazwiskiem „De Balzac”. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało po prostu Balssa - Honoré de Balzac był po prostu wnukiem wieśniaka z południa Francji⁷ - osoby takie jak on mogły wypłynąć po rewolucji, kiedy Francja z kraju wzajemnie powiązanych koligacji arystokratycznych stawała się powoli krajem demokratycznym. Zaraz, zaraz! - spytać może ktoś - To po co była mu ta szopka ze szlacheckim pochodzeniem? Ano właśnie - tutaj ocieramy się o pewien paradoks charakteru Balzaka i w pewien sposób ówczesnej Francji również. Balzak był rojalistą, czyli osobą popierającą władzę króla i tęskniącą do dawnej, przedrewolucyjnej Francji Burbonów. Był on katolikiem (co znacznie ułatwiło mu zadomowienie się w sercu pani Eweliny Hańskiej). Jednakowoż pokost rojalizmu i katolicyzmu na jego charakterze i poglądach nie był zbyt gruby - tu i ówdzie wyziera spod spodu ta nowa, dynamiczna, znana nam i dziś Francja republikańska. Francja ludzi pracy (a czy sam Balzak ze swoją twórczością i olbrzymią dynamiką nasuwa nam jakiegokolwiek skojarzenia z pretensjonalnym i skostniałym w przepisach etykiety przedstawicielem arystokracji?). Natomiast faktem jest, że w pisarstwie Balzaka, a w szczególności w sposobie w jaki sportretował Lucjana de Rubempré odbijają się rozterki i dylematy ówczesnego społeczeństwa - a jeśli się przyjrzeć to i całej sztuki przedwcześnie dojrzałego francuskiego romantyzmu - czyli wkraczanie we wielką niewiadomą, w świat, gdzie nienaruszalne zasady etyczne i moralne zostały zakwestionowane i obalone. Ten świat, to świat nieznany, świat, który trzeba stworzyć i zrozumieć od samego początku - rzeczywistość więc skłaniała do stwarzania tak wielkich, monumentalnych dzieł jak *Comédie Humaine*. Czasem, aby zrozumieć życie lepiej, czasem zaś, by od tego życia uciec.

Jakie jeszcze inne postaci *Straconych złudzeń* zasługują na uwagę? Szczerze powiedzia-



Ilustracja do *Kuzynki Bietki* • Georges Cain

wszy jest ich wiele, bo i *Stracone złudzenia* to jedna z głównych ulic *Komedii Ludzkiej*. Wspomnę więc tylko jeszcze Rastignaca i Vautrina. Rastignac na kartach naszej trylogii jest jeszcze młodym żółtodziobem, niemal studentem paryskim (co samo w sobie jest tak symboliczne i obciążone wielością treści kulturowych, jak co najmniej drugi, pokrewny termin, kiedy mówilibyśmy o aktorze). Rastignac to silna osobowość pokrewna niewątpliwie do Talleyranda⁸ - powoli, lecz - konsekwentnie pnie się po szczeblach kariery, by dojść wreszcie godności ministra.

Vautrin natomiast reprezentuje w powieści paryski świat przestępczy i wkracza do akcji na sam koniec *Straconych złudzeń*, ale wkracza w taki sposób, że odkładamy książkę drżącą ręką i wściekli, że autor akurat teraz musiał zakończyć swoją opowieść, no akurat w takim miejscu!!! Jest to jednak część niepowtarzalnego uroku *Straconych złudzeń*, to, że książka kończy się akurat w ten sposób.

Pośród innych, wielokrotnie potem pojawia-

jących się postaci jest jeszcze bankier Nucingen, Estera i wiele innych, ale - ach! - a jakim mistrzostwem one są nakreślone - one faktycznie żyją! Cytat z Oskara Wilde'a nie jest wcale przesadny - kiedy ja czytałem *Stracone złudzenia* (przełożone z francuskiego przez Boya - jak większość dzieł Balzaka. Dodać tu jeszcze wypada, że przekład Boya jest rzeczywiście świetny!), miałem, jak każdy wiele swoich spraw. Pamiętam z nich wszystkich tylko historię Lucjana de Rubempré - wszystkie inne okoliczności mojego życia zbladły już dawno we wspomnieniach - zetknięcie zaś z Balzakiem to ciągle żywy wybuch pasji i fascynacji o wielkiej sile!

Powiedzieliśmy wyżej, że zarówno imię jak i nazwisko Balzaka uległo spolszczeniu na gruncie literatury polskiej. Honoré de Balzac, to Honoriusz Balzak. Dlaczego? Głównie, niewątpliwie przez niezwykłą żywotność popularyzatorską podjętą przez Boya w latach 20. i 30. XX wieku, dalej poprzez długoletni związek z Ewelina Hańską zakończony zresztą ślubem w Berdyczowie w 1850 roku. To na pewno też wynik faktu, że wiele polskich postaci załudniło „Komedię Ludzką”, wiele historii napoleońskich wydobył Balzak z przeszłości. Ale to wszystko nie wystarczy.

Dziś, w epoce stabilnej niepodległości państwowej i masowej emigracji zarobkowej do Anglii, w epoce dominacji angielszczyzny i zalewu amerykańsko-anglosaskich produktów kultury masowej mało kto pamięta, czym były dla Polski związki z Francją w wieku XIX i XX. Cały polski romantyzm rozwijał się przecież w Paryżu, tam też polska emigracja polityczna znajdowała azyl jeszcze w latach 80. XX wieku. Rewolucja Lipcowa w 1830 roku we Francji wybuchła w okrzykach *Vive La Pologne!* Tam powstała jedna z pierwszych bibliotek polskich. Jeszcze podczas stanu wojennego w Paryżu ludzie tłumnie gromadzili się na manifestacje poparcia dla Polski walczącej.

A przecież jeszcze zupełnie niedawno Paryż był jedynym zakątkiem świata, gdzie beznadziejna sytuacja Tybetu odbiła się głośnym protestem, a nawet zamieszkami

podczas przygotowań do Olimpiady w Pekinie - tej żalosnej imitacji Igrzysk Olimpijskich w kraju bez wolności, bez jakiegokolwiek szacunku dla praw człowieka. Tylko Paryż zgasił znicz olimpijski, a w zasadzie lud paryski, taki sam, jak ten, którego siły świadom był Balzak - jeszcze raz sprawy zostały nazwane po imieniu. Ale tym razem nie w imieniu Polski była ta walka i łatwo nam ją było przegapić. Toteż wykorzystując w pełni zbliżenie z kulturą anglosaską nie powinniśmy zapominać o kulturze Francji, tym bardziej, że - generalnie rzecz ujmując - część naszej własnej tożsamości i walki jest w tej kulturze...

Przypisy:

- ¹ Pomimo istnienia „realistycznych” książek Waltera Scotta i Roberta Louisa Stevensona (obydwaj to Szkoci) w na polu bliskiej Balzakowi literatury brytyjskiej oraz powieści amerykańskich - zwłaszcza autorstwa Jamesa Fenimore Coopera (którego Balzak podziwiał), musimy sobie jednak zdać sprawę z pewnych różnic pomiędzy ich twórczością, a tym, co stworzył sam Balzak. Zarówno w przypadku Scotta, jak i Stevensona ich powieści to tylko podbudowa realistycznego kontekstu dla narodowego romantyzmu. Już prędzej wziąłbym tu pod uwagę dzieło Coopera, ale i tak to co stworzył Balzak to w istocie zupełnie inna jakość.
- ² Tadeusz Żeleński-Boy - wstęp do Blasków i nędzy życia kurtyzany. Cytuję za wydaniem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Warszawa 1959.
- ³ Suma Teologiczna to dzieło św. Tomasza z Akwinu. Daje ona najbardziej pogładowy obraz świata i wszystkich dziedzin życia w wieku XIII. Porównanie wydaje mi się tutaj nader sensowne.
- ⁴ Oskar Wilde Intentions (Dialogi o sztuce) cytuję za przepisaniem żywcem ze wstępu Boya do Blasków i nędzy życia kurtyzany. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1959.
- ⁵ Chardon - po francusku znaczy „oset”.
- ⁶ Patrz przypis nr 4.
- ⁷ Tadeusz (Boy) Żeleński - Wstęp do Mieszczanina Szlachcicem Moliere, Kraków 1923.
- ⁸ Charles Maurice de Talleyrand-Périgord (1754-1838) - biskup, polityk, minister francuski. Najpierw poparł rewolucję, potem był ministrem zarówno w okresie Dyktatoratu, Konsulatu i Cesarstwa. W 1814 poparł restaurację monarchii i po kolejnej zmianie strony barykady służył Burbonom. (według Encyklopedii Trzytomowej PWN, Warszawa 1999)





ŁDIA KOWALCZYK

przez dziurkę

Matylda miała żyłkę och nie
nie wędkarską a może smykałkę
na straganie prześcieradła
łatwo było odtrącić gdy w wyliczance
rosły nowe ośmiotysięczniki i przepaście

nie musiała kupować zatyczek
wszak potrafiła skuteczniej
wznosząc mur pretensji wiedziała
ma rację

skakała jak kozica po kamieniach
wyszukując tysiąc dziewięćset dwudziestego
by niewidzącym wejść w życie
wyreżyserowanych bohaterów
przecież była wrażliwa

oczami Temidy

wyciągamy wnioski
ledwie przebiegnie
między literami
tak prościej

nikt nie zagląda do wnętrza
ośet ośtem zostanie
któż spojrzy na kwiat
skryty w koszyczku

szaleństwo
nieostrzegalne z wierzchu
topi granit
z nastaniem popiołu
próżno wyciągać ręce

gdy przerzucamy kładkę

mówisz że daję i nie żądam
a jestem pięciozmysłem
chłonącym jak bibuła
słowa muśnięcia zapach
smak rozbudzony wzrokiem

gdy jesteś
mniejsza niż ziarnko gorczycy
wzrastam zielonością horyzontu
strach
ucieka z zamkniętymi oczami

czułość splata minuty aż po sen
ukołysany tchnieniem
a kiedy biodra nabierają kształtu
obrysowane delikatnością
źródła łączą się w strumieniu



ARKADIUSZ KULPA

22 sierpnia tego roku minie 98 lat od kradzieży najsłynniejszego obrazu świata zwanego w Polsce *Mona Lisą*. Obraz namalował wielki Leonardo da Vinci w latach 1503-1507. Przedstawia 24-letnią kobietę, którą w 1495 roku poślubił florencki szlachcic Francesku di Zonoli del Giocondo. To od jego nazwiska obraz powszechnie nazywany jest też *Giocondą*. Od 1519 roku stanowił własność francuskiego króla Franciszka I i do XVII wieku wisiał w zamku Fontainebleau. Następnie trafił do Luwru i znajdował się tam nieprzerwanie aż do wtorku 22 sierpnia 1911.

Tego dnia rano pracownik Luwru stwierdził,

*Mona Lisa* • Leonardo da Vinci

OBRAZ JAK KAMFORA

że w miejscu gdzie od około 200 lat wisiała *Gioconda*, został tylko gwóźdź. Wszczęto alarm i powstało duże zamieszanie. Wtedy nieznane było jeszcze coś takiego jak „kradzież dzieła sztuki”. Był to precedens w historii. Po upewnieniu się, że obraz nie znajduje się w pracowni konserwatorskiej, nakazano przeszukanie galerii, i gdy w jednym z pomieszczeń gospodarczych odkryto ramy od *Giocondy*, nie było wątpliwości - obraz został skradziony.

Tego dnia Luwr zamknięto dla zwiedzających. Zjechało się mnóstwo wysokich urzędników. Winnych szukano wszędzie. Przesłuchiowano mieszkających w Paryżu artystów - w tym Picassa. Aresztowano słynnego poetę Apollinaira, którego podejrzewano o kradzież, ponieważ kiedyś ukradł, w celu prowokacji, semicką statuetkę, którą oddał po kilku dniach. Zwolniono go dopiero po publicznych protestach.

Gdy o kradzieży dowiedzieli się paryżanie, miasto okryło się żałobą. Odbyło się mnóstwo demonstracji i wieców. Co ciekawe, w czasie gdy w Luwrze nie było *Giocondy*, galeria przeżyła prawdziwe oblężenie. Tysiące ludzi przychodziło zobaczyć puste miejsce po obrazie. Stawiano sobie pytania: kto, jak i dlaczego ukradł obraz, lecz mimo usilnego szukania odpowiedzi i zakrojonych na całą Francję poszukiwań, nie natrafiono na żaden ślad.

W czwartkowy ranek 10 grudnia 1913 roku w biurze znanego florenckiego antykwariusza Alfredo Geri pojawił się mężczyzna wyglądający na Włocha. Przedstawił się jako Vincenzo Leonardi i powiedział, że ma do sprzedania obraz, „który powinien wzbudzić zainteresowanie”. Możemy sobie tylko wyobrazić zdziwienie antykwariusza, gdy zobaczył, że ten obraz to *Gioconda* Leonarda da Vinci, której szuka cała francuska policja. Przybysz zażądał za dzieło 500 tys. franków w złocie.

Antykwariusz zaoferował się skontaktować ze znanym sobie bogatym amatorem sztuki.

Amatorem tym był dyrektor florenckiego Muzeum Uffici, profesor Giovanni Poggi. Razem zjawili się w skromnym pokoju w hotelu Tropili Italia, gdzie mieszkał Leonard. Ten, w ich obecności, wyjął spod łóżka stary kufer i pokazał im obraz. Gdy w końcu odzyskali głos, zaproponowali Leonardemu wspólne udanie się do Galerii Uffici w celu potwierdzenia autentyczności dzieła. Leonard się zgodził. Gdy przybyli do galerii, zostali tam prefekta florenckiej policji, którego wcześniej powiadomili o wszystkim Geri i Poggi. Jednak Leonardemu udało się uciec z obrazem. Pobiegł do hotelu, aby się szybko spakować i wyjechać. Nie udało mu się to. Został zatrzymany i wieczorem był już w areszcie.

Człowiekiem, który ukradł *Mona Lisę*, okazał się Vincenzo Perrugia vel Vincenzo Leonard, z zawodu tynkarz. Szybko przyznał się do kradzieży i opowiedział policji jak to wyglądało.

Rok przed kradzieżą przyjechał do Paryża i zatrudnił się w firmie Goblera, która w Luwrze pracowała przy oczyszczaniu starych obrazów i ponownym oprawianiu ich w ramy. Stąd Perrugia wiedział, jak wyjąć obraz z ramy i go nie uszkodzić. W wieczór poprzedzający kradzież Perrugia pozwolił zamknąć się w muzeum. Ukrył się w szafie na miotły. Miał mnóstwo czasu, żeby zdjąć ze ściany obraz i wydobyć go z ramy. Obraz wraz z ramą miał wymiary 140 x 130, a bez ramy 77 x 53 cm. Deskę, na której namalowana jest *Gioconda*, o takich wymiarach łatwiej było ukryć pod fartuchem, który miał na sobie Perrugia.

Trzeba zaznaczyć, że w tamtych czasach w Luwrze nie podejmowano żadnych środków bezpieczeństwa. Dzieła nie były odpowiednio zabezpieczone i chronione, w salach wystawowych spali bezdomni, prostytutki szukały bogatych klientów, a funkcję identyfikatora pełnił właśnie biały fartuch. Każdy, kto go założył, mógł do Luwru wejść, poruszać się po nim i wyjść bez przeszkód. Wykorzystał to Perrugia. Rano 22 sierpnia wyszedł z ukrycia i udał się do wyjścia niosąc pod fartuchem obraz. Lecz drzwi zastał zamknięte. Już miał je

wyważać, gdy otworzył mu je od zewnątrz hydraulik zatrudniony w muzeum. Grzecznie się przywitali, Perrugia podziękował mu za otwarcie drzwi i opuścił Luwr.

Przez długie miesiące *Gioconda* leżała w skrzyni pod łóżkiem w mieszkaniu Perrugii w Paryżu w okolicach dworca północnego. Może leżałaby jeszcze dłużej, gdyby złodziej nie skontaktował się z florenckim antykwariuszem Geri.

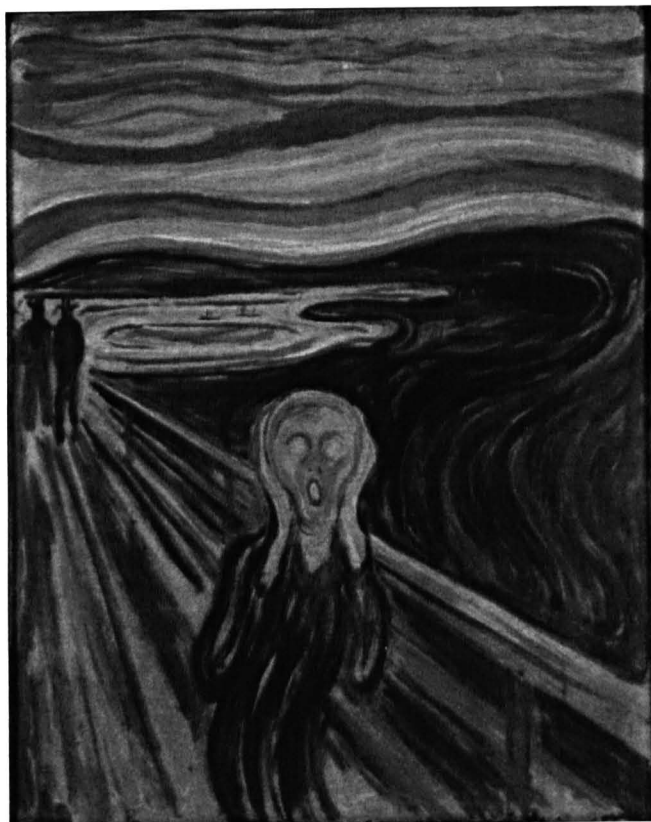
Vincenzo Perrugia stanął przed florenckim sądem. Jako powód kradzieży podał „zemstę za wszystkie skarby kultury zrabowane we Włoszech przed Napoleonem Bonaparte”. Mimo tego uznano go winnym, lecz zastosowano okoliczności łagodzące, bo nie odniósł z kradzieży żadnych korzyści finansowych. Skazano go na rok więzienia, a *Giocondę* przekazano francuskiemu ambasadorowi w Rzymie.

Arcydzieło wróciło do Luwru 31 grudnia 1913 roku, lecz znajdowało się tam zaledwie siedem miesięcy. Wraz z wybuchem I wojny światowej zostało wywiezione do zamku w Chambord z obawy, aby podczas działań wojennych nie uległo zniszczeniu.

Po kradzieży Mona Lisy powstała dość ciekawa „teoria spiskowa”, która mówi, że kradzież obrazu zlecił Perrugiemu znany oszust i fałszerz markiz de Valfierno. Na podstawie oryginału miał on wykonać 6 idealnych kopii. Żeby mógł je sprzedawać bogatym kolekcjonerom obraz przez jakiś czas nie mógł być odnaleziony. Wypląnął dopiero po sprzedaniu kopii. Jak było naprawdę? Może się kiedyś dowiemy. Prawdę zna tylko *Gioconda* i dlatego tak tajemniczo uśmiecha się zza kuloodpornej szyby.

Można powiedzieć, że ta głośna kradzież w Luwrze zapoczątkowała rozdział w historii sztuki, który można nazwać „kradzież dzieł sztuki”. Od razu chcę zaznaczyć, że nie mówię tutaj o rabunkach dokonanych podczas dwóch wojen światowych i o takich „kolekcjonerach” jak marszałek III Rzeszy Hermann Goring. Mówię o kradzieżach dokonywanych w muzeach lub prywatnych kolekcjach, których motywem jest najczęściej zysk.

W ubiegłym wieku obrót dziełami sztuki stał się bardzo dochodowym interesem. FBI



Krzyk Edward Munch

oszacowało, że obroty skradzionymi dziełami wynoszą 6 mld dolarów rocznie. Na liście Interpolu znajduje się około 30 tys. zrabowanych dzieł. Kradzieży dokonują pojedyncze osoby albo wyspecjalizowane gangi, z własnej inicjatywy lub na zlecenie bogatych kolekcjonerów. Choć nieraz zdarzają się i tacy desperaci jak ten w Londynie.

W 1961 roku z National Gallery w Londynie pewien Brytyjczyk wyniósł dzieło Francisa Goi *Portret Księcia Wellingtona*. Motywem jego działania był protest przeciwko płaceniu przez emerytów abonamentu telewizyjnego. Desperat początkowo żądał okupu, lecz w końcu zwrócił obraz. Za swój wyczyn dostał tylko trzy miesiące więzienia. Pewnie ekspertyzy psychiatrów były okolicznościami łagodzącymi.

Niestety nie zawsze kradzieże dzieła sztuki wyglądały tak niewinnie i groteskowo jak ta w Londynie w 1961 r. Najczęściej jest to włamanie lub napad z bronią w rękę, a zrabowane dzieła nieraz nie odnajdują się nigdy lub odnajdują się poważnie uszko-

zione.

W nocy z 18 na 19 marca 1990 roku do drzwi Muzeum Izabella Stewart Gardner w Bostonie zastukało dwóch policjantów. Zdumionym strażnikom oświadczyli, że mieli sygnał o włamaniu do tego muzeum i chcą sprawdzić czy wszystko jest w porządku. Gdy tylko strażnicy otworzyli drzwi zostali obezwładnieni, skrepowani i dotkliwie pobici. Rano odnaleźli ich pracownicy muzeum. Rano też stwierdzono, że z muzeum znikło 12 najcenniejszych obrazów. Złodzieje przebrani za policjantów ukradli m.in. trzy obrazy Rembrandta, pięć obrazów Degasa, obrazy Vermeera i Monea. Wartość skradzionych dzieł to 330 mln dolarów. Agent specjalny FBI Geoffrey J. Kelly oświadczył, że mimo sprawdzania wszystkich informacji, nigdy podczas śledztwa nie natrafiono na trop, który doprowadziłby do sprawców tego napadu. Ostatnio FBI dostało sygnał, że w antykwariacie w mieście Reno w stanie Nevada ktoś widział dzieło Vermeera *Koncert*, zrabowane z bostońskiego muzeum. Po sprawdzeniu okazało się, że to tylko bardzo dobra kopia.

FBI wyznaczyło 5 mln dolarów nagrody za informacje, które pomogą odzyskać obrazy. Ten napad był najgłośniejszym rabunkiem dzieł sztuki w historii USA.

Napad w Bostonie odbył się w nocy i bandyci mieli do czynienia tylko ze strażnikami. Lecz coraz częściej dochodzi do zuchwałych napadów z bronią w rękę na muzea w biały dzień - wtedy, kiedy sale są pełne zwiedzających. W taki właśnie sposób zrabowano bezcenne dzieła z muzeów w Oslo, Sztokholmie, Drumlanring i Zurychu.

W biały dzień 12 lutego 1994 roku do Galerii Narodowej w Oslo wtargnęło dwóch uzbrojonych mężczyzn w kominiarkach. Jeden z nich sterroryzował bronią strażników i zwiedzających, a drugi zdjął ze ściany dwa dzieła Edwarda Muncha: *Krzyk* i *Madonnę*. Razem z obrazami wybiegli przed muzeum gdzie czekał na nich wspólnik w samochodzie i odjechali. Całe zdarzenie trwające minutę nagryły kamery ochrony. Mimo tego nie udało się zidenty-

fikować rabusiów. Szybko postawiono na nogi całą norweska policję. Do poszukiwań przyłączyła się firma Art. Recovery Limited, która od wielu lat zajmuje się tropieniem i odzyskiwaniem skradzionych dzieł. Zakrojone na dużą skalę poszukiwania przyniosły efekt dopiero po dwóch latach. Wtedy to aresztowano sprawców napadu. Nie chcieli wyjawić, kto był zleceniodawcą kradzieży. Odzyskano też oba obrazy - niestety, poważnie uszkodzone.

Podobny przebieg miał napad na muzeum w Sztokholmie. Opinia publiczna nazwała to zdarzenie najśmielszą w historii Europy kradzieżą obrazów.

Muzeum Narodowe w Sztokholmie znajduje się przy nabrzeżu. Kolekcja obrazów, które posiadało nie była ubezpieczona, bo znajdowały się tam takie dzieła, że jej wartość była bezcenna i muzeum nie było stać na jej ubezpieczenie. Nie posiadało też dobrych, nowoczesnych zabezpieczeń. Te braki wykorzystali złodzieje, którzy - jak się później okazało - byli perfekcyjnie przygotowani do napadu. 22 grudnia 2000 roku wieczorem do nabrzeża, przy którym znajduje się Muzeum Narodowe, podpłynęła łódź, w której znajdowało się kilku mężczyzn. Jeden z nich został w łodzi, a reszta - zamaskowana i uzbrojona - wtargnęła do muzeum na 5 minut przed zamknięciem. Tutaj terroryzują bronią strażników i zwiedzających i rabują trzy obrazy.

W tym samym czasie ich wspólnicy na drogach dojazdowych do muzeum podpalają dwa samochody i rozsypują kilkadziesiąt kolczatek i pospawanych ze sobą naostrzonych drutów. Wszystko to ma utrudnić policji dojazd do muzeum, a złodziejom dać cenne minuty. Po zdjęciu obrazów ze ściany napastnicy szybko oddalili się, wsiedli do łodzi i odpłynęli zanim przyjechała policja. Wszystko nie trwało nawet pięć minut.

Złodzieje wiedzieli, co mają ukraść. Z muzeum zginęły trzy najcenniejsze dzieła:

Autoportret Rembrandta i dwa obrazy Renoira: *Rozmowa* i *Młoda paryżanka*, razem warte 30 mln dolarów.

Jak zawsze przy takich zdarzeniach postawio-

no na nogi policję w całym kraju i zarządzono poszukiwania na dużą skalę. Na efekty poszukiwań nie trzeba było długo czekać. Okazało się, że złodzieje popełnili jeden błąd w swoim perfekcyjnym planie. Przy zakupie łodzi zostawili sprzedawcy numer telefonu jednego z nich. Dwa tygodnie po napadzie aresztowano pierwszego ze sprawców. Po tym aresztowaniu reszta bandy chciała jak najszybciej pozbyć się obrazów. Kilka tygodni później próbowali sprzedać obraz *Rozmowa* Renoira. Umówili się z rzekomym kupcem, którym był policjant. Ten, gdy tylko zorientował się, że ma do czynienia z oryginalnym obrazem, dał znać czekającym w zasadzce kolegom i złodzieje zostali aresztowani. Wtedy udało się odzyskać tylko *Rozmowę* Renoira. *Autoportret* Rembrandta i *Młoda paryżanka* Renoira, wróciły na swoje miejsce dopiero we wrześniu 2005 roku.

Z bronią w ręku zrabowano też dzieło Leonarda da Vinci. Rabunek miał miejsce w Szkocji. 27 sierpnia 2003 roku dwóch mężczyzn udających turystów weszło do zamku księcia Buccleucha w Drumlanring. Kupili



"Chłopiec w czerwonej kamizelce" Paul Cézanne

bilety za 6 funtów i udawali, że zwiedzają zamek. Gdy weszli do sali, gdzie wisiała *Madonna z kołowrotkiem*, sterroryzowali strażnika, przewodnika i zwiedzających nożem, zerwali ze ściany dzieło i uciekli białym volkswagenem golfem. Dzieło wyceniono na 30 mln funtów. Do tej pory go nie odnaleziono. *Madonna z kołowrotkiem* wisiała w zamku Drumlanrig nieprzerwanie od 250 lat.

Uzbrojeni bandyci napadli też na muzeum Fundacji Emila Georga Buerhlego w Zurychu. Szwajcarska policja nazwała ten rabunek największą kradzieżą dzieł sztuki w Europie. Skradziono najcenniejsze obrazy z kolekcji rodziny Buerhle. Były to 4 dzieła: *Chłopiec w czerwonej kamizelce* Paula Cezanne'a, *Hrabia Lepic z córkami* Edgara Degasa, *Maki w Vetheuil* Claude'a Moneta i *Kwitnący orzech włoski* Vincenta van Gogha. Wartość ich oszacowano na 163,2 mln dolarów. W niedzielę 10 lutego 2008 roku o godzinie 16.30, na pół godziny przed zamknięciem, do muzeum wtargnęło trzech ubranych na czarno, zamaskowanych i uzbrojonych mężczyzn. W tym czasie w muzeum było 15 zwiedzających. Jeden z nich, grożąc bronią, zmusił ochronę i zwiedzających do położenia się na podłogę, a pozostała dwójka zajęła się rabunkiem. Po zdjęciu obrazów ze ściany zapakowali je do białego opla omegi, zaparkowanego przed muzeum, i odjechali. Całe zdarzenie trwało około 3 minut. Są wątpliwości czy złodzieje ukradli upatrzone z góry dzieła. Dyrektor muzeum Lukas Gloor twierdzi, że zabrali 4 pierwsze obrazy, które wpadły im w ręce, ponieważ pozostawili znacznie cenniejsze wiszące w tym pomieszczeniu.

Tydzień później pracownik Kliniki Psychiatrycznej w Zurychu powiadomił policję, że przed tą kliniką stoi samochód, w którym leżą jakieś obrazy. Okazało się, że były to *Maki w Vetheuil* Moneta i *Kwitnący orzech włoski* van Gogha, skradzione z kolekcji rodziny Buerhle. Ich autentyczność potwierdziły późniejsze badania. Obrazy odnalazły się w nienaruszonym stanie. Nadal nie wiadomo, kto dokonał kradzieży i co stało się z pozostałymi dziełami. Rodzina

Buerhle za wszelkie informacje, które pomogą odzyskać dzieła wyznaczyła nagrodę wysokości 100 tys. franków szwajcarskich. Złodzieje wykorzystują też słabe zabezpieczenia muzeów. Przestarzałe systemy alarmowe, niewyszkolona i nieczujna ochrona, złe zabezpieczenie okien i drzwi to dla nich wystarczająca zachęta żeby podjąć ryzyko. Jak słabe są zabezpieczenia nawet prestiżowych muzeów niech zaświadczy incydent, który miał miejsce w październiku 2007 roku w Paryżu. Wtedy to grupa młodych i pijanych ludzi włamała się dla zabawy do Muzeum d'Orsay. Niczego nie zabrali, ale poważnie uszkodzili dzieło Claude'a Moneta *Most w Argenteuil* - powstała w nim dziura o długości 10 centymetrów.

8 grudnia 2002 roku pracownikom Muzeum van Gogha w Amsterdamie ukazał się dziwny widok. Znaleźli w muzeum wybite okno i linę długości 4,5 m przywiązaną z tyłu budynku. Ale mimo strażników, kamer i czujników na podczerwień nie znaleziono w muzeum dwóch cennych obrazów Vincenta van Gogha: *Plaża w Schereningen* i *Wyjście kongregacji z kościoła w Nuenen*.

Przybyła na miejsce policja ustaliła, że złodzieje dostali się na dach muzeum po drabinie, którą zostawiła ekipa techniczna pracująca w muzeum. Gdy byli już na dachu, wybili okno, przez nie po linie dostali się do muzeum, skradli obrazy i wyszli tą samą drogą.

Dlaczego ta drabina tam stała? Dlaczego nie zadziałał żaden alarm? Takie pytania zadawali sobie detektywi prowadzący bardzo intensywne śledztwo.

Rok później 12 grudnia 2003 roku w hiszpańskim mieście Marabella w luksusowej dzielnicy Puerto Banus, aresztowano jednego ze sprawców kradzieży w Amsterdamie. Był nim 31-letni Octave Durham, znany policji jako „The Monkey” (Małpa). Drugi ze sprawców - też 31-letni Henk Bieslijn został ujęty w tym samym roku w Amsterdamie. W 2005 roku obu skazano odpowiednio na 4,5 roku i 4 lata więzienia oraz zapłacenie 350 tys. euro odszkodowania. Wyrok oparto na dowodach w postaci

śladów DNA pozostawionych przez złodziei na miejscu przestępstwa. Znalezione tam czapkę i kapelusz sprawców. Byli też świadkowie zdarzenia, których zeznania sąd wziął pod uwagę. Obrazów, jak dotąd, nie odnaleziono. To olbrzymia strata, szczególnie dlatego, że oba obrazy były wczesnymi pracami artysty, a obraz *Plaża w Schereningen* Van Gogh malował w nadmorskim kurorcie i w warstwach farby widoczne są ziarenka piasku z plaży. Policja holenderska za pomoc w odnalezieniu obrazów wyznaczyła nagrodę w wysokości 100 tys. euro.

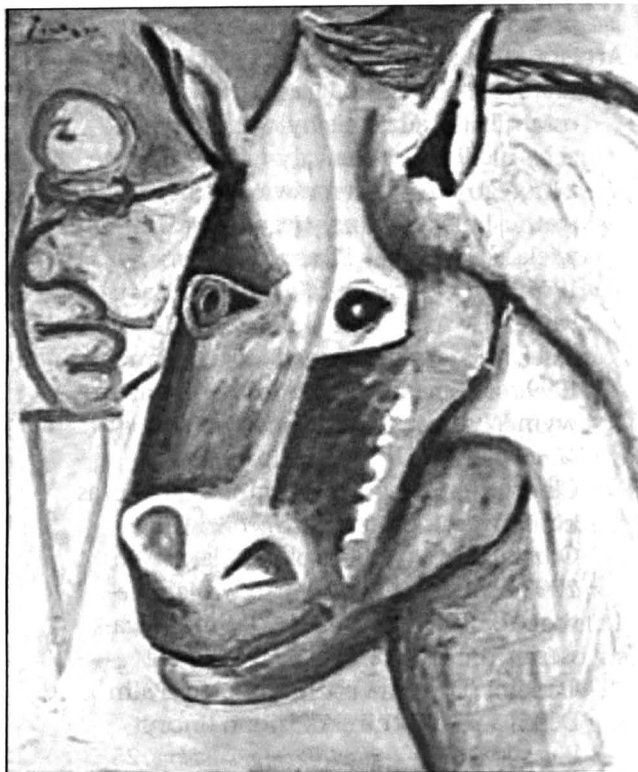
Tego samego roku w Muzeum Narodowym w Caracas - stolicy Wenezueli, odkryto bardzo dziwną kradzież, która nie wiadomo kiedy miała miejsce - kilka miesięcy, czy kilka lat temu. Sprawa dotyczy *Siedzącej odaliski* Henriego Matissea, który to obraz powinien wisieć w muzeum w Caracas, a ukazywał się w katalogach aukcyjnych w takich miastach jak Paryż, Nowy Jork i Miami. To właśnie w USA, w Miami na Florydzie, zwrócił na niego uwagę doświadczony handlarz dzieł sztuki, którego zdziwiło to, że ten obraz jest na sprzedaż. Żeby odkryć prawdę, skontaktował się z redaktorem jednej gazet w Caracas, ten nawiązał kontakt z muzeum. Muzeum na pytanie redaktora odpowiedziało, że obraz Matisse'a wisi na swoim miejscu. Lecz gdy ten nalegał na rzetelną odpowiedź, zgodziło się oddać obraz do ekspertyzy. Wtedy prawda wyszła na jaw - w muzeum wisiała bardzo marna kopia *Siedzącej odaliski*.

Kto zamienił obrazy i kiedy to zrobił? Policja podejrzewa, że musiał to zrobić ktoś pracujący w muzeum, ktoś, kto miał dostęp do pracowni konserwatorskiej, ponieważ do nabicia kopii obrazu na blejtram użyto maszyn z tej właśnie pracowni. Jednak sprawcy nie ustalono. Ustalono natomiast, że ten proceder trwał od jakiegoś czasu, ponieważ w muzeum odkryto jeszcze kilka falsyfikatów mniej znanych twórców. Mało tego, w katalogach aukcyjnych znaleziono obrazy wystawione na aukcji mimo tego, że ich oryginały wisiały na ścianach w tym muzeum. Oznacza to, że

proceder z fałszywkami miał trwać dłużej. Artystą, którego dzieła są chyba najczęściej kradzione jest Pablo Picasso (1881-1973). W ostatniej dekadzie nie było chyba roku, żeby media nie podawały wiadomości, że z któregoś muzeum na świecie lub z prywatnej kolekcji zginęły jego dzieła. Największej kradzieży Picassa dokonano w 1976 roku we Francji. Wtedy to z Pałacu Papieża w Awinionie skradziono 119 jego dzieł. Na szczęście wszystkie odzyskano. W 1999 roku z saudyjskiego jachtu na Łazurowym Wybrzeżu skradziono *Portret Dory Maar*. Trzy lata później w paryskim Centrum im. Georges'a Pompidou podczas konserwacji skradziono *Martwą naturę*. Odzyskano ją w 2003 roku. W kwietniu 2003 z muzeum Whitworth w Manchesterze zniknął obraz *Bieda*. Razem z Picasssem zniknęły też dzieła van Gogha i Gaugina. Dwa lata później z galerii Palm Desert w Kalifornii skradziono linoryt Picassa *Kobieta wyglądająca przez okno*. 25 lutego 2006 roku skradziono obraz Picassa z muzeum w Rio de Janeiro Brazylii. Wtedy też skradziono obrazy Matisse'a i Moneta.



"Maja z lalką" Pablo Picasso



"Głowa konia" 🐾 Pablo Picasso

2007 to rok, w którym dwa razy świat obiegła wiadomość o kradzieży dzieł Picassa. W nocy z 26 na 27 lutego 2007 roku z domu wnuczki artysty, Diany Widmaier-Picasso skradziono dwa obrazy jej dziadka: *Maja z lalką* oraz *Portret Jaqueline* - przedstawiający żonę artysty. Oba dzieła wróciły do właścicielki pół roku później. 20 grudnia 2007 roku z Muzeum Sztuki w Sao Paulo w Brazylii skradziono obraz *Portret Suzanne Bloch*. Odzyskano go miesiąc później. W lutym 2008 w Pfaffikon w Szwajcarii skradziono dwa obrazy Picassa: *Głowa konia* i *Martwa natura* z cytryną warte 3 mln euro.

Obecnie na liście Interpolu znajduje się ponad 500 skradzionych i do tej pory nieodzyskanych dzieł Pabla Picassa.

W Polsce kradzieże dzieł sztuki to wciąż rosnący problem. Słabo zabezpieczone muzea, prywatne kolekcje i kościoły to doskonałe cele dla złodziei. Rejestruje się coraz więcej gangów specjalizujących się w kradzieżach dzieł sztuki. Cechuje je wysoki profesjonalizm i coraz większe zuchwałość. W naszym kraju dzieła sztuki naj-

częściej giną z prywatnych kolekcji i z kościołów. Kolekcjonerów, którzy trzymają swoje zbiory w mieszkaniach, najczęściej nie stać na odpowiednie zabezpieczenie swoich zbiorów. Z prywatnego mieszkania w Warszawie w lipcu 1997 skradziono *Portret Władysława Grubskiego* Witkacego. W podobny sposób w Łodzi w kwietniu 2000 roku zniknął *Autoportret z modelką* Jacka Malczewskiego. Takich kradzieży jest o wiele więcej.

Równe bezbronne wobec złodziei są stare kościoły, które bardzo często padają ich łupem. Nikną z nich stare, bezcenne dzieła. 14 grudnia 1973 roku z kościoła w Kaliszu podczas pożaru skradziono obraz Rubensa *Zdjęcie z krzyża*. Pożar wywołano prawdopodobnie w celu zatarcia kradzieży. W październiku 199 z kościoła w Sulmierzicach skradziono *Madonnę z dzieciątkiem* Lucasa Cranacha z 1530 roku. Dwa lata później, 29 września 1997 roku skradziono *Adorację dzieciątka* - XVI-wieczne malowidło małopolskie. Obraz skradziono z kościoła parafialnego w Zrębicach. 8 października 2002 z kościoła w Daniszewie skradziono XV-wieczne malowidła na desce pt. *Madonna Apokaliptyczna*. Ze słabo zabezpieczonych kościołów giną nie tylko obrazy, ale też rzeźby i cenne naczynia liturgiczne. Okradane są nawet kapliczki przydrożne.

Bardzo słabo w Polsce zabezpieczone są też muzea, chociaż w nich rzadziej dokonywane są kradzieże. W kwietniu 1974 roku w Muzeum Narodowym w Gdańsku, w sali, w której prezentowano zbiory malarstwa flamandzkiego, spadł ze ściany jeden z obrazów Pietra Bruegela. Stolarz, który przyszedł zawiesić dzieła na miejsce, stwierdził, że wewnątrz ramy, zamiast płótna znajduje się zdjęcie. Po sprawdzeniu innych obrazów okazało się, że podobnie postąpiono ze szkicem Antona van Dycka *Ukrzyżowanie*. Gdy odkryto kradzież, budynki klasztorne, w których mieści się muzeum, były w remoncie. Na zewnątrz stały rusztowania. To prawdopodobnie po nich złodzieje dostali się do środka. Nie natrafiono na żadne ślady włamania. Sprawa obrazów z gdańskiego muzeum nie jest

zamknięta. Obecnie prowadzi ją słynne „Archiwum X”, komórka policji zajmująca się nierozwiązanymi przestępstwami sprzed lat.

Najgłośniejszą a zarazem najdotkliwszą kradzieżą ostatnich lat w Polsce była kradzież w Muzeum Narodowym w Poznaniu. 19 września 2000 roku pracownica muzeum sprawdzająca ekspozycję zobaczyła, że z obrazem Claudea Moneta *Plaża w Pourville*, jest coś nie tak. Obraz nieznacznie odstawał od ramy. Po sprawdzeniu okazało się, że zamiast płótna o wymiarach 60 x 73 z 1882 roku w ramach tkwiła nieudolna kopia, wykonana w dodatku na tekturze. Mimo zakrojonych na dużą skalę poszukiwań oraz wysokiej nagrody obrazu do dzisiaj nie odnaleziono. Podczas śledztwa okazało się, że obraz był nieubezpieczony, a muzeum miało tak marne zabezpieczenia, że mógł je pokonać nawet niedoświadczony włamywacz. Wartość obrazu oszacowano na 5 mln dolarów, lecz dla Polski jest to strata bardziej dotkliwa, ponieważ zaginęło jedyne dzieło Claude'a

Moneta, jakie znajdowało się w polskich zbiorach.

Całkiem niedawno, 18 listopada 2008 roku, złodzieje ukradli obrazy Jacka Malczewskiego i Stanisława Ignacego Witkiewicza z galerii na warszawskim Śródmieściu. Oba warte 400 tys. złotych. Do budynku weszli wybijając okno i przepiłowując kratę. To pokazuje, jak marne zabezpieczenia mają polskie galerie i muzea.

Od czasu kradzieży *Mona Lisy* obrazy giną z muzeów i prywatnych kolekcji i będą ginąć. Wiele z nich nigdy nie wypływa, bo są to dzieła, których nie da się legalnie sprzedać np. *Madonna z kołowrotkiem* Leonarda da Vinci. Cieszą one oczy nieuczciwych i obrzydliwie bogatych kolekcjonerów lub są zastawem w przestępczych rozliczeniach, np. przy handlu narkotykami. Kradzieżom nie da się zapobiec. Jedyne, co można zrobić, to zadbać o lepsze zabezpieczenie dzieł sztuki, które jeszcze nie padły łupem złodziei.



PATRYK PIECZARKA

System myślenia XXI

Poniedziałek - ściągam pół życiorysu
przez kable
i kradnę by w googlach na pierwszym
miejscu odznaczyć się grubym.

To samo - wtorek, środa, czwartek i piątek
omijam sok pomarańczy
by znów czterolistne powietrze za oknem
zagłuszyć nutami windowsa.

Nawet kąpią łzy z monitora i rękę
wyłania przyjaciel. Już jest inaczej.
Choć niewidomy, widzę karetkę
w oknie dialogowym.



IRENA NAUMOWICZ

żołnierz

świat jest z papieru
a ja płonę

chleba i róż
dajcie za te igrzyska
każdy wygrał co przeżył
idzie do domu
każdy przegrał
w domu nikt nie czeka

braw nie było
świętowali ci co nie wzięli udziału
bohaterowie zostali oplakani
bohaterowie płaczą

chleba i róż
by żyć i zapomnieć
by jeszcze zrozumieć przypomnieć sobie
po co była walka
o co była walka
i nie płakać więcej
z głodu i brzydoty
z bólu
z żalu

chleba i róż
tak człowiek może zbawić człowieka

Kobieta

wynurzam się ze snu
włosy mam jeszcze mokre od szaleństwa
słońce czy księżyc świeci zimno
jestem biała jestem młoda jestem panną

w moim śnie dziewczęcym
w moim śnie kobiecym
szukałam cię tam gdzie kiedyś byliśmy
po całym świecie szukałam cię
mój książę

a trwało to wieki
lecz wreszcie się stałeś, mości książę,
Hamletem

twój duch zjawia się każdej nocy
na tarasie klasztoru
odkąd znalazłam twoją głowę
u moich stóp

i tak co noc trzymam w rękach twoją czaszkę
całuję usta

twoje święte usta co mówiły Słowa
potem tańczę



MICHAŁ DYBACZEWSKI

WALDEMAR ŁYSIAK

- BOŻY BICZ NA POSTMODERNISTYCZNY KICZ

Ponoć dominującą ideologią współczesnego świata jest już nie postmodernizm ale post-postmodernizm. Jak na razie trudno rozszyfrować, co kryje się pod tą semantyczną hybrydą, być może jest to kolejny słowny potworek wymyślony przez „intelektualistów”, którzy lubią takie zabawy - stworzyć teorię, nagiąć do niej fakty i nadać chwytliwą nazwę. Bo czy tak naprawdę jest sens promować nową ideologię, skoro ta stara, permissywna ma się nadal całkiem dobrze? Tematem przewodnim aktualnego wydania „Koziegorynku” jest szeroko rozumiany kicz. A związek postmodernizmu z kiczem jest dwojaki - postmodernizm ukonstytuowany został na kiczowatych pseudowartościach, tj. relatywizm, postęp, tolerancja, a codzienne przejawy jego hegemonii to obrzydliwe „dzieła sztuki” (które nie są ani dziełami ani sztuką) oraz wszystko to co wylewa się na widza z małego ekranu. Kicz, tak jak postmodernizm, jest narzędziem wypaczającym, które z norm tworzy quasi-normy, z prawdy jej aberrację, a wartością czyni coś, co na to w żaden sposób nie zasługuje; wszystko co piękne, może zohydzić, wszystko co dobre, może wybrakować i skarykaturować, a to co złe - promować. Postmodernizm to ideologiczne podłoże dla kiczu, który z kolei jest jego najbardziej widocznym skutkiem. Czym jest dla mnie kicz? Kicz to wszystko to, co dla człowieka wrażliwego, przywiązanego do dziedzictwa przodków (cywilizacji łacińskiej) uchodzi za brzydkie, złe i szkodliwe. Kicz to nie tylko marność estetyczna, ale także pauperyzacja stylu życia (obyczajów, światopoglądu, etosu) i ludzkiej duszy. Dlatego też nieprzypadkowo bohaterem niniejszego eseju czynię Waldemara Łysiaka - pisarza, publicystę, który niczym bicz boży piętnuje i uderza we wszystko, co podkopuje fundamenty starego świata. Uderza, albowiem jego światopogląd nakazuje mu wyrażać *votum separatum* wszędzie tam gdzie promowany jest postmodernistyczny kicz.



Grzegorz Pawlak

Z komunizmu w postmodernizm

„Komunizm przez kilkadziesiąt lat deprawował polskie społeczeństwo, niszczył polską rodzinę, a wszelką przyzwoitość zsyłał na banicję ucząc kłamstwa, lizusostwa, cwaniactwa, złodziejstwa i oportunistów. Ci, którzy nami rządzą od pięciu lat, zamiast leczyć tę chorobę, pogłębili ją, na dodatek starając się zepchnąć do rowu Kościół, czyli strażnika dekalogu, co jest w istocie wojną przeciwko elementarnym zasadom moralności. Życie według reguły „róbta, co chceta”, oznacza folgowanie najniższym instynktom. Czy tak deprawowane społeczeństwo będzie zbiorowiskiem godnym

miana narodu, potrafiącym budować państwo suwerenne i cywilizowane w prawidłowym sensie tego słowa?" Tą gorzką myśl Waldemar Łysiak wyraził w 1994 roku, wtedy to właśnie „ideologia kiczu” szczególnie intensywnie instalowała się w wyjąłowionych po komunizmie polskich duszach. Zresztą dla autora *Malarstwa Białego Człowieka* komunizm i postmodernizm są ideologiami bliźniaczymi, albowiem w równym stopniu deprawują umysły ludzkie. Ujmując to obrazowo można stwierdzić, że społeczeństwo polskie pozo- staje w rozkroku - jedną nogą wychodzi z bagna komunizmu, drugą wchodzi w bagno postmodernizmu. Skomunizowanie Polaków można przy odrobinie dobrej woli jeszcze jakoś wytłumaczyć, wszak nie da się z dnia na dzień wyrugować pierwiastka komunistycznego, który przez 40 lat konsekwentnie i z uporem wszczepiany był w umysły milionów, bo przecież „łatwiej wyjąć państwo z komunizmu, niż komunizm ze społeczeństwa”, gorzej, że po komunizmie triumf zaczął święcić postmodernizm, wypaczający pojęcie wolności

w sposób równie absurdalny, jak jego poprzednik wypaczał równość.

Geneza i definicja postmodernizmu

Postmodernizm w przekonaniu Łysiaka narodził się po II wojnie światowej, kiedy to w Europie zaczęto legalizować w świadomości masowej „anarchiczną koncepcję wolności” (sformułowanie R. Assunto - M. D.), która już przed wojną miała triumfy takie, jak „szalone lata dwudzieste”. Zanarchizowanie i zleseferyzowanie wolności doprowadziło do klęski autentycznej wolności, do jej zaprzeczenia i w konsekwencji do jej zgonu. Lata 50-te to początek ekspansji postmodernizmu również w Polsce - przejawem tego był antypolski nihilizm rozpowszechniany w kulturze po roku 1956, a kultywowany przez byłych zetempowców, szukających literackiego alibi dla swoich stalinowskich zaangażowań. Zdaniem Łysiaka alibi takiego dostarczało głoszenie poglądu, że tradycje narodowe, którymi żyła Polska międzywojenna i podziemna w latach 40-tych, były



Hubert Czarnocki

antyintelektualne i nieeuropejskie. O propagowanie takiej tezy oskarża on m.in.: Miłosza, Kołakowskiego, Mrożka i Błońskiego.

Prawdziwą ekspansję postmodernizmu na świecie przyniósł rok 1968 - Łysiak: „Wymierzony w tradycję, w rodzinę, w tzw. *mieszczańską moralność* bunt roku 1968, notabene finansowany i dyrygowany przez KGB, a realizowany przez zachodnich lewaków i sowieckich agentów, był istotnie kamieniem milowym kontrkultury i postmodernistycznego nihilizmu ostatnich dekad, (...) wyrażanym w masowych demonstracjach przeciwko normom, świętościom i *wapnu* tego świata”. Pogląd ten nie jest odosobniony, bo podobnie uważa (uważał?) abp J. Życiński podczas rozmowy z P. Semką - „Wtedy (w 1968 roku - M. D.) kwestionowano cywilizację i kulturę, masowo zakładając komuny, w których chciano prowadzić życie zgodne z *naturą* czy zasadami sławionymi jeszcze przez J. J. Rousseau czy D. Thoreau. Niektórzy profesorowie zamiast prowadzić wykłady ze swoich dziedzin, uczyli jak przeprowadzać zamachy terrorystyczne skierowane przeciw *cywilizacji zachodniej* albo jak przemawiać na wiecach”.

Przechodząc do istoty postmodernizmu, czyli spojrzenia *stricte* definicyjnego, należy podkreślić, że dla Waldemara Łysiaka jest to ideologia złożona i interpretować ją można w dwojaki sposób: w odniesieniu do zjawisk estetycznych (znaczenie węższe), lub w odniesieniu do współczesnej cywilizacji (znaczenie szersze). W pierwszym przypadku postmodernizm będzie więc nihilistyczną kontrkulturą przypisującą sobie miano awangardowej sztuki, choć w rzeczywistości rządzi nim aberracja i patologia. W przypadku drugim, postmodernizm to „rak naszej cywilizacji” - jest to choroba, której przejawem jest bezgraniczna tolerancja dla grzechu, zdejmująca hamulce i bariery temperujące Zło. Skutkiem tego jest „brak zakazów dla wszelkich degeneracji i perwersji, usprawiedliwianie każdej zbrodni i wszelkich wybryków ekshibicjonizmu, kult głupoty, tandety i erotycznej rulety”. Żelazną konse-

kwencją totalnego leseferyzmu jest dewastacja cywilizacji: rodziny (tkanki społecznej), elementarnej przyzwoitości oraz sprawiedliwości. Dlatego też terminem, który zdaniem naszego bohatera najpełniej oddaje istotę postmodernizmu jest „barbarzyństwo”.

Postawa antypostmodernistyczna

Za barbarzyństwo uzna postmodernizm osoba o szczególnej konstrukcji światopoglądowej, a Łysiak - w jednym z wywiadów wyznał, iż wierzy w konserwatyzm dekalogowy - pojęcie to oznacza prawość etyczną. Konserwatywny światopogląd powoduje, że przyjmuje on za aksjomaty jego pochodne: prawicowość, prawo naturalne, bonapartyzm, patriotyzm, antyrelatywizm moralny. Sam konserwatyzm jest z kolei pochodną romantyzmu, bo jak głosił K. Mannheim: „Teoria konserwatyzmu zasadniczo opiera się na romantyzmie”. Myśl ta idealnie pasuje do autora *Rzeczypospolitej klamców*, który niejednokrotnie w popelnionych publikacjach ujawnia swoje przywiązanie do romantycznego paradygmatu. J. Ławrynowicz przezwał nawet z tego powodu Łysiaka „romantycznym Lancelotem”, który zmuszony został przez swoich faryzejskich przeciwników do zejścia z konia i przyjęcia walki na kamienne topory. Łysiak: „Reakcyjny stan ducha, który mnie trawi, zwany jeszcze niedawno *oszołomstwem*, a według nowej terminologii lewaków *faszyzmem*, każe mi być postępbójcą - każe mi toczyć walkę przeciwko gangrenie postępowej *postępu*”. Bohater niniejszego eseju to gloryfikator polskich powstań narodowych, rewizjonista zakłamaniej przez PRL historii, to pisarz, który idealnie odzwierciedla herbertowską maksymę i idzie wyprostowany pośród tych, co na kolanach. Ale obok romantyzmu, szczególnie bliski jest mu również tomizm - Prawda, Piękno i Dobro są dla niego kategoriami absolutnymi. Absolutyzacja Prawdy przejawia się w bardzo często przytaczanej na publicystycznych łamach staroceltyckiej dewizie: „prawda przeciw światu”. O uмиłowaniu Piękna zaświadcza

monumentalnego, ośmiotomowe dzieło Łysiaka, *Malarstwo Białego Człowieka*, które jak sam mówi, stanowi wykład, pozwalający rodakom dobrze zrozumieć sekrety malarstwa ich dawnych mistrzów oraz dlaczego winni być dumni z obszaru kulturowego, do którego należą - z dziedzictwa cywilizacji europejskiej stymulowanej przez Hellenizm, Judaizm i Chrześcijaństwo. Absolutyzacja Dobra widoczna jest natomiast, poprzez często dokonywane przez niego konfrontacje tejże wartości ze swoim zaprzeczeniem, czyli złem: „Zło funkcjonowało od zawsze, lecz nie tylko jako destruktor - również jako druga strona medalu moralności, druga szala wagi etycznej, jako przeciwnik Dobra, jako cel ataku rycerzy wojujących pod sztandarami Dobra”.

Każdy, kto wyposażony jest w taki zespół światopoglądowych cech zawsze będzie wybierał rolę Lancelota i wszędzie tam, gdzie napotka postmodernistyczne antywartości - Różnorodność, Tolerancję i Swobodę - będzie walczył o obronę uniwersalnych wartości i idei. W jednym z wywiadów Łysiak wyznał: *Robię to z punktu widzenia mojej ojczyzny. Moja ojczyzna grzęźnie w szambie, więc staram się jej pomóc. I wzywa nas do restytucji tożsamości narodowej, gdyż jedynie ona jest gwarantem tego, iż Polak nie stanie się musilowskim „człowiekiem bez właściwości”. Restytucji tej dokonać można poprzez przeddefinowanie swojego światopoglądu (tożsamość światopoglądowa), odbudowę dobrych obyczajów (tożsamość obyczajowa), powrót do Krzyża (tożsamość religijna) i umiłowanie Piękna (tożsamość estetyczna).*

Zatruwanie światopoglądu

Największego zagrożenia dla tożsamości światopoglądowej (i dla tożsamości w ogóle) Łysiak upatruje w relatywizmie moralnym, który definiuje jako *podwójną moralność, tudzież mącenie we łbach i w duszach przez intelektualnych szulerów, robienie białego czarnym, a czarnego białym*. Katolicki pisarz G. Weigel wskazuje, iż owo mącenie wy-

wołuje względność wszystkich prawd - przekłada się to w praktyce na deprecjowanie tradycyjnych zachodnich prawd, przy równoczesnej czci prawd niezachodnich. Z kolei francuski socjolog R. Boudon w wywiadzie dla *Europy* uznał relatywizm za doktrynę naszych czasów, która dostarcza wizji niezwykle pesymistycznych - ten pesymizm to powszechne przekonanie o upadku moralności i wartości.

Waldemar Łysiak zdaje sobie sprawę z tego, że inwazja relatywizmu dokonywana jest za pomocą pewnych środków, które stanowiąc mają, używając terminologii marksistowskiej, pewnego rodzaju „opium dla ludu”. Na „opium” to składa się: „tolerancja”, „postęp”, a także najbardziej nowoczesny twór: „poprawność polityczna”: *Kult „tolerancji” jest serwowany nieustannie przez „czerwone” i „różowe” media, przez gosztywskie grupy wpływu, przez wolnomularskie kręgi opiniotwórcze, wreszcie przez tzw. szarych, otumanionych „tolerancyjną” propagandą rodaków*. Należy wyjaśnić, iż opowiadając się przeciwko „tolerancji”, nasz esejowy bohater neguje wyłącznie jej wolterowską odmianę. Tolerancja jako idea oparta winna być na godności, której respektowanie, daje możliwość spokojnego publicznego sporu o to, czyje przekonania są prawdziwe.

Za brata „tolerancji” Łysiak uważa „postęp”, który również spięty jest cudzysłowem, albowiem postmodernistyczny „postęp” jest postępem w sensie negatywnym - to postępujące zepsucie obyczajów (postęp nieobyczajności), antyteza prawdziwego postępu. Zatruwając sferę światopoglądową, „postęp” w dalszej kolejności burzy prawidłową tożsamość obyczajową, opartą na płaszczyznach: seksualnej, edukacyjnej i relacyjnej (relacje między rodzicami a dziećmi); burzona jest także tożsamość estetyczna, symbolem czego jest upadek sztuki; „postęp” dotyka także sfery religijnej - religie tradycyjne wypierane są przez pseudo-religie postmodernistyczne. Publicysta J. M. Jackowski ujął rzecz następująco: *Hasło „postępu” stwarza przesłanki do zalewu Polski przez tandetę i szmirę z Zachodu, przyzwala na amerykanizację rodzimej kultury*. Słowem, pozwala na ekspansję kiczu.

„Polityczna poprawność” nazywana przez Łysiaka, obyczajowo-kulturową dżumą naszych czasów, to ideologia, która posługując się oficjalnie przywołanymi hasłami „tolerancji” i „postępu” próbuje całkowicie zniewolić ludzki umysł. *„Polityczna poprawność” wyznacza standardy obyczajowe i formuluje „postępowe” terminy pełne jawnych kłamstw. Jest to zawsze ten sam schemat: nazywanie dobra złem, a zła dobrem.*

Autor *Malarstwa Białego Człowieka* przestrzega przed bezmyślną imitacją postmodernistycznych „wartości” bo przynoszą one zgubę młodemu pokoleniu, które pod ich naporem staje się wielką hordą przygłupów o mentalności piłkarskiego kibica i fana disco polo. Na płaszczyźnie światopoglądowej widoczne jest to jego zdaniem w wyrugowaniu ze świadomości patriotyzmu: *młodzi patriotyzm mają gdzieś, głęboko w roztańczonym i rozerotyzowanym zadku. (...) Patriotyzm ojczyzniany przegrywa z „patriotyzmem” branzowo-rozrywkowym. Odchodząc od patriotyzmu, społeczeństwo, a młodzież w szczególności postępuje wedle zasady: „róbta, co chceta” - przyjmuje więc najgorsze wzorce libertynizmu i permissywizmu. Filozof R. Legutko zauważył, iż w hasle tym, kryje się kult ogólnego luzactwa oraz totalny utylitaryzm.*

Zagrożona rodzina

Pierwszą i główną ofiarą owsiakowej maksymy jest rodzina. Tradycyjna rodzina zdaniem Łysiaka, została „zamordowana” przez seks zmodernizowany „przemianą obyczajową”, czyli tzw. „wolną miłość”: *Seks jest piękny, gdy jest intymny, romantyczny, eksplodujący w czterech ścianach, a gówniany, gdy zostaje upubliczniony, utowarowiony, uprzemysłowiony, gdy staje się narzędziem.* Zanik rodziny tradycyjnej, to zanik wielodzietności i wielopokoleniowości: *Taka rodzina gwarantowała opiekę starcom - był to znakomity system emerytalny dla sędziwych członków rodu. (...) Zanik rodziny tradycyjnej dał spadek płodności, alienująca nowoczesność dała kres multipokoleniowości i opiekuńczości rodzinnej, a dzięki medycynie długość życia wyraźnie wzrosła, co razem powoduje, że świadczenia emerytalne, których realizację wzięły na*

siebie rządy, są dzisiaj rakiem budżetów wielu państw. Identyczny pogląd wyraża włoski polityk R. Buttiglione: Obecnie żyjemy w świecie, w którym obowiązek opieki młodych nad starszymi przejął anonimowy system ubezpieczeń społecznych. (...) Bezpośrednia więź między generacjami zatarła się.

Jako, że życie nie znosi próżni, „wolna miłość” usuwając ze społecznej sceny rodzinę tradycyjną, zaoferowała ludziom coś w zamian. To „coś” widzi Łysiak w kulcie zboczyńców, do którego zalicza: propagowanie homoseksualizmu, biseksualizmu, transwescytyzmu. Ta destrukcyjna oferta doprowadziła do tego, iż mężczyzna stał się daleki kobiecie, która wybrała feminizm, dzieci stały się obce swoim rodzicom, wybierając świat totalnej degrengolady moralno-obyczajowej.

Pod wpływem feminizmu, dokonała się „maskulinizacja” kobiet - tym pozornie zagadkowym terminem autor *Rzeczypospolitej kłamców* wyraża przekonanie, że płeć piękna uległa (używając języka potocznego) „schłopieniu”. Proces analogiczny zauważalny jest także u mężczyzn: *U samców panuje infantylnizm. Pośród współczesnych mężczyzn jest bardzo niewiele mężczyzn. (...) Miał mężczyźni w starorzyskim znaczeniu tego słowa - rosną pokolenia dupków, żalosnych pajaców, tchórzów, lizusów, chytrych cwaniaczków, ćwierćfacetów, gnid z siurkiem i wąsem udających faceta prawdziwego.*

Największą cenę za zanik tradycyjnej rodziny płać dzieci bo krach więzi rodzinnej wywołuje epidemię narkomanii, demoralizacji, kult przemocy oraz wzrost samobójstw młodych ludzi.

Religia w defensywie

Upadek rodziny dotyka jednakże nie tylko konstytuujące ją części składowe. Łysiak swego czasu powiedział, że *Im bardziej obnażone są kobiety, tym bardziej opustoszałe są kościoły. (...) Obumieranie rodziny jest równoznaczne z obumieraniem Boskości.* Wnioskiem prostym jest więc, iż rodzinę widzi on, jako ściśle skorelowaną z religią. I choć autor *Rzeczypospolitej kłamców* nie jest przekonany, czy to upadek rodziny warunkuje upadek



📷 Bogumiła Jarecka

religii, czy też jest to korelacja odwrotna, to fundamenty te zestawia obok siebie akcentując istniejącą między nimi więź. Zasadność takiego poglądu potwierdza G. Weigel: *Odrodzenie wiary religijnej w Europie, mogłoby prowadzić do znacznego wzrostu liczby narodzin.*

W publicystyce „Wilka z Saskiej Kępy” nie trudno zauważyć, że opisując zagrożenia tożsamości religijnej, postrzega je w dwojaki sposób: są to zagrożenia płynące z zewnątrz (postmodernizm) oraz rozsadzające ją od wewnątrz (modernizm).

Zagrożeniem postmodernistycznym są pseudoreligie typu New Age: *Czym jest „New Age” z samej istoty? Wszystkim, to bezdenny worek, prawdziwe panoptikum sekt, kultów i aberracjonizmów, rozpięte między wyznaniem wschodnioazjatyckimi, pasjami okultystycznymi, spirytystycznymi i kosmologicznymi a wszelką herezją, pseudoekologią, libertynizmem, feminizmem i gnostycyzmem.* Prócz pseudoreligii, groźne są zlaicyzowane media (palma pierwszeństwa przysługuje *Gazecie Wyborczej*) propagujące antykatolickie treści pisane i wizualne. Przejawem

w tym, jest hasło „państwa neutralnego światopoglądowo”: *„Państwo neutralne światopoglądowo” to chaos i zamęt, wulgę: kloaka cywilizacyjna i etyczna, dążąca do unicestwienia dekalogowej (ewangelicznej) bazy moralności.*

Jako wewnętrzne zagrożenie dla religii, jawią się Łysiakowi kościelni modernizatorzy, nazywani przez niego „piątą kolumną” - *jest to frakcja dywersantów wśród księży Kościoła, która niszczy hierarchię patriotyczną, mając ku temu potężne orężne, czyli media.* Według socjolog M. Marody ostatnimi czasy dokonała się polaryzacja polskich katolików - na zwolenników bardziej tradycyjnej wizji katolicyzmu oraz na zwolenników katolicyzmu nowoczesnego, poszukującego, próbującego odnaleźć swe miejsce w szybko zmieniającym się współczesnym świecie.

Jako antidotum na postmodernistyczne i modernistyczne zagrożenie, Łysiak proponuje Dekalog testamentowy, apelując, aby boskie Dziesięć Przykazań nie było jedynie zakurzonym buble, ale fundamentalnym wzorem dla ludzkiego życia. Jeżeli

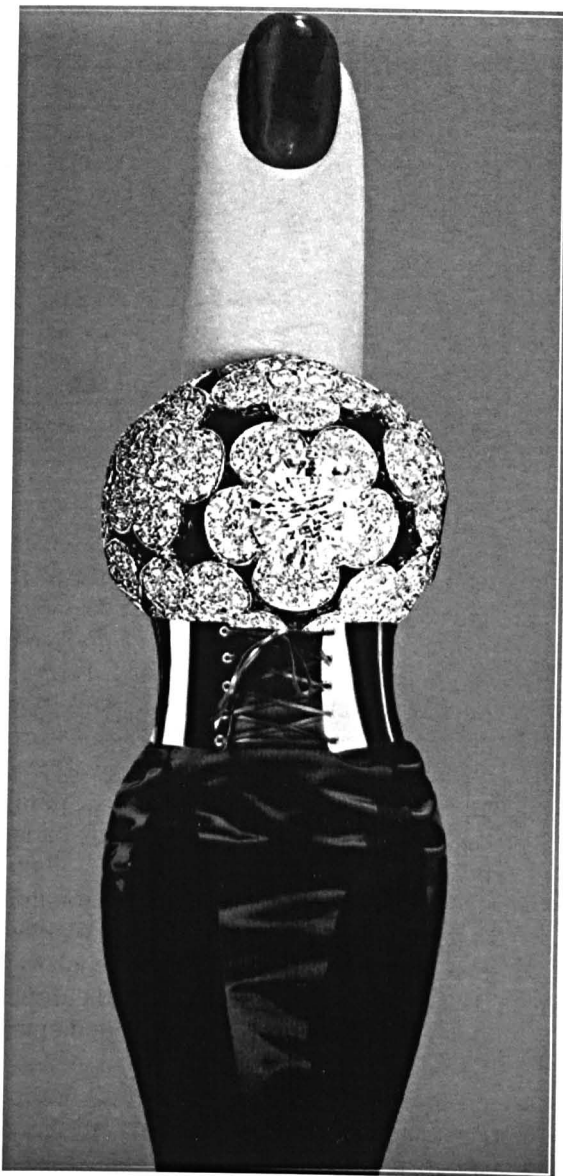
dojdzie do restytucji praw dekalogowych, wówczas można będzie mieć nadzieję, iż religijny rytuał nie będzie przypominał świeckiego „clubbliku” (krótkotrwałego przeżycia doświadczenia wspólnotowości bez przyjmowania zobowiązań), a stanie się świadomym odtwarzaniem „wiary ojców”.

Postmodernistyczna sztuka, czyli flaga narodowa w psiej kupie

Postmodernizm niszczy również tożsamość estetyczną Polaków - upada szeroko pojęta kultura, a wraz z nią sztuka i literatura. Łysiak: *rodzima kultura przeżywa permanentną, półwiekową już zapaść. Nad Wisłą pasą się kolejne borden (tzw. pokolenia) malujących malp i beczących baranów. Zdecydowana większość rodzimej twórczości ma grafomański styl, plagiatowy (wtórny) charakter i artystyczną impotencję - to sztuka eunuchów, pijawek i kleszczy.*

Instalowanie postmodernistycznych wzorców na płaszczyźnie estetyki, dokonuje się szczególnie za sprawą telewizji. W sferze artystycznej to telewizja lansuje model „kultury masowej” - za przykład posłużyć mogą programy typu „Big Brother” i seriale tj. „Świat według kiepskich”. W sferze kultury osobistej, medium telewizyjne dostarcza takich wzorców zachowań, od których ludzie z kindersztubą zalewa krew. Skutkiem takich trendów może zjawisko nazwane przez R. Legutkę pauperyzacją umysłową.

Choć upadek kultury dnia codziennego niewątpliwie doskwiera Łysiakowi, to większym problemem jest dla niego degrengolada kultury metafizycznej - literatury i sztuki. „Choroba” literatury widoczna jest w promowanym kanonie literackim. Panteon mistrzów pióra, do którego autor *Malarstwa Białego Człowieka* zalicza m.in.: M. Hłaskę, T. Borowskiego, L. Tyrmandę, A. Gołubiewę, G. Herlinga-Grudzińskiego, S. Cata-Mackiewicz, J. Tuwima, M. Pawlikowską-Jasnorzewską, Z. Herberta, K. K. Baczyńskiego, zastąpiony został przez miernotę literacką, na czele z . Kosińskim oraz A. Szczypiorskim. Nowy kanon literatury polskiej tworzą literaci ukąszeni antypolo-



Joanna Bukowska

nizmem. Jest wśród nich i Gombrowicz jawiący się Łysiakowi jako ten, którego spuścizna oddziaływać może na rodaków negatywnie. W wywiadzie dla „Exspressu Poznańskiego” wyraził nawet pogląd, iż miejsce autora *Transatlantyku* jest w d...: *W d... nie mojej, tylko pedalskiej (z lekkim wychyleciem biseksualnym).* Gombrowicz jest balonem nadmuchanym przez marnych krytyków.

Kwestię, czy w przypadku Gombrowicza, Łysiak nie posługuje się błędnym stereotypem narosłym wokół pisarza pozostawiam Czytelnikom do rozważenia.

Sztukę antyczną i sztukę nowożytną nasz bo-



📷 Mirosław Koczkodaj

hater nazywa sztuką w najlepszym sensie tego słowa, zaś tzw. sztuka współczesna nie jest sztuką, tylko *hucpą bezczelnie określaną jako sztuka przez produkujących i lansujących ją farmazonów*. Filozof francuski L. Ferry zauważył, że kreatorzy sztuki współczesnej popełnili błąd - chciano nieustannie zaczynać od nowa, za wszelką cenę zrywać z przeszłością; rezultat tego okazał się porażający, albowiem wszystko stało się banalne i płaskie.

Jako, że polska sztuka była zawsze epigonalna w stosunku do sztuki zachodniej, Waldemar Łysiak poddaje ostrej krytyce wzory, jakie przejmują krajowi artyści od europejskich prekursorów. Za symbol upodlenia sztuki na podwórku krajowym, uznaje przede wszystkim wszelkiego rodzaju „instalacje”, „performance”, „hopeningi”, co stwarza możliwość tego, że sztuką może być niemalże wszystko - każdy wyglup, każdy przedmiot, każdy bubel, każdy śmieć. Decydują nie kryteria, ale intencja oraz lokalizacja. Potwierdza to R. Boundon: *Nastąpił upadek kryteriów oceny sztuki i zwycięstwo wulgarności - ponieważ dobre jest to co się komuś podoba, wielkie dzieła stawiane są obok rzeczy łatwych, rzeczy jednorazowego użytku*. Ratunkiem dla sztuki, zarówno polskiej jak i zachodnioeuropejskiej może być jedynie masowy opór ze strony mentorów, którzy, jak oczekiwалby tego Łysiak, powinni kształtować opinię publiczną oraz odpowiednio modelować system nauczania w akademiach sztuk pięknych. Mentorzy milczą więc Łysiak bierze to

zadanie na własne barki - jego wspomniane opus magnum: *Malarstwo Białego Człowieka, MW, Equilibrium*, czy chociażby ostatnio wydana *Historia Saskiej Kępy*, to próba ocalenia od zapomnienia tego, co Piękne przez duże P i tego co jest Sztuką przez duże S. Te dzieła to nie tylko piękno treści, ale również piękno wizualno-estetyczne - koneserska okładka, pietyzm graficzny, kredowy papier.

Antidotum na postmodernizm

Czy krytykując dobitnie i konsekwentnie postmodernizm Waldemar Łysiak wskazuje nam jakąś drogę ucieczki z tej ideologicznej tragifarsy? Wydaje się, że tak - za jedną z tych dróg uznać można stworzony przez niego **kodeks przyzwoitego człowieka**. Kto będzie postępował według przedstawionych tam zasad, ten nigdy nie zachoruje na postmodernizm.

Kodeks Łysiaka składa się z dziesięciu punktów, w których apeluje o:

1. Rodzinną rodzinność,
2. Tradycyjną patriotyczność,
3. Mieszczańską moralność,
4. Męską honorowość,
5. Żeńską cnotliwość,
6. Sanacyjną pracowitość,
7. Katolicką religijność,
8. Sercową wrażliwość,
9. Elementarną grzeczność,
10. Solidną erudycyjność.

U progu XXI wieku Łysiak pisał, że *jeśli ludzie będą uparcie dążyć do wolności, sprawiedliwości, przyzwoitości nie „umrą” ani bogowie, ani narody*. Warto zapamiętać te słowa i poważnie potraktować lekcję jakiej nam udziela. Polacy niejednokrotnie stawali w opozycji do zniewalających ich prądów i systemów. *Non possumus* mówiono zaborcom, nazistom, komunistom; w czasach obecnych naszym obowiązkiem jest powiedzieć *non possumus* kiczowi postmodernizmu. Czytajmy Łysiaka!!!



OPOWIADANIA





OSKAR SZWABOWSKI

SITCOMNOWELLIVE

Damian nalewał świeżego soku do szklanki z grubego szkła, gdy zadzwonił telefon.

- Tak?
 - Cześć, brachu, tu Milton - odezwał się wesoły, młody głos w słuchawce.
 - Coś ci się pomieszało - mruknął. - Hm... Nie żyjesz już od dwóch odcinków.
 - Ja... - zdziwił się rozmówca - Jak to?
 - Normalnie. Załatwił cię lekarz, kochanek twojej kochanki, co zakochał się w twojej żonie. Takie tam...
 - Cholera, wiesz, ja... Zapomniałem.
 - Rozumiem, zdarza się. To...
 - To znaczy, zrozum... Wiesz, tak nie do końca zapomniałem. Tak naprawdę to nie mogę się pogodzić z tym, że umarłem. Rozumiesz, wiem, że to wszystko jest ciężkie, ciągle dbanie o rolę, powtarzanie scenariuszy, pamiętanie kiedy wchodzić, a kiedy wychodzić, poranna gimnastyka i określona dieta. Wiele, wiele problemów, trudności, mimo to, zdaje się, że to lubiłem. Trochę za tym tęsknię.
 - Czaję, też mnie męczy siłownia, a tych soków to pić już nie mogę. Ale wiesz, ty nie żyjesz, to nieodwracalne, nic bracie nie poradzisz. W sumie jako trup nie powinienś dzwonić, gdyż to... nierealne.
 - Ta jasne. Pewnie. Widzę, że nie jesteś lepszy od innych.
 - Co ty...
 - Wszyscy mnie ignorują dokąd umarłem. Nie zauważają mnie, zbywają. A najgorsze, że Paulina, wiesz, poszedłem ją odwiedzić, w końcu coś nas łączyło, no i ona, jak się nie wydrze. Nie dała się w ogóle dotknąć. Nie podoba mi się to, bracie.
 - Nic nie poradzisz, taki scenariusz. Ale musimy już kończyć, bo to nie może tak być...
 - Dobra, legalisto. Zero zrozumienia. To żegnaj. Zadzwonię jeszcze.
 - Lepiej...
- Nie zdążył dokończyć. Dźwięk obwieszczający koniec połączenia rozległ się w słuchawce. Zbliżał się czas ćwiczeń. Zdjął koszulkę prezentując muskulaturę godną anty-

cznych zapaśników. Każdy miesiąc zarysowywał się na opalonej skórze. Przez chwilę przyglądał się sobie w lustrze. Miał już zaprzestać czynności, gdy rozległ się dzwonek. Tym razem do drzwi. Długowłosa i długonoga blondynka zanosząc się płaczem wbiegła do pokoju. Opierając się dłońmi o blat dębowego stołu powiedziała:

- Och...
 - Lili, co się stało?
 - Milton... - wyszeptała - Milton... on, on nie żyje...
 - Tak, wiem. Od pewnego czasu zresztą.
 - Czym jest czas wobec takiego nieszczęścia. Nie wiesz nawet jak ta tragedia na mnie wpłynęła. I jeszcze dowiedziałam się, wczoraj, że Milton był moim synem.
 - Przecież był starszy od ciebie o... chyba cztery lata.
 - To nic, to nic. To są nieistotne szczegóły. Chodzi o to, że jak byłem przetrzymywana przez ojczyznę w zakonie, to wtedy nosiłam go, nosiłam go w sobie... Potem, oczywiście, po wypadku, nic nie pamiętałam. Ale teraz wiem, i czuję, że to co wiem, jest prawdą...
- Damian zaniemówił. Zbliżał się czas siłowni, a tutaj zapowiada się na dłuższą dysputę.
- Och! - powiedziała Lili padając w ramiona Damiana. - Och! Jaki ty jesteś silny, jak się taka mała istotka jak ja czuję bezpiecznie. Wiesz, ja nie kochałam Milтона prawdziwą miłością, a miłością rodzicielską, pewnie dlatego, że był moim synem, dzieciakiem kochanym. Pewnie i dlatego nam nie wychodziło, no wiesz, w łóżku. Bo tak dziwnie spać ze swoim synem jeszcze o cztery lata starszym.

- Nie da się ukryć, a teraz wybaczone, muszę iść na siłownię.

Lili sunęła ramiączko sukienki.

- Jesteś pewny?

- Tak, tak było w scenariuszu. Idę. Nie wypij mi całego soku.

Drzwi zatrzasnęły się za Damianem. Lili skryła

twarz w dłoniach.

*

Marzena zastygła z kieliszkiem w dłoni, kiedy do salony wszedł Rafał. Garnitur, kupiony kilka dni temu i będący hitem sezonu wśród elity, był pognieciony.

- Co się stało - wyszeptła przerażona. Pomimo, iż od rana był to jej trzeci kieliszek wytwornego wina z Chile, to ledwo opanowała drżenie głosu.
- Nie uwierzysz, ja nie wierzę. Nalej mi whisky.
- Dopiero dwunasta. Za pięć.
- Nieprawda. Spiesz się zegarek. Jest jedenaasta czterdzieści dziewięć.

Marzena oburzyła się. Energicznie udała się w stronę barku.

- Ty zawsze z tym swoim zegarkiem. Uważam jednak kochanie, że jesteś w błędzie, gdyż ja swój, tradycyjnie, jak moja matka, moja babka, prababka i tak dalej, ustawiam zegarek wraz z biciem kościelnych dzwonów. - Ty i te twoje przestarzałe poglądy. Zresztą kościelny jest alkoholikiem i specjalnie przyspiesza, ale zostawmy już ten temat.
- Dlaczego? Dlaczego zawsze urywasz ten temat. Uciekasz od problemów - dla podkreślenia wagi słów uderzyła szklaną o blat.
- Kochanie przestań. Miałem ciężki dzień. Chcę się napić i odpocząć. Czy nawet w domu nie mogę odpocząć. Tyram jak osioł jeżdżąc jaguarem po mieście, codziennie przez kilka godzin, Kaszubska, Mickiewicza, Komuny Paryskiej, Jana Pawła, Zmartwychwstania, Bohaterów Warszawy, Kasprowicza... Codziennie, dzień w dzień, jak jakiś... normalnie, byś mogła pić sobie wino i czytać romanse. Byś mogła mieć te sukienki, co w nich tak ślicznie wyglądasz i dzięki którym jesteś sobą. To wszystko robię dla nas! Zrozum to wreszcie. I daj mi tą pieprzoną whisky.

Marzena bez słowa chlusnęła alkoholem w twarz Rafała.

- Sam sobie weź. Odchodzę. Mam już dość namawiania się z mojego zegarka, z mojej tradycji czasu. Rafał spokojnie podszedł do barku.

- Skoro tak to wypierdalaj! I zostaw kieliszek. To kryształ.

*

Zadymiony pusty lokal. W głębi, w najmroczniejszym kącie siedzi jakaś postać.

Barmanka o obfitych piersiach wyciera szklanki. - Kobieto, jeszcze jedną - wrzeszczy postać skryta w mroku. Po głosie widać, że wypila znaczna ilość.

Kobieta nalała do szklanki tekili. Zmysłowo, kręcąc biodrami, ruszyła poprzez salę.

- Nie mówiłem ci, co mnie spotkało - stwierdził gość.
 - Nic pan nie mówił, poza „jeszcze jedną”, „ponownie”, a i na początku, „tekilę podwójną z sokiem pomarańczowym”. Mężczyzna chrząknął.
 - Jestem małowówny. Tak ogólnie. Mam to od dzieciństwa...
 - Smutne.
 - Czy ja wiem... Pewnie to jeden z powodów mojego pijaństwa. Żeby otworzyć usta do kogoś, muszę dziabnąć coś, bo inaczej nic. Wstaję rano, walę kielonka. Przed pójściem do pracy jeszcze jeden. Potem w pracy sukcesywnie. Co jakiś czas, by nie wypaść, a raczej wpaść w milczenie.
 - Podobnie jak mój ojciec. Tylko, że on miał bezwład. Nie mógł wstać bez alkoholu. Słabe ciśnienie, czy coś, nie znam się na tym. Pić musiał, jak pan, cały dzień.
- Nieznajomy zamilkł. Chciał zapalić, ale przypomniał sobie, że nie może. Zamiast tego wyciągnął lizaka.
- A czym się pan zajmuje.
 - Mów mi Milczek. Tak nazywają mnie znajomi.

*

Detektyw przetarł okulary przeciwsłoneczne. Westchnął.

- Mnie też kiepsko płacą, a ten garnitur, to kurde, policjanci się lepiej ubierają. Gdyby jeszcze jakieś ciekawe sprawy, a tu kradzież noworodka, wymuszenia seksualne na starszych paniach, fałszowanie czeków. Nuda.



 Krzysztof anin Kuzko

- Lekarz przytaknął. Kątem oka spoglądał na skąpo ubraną pielęgniarkę o bujnych kształtach. – Ale pan mnie nie słucha
- Słucham.
 - Właśnie, właśnie. Dostrzegłem to już dawno, że my nie słuchamy, tylko mówimy. Mało nas obchodzą inni ludzie. Chodzi tylko o wykazanie siebie, zagranie, a cała reszta, to reszta.
 - Co pan mówił, zamyśliłem się.
 - Przysłała mnie rodzina Robinsonów. Mam zebrać dane na temat... no zapomniałem. Ogólnie ma mi pan dać jakieś dokumenty, pan wie jakie, a jak pan nie da, to oni, ja, ktoś tam, ma dowody morderstwa. Niejakiego Milтона. Rozumie pan coś z tego?
 - Wczoraj miałem ciężki dzień. I słabo spałem, koszmary mnie męczyły. Wyobraża pan sobie, że śniło mi się, że, że, jak to się mówi, no mnie operują. I to mój najlepszy przyjaciel. Powoli wycinali mi wnętrzności, wyszarpywali, wątroba, płuca, serce... Po kolei, jelita. Pokazywali to wszystko studentom, pytając co to jest, czy do życia potrzebne. Strasznie zmęczony jestem. Zastanawiam się czy nie wziąć urlopu.
 - Ponoć nie dają. Musimy skończyć serię. Można tylko skończyć jak Milton. Czasem mu zazdroścę.
 - Nie ma czego. Wcześniej czy później każdego z nas to czeka.
 - No, ale, codziennie się o tym nie pamięta. Przez co codzienność jest jak wieczność.

*

- Damian wrócił z siłowni. Lili wybiegła z kuchni.
- Zrobiłam szarlotkę - westchnęła. - Lubisz szarlotkę?
 - Zużyłaś jajka?
 - Trochę.
 - Pamiętaj, nigdy więcej tego nie rób. Lili podeszła do Damiana. Objęła go.
 - Co robisz?- spytał szeptem.
 - Obejmuję cię.
 - Ale... ale to nie teraz. Pomyliło ci się.
 - Nie, mnie. To tobie. Jest napisane, że podchodzę, obejmuję cię. Mówię: „Chcę cię poczuć, przytul mnie”.
 - Niemożliwe. A co ja robię?
 - Chwytasz mnie za przeguby i patrzysz głęboko w oczy. I tak przez trzydzieści sekund.

*

- Marzena zatrzymała się w drzwiach. W dłoni trzymała walizkę.
- Odchodzę - oznajmiła.
 - Przykro mi.
 - Nie powiesz mi, co się stało? Kto ci pogiął garnitur? Pewnie jakaś młoda lala, młodsza i ładniejsza ode mnie.
- Rafał zacisnął zęby. Nalał porcję whisky. Wychylił jednym haustem.
- Spotkałem Milтона.

*

- Milczek, jakie to ładne - mruknęła barmanka prezentując obfity biust.
- Ujdzie.
- A czym się pan zajmuje.
- Mam bardzo ciężką pracę. Od rana do nocy przesiaduję w barach. Barmanka miała już coś powiedzieć, gdy słowa zamarły w jej silikonowych ustach. Przerażony wzrok utkwiała w mrocznej, dobrze zbudowanej postaci płci męskiej, która stanęła w drzwiach.



JERZY REUTER

WAHADŁO NEWTONA

Obraz wisiał nad łóżkiem, pod Matką Boską Ostrobramską. Pomiędzy nimi świeciła swym wiecznym ognikiem czerwona lampka, świadcząca o obecności Ducha Świętego w naszym domu. Malowidło wykonał na zamówienie mojej babki, Józek Tryba, domokrażca, który raz w tygodniu przychodził na nasze podwórze i wykrzykiwał pod oknami zachrypniętym dyszkantem - Ostrzę noże! Ostrzę noże!

Józek był wesołym człowiekiem i podobno potrafił wszystko.

Babka miała przyjaciółkę, Fenię, zamieszkałą w Meksyku. Spędziły razem cztery lata w obozie koncentracyjnym Gross - Rosen i od niej dostawała regularnie kolorowe widokówki. „Odkrytkę” zaniósł Józkowi, a ten przyjął zamówienie na wykonanie obrazu według wzoru. Jego znany w okolicy talent artystyczny ograniczał się do malowania widoków z mostkiem i anioła przeprowadzającego dzieci nad przepaścią, - taki obraz wisiał w naszym przedpokoju, więc trochę kręcił nosem, ale zlecenie przyjął i pobrał zaliczkę.

Dzień odsłonięcia dzieła wypadł w niedzielę. Zasiadliśmy wszyscy wokół okrągłego stołu, a babka podała lipową herbatę. Józek przez chwilę mocował się z oporną ścianą, wbijając odpowiedni gwóźdź, po czym zawiesił wielką taflę dykty. Przez chwilę panowała zupełna cisza. Babka stała na środku pokoju i wpatrywała się w malowidło, potakując z zadowoleniem głową.

Pierwszy wybuchnął śmiechem mój starszy brat. Potem, śmiech przeszedł na innych i pokój wypełnił się niehumanicznym rechotem. - Milczcie zarazy! - krzyknęła babka. - Nie macie pojęcia o sztuce!

Obraz przedstawiał pokrojone w kawałki arbuzy. Czerwień miąższu dominowała na całej powierzchni i wyglądała jak rozlana krew. Owoce były pokrojone w ćwiartki i ozdobione powycinanymi ząbkami, a czarne pestki rozsypywały się wokół.

- A nie mówiłem? - powiedział Józek. - Nie mó-

wilem? Ale tak kazali i tak mają.

- Tyś mnie, Tryba, lekko oszukał - stwierdziła babka i uśmiechnęła się do Józka.

- No, jak to?

- Na odkrytce, jeden arbut ma wykrojone w miąższu litery. Tutaj ich nie ma, kochany Trybo.

- Jakże litery? Jak to, zamazane jakieś... To jak miałem przeczytać?

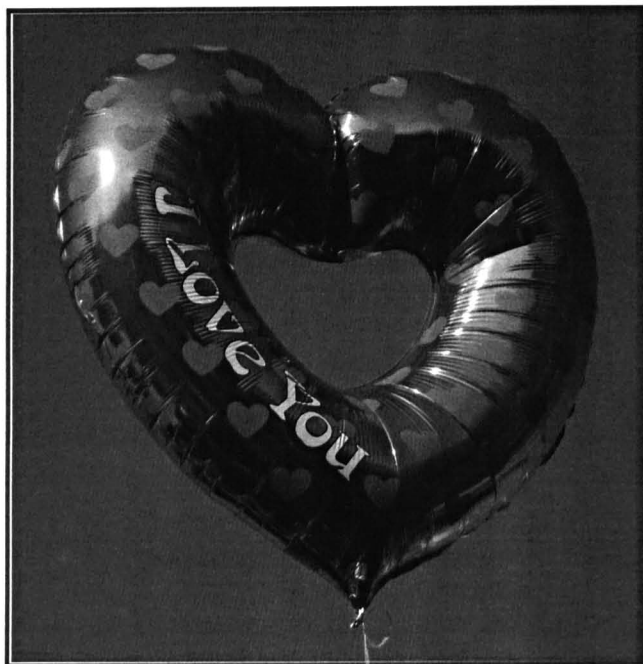
- No, dobrze - powiedziała babka. - Niech tak zostanie. - Po czym wypłaciła honorarium.

Byłem najmłodszy w domu, więc miałem przywilej spania z babką. Łóżko przylegało do ściany z obrazami, a czerwona lampka rzucała lekką poświatę na arbuzy. Przed snem liczyłem czarne pestki. Kawałki owoców straszyły twarzami bajkowych potworów i uśmiechały się do mnie, a obraz zamieniał się w filmowy ekran. W tym czasie nie znałem smaku tych owoców, ale bardzo wyraźnie czułem ich zapach. Po wielu latach zrozumiałem, że był to słodki oddech mojej babki.

* * *

Nie wiem ile jest metrów wokół krakowskich błoni. Na moje oko, jakieś dwa kilometry z hakiem. Dwa tysiące małych kawałków, takich na długość kroku, albo, żeby było jaśniej, na pół obrotu rowerowego pedału. Julia jedzie zawsze z przodu, na małej damce, przyklejona okrągłym tyłkiem do siodełka, wkręcona w malutkie, plastikowe siedzisko jednym kolistym ruchem bioder. Gdy siada, delikatnie wsuwa je pomiędzy grube uda i zakręca szerokim, lambadowym ruchem. Można powiedzieć, że nabija się na mały trójkąt gestem zamazystym i korbowodowym - używając technicznej terminologii.

Jadę za Julią na wielkim męskim góralu, przejętym po jej byłym mężu - Juźcieniekocham, wyremontowanym przez jej kochanka - Rolnika, dla kochanka - Pisarza, według ścisłej instrukcji kochanka - Naukowca. Jak



📷 Bogumiła Jarecka

w rodzinie. Każdy z nas ma swoje miejsce i wie, jaka jest mu przypisana danina. Był jeszcze kochanek - Nikt, ale to nie miało znaczenia. Ten szwagier, kuzyn prawie, nasza rodzina, miał dwa metry wzrostu i bardzo chory kręgosłup. Przypadłość ta eliminowała w pozostałych odczucia zazdrości. Kochanek - Nikt, nie mógł, lub zaniemógł, nieważne. On nie sypiał z naszą Julią. Współczuliśmy facetowi od serca i jednocześnie zacieraliśmy ręce. Zawsze to większy kawał tortu do podziału.

Kochamy Julię bardzo, każdy po swojemu, według najbardziej skrywanych fantazji i wybujałych oczekiwań. Dajemy jej wszyscy siebie, ale każdy zupełnie coś innego, a ona ma dzięki temu pełny zestaw niepowtarzalnych doznań. Rolnik zjawia się raz w miesiącu z pełnymi torbami płodów, wyhodowanych w ciężkim znoju na ziemi ojców i obdarowuje Julię z prostotą kmięcia, przeliczając wszystko na minuty, godziny, noce. Pisarz, jest bardziej wyrafinowany. Jego daniną są uciechy intelektualne w postaci książek, napisanych własną ręką i nieodłącznej butelki whisky. Książek napisał cztery, więc braki pisarskie zastępuje alkoholem i opowieściami z życia śląskiej bohemy.

Najbardziej tajemniczym szwagrem jest Naukowiec. Mieszka gdzieś na końcu Europy, w miasteczku wielkich mózgów i uniwersytetów. Czym się zajmuje? Tego nie wiem, ale z różnych rozmów wynika, że siedzi tam sobie i intensywnie myśli. Często podróżuje po Europie, robi jakieś badania, potrzebne do następnego patentu. Ma bardzo serdeczny stosunek do nas wszystkich, a najbardziej lubi Rolnika.

- Witam pana - mówi znudzonym głosem.
- Dzwonię żeby zapytać, a co tam słychać?
- Wszystko jest na swoim miejscu, panie O.
- odpowiadam grzecznie. - Właśnie wybieram się do Krakowa.
- Do naszej Julii? Do niej pan...
- Tak - przerywam. - Do kogo bym... No, do kogo?
- Wie pan? Ostatnio dużo myślałem o R. On ma kiepską sytuację, nie? R. często jeździ do Julii z tej wsi. Żal mi go, panie Jery.
- Chce, to jeździ. Mnie on niepotrzebny.
- Jery! Pan zbyt prosto stawia sprawy. Tak nie można.

Naukowiec myśli o wszystkim z filozofią wynalazcy. Nie ma spraw prostych i logicznych. Wszystko jest trudne i należy podchodzić do tego powoli.

- Długo myślałem - mówi. - Wie pan? Wykombinowałem, że my się złożymy i kupimy R. jakieś auto! Powie pan K?
- Nasz K. nie ma pieniędzy. Jego wydawca nie płaci honorarium.
- No, widzi pan - odpowiada zakłopotany. - To co pan proponuje. Czy możemy coś pomóc? Człowiekowi ze wsi?
- Możemy. Takie auto można kupić za trzy tysiące, góra. Rozumie pan?
- To, tak, no, to pan pójdzie w Krakowie do mojego brata. Ja tam za chwilę zadzwonię, a pan pójdzie i mój brat da pieniądze. Zadzwonię wieczorem i podam adres. Dobrze?
- Moment! - odpowiadam zaskoczony. - Pan chce sam kupić samochód? Temu R.?
- Może tak, tak właśnie bym chciał. A! Jeszcze jedno. Ile to euro, panie Jery? Chodzi o te trzy tysiące, nie?
- Jakies tysiąc będzie, tych euro... Co powiemy Julii?
- Jej? A nic nie powiemy, nic. To w końcu

nasza sprawa. Rodzinna... he he he!

Jadę za Julią na męskim góralu, odziedziczonym po Juźcieniekocham i wpatruję się w jej pracujące, jak dwusuw pośladki. Małe siodełko, wbite pomiędzy półkule mięsa, wygląda jak cienki patyk, podtrzymujący głowę cukrowej waty. Wieczorem pójdziemy na basen, a potem będzie cała moja. Wygladzona siodełkiem rowerowym i wykąpana, wypływana.

* * *

Któregoś letniego dnia, babka wysłała mnie do sklepu. Bardzo lubiłem chodzić na zakupy, była to okazja do oglądania ulicy, a nawet zawierania nowych znajomości.

- Pamiętaj, pół funta cukru i patrz uważnie na strzałkę wagi - powiedziała. - Do tego kupisz dwa słodowe piwa i natychmiast do domu. Tak?

- Tak, babko.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Przy takiej okazji nie mogłem się powstrzymać od zerknięcia w kilka interesujących miejsc. Pierwsze było podwórko. Wszedłem na kwadratowy plac i przewinałem się trzy razy przez trzepak, potem rzuciłem kilka kamieni w stronę wymalowanej na ścianie swastyki, sprawdziłem czy wejście do nory szczurów nie jest zatkane i wybiegłem na ulicę. Pamiętam, było upalne lato, a środkiem brukowanej jezdni jechały cygańskie wozy. Przed zakładem fryzjerskim siedział młody żołnierz z namydloną twarzą i uśmiechał się do gromadki dzieci, przypatrujących się pracy golibrody. Pan Kowal ostrzył brzytwę o szeroki pas i śpiewał wło-skie piosenki. Zbliżyłem się do żołnierza i dotknąłem palcem białej piany, kłębiącej się na jego policzkach.

- To boli? - zapytałem.

- Boli jak diabli. A ty gdzie? - odpowiedział.

- Idziesz gdzieś, chłopaczku?

- Do sklepu idę, żołnierzu, a co?

- To zmiataj!

Sklep był na końcu ulicy. Jeszcze po drodze zerknąłem do pracowni krawieckiej i wulkanizatora. Gdy dotarłem do celu, zobaczyłem cztery wozy konne, kryte kolorowymi plandekami. Stały przy sklepie, a gromada małych, cygańskich dzieci bie-

gała wokół. Cyganiątka wchodziły pod brzuchy zwierząt i krzyczały w nieznanym języku do przechodniów. Starsi Cyganie siedzieli na murku i jedli czerwone arbuzy, spluwając pestkami przed siebie. Przystanąłem w zupełnym zachwycie i gapilem się, łowiąc wszystkie odgłosy jedzenia. Mężczyźni uśmiechali się do mnie.

- Ciawa! - zawołał jeden, chyba najstarszy z nich. - Chcesz kawałek? Nie bój, ciawa, my dobrzy.

- Babka mi zakazała - odpowiedziałem.

- Chodź, ciawa, zjedz harbuza, no, masz.

Podszedł i przystawił mi kawałek owocu do ust.

- No, jedz. Ciawa, jedz.

- Nie chcę!

- Boisz się nas?

- Nie boję, ale arbuza nie będę.

- Harbuzy dobre, jedz.

- Nie!

- A ja ci mówię, jedz!

Złapał mnie za włosy i przyłożył czerwony miąższ do ust. Zaciśnałem mocno zęby.

- Żryj smarku, jak dają!

Sok spływał po brodzie i ściekał na koszulę. Po chwili Cygan przestał. Nagle odchylił się i uderzył mnie kawałkiem arbuza w twarz.

- Bynka ciawa! - zawołał i uderzył jeszcze raz. Inni mężczyźni podeszli i obrzucili mnie kawałkami owoców. Gromadka cygańskich dzieci wypelzła spod wozów i koni. Wtedy zobaczyłem biegnącego ulicą żołnierza. Pędził wielkimi susami i wywijał nad głową wojskowym pasem. Za nim podążał fryzjer, pan Kowal, trzymając w ręku drewniany taboret.

Cyganie uciekli w popłochu na wozy i zacięli konie. Tabor odjechał spod sklepu szybkim kłusem.

Dwa dni po tej przygodzie, gdy nie było nikogo w domu, wyjąłem z kredensu puszkę czarnej farby i zamałowałem obraz z arbuzami.

* * *

R. samochodu nie dostał. Zmarł szybko i nieoczekiwanie, a właściwie spodziewanie, ale nie tak, że już dziś, lub jutro. R. pił duże ilości podłego alkoholu, więc jego odejście

- było przewidywalne, co do powodu, lecz rozłożone w zagadce czasu, jakim jest wytrzymałość serca i wątroby. Spirytus „Royal”, mający skutecznie przerzedzić rosyjską populację, zebrał żniwo na naszej starej, sądeckiej ziemi. W dniu śmierci R., zadzwonił do mnie Jużcieniekocham.
- Pan będzie dzisiaj u Julii?
 - Tak, to mój weekend - odparłem grzecznie.
 - Ona już wie, że R. nie żyje, a pan już też, skoro mówię... Bo ja mam prośbę, panie Jery.
 - Toś mnie pan! - Aż przysiadłem z wrażenia.
 - Fajny sposób na przekazywanie wieści o śmierci!
 - Bo ja mam inną sprawę i lepiej jak pan tam pojedzie wiedząc, a sprawa nie jest byle jaka.
 - Wal pan śmiało - odpowiedziałem nieco już spokojniej.
 - Pan musi ją odwieść od przyjazdu na pogrzeb. Bardzo o to proszę. Pewnie ona nie mówiła, ale my w tej wsi mamy dom i jej romans z R. jest tutaj szeroko znany i potępiany.
 - Nie wiedziałem, ale rozumiem.
 - Niech teraz sobie pan pomyśli. R., kochanek w trumnie, a za nią idzie rzucony mąż i niewierna żona. Dla niej to nic nie znaczy, ale ja tu zostałem i mieszkam z tymi ludźmi. Czy pan pojmuje?
 - No, tak - nie wiedziałem, co powiedzieć. - No, dobrze, ja tu coś wymyślę... Swoją drogą, żeś mnie pan zaskoczył.
 - Kuleczko?
 - Nie ma mnie.
 - Julia, wyjdź. - Siedzi wciśnięta w róg pokoju, zastawiona wielkim fotelem.
 - Nie ma Julii, ona umiera.
 - Co się stało? - Muszę udawać, że nic nie wiem, bo Julia nie ma pojęcia o kontaktach pomiędzy jej mężczyznami, pomiędzy nami.
 - Zabiłam R.
 - Co ty mówisz?
 - To moja wina! On nie wytrzymał tego piekła, jakie wam robię.
 - Nie żyje?
 - Zapisał się na śmierć... Moja wina... Moja.
 - Kuleczko. Kładę się obok Julii i wciskam w miękkie i ciepłe. Układam głowę na wielkim białym, a jej łzy kapią mi na szyję.
 - Julio, a my? My cię kochamy.
 - Pozamiatam... Muszę pozamiatać. Wszystko.
 - Wstań, Julia, zrobię ci obiad, chcesz?
 - A co mi ugotujesz? Nie jadłam od wczoraj.
 - Zrobię ci rosół, ale musisz wstać i iść do kuchni.
 - Wiem, że Julia szybko przechodzi do normalności i wiem, że czekała na mnie. Godzinę przed moim przyjściem, wcisnęła się w kąt pokoju i zalała łzami, może szczerymi, albo żeby ją nieco usprawiedliwić, zalała się łzami w sposób przemyślany i wskazujący na wielką bezradność i nawet beznadzieję wobec losu. Swojego losu, nie mam wątpliwości.
 - Nie każesz mi nic robić?
 - Nie. - Przechodzimy do kuchni.
 - Pobędziesz ze mną? Boję się. Wiesz, to mieszkanie, ściany... R. robił remont, pół roku temu. Malował... Stał na drabinie, a ja na niego krzyczałam.
 - Po obiedzie pójdziemy na Kazimierz. Przejdziemy się, odwiedzimy wszystkie antykwiariaty. Chcesz?
 - I pójdziemy do sklepu z aniołkami?
 - Tak.
 - Zawsze tam chodzimy i zawsze mam ochotę kupić wielkiego anioła, i powiesić na ścianie, nad łóżkiem Julii.
 - A potem wstąpimy do galerii. Kupię ci coś pachnącego.
 - Pamiętasz? Chciałeś kupić mi anioła.
 - Może w końcu kupimy, ale musi być duży i w kolorowej sukience. Niech ma malutki kapelusz na głowie, co?
 - Nie chcę już. Mam inny pomysł.
 - Jaki?
 - Ostatnio byłam na Kazimierzu, z K. i natknęłam na dziwny obraz. Leżał zakurzony i brudny za jakimś meblem. W tym antykwaracie jest wielki bałagan. Wiesz, ja chcę mieć to malowidło.
 - Jakiś wartościowy? Ile kosztuje?
 - Nie, nie jest wartościowy. To jakaś mierna kopia, ale chcę, bo to kopia dzieła Fridy Kahlo. Uwielbiam jej malarstwo.
 - Wiesz, że nie znam się na sztuce, ale skoro tak mówisz?
 - Jery? Wiesz, co to jest wahadło Newtona?
 - Pamiętam ze szkoły, owszem.

- Bo widzisz, jak myślę o sobie, jawi mi się to przenoszenie energii. Pierwsza kulka, to ja, Jery. Ostatnia, to zawsze jeden z was. Tym razem padło na R. Wcześniej oberwał mąż. Kto będzie następny? Coś ci pokażę - wybiega do pokoju. Słyszę jak przerzuca książki. Nie bardzo wiem, co chciała mi przekazać, ale czuję coś złego. Coś nadchodzi i tłumi światelko we mnie.
 - Zobacz! - Wraca do kuchni i rzuca na stół kolorowy album. - Otwórz na piętnastej.
 - Dobrze. - Rozkładałam kartki wypełnione zdjęciami dzieł sztuki. Na wskazanej stronie widzę dziwny obraz. Półnaga kobieta w medycznym gorsecie, patrzy w bok zimnym wzrokiem, a jej piersi przeciskają się przez metalowe pasy, zapięte na torsie.
 - Dziwny.
 - Smutek... Jery... To mój smutek. Dlatego muszę to wszystko pozamiatać. Uporządkować i wyjść z gorsetu, a najbardziej uwierającą częścią tego kalectwa jesteście wy, moi chłopcy. Rozumiesz?
 - Myślałem, że czujesz się dobrze z nami. Kochamy cię Julio.
 - Egoiści. Czy któryś z was, chociaż raz zapytał o moje uczucia? Kogo interesuje moje uczucie? Tańczycie wokół mnie jak koguty. Stroszycie piórka, nie bacząc czy mi to się podoba, czy jestem szczęśliwa. Myślisz, że można kochać kilku na raz?
 - Żyjemy tak, prawie dwa lata.
 - Boże! Czy ty mnie rozumiesz? Wiesz, o czym mówię?
 - Chyba tak. - Przeczuję, że to już koniec naszych spotkań, naszych wypraw w góry, basenów, rowerów. - Chodźmy na Kazimierz... Chodźmy po obraz.
- Antykwarjat okazał się zatęchłą piwnicą, wypełnioną nikomu niepotrzebnymi przedmiotami. Kawałki mebli i zardzewiałe żyrandole leżały porozrzucane w nieładzie, a w rogu, przy gołej ścianie rozwalający się kredens. Na samym środku piwnicy stało piękne biurko, jedyny wartościowy mebel w tym dziwnym składzie. Stary właściciel siedział podpierając się wiklinową laseczką i wołał w stronę drzwi.
- Prosiemy! Prosiemy!
 - Można pooglądać? - zapytała Julia.



- Oglądać, ale nie dotykać. Nie dotykać eksponatów - powiedział właściciel, po czym roześmiał się radośnie. - Nie dotykać, bo można się pobrudzić!
- Właściwie, to już mam coś upatrzone. Pamięta mnie pan?
- Owszem - odparł starzec. - Pani oglądała tę kopię, prawda? Jest, jest, a jakże. Schowałem dla pani. Nawet odświeżyłem, ale czy warto? Może nie warto.
- A jednak warto - dodałem.
- A idźże pan, idźże. To nawet nie jest kopia, ale pan wie, jak to jest.
- Mnie się podoba - powiedziała Julia. - Umawialiśmy się, tak?
- Umawialiśmy się? Ja, miła pani, dałem słowo. Moje słowo jest więcej warte niż gracy. Wstał zza biurka i podszedł do Julii.
- Pięćdziesiąt lat handluję, tak, aż tyle lat szwendam się po kraju i skupuję od ludzi rupiecie. Wiecie, że każdy grat ma swoją historię? Bo ja nie kupuję byle jak, ja proszę was, kupuję z opowieścią. Przedmiot bez historii nie ma u mnie szans. Nawet ten bohomaz ma tragedię w tle, oj i jeszcze, jaką!

Właściciel był malutkim starcem, wyglądającym jak człowiek z innej epoki. Ubrany w zabytkową bonżurkę, koloru wiśniowego i połatanę, sztruksowe spodnie. Gdy mówił, wymachiwał na boki łaską.

- Pani wie, czym jest taka kopia? - zapytał.
 - Pani wie?
 - Kopia, to kopia - odparła Julia.
 - Tak? Idźże pani, idźże! - Staruszek stanął na środku piwnicy. - Takie kopie, czyli landshafty, byle jakiej próby, są jak cukierki słazowe. Bierze pani do gęby miód, a cycka palony cukier. Dlatego wszystko jest ukryte w historii ludzi związanych z dziełem, szanowna pani.
 - To, jeżeli ma pan chęć, proszę opowiedzieć - powiedziała Julia. - Chętnie dowiem się, co powieszę w domu.
- Właściciel rozsiadł się w wiklinowym fotelu i wyjął z szuflady biurka długą, szklaną fiolkę. Przez chwilę przedmuchiwał ją zawzięcie, a potem włożył między kciuk, a palec wskazujący ustnik fiyki i przyklasnął drugą dłonią. Ze środka szklanej rurki wypadł mały niedopałek i wyładował na śro-

dku piwnicy.

- Obraz kupiłem za ćwiartkę wódki - zaczął staruszek i włożył do fiyki kawałek papierosa. - Sprzedał mi go dozorca kamienicy, gdzieś w Tarnowie. Czterdzieści lat temu jeździłem w różne zakątki w poszukiwaniu staroci. Sam obraz był w opłakanym stanie i nie rokował, jak to się mówi. Poza tym malowany na dykie... Idźże, idźże... Ten malunek zachlapany był czarną farbą, ale to była jakaś wodna, więc wiedziałem, że da się umyć. - Odpalił papierosa i przez chwilę dusił się od kaszlu. - Nieważne. Ten dozorca był na tyle rozmowny, że wypiliśmy razem tę wódkę i jeszcze ciut trochę. Przy wódcie i ogórkach opowiedział mi dziwną historię. Widzicie państwo. Ten obraz wisiał w mieszkaniu, gdzie mieszkała jakaś starsza kobieta z gromadką dzieci. Podobno, te dzieci, to jakieś z domu dziecka były, czy coś. W każdym razie nie było im bogato.

Słuchałem i czułem, że serce skacze mi do gardła. W przeczuciu jakiejś strasznej katastrofy, przysiadłem na zakurzonej skrzynce. Miałem wrażenie, że zaczynam się dusić.

- Panu źle? - zapytał. - Może wody, albo coś?
- Dobrze, dobrze - odparłem. - To chwilowe.
- Można dalej? - zapytał. - Więc tak. Któregoś dnia kobieta zmarła i nic w tym dziwnego by nie było, gdyby wszyscy o tym wiedzieli. Powiem wam, że nikt nie wiedział o jej śmierci. Całe dwa tygodnie dzieciśka trzymały to w tajemnicy. Mieszkały z trupem, a jeden chłopczyk nawet spał z nią w jednym łóżku. Ktoś w końcu odkrył tragiczną prawdę i dał kres makabrze. Potem te dzieci rozwieźli gdzieś po świecie i został tylko obrazek. Ot, cała historia.
- Jerry - powiedziała Julia. - Ja muszę mieć ten obraz.
- Tak, musisz - odparłem. - Trzymaj go w domu i nikomu nie oddaj, rozumiesz? Bardzo cię proszę.
- Boże, jakie to przejmujące. Teraz rozumiem ile jest warta historia, a nie samo dziełko.
- Julia była wzruszona.
- Jak mówiłem - powiedział staruszek. - Bez ciekawej historii nie kupuję, bo cóż jest warte puste malowidło? Obraz stoi za

- kredensem. Jest zapakowany w papier, tak będzie wygodniej.
- Ile pan ceni? - zapytałem.
 - Cenie? - powiedział z uśmiechem. - Ja mam dobre oko, szanowny panie i widzę, że coś jest na rzeczy z tym obrazem. Weź se pan darmo, ale za historię daję pan na ćwiartkę. Dobrze?
 - Dam nawet na dwie - powiedziałem. - Bylebyś pan już nic nie mówił.
 - Kuleczko?
 - Dziękuję... Dziękuję za prezent.
 - Julia.
 - Powiedz, ja słucham.
 - Oblewamy obraz, czy nasz ostatni wieczór?
 - ...
 - Co oblewamy?
 - ...
 - Julia.
 - ...
 - Sam się pozamiatał, rozumiesz?
 - ...

- Kuleczko. Powiesz mi coś?
- Co?
- Czy na tym obrazie... Czy tam są wymalowane arbuzy?
- Tak, czerwone arbuzy.
- Kocham cię
- Trudno, muszę pozamiatać w swoim życiu.
- Julio. Tam, na arbuzach miał być jakiś napis. Proszę, nie mów, jaki. Dobrze?
- Wahadło Newtona... Wszystko jest reakcją na coś... Nie powiem, nie.
- Jutro mnie już nie będzie.
- Będziesz. Zostanie ten obraz.
- Wahadło Newtona, Julio.
- Tak, Jerry.

Po kilku dniach dostałem wiadomość. Na ekranie telefonu wyświetlił się napis:
 Pozamiatałam K.
 Zostaję z O.
 VIVA LA VIDA.





URSZULA GRONOWSKA

LUPA

Świat, który oglądał przez lupę, wydał mu się zadziwiająco bliski. Studiował z uwagą starą fotografię i czuł jej pulsujące wnętrze na wyciągnięcie ręki. Doszedł do wniosku, że można wypełnić wolne chwile oglądaniem niektórych rzeczy przez lupę. Niedawno odkrył jak ważnym przedmiotem może być ten zwykły przyrząd z czarną ręką.

Używał jej do studiowania miejsc, które zapadły mu głęboko w pamięć, a one wzmagły w nim jakąś czułość i chęć zmierzania się z dawnymi doświadczeniami na nowo. Przemierzał więc z lupą wąskie uliczki i zaułki miast, uwiecznione na kolorowych fotografiach, zaglądał do cienistych parków w skwarne popołudnie, zatrzymywał się na chwilę przy jakiejś sklepowej witrynie, sięgał wzrokiem szczytów kamienic, sycił się chłodem gotyckich katedr i romańskich kościołów. Za każdym razem odżywały wspomnienia i z wyblakłych nieco fotografii starał się odbudować fragmenty zaistniałych kiedyś sytuacji, krótkich zauroczeń, małych olśnień, jakby wznosił na nowo coś, co od dawna uległo już zwietrzeniu i zapomnieniu. To był jego codzienny rytuał. Z czułością wodził palcem po konturach budowli, dotykał dłońmi powierzchni fotografii, chcąc się upewnić co do miejsca, które miał zamiar odwiedzić.

Nikt mu nie przeszkadzał, nikt nie odwracał jego uwagi, właśnie patrzył na milczące, wysokie sklepienie, zawieszone nad jego głową. Zdjęcie było kolorowe, ale trochę nieostre. Przed dwudziestu laty, kiedy był młody i sprawny mógł wyruszyć każdym szlakiem, który kusił go swoją niewiadomą. A teraz... Teraz pozostało mu tylko przeglądanie fotografii i przypominanie sobie, wydobywanie z zakamarków starej pamięci fragmentów wspomnień, jak mozolne układanie puzzli z kolorowego obrazka. Trzymał zdjęcie w pomarszczonej dłoni i zbliżając lupę do zapalanej lampy przez moment poczuł na policzkach

promień słońca, tak jak wtedy muskający jego twarz. Przypomnił sobie także trzepot gołębih skrzydeł po drugiej stronie okna, jedyny element burzący tamtą ciszę.

Oglądanie zdjęć przez lupę zajmowało mu prawie całe dnie. Bolały go oczy i głowa, ale cieszył się jak dziecko na myśl o kolejnej wędrowce, czując dreszcz zbliżających się emocji. Siadał wygodnie i dawał się ponieść wspomnieniom, a one niosły go do dalekich miast i minionych chwil. Sporo czasu zajmowało mu przypomnienie sobie faktów i miejsc, więc wysilał pamięć, próbował dopasować daty, zestawiał razem fotografie. Złosił się, że nie jest w stanie wykrzesać z siebie, z tych okruczeń pamięci czegoś konkretnego, co by rozpało jego wyobraźnię. Robił w pośpiechu zakupy i nie wdając się w rozmowy z sąsiadami, wracał do domu. Był pewien, że tylko sam na sam ze swoimi zdjęciami poczuje się na swój sposób szczęśliwy. Patrzył na blade jesienne słońce ślizgające się po murach sąsiedniej kamienicy. Jego okna nadal pograżał cień chłodnego poranka. Odkąd wszedł w dojrzałe lata, nie przepadał za jesiennymi wieczorami w swoim pokoju. Ale teraz był bogatszy o jedno nowe doświadczenie - spacer z lupą, które pozwalały mu zapomnieć o szarych świtach i smętnych, rozwlekłych popołudniach.

Znów zasiadł na starej wersalce, by przenieść się w szczęśliwe lata i miejsca. Chciał powrócić do kilku zmierzchów w pewnym mieście. O dziwo, zapamiętał piękne tęczowe kręgi wokół latarni, chociaż może to było tylko odległe w czasie złudzenie. W każdym razie bardzo przyjemne. Powrócił do momentu, kiedy popołudnie niezauważalnie przechodzi w zmierzch i wszystko wokół jest jakieś tajemnicze, powleczone delikatną mgiełką, ale zaznaczone wyraźnym konturem. Cudowna chwila w ciepłym odcieniu, z sylwetkami domów w głębi, którą uwiecznił na zdję-



Joanna Bukowska

ciu, nie myśląc nawet, że powróci do niej po tylu latach. Potem długo lustrował fragment otwartego okna jakiejś kamienicy i wpadło mu do głowy, że może tam, za szybą, ktoś mógł robić to samo, co on. Z odrętwienia wytrącił go jakiś krzyk za ścianą. Nie mógł już uporządkować swoich myśli i rozzłościł przerwany wątek. Poszedł spać w złym humorze.

Ale nocą znów zaczął wspominać. Tym razem wędrował kamiennym mostem i był bardzo rad z wczesnego poranka. Prawie wyczuwał niespieszny nurt rzeki i zapach wilgoci. Miał go prawie w nozdrzach. Był zdziwiony tamtą pustką i ciszą. Rzadko zdarzało mu się snić tak na zamówienie. Długo przechadzał się pod arkadami renesansowych kamieniczek w chłodnym mroku starych murów, patrząc na plac z różnych perspektyw i szukając zmieniających się tonacji światła.

Obudził się zadowolony. Chciał zerknąć je-

szcze raz na stary zamek ze swoich podróży. Zamknął oczy i próbował przywołać wspomnienia. Ale natchnienie go opuściło. Patrzył na lupę jak na bezużyteczne narzędzie.

Przez kilka kolejnych dni nie mógł znaleźć sobie miejsca. Z jednej strony chciał odpocząć, a z drugiej, znów dać ponieść się wyobraźni, zrobić coś ze swoim wolnym czasem. Nagle, ku jego zaskoczeniu, wspomnienia spłynęły z całą mocą, jedno za drugim, jak kaskada. Wpadł w panikę, że nie będzie ich w stanie posegregować. Ale już po chwili przechadzał się po rozległych placach, zaglądał do sklepików, dotykał ręką ceglanych murów, jakby chciał sprawdzić ich autentyczność. Wodził wzrokiem za promieniami słońca, obserwował lot gołębi. Nawet wyobraził sobie, że pije kawę w kawiarence z kolorowym parasolem, przyglądając się wielobarwnemu tłumowi. Gwar narastał, słyszał strzępy

rozmów, rozpoznawał pojedyncze słowa. Był wreszcie w tamtym miejscu, które go zawsze fascynowało. Bawiło go ustawianie lupy wraz ze światłem lampy, dawało głębię spojrzenia i większą trójwymiarowość płaskiej fotografii. Wszystko nabierało kształtów i przestrzenności. Mrużył oczy, zakrywał ręką to jedno, to drugie oko, by wrażenia były intensywniejsze. Powracał do tego zdjęcia wielokrotnie. Wspomnienie smaku kawy pozwoliło mu zapomnieć o lupie, dzięki której znalazł się na najbardziej ruchliwej ulicy tamtego miasta. Tak, kawa była wyśmienita i nie przeszkadzał mu nawet tłok i nerwowy pośpiech. Nie rozumiał tylko, dokąd ci ludzie tak śpieszą, zamiast usiąść i zatrzymać się na chwilę, jak on. Długo myślał o mieście, którego uliczki znał na pamięć. Przybliżał twarz do fotografii i od nowa przenikał tłum. Był tam rzeczywiście.

Doszło do tego, że w ogóle nie rozstawał się z lupą, a ona stała się jego jedynym oknem na świat. Przestał odbierać rzadkie telefony, posiłki jadł w pośpiechu i prawie nie wychodził z domu. Zamiast cieszyć oczy jesiennymi promieniami słońca, wołał siedzieć zagrzebany we wspomnieniach i



Joanna Bukowska

przeglądać albumy. Wstawał rano i kładł się nocą. Czasem sprawiał wrażenie, że tracił rachubę czasu. Przyszło mu do głowy, że z nikim się nie przyjaźnił i nikomu nie opowiadał swoich wrażeń z podróży. Z nikim nie dzielił życia, zawsze był sam. Zrobiło mu się przykro, poczuł, że coś stracił, czegoś nie spróbował i nie doświadczył, coś go ominęło. Została mu tylko ta jego pamięć, trochę zawodna i wyblakła, jak niektóre jego fotografie. Dziś ta pustka doskwierała i zaczął trawić żal, że nie ma kogoś bliskiego, komu mógłby poświęcać czas, a przecież miał go tak dużo.

Do zdjęć nie zajął przez kilka dni. Tłukł się z kąta w kąt, wymysławiając na siłę jakieś porządki. Miał krótkie przebieyski, że coś zaniedbał, o czymś zapomniał.

Rano zerknął kątem oka na leżącą na biurku fotografię. On nad rzeką, z miastem w tle. Pomarańczowy, ciepły zachód. Obok, jacyś nieznani, uśmiechnięci ludzie. Przysunął bliżej lupę i znów był między nimi. Nabral ochoty na wędrowkę tamtymi śladami. Przechadzał się w wesołym tłumie turystów i czuł zapach miasta. Przypomniawszy sobie chłód rzeki, w której wtedy zanurzył dłonie. To jego dzisiejsze marzenie też było bliskie uwolnienia się od jakiegoś niewidzialnego ciężaru, który czuł na swoich barkach od wielu tygodni. Sprawdzał lupą refleksy słońca na połyskującej powierzchni wody. Widział błysk kościelnych iglic i czerwonych dachów starego miasta, daleką linię zamglonego horyzontu. Docierały do niego odgłosy z nadbrzeżnych kawiarenek i restauracji. W jednej chwili poczuł, że wreszcie zrzuci z siebie ten balast. Wyobraźnia i magia tamtego miejsca sprawiły, że nabral jakiejś nowej siły. Odłożył zdjęcie.

Wyszedł na spacer, zaskoczony jasnym słońcem. Szedł powoli i lekko, wystukując laską rytm każdego kroku. Zatrzymywał wzrok na szczytach kamienic i ozdobnych gzymsach, dostrzegał niektóre detale, umykające na co dzień, czuł zapach własnego miasta. Tu nie musiał używać lupy, by doświadczyć czegoś prawdziwego.





KATARZYNA RYRYCH

DWADCAT` PIERWOJ, JAK ZWYKLE

Siadam na łóżku, wstaję powoli, stawiam stopy na cieplej, drewnianej podłodze, deski takie same jak u Dziadka w mieszkaniu. Ubrać się trzeba. Umyć. Zawijam się we flanelową koszulę, ciepła i miękka, pachnie tytoniem i dymem z ogniska. Żeby pójść do łazienki muszę przez „duży pokój” (u mnie tak się mówiło - „duży pokój”, bowiem był i mały), gdzie dosunięty do meblościanki stoi długi, prostokątny stół, a pod ścianą, po prawej pianino. Czarne, zakurzone, rozstrojone, dawno nikt na nim nie grał. A Natasza się uczyła... Na pianinie Kola skręca papierosy. Ciotka marszczy brwi i głową kręci. Kola, ty durny, papierosy w kiosku, ot, na dół dwa kroki, a ty skręcasz jak muzyk... Kola rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie, ukrywam uśmiech, przemykam do łazienki bezszelustnie jak Lusia.

W toalecie wujek elektronik - hobbysta zamontował takie ustrojstwo, które samo światło zapala. Jak przyjemnie jest wejść pod prysznic, zmyć resztki eskapady na cmentarz, splukać resztki libacji z nieboszczykami. Wyjść świeżo, prawie energicznie, zamrużyć oczyma od światła, na stole gorąca herbata czeka, kanapki, ogórki, przezornie kieliszki się czają.

Ale my z Kolą wyjdziemy sobie na balkon, zapalimy. Powietrze chłodne, prawie mroźne, ciotka mruczy, żeby okno zamknąć, zamykamy, ale ją znowu dym drażni, a co to tak sierdzi, jakby kto chwasty palił w polu, ano nic, chwasty takie. Rzeczywistość na jeden moment zawiesza się, odpływa. Czas rozciąga się, zwalnia. Ostatni mach i śniadanie. Śmiejemy się może trochę za głośno, za głupio, co nas tak rozbawiło. Ano nic takiego, ot śmiać się chce. Zawsze to lepiej, jak komu wesoło, niż gdy smutek jesienny usiadzie na pierśsiach. Tego smutku wschodniego jeszcze nie zaznałam. Albo radośnie albo smutno, chyba od pory roku to zależy.

Nie w takiej Ukrainie się zakochałam w 2005.

Były słonecznikowe pola, rozległe po horyzont, zielone liście pokrywające ziemię, kule arbuzów zerkające spomiędzy tej zieleni, zboża, falujące jak morze, bezkresnie, monotonnie, spokojnie, zapadał się ten spokój głęboko w duszę, rozlewał, brał w posiadanie, koił, budził echa dalekich pieśni. A i wódka inaczej wchodziła - łagodnie, usypiająco, kładła na łóżku jak w kołysce, może od pół szedł ten spokój, ta łagodność... Teraz jesień obnażyła horyzont. Stoją drzewa obrane z liści, jakby Sołowiej Razbojnik mimo przeszedł i na palcach zagwizdał, porwały się liście kurzawą, uniosły na kształt chmury, na ziemię opadły...

Jak to że tak, Kola, nie wiesz kto to był Sołowiej Razbojnik? To ja ci w skrócie powiem, rozciepilo się, można przed dom wyjść, na ławeczce usiąść, zapalić. Dwa pieski na nasz widok wygrzebują się z liści, jeden mordę kładzie na kolano, nosem trąca. Boki okrągłe, sierść błyszczy, o coś innego mu chodzi. Palę i drapię go za uchem, oczy mruży, stęka z zachwyty.

No to posłuchaj, Kola, był sobie u jednej matki syn, od urodzenia wszyscy mówili, że bohaterem będzie. Dęby młode jedną ręką do ziemi przyginał, młode buki z korzeniami z ziemi wyrывał, a jak gwizdnał, to liście z drzew leciały kurzawą...

Dym się wolno snuje w powietrzu, pachnie jak palone chwasty, gryzie w oczy, ale dobrze jest. Dooooobrze. Na moment, w rozmyciu rzeczywistości powraca obraz tamtej Ukrainy, gdzie po łbach arbuzów słońce wędrowało przez okrągły dzień, kwas chlebowy sycił pragnienie, sam wlewał się w gardło, a i wódka inaczej wchodziła, łagodniej, kołysała horyzontem...

Kola słucha, puszcza kółka z dymu, jemu bajek nie opowiadali, czasu nie było, i tak bez bajek wyrósł on, nie to, co ja, kiedy Dziadek siadał w fotelu i zaczynał opowiadać, i pieśni śpiewać, a w tych pieśniach pobrzmiwało echo końskich kopyt na

stepie, snuły się niby dym nad wodą, gryzący, słodkawy dym. A ja tutaj jestem, na ławce zielonej przed domem, do którego niby jaskółcze gniazda przywarły balkony. I Kola też jest, baśni słucha, głową kręci, jemu bajek nie opowiadali.

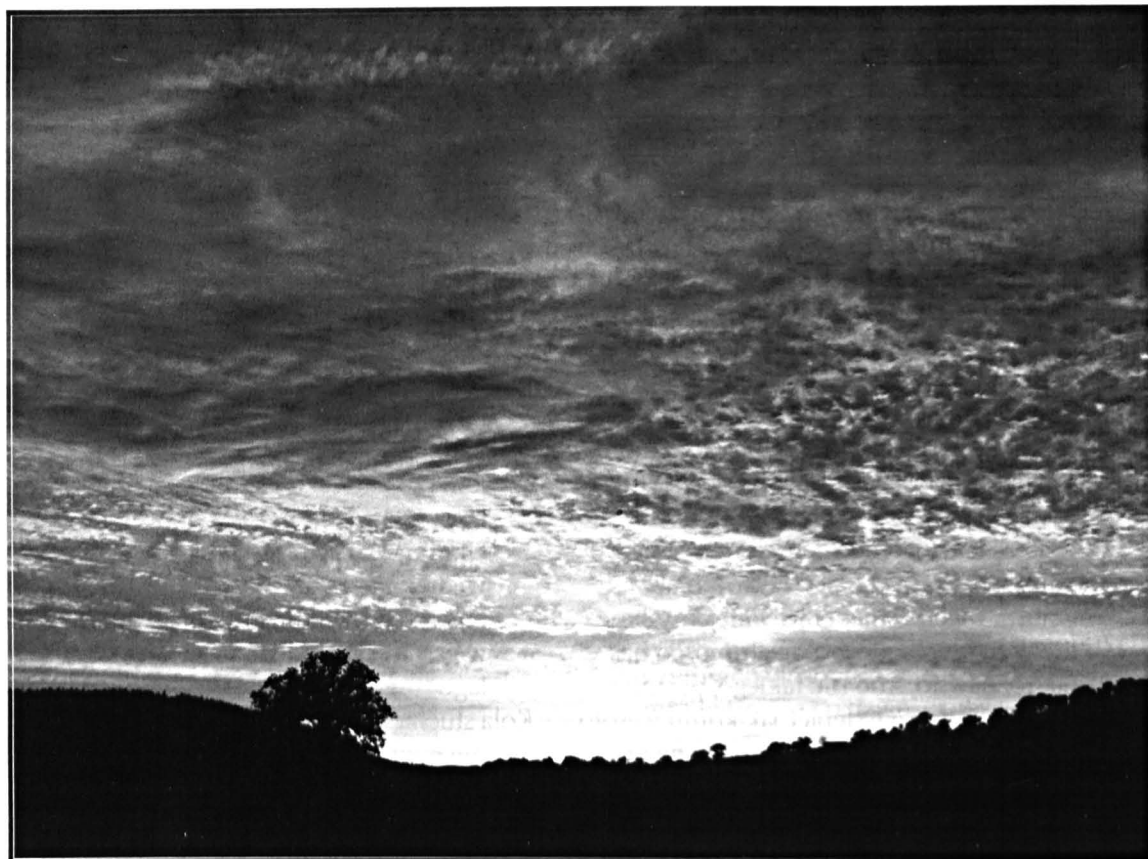
No więc jaką Ukrainę pokochałam - tą z opowieści, tą zieloną po horyzont czy tą odartą z liści, gdzie kikuty gałęzi wbijają się w ciężkie jesienne niebo? Tą otwartą jak rana, ziejącą czarnymi bruzdami, gdzie na skraju pól bronią do nich dostępu kopce cukrowych buraków? Tą, nad którą krążą czarnymi chmurami wronie stada, która błyska błękitnymi oczyma stawów, która mgłą otula umierające wsie? Tą, która brnie w błocie otulona zmierzchem jak stara baba chustą?

Nie wiem. Różnie z tą miłością tutaj bywa. Ot, Kolka kocha Nataszę, ale w wódkę, w skręta od niej ucieka, za koszulką Lord Of The Rings się chowa, widać czegoś mu brakuje... bolszemu korablu bolszoje pławanie, a tu

stawek maleńki, rzęsą zarosły...?

A, po jednym jeszcze. Dzisiaj nikomu się ruszyć od domu nie chce, może dopiero wieczorem, a do tego czasu może zrozumieć, która Ukrainę pokochałam? Tamtą, która napełniała moje serce spokojem płynącym od monotonii krajobrazu, ciszą schodzącą wieczorem, czy tą, która obnaża swoje ciało, czarne, ogromne, co szarpie pazurami moje serce, niepokoi, smuci, gryzie jak kundel, co się urwał z łańcucha...

To jak to w końcu jest z tą miłością? Może tak jak dawno, dawno temu? Może tak jak z Kornilową i Iwanem? To tak było - Kornilowa, była piękną kobietą, żoną białogwardyjskiego generała. Była lekarką, mojego dziadka leczyła, kiedy był dzieckiem, dobrą lekarką była. Jako pierwsza w mieście miała samochód, a że nie potrafiła jeździć miała i kierowcę. Iwana, rosnącego muzyka, o jasnych, pszenicznych włosach i niebieskich jak u dziecka oczach,... ale to dziecko myśleć o sobie, zadbać o siebie



umiało, oj umiało. Grabiło pieniądze muskularnymi rękoma, karmany napełniało bogactwem, - bo co począć, gdy mąż generał bóg wie gdzie się schronił, a ciało młode jeszcze, no, nie takie młode jak Iwan, ale pachnące, mydłem toaletowym, odiekołone, bielizna jedwabna, pończochy cienkie... Trzymał się Iwan kierownicy, trzymał Kornilowej oburącz, jak wódka ją otumaniał. Bywało, Kornilowa ręce mu na szyję zarzuca, pocałuj, prosi. A Iwan dłonie jej przytrzymuje, w oczy zagląda, drażni się.

- Piat` rublej - powiada i pięć rubli wpada w kieszeń koszuli, oczy przymyka i całuje usta Kornilowej... No i tak on zadowolony, ona szczęśliwa, usta całowane. Co dalej i za ile - tego nie wiadomo, ale starczyło rannikiem na Kornilową spojrzeć. Usta obrzmiały, oczy senne, powieki same je do połowy przysłaniają... ile to rubli wpadło tej nocy w kieszeń Iwana sam diabeł nie wie, domyslać się tylko może... A następnego wieczoru wychodził pszenicznowłosy Iwan na wiejską drogę, siedł ku dziewczynie, brzęczał ciężko po karmanach, wybierać mógł, oj mógł, i wybierał, każdą mógł mieć, bo i krasawiec i baty...

A kiedy wsuwał rękę w wycięcie białej, odświętnej koszuli i wyłuskiwał ciężką, krągłą pierś wdychał z zadowolenia jak ten kundel u moich nóg, oczy mrużył, o pieniądzach nie myślał, i nagle zapach odiekołonu, i szelest jedwabnej halki wstrętne mu się zdawały, i bożył się, że już nigdy więcej, a następnego dnia rano, gdy wchodził na pokój Kornilowej od progu słyszał „pocałuj”, zgrzytał zębami i całował, taką władzę nad nim miał pieniądz...

To może to i taka miłość była. Latem - kochać rzewnie, jesienią - wchodzić w wilgotną ciemność, szukać nad sobą księżyc, co jak pieniądz złoty. Ot, tak pewnie ja tę moją Ukrainę kocham.

Siostry Dziadka też kochały, jedna nawet strzeliła do siebie z tej wielkiej miłości, i dobrze się stało, bo spotkała jeszcze większą, odwzajemnioną, która nocami do innej się nie wymykała - historia banalna, ona na operacyjnym stole, on - lekarz. Czemuś ty

głupia żyć nie chciała. Ano, życie nabołało, dokuczyło, serce poszarpało, jak pies łachmany dziadowskie potargało.

Lekarz patrzy na ciało białe jak pszeniczne bułki, na oczy przymknięte, na uśmiech, który mówi, że rękę na bramie niebios już kładzie... Ty głupia, ty piękna, ty jeszcze żyć będziesz, i nad nią się pochyła, o powrót do świata żywych prosi... Ona wraca, po obłokach na dół schodzi.

I nagle pojawia się on. Polak, oficer, arystokrata. Przyjaciela przyszedł odwiedzić. Tak rodzi się nowa miłość. I warto było się strzelać? Dlatego tylko, że tamten tłumaczył, że żenić się nie może? Uch, durna ty. Nie wiem, - ale domyslać się mogę, że to jesienią było, kiedy nad polami niby czarne chmury wronie krążą stada, kiedy pastuchy małe ogniska palą, a krowy wygryzają resztki letniej trawy, kiedy śnieg pierwszy tuż-tuż, a wódka ostro w krew wchodzi, w głowie mąci.

Ta siostra dziadkowa na imię miała Ola i los ją, jak perekati pole aż do Polski zakulał. Dlaczego? Mąż, Korczak Janusz, oficer w Katyniu zginął. A pod Krzeszowicami rodzinę miał, majątek...

Zimno. Pies odbiega w pogoni za kotem, trzeba kota pogonić, pokazać, kto na podwórzu rządzi. Kot wskakuje na drzewo, a góry spogląda, oczy złote mruży. A nu do domu - ciotka wychyla się z okna. - Ta zimno, przestudzicie się. Kola przeciąga się, zupełnie jak kot i nagle, zupełnie od rzeczy mówi:

- A ja tą moją Nataszę kocham.

Może i kocha. Ale jak się zapali, w słońcu posiedzi, to miłość zupełnie inaczej w serce wchodzi, jak letnia wódka, łagodnie i tkliwie...





ZBIGNIEW MASTERNAK

ZIELONA WRÓŻKA. DZIEŃ W PROWANSJI

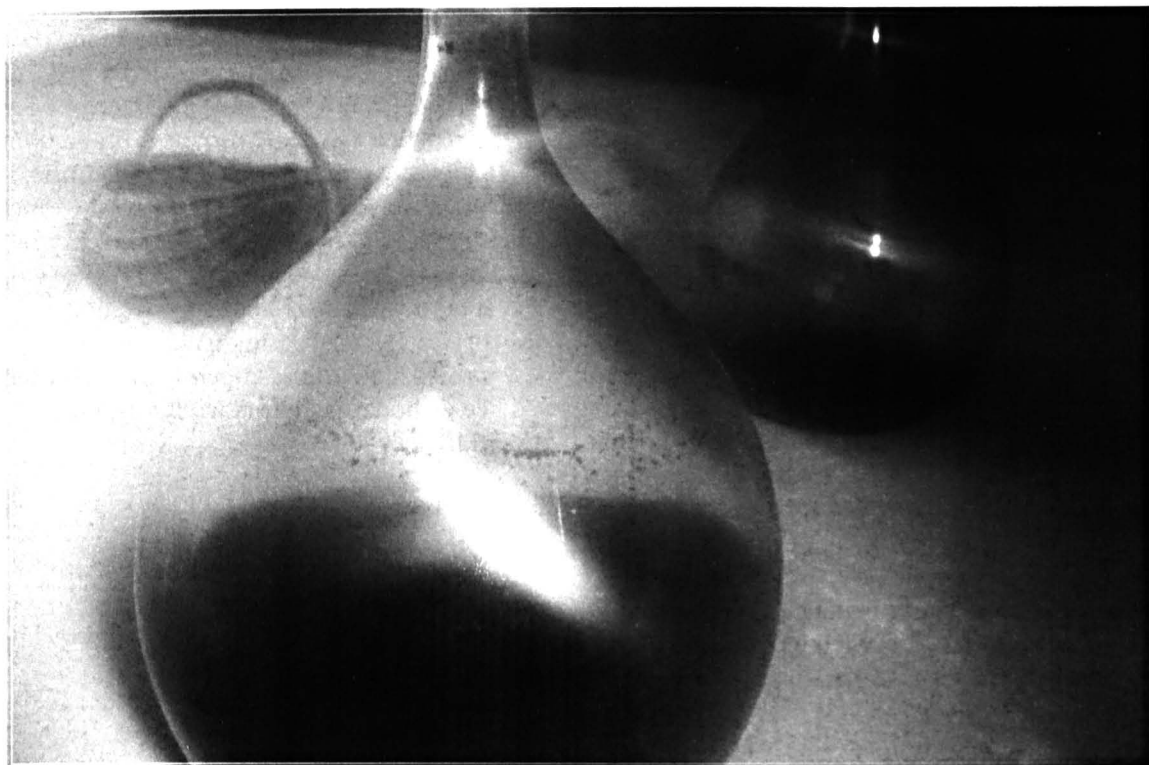
Zielona Wróżka

- Co to znaczy Montmartre? - zapytała Renia, gdy wreszcie wsiedliśmy do właściwej linii metra. O to, jak dojechać na słynne wzgórze, wypytywałem przechodniów. Mogłem się wykazać znajomością języka francuskiego, nabytą jeszcze w liceum. Do tej pory zostało mi w pamięci ledwie kilka set słów. Dlatego musiałem się posiłkować angielskim, który znałem jedynie z telewizji.
- Wzgórze Męczenników - byłem oszołomiony wielkością miasta. Poza tym mieliśmy za sobą prawie trzydziestogodzinną podróż. Do Paryża dotarliśmy na dziewiątą rano.
- A zobaczymy jutro wieżę Eiffela? - dopytywała się Renata, na której stolica Francji również wywarła imponujące wrażenie. Kiedy potaknąłem ruchem głowy, ucieszy-

ła się. - Zawsze chciałam na nią wejść. W mojej okolicy, niedaleko stacji kolejowej stoi wysoka wieża - przekaźnik telefonii komórkowej. Kiedyś udało mi się wdrapać prawie na jej wierzchołek.

- Takie wchodzenie na wieżę jest symbolem rozwijania się. Gdybym był na twoim miejscu, napisałbym opowiadanie zatytułowane Dwie wieże... Pobuszujemy trochę po Paryżu i okolicy, mam na myśli Wersal, i ruszamy szukać pracy. Może gdzieś nad morzem, albo na wsi... Taki mam plan... - położyłem głowę na jej ramieniu. Lubilem mieć blisko ust skórę jej szyi. Wpijałem się w nią delikatnie, jak młody wampir

Przypomniałem sobie naszą podróż z Kielc do Paryża. Autobus strasznie się wlokł, co parę godzin zatrzymywał się na długie postoje. Całą drogę rozmawialiśmy o tym, że jedziemy podbić stolicę świata. Że kiedyś



wydam swoją książkę po francusku i stanie się ona wydarzeniem na skalę europejską. Słuchali nas jadący do pracy we Francji Polacy. Do pracy na budowie, na fermach, jako sprzątaczkę - słuchali naszych słów z niedowierzaniem. Przecież stereotyp Polaka za granicą to kłoszard śpiący na budowie, zawinięty w worek po cementcie.

– Pamiętasz ostatni przystanek przed wjazdem do Paryża? - Renia zachichotała.

– Tak, to było coś przekomicznego! - też się roześmiałem. Autokar zatrzymał się na parkingu, pod Paryżem. Pasażerowie rzucili się do toalety, bo ta w autobusie się zapchała. Tyle, że Toi-Toi, do którego ustawiła się kolejka, był płatny - dwa euro. Posta-nowiono zaoszczędzić - kiedy ktoś się załatwił, nie zamykano drzwi, bo wtedy toaleta zostałaby w całości dezynfekowana. Kiedy do kibla weszła pewna babcia spod Hrubieszowa, nagle rozległ się okrzyk przerażenia. Wyskoczyła z toalety z opuszczoną spódnicą, z majtkami w rękach. Cała mokra. Okazało się, że zamknięcie drzwi uruchomiło całkowitą dezynfekcję.

– Jak byłem mała, jeździłam mnóstwo z rodzicami po Polsce. Mama pracowała w PKP i mieliśmy darmowe bilety. Zjeździliśmy cały kraj, bardzo to lubiłam...- przyglądała się jadącym w metrze ciemnoskórym dziewczynom. Miały długie, kolorowe spódnice, wyglądały jak Cyganki z Puław. – Podobno na wzgórzu Montmartre, na które się udajemy, obcięto kiedyś głowy trzem męczennikom – ciągnęłam. - Przez długi czas ludzie omijali to miejsce. Jeszcze na początku XIX wieku na wzgórzu łopotały skrzydła wielu wiatraków i rozwijała się hodowla winorośli. I właśnie to ostatnie sprawiło, że wzgórze stało się atrakcyjne...

– Dlaczego? - Renia słuchała mnie z uwagą. Nie odpowiedziałem od razu – zauważyłem, że spodobała się dwóm Murzynom, siedzącym naprzeciw nas. Posłałem czarnym groźne spojrzenia, bo poczułem się zazdrośny. Odwrócili wzrok, zaczęli rozmawiać o meczu, jaki niedawno rozegrało miejscowe PSG z Olympic Lyon.

– Siostry zakonne, uprawiające winorośl, wytwarzały z niej wino. Ponieważ w Paryżu

alkohol był obłożony podatkiem, Montmartre stało się miejscem, gdzie można było się tanio napić... Na przykład absyntu...

★

– Obserwuj – wskazałem wzrokiem artystów na Plac du Tertre. - Może w tłumie kiepskich pacykarzy wypatrzysz nowego Pissę? Tacy jak on bawili się tutaj, głodowali, i zastawiali swoje dzieła w lombardach – mówiłem, gdy przeciskaliśmy się wśród turystów. Było tutaj tak uroczo, że nie czuliśmy zmęczenia długą podróżą. Tydzień temu zastanawiałem się nad swoją przyszłością, a tu nagle przyszedł list. Z Paryża! Georges napisał, że znalazł wydawnictwo, które chciałoby przetłumaczyć i wydać we Francji moją książkę. Bardzo się ucieszyłem. Dostać zaliczkę w euro – to byłoby coś! Georges zapraszał nas oboje do Paryża – na negocjacje z wydawcą. On miał być moim agentem literackim na Francję, a może i resztę krajów zachodnich. W wyobraźni widziałem, jak moja książka podbija europejski rynek, jest hitem wydawniczym, jak Kod Leonarda da Vinci. Spakowaliśmy się, żeby jechać do Kielc, a stamtąd - do Paryża. Georges obiecywał, że będzie na nas czekał hotel, będzie nas wszędzie woził swoim autem. Miał załatwić wystawienie Stacji Mirsk w jednym z francuskich teatrów. „Może nawet uda się dotrzeć do przedstawicieli francuskiej kinematografii...”, - tak pisał w liście. Może nawet do Romana Polańskiego, który od afery z tą nieletnią prostytutką mieszkał w stolicy Francji. Przyjechaliśmy do Paryża i okazało się, że jesteśmy zdani tylko na własne siły. Do Georges'a nie mogłem się dozwonić, cholerny polsko-francuski Żydek wypiął się na nas. Najgorsze, że kasy mieliśmy tylko na kilka dni. Po chwilowym przygnębieniu stwierdziliśmy, że potraktujemy całą aferę jako ciekawą przygodę, wakacyjny wypad. Potrafiłem sobie radzić w każdych okolicznościach – miałem już dwadzieścia siedem lat, a do tej pory pracowałem łącznie z tydzień. Mimo tego miałem ciągle sporo pieniędzy – wierzyłem, że

teraz także coś wymyślę. Wynajęliśmy hotel na Saint-Michele. Doba kosztowała czterdzieści euro od osoby. To było dużo, jak na nasze możliwości. Ale musieliśmy zostawić gdzieś bagaże, żeby móc jak najszybciej ruszyć na zwiedzanie Paryża. Tylko od czego tutaj zacząć oglądanie miasta, w którym jest tak wiele atrakcji? Na razie postanowiliśmy jechać na Monmartre, odwiedzić miejsce, gdzie żyli i tworzyli podziwiani przeze mnie Boudlaire i wielu innych. Przystanęliśmy w jednym z licznych zaułków. Przycisnąłem ją do ściany i zacząłem całować.

- Ała... - jęknęła. - Coś mnie ukuło w tyłek...
 - Coś cię ukuło w tyłek i nie byłem to ja? - żartowałem. Wzięłem ją za rękę i poprowadziłem do Cafe Tabac des 2 Moulins. - To tutaj kręcili Amelię.
- Weszliśmy do baru, który miał wystrój jakby z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku.
- Zobacz, ten sam musztardowy sufit, co w filmie... - wskazałem wzrokiem. - Chodźmy do toalety - szepnąłem Reni do ucha. - Jest koedukacyjna...

*

Absynt kupiliśmy od sprzedawcy na targu. Spod lady.

- To prawdziwy absynt? - dopytywałem się. - Prawdziwy! - zapewnił. - Sporządzony według starych reguł. - Może kupi pan także aparaturę? - wskazał na ażurowe łyżeczki i inne akcesoria.

Wydawał się na tyle przekonujący, że kupiłem dwie butelki i potrzebne do rytuału przyrządy.

- Z czego robi się absynt? - zapytała Renia, kiedy skierowaliśmy się do małego parku.
- Przede wszystkim z kwiatów i liści piołunu, oraz anyżu, z dodatkiem kopru włoskiego i hyzopu... - odrzekłem. Kiedyś bardzo interesowali mnie modernisci, wiedziałem wiele na temat ich sztuki, a także codziennych obrzędów. - A dlaczego jest zielony? - dopytywała się Renia.
- To kwestia barwnika
- A to prawda, że ma właściwości psychoaktywne?
- Przekonamy się...

*

Rozsiedliśmy się na ławeczce w parku. Do jednej części alkoholu dodałem trzy części lodowatej wody, co spowodowało jego zmętnienie. Dosypałem ażurową łyżeczką cukier.

- Woda go rozpuści - wyjaśniłem. - Dodałem cukier celem zmniejszenia goryczy. Zaczęliśmy się raczyć trunkiem. Coraz bardziej zaczynało się nam podobać takie życie. Wbrew schematom, codziennej pogoni za pieniędzmi, wątpliwą karierą. Piliśmy, a wtedy zacząłem widzieć tych, których podziwiałem. Zjawili się w czwórkę Boudlaire z kobietą, Stasio Przybyszewski z Dagny Jeul. Przybyszewski, chociaż najśłabszy artystycznie z nich wszystkich, rządził tą gromadą. - Słyszałem, że teraz w Polsce nie ma dobrych pisarzy... - Przybyszewski wydał pogardliwe swoje wąskie jak u kobiety usta.
- Nie ma... - potwierdziłem. - Bo nie piją absyntu! - wtrącił Boudlaire i wszyscy wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

*

Rozmawialiśmy do późnej nocy. W końcu zauważyłem, że ludzie, z którymi siedzimy, to wcale nie Przybyszewski i Boudlaire z kobietami, a ci Murzyni i Murzynki z pociągu. Renia chyba wcześniej to zauważyła, bo nic ni mówiła, tylko spała oparłszy głowę na moim udzie. - Mieszkacie tutaj? - zapytałem, jakby dopiero pierwszy raz ich ujrzawszy. A osuszyliśmy już obie butelki zielonego trunku. - Tak - odparł Murzyn, którego uważałem za Przybyszewskiego - tutaj są tańsze mieszkania niż w centrum Paryżu - błysnął białymi zębami, w których odbiły się refleksy pobliskiej latarni.

- Jesteście artystami? - zadałem drugie pytanie, jeszcze głupsze od pierwszego. Popatrzyli po sobie i wybuchli gromkim śmiechem.
- Można tak powiedzieć - odrzekł ten, którego uważałem za Boudleair'a. - Artystami życia...

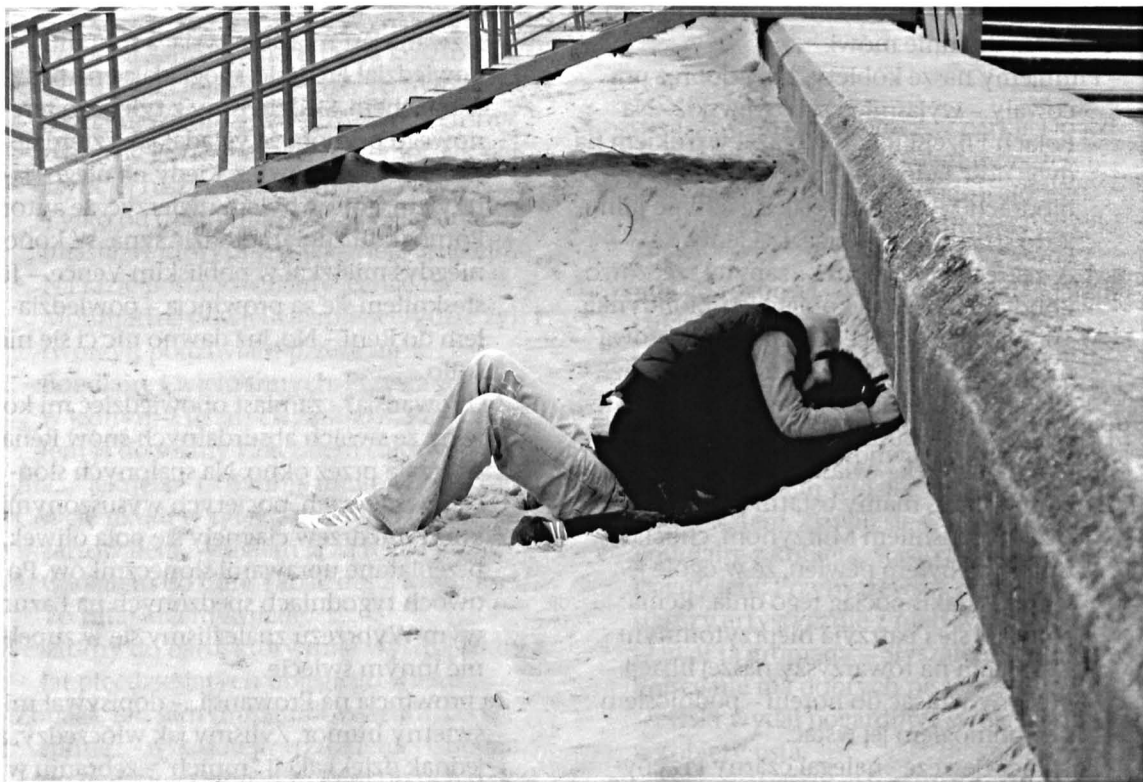
- Co tworzyście? – nie bardzo rozumiałem, o czym do mnie mówi.
 - Pilnujemy nasze kobiety, żeby dobrze pracowały – wyjaśnił Przybyszewski. – Na Polach Elizejskich. – Wskazał wzrokiem na dwie dość ładne, ale bardzo szerokie w biodrach Murzynki. – Jak się ich nie pilnuje, to strasznie oszukują. I są leniwe...
 - A ty też jesteś alfonsem? – zapytał rzeczowo Boudlaire. – Twoja kobieta jest blondynką. - przyjrzał się śpiącej Reni z zainteresowaniem. - Blondynki we Francji są w cenie... – Nie, to moja żona... - wyjaśniłem trzeźwiąc. – Renia, obudź się, czas na nas – zerknąłem na zegarek – właśnie minęła północ. – Za kwadrans mamy ostatni pociąg do Paryża – wyjaśniłem Murzynom, chociaż wcale nie byłem pewien, że w ogóle jeszcze jest jakiś pociąg tego dnia. Renia zbudziła się i patrzyła nieprzytomnym wzrokiem na towarzyszy naszej libacji. – Musimy wracać do hotelu – podniosłem się i pomogłem jej wstać.
 - Zostańcie jeszcze - nalegał czarny Przybyszewski. – Na początku była chuć... - chwycił moją żonę za rękę.
- Zdzieliłem czarnucha butelką po absyncie w łeb, aż się szkła posypały. Stracił przytomność. Drugi chciał mnie dusić, ale w rękę miałem już drugą butelkę – podzielił los kolegi, tyle że butelka się nie rozbiła. Poprawiłem mu kopniakiem w nos. I zostawiliśmy tych męczenników na wzgórzu, przy lamencie ich kobiet.

Dzień w Prowansji

- Śniłam dziwny sen... - Renia przeciągnęła się jak mały kociak. Przysnęła na moim ramieniu podczas jazdy. Wstaliśmy dziś wcześniej rano, żeby zabrać się z Frederic'kiem i Albertem do Aix-en-Provence. Zupełnie niepotrzebnie się spieszyliśmy – poznani w kasynie Monte Carlo Francuzi musieli zjeść przed podróżą solidne śniadanie, więc ruszyliśmy dopiero przed południem. I to jeszcze nie od razu do Aix, a kluczyliśmy po niewielkich miasteczkach – Frederic i Albert zobowiązali się pokazać nam swoją ojczyznę. Tak, ojczyznę – uważali się za Prowansalczyków, a nie Francu-

zów.

- Aix zwane jest miastem tysiąca fontann – powiedział Frederic, spoglądając na nas z uśmiechem. Siedzieliśmy z tyłu jego terenowego peguota. Wyglądał jak czterdziestoletni Gombrowicz. Kiedy na niego patrzyłem, gotów byłem uwierzyć, że autor Pornografii zdołał spłodzić syna. W końcu niegdyś mieszkał w pobliskim Vence. – Już stęskniłem się za prowincją – powiedziałem do Reni. - No, już dawno nic ci się nie śniło...
- Za Prowansją? - zamiast opowiedzieć mi kolejny ze swoich absurdalnych snów Renata wyjrzała przez okno. Na spalonych słońcem wzgórzach, pociętych wysuszonymi korytami drzew ciągnęły się pola oliwek, przeplatane uprawami słoneczników. Po dwóch tygodniach spędzonych na Lazurowym Wybrzeżu znaleźliśmy się w zupełnie innym świecie.
- Za prowincją na Prowansji... - dopisywał mi świetny humor. Żyliśmy jak włóczędzy, a jednak dzięki akcji "mnich" - żebraniu w zakonnym habicie – mogliśmy sobie pozwolić na pobyt we francuskich kurortach. Oczywiście, spaliliśmy na plażach, odżywiaaliśmy się żarciem kupowanym w hipermarketach i owocami kradzionymi w sadach, ale za to parokrotnie byliśmy w kasynie w Monte Carlo. - Co ci się śniło?
- Że jestem policjantką kryminalną. Czekałam na przydzielenie mi psa, partnera. Zamiast psa przysłali mi wielkiego białego niedźwiedzia... -mówiła Renia, a na jej opalonej twarzy pojawił się uśmiech. Ta uśmiechnięta, opalona twarz przyciągała uwagę wielu Arabów, gdy przechadzaliśmy wzdłuż wybrzeża. Przyjeżdżali tam z Marsylii w swych rozkraczonych samochodach, kupionych za oszczędności z zasiłków socjalnych, i szpanowali bogaczy.
- Niedźwiedzia? - rozmyślałem o kasynie w Monte Carlo. We Francji odwiedzaliśmy kasyna w każdym miejscu, w którym się znaleźliśmy, i graliśmy - za kilka, kilkadziesiąt euro, wyzebranych wcześniej "na mnicha". Bilans gry mieliśmy ciągle dodatni – w Monte Carlo wygrałem trzysta euro. Za dwieście kupiłem Reni perfumy. Ich woń roztaczała się teraz w całym aucie, działała na mnie zniewalająco. Cieszyłem



📷 Paweł Żochowski

- się, że Frederic i Albert to geje, bo jeszcze ten piękny zapach przyciągnąłby ich do mojej dziewczyny.
- Ten niedźwiedź bardzo przypominał mojego psa, Dina, chociaż w odróżnieniu od niego był zupełnie biały. Powiedziałam szefowi, że go nie chcę, bo jest wielki i biały, będzie go widać na kilometr.
 - Jak ci się podoba okolica? - Frederic był kustoszem muzeum w Aix, znawcą sztuki.
 - Macie w Polsce ładne plenery? Może wybierzemy się tam z Albertem w przyszłym roku? Polska stała się bardzo modna, kiedy weszliście do Unii... - powiedział, a ja nie mogłem oprzec się wrażeniu, że rozmawiam z Gombrem. Tylko czekałem, jak w którejś chwili pokaże swój osławiony palec.
 - Kosmiczna... - odrzekłem. - W Polsce też są niezłe widoki. Na przykład w Górach Świętokrzyskich. I co tam z tym niedźwiedziem? - popatrzyłem na Renię.
 - Musiałam go wziąć. Komendant zgodził się dać mi parę dni urlopu, żebym zaprzyjaźniła się ze zwierzątkiem. Przejrzałam ogłoszenia - moją uwagę przykuła oferta:

"Plaża pełna ludzi".

- Taka, jak w Saint-Tropez? - wspomniałem plażę w miasteczku rozslawionym serialem z Louistem Defeunesem. Na tej plaży także było mnóstwo ludzi.
- Tak. Zabrałam niedźwiedzia i pojechalismy samochodem nad morze. Gdy dotarlimy do plaży, okazało się, że jest przepołowiona jak bochen chleba. Widac w niej było jak rodzynki zwłoki pomordowanych ludzi. Gdzieś tam w piasku tkwiły tylko fragmenty ciał - zakrwawione, pokiereszowane.

Frederic trąbił na wolno jadące auta - autostrada była nieprawdopodobnie zatłoczona. - Francuzi nadal mało wiedzą o Polsce - powiedziałam do Frederica. - Sądzą, że po ulicach Warszawy przechadzają się wielkie białe niedźwiedzie... - spoglądałem w okno. Przypomniało mi się siedem ogrodów, otaczających willę ekscentrycznej baronowej Beatrice Ephrussi de Rothschild w Saint-Jean-Cap-Ferrat, którą oglądaliśmy kilka dni temu. Były to: uporządkowany francuski, włoski z cyprysami i marmurową górą, renesansowy hiszpański, japoński,

egzotyczny z niebywałymi kaktusami, różany, oraz prowansalski stylizowany na rustykalną Francję. To właśnie ostatni z tych ogrodów stał się zachętą do obejrzenia Prowansji. Obudził we mnie duszę prowincjusza.

- Kiedy zobaczyłam plażę, pomyślałam, że już dość mam tej roboty – powiedziała Renia, która po maturze zamierzała złożyć papiery do szkoły policyjnej. Nie bardzo mi się ten pomysł podobał, bo gliniarze ciągle się mnie czepiali – a to dostałem mandat za zbyt szybką jazdę na rowerze po chodniku, a to nie zapłaciłem grzywny za handel lewymi kartami telefonicznymi, a to jeździłem na gapę pociągami. Nie odradzałem jej tego, bo nie chciałem zbyt ingerować w jej życie.
- I co było dalej?
- Postanowiliśmy z niedźwiedziem przeprowadzić śledztwo. Poszliśmy do znajdującego się przy plaży baru. Zastaliśmy tam barmana, który... Kurcze... - ściszyła głos. - Który wyglądał jak Albert...
- Droge, którą jedziemy, nazywa się autostrada słońca – odezwał się milczący dotąd Albert. Był młodszy od Frederica. Twierdził, że jest poetą, ale jeszcze nic nie wydał, bo jego poezja jest zbyt odkrywczą, wyprzedza swój czas.
- Jakie jest Aix? - zapytałem. Beztróskie życie z Renią nieco uspiło moją czujność. Tymczasem zbliżał się wrzesień i Renia musiała wracać do kraju. Nie miałem pieniędzy, żeby wrócić z nią i wynająć mieszkanie gdzieś w pobliżu, na przykład w Lublinie.
- Aix to romantyczne placyki i brukowane ulice, przy nich gustowne sklepy i restauracje – tłumaczył ochoczo Frederic. - Chociaż liczy około sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, nie przytłacza. Sercem miasta jest Cours Mirabeau...
- Czy to od nazwiska Honoire de Mirabeau, tego rewolucjonisty? - przypomniałem sobie z historii. - Tego samego... - potwierdził Frederic. - Cztery rzędy platanów tworzą nad nią baldachim, więc nawet w najgorętsze dni łatwo znaleźć tam wytchnienie... - zamyślił się Gombro. Wyglądał na człowieka, który często musiał szukać ucieczki od swego nałogu – hazardu. Popadł w inny – alkoholizm.

Alberta i Frederica poznaliśmy poprzedniego dnia w Salle Garnier, nazwanej tak od nazwiska projektanta kasyna – całej udekorowanej złotem i purpurą. Żeby tutaj zagrać musieliśmy wypożyczyć stroje wieczorowe, oraz oszukać portiera – Renia miała dopiero osiemnaście, a wpuszczali od 23 lat. - Po północnej stronie kawiarnia za kawiarnią, wśród nich najsłynniejsza, dziewiętnastowieczna Cafe des Deux Garcons... - Słuchajcie, jedliście kiedyś prowansalską sałatkę? - poprawił mu się humor.

- Nie... - zawahałem się. Czasem jedliśmy w restauracjach potrawy, których nazw nawet nie pamiętaliśmy. - A z czego ona się składa?
- Z zielonej fasolki, sałaty, rzodkiewki, jajka, wędzonej szynki, pomidora, oliwy i ziół... - znów popadł w zamyślenie.
- Brzmi smakowicie... - zgłodniałem. Od rana mało co jedliśmy, bo chcieliśmy jak najwięcej zobaczyć. Frederic zawiózł nas do Grasse, niewielkiego miasteczka leżącego na północ od Cannes, stolicy francuskiego perfumiarstwa. To tam kupiłem Reni flakonik perfum. - Może byśmy coś zjedli?
- Nie ma sprawy, musimy zjechać z autostrady – powiedział Frederic. - Świetnie, zawiozę was do Trets – uśmiechnął się znad kierownicy. - Znakomicie! - ucieszył się Albert.
- Jedziemy coś zjeść – powiedziałem do Reni. Obwąchiwałem jej szyję – kupione rano perfumy pachniały niesamowicie, lawendowo. - Nie dokończyłaś mi swego snu – przypomniałem.
- No właśnie. Zapytałam barmana, który przypominał Alberta, co to za ludzie na plaży, kto ich zamordował. Był tak przestraszony, że bał się cokolwiek powiedzieć. Ruszyliśmy. Niedźwiedź wywachał zapaną w piasku odciętą ludzką dłoń. Odczytał miejsce znaleziska policyjną taśmą. Spotkaliśmy dziwną staruchę. Przedstawiłam się i pytam, czy nie wie, kto pomordował tych wszystkich ludzi. Babka mówi, że nie wie. Wskazała nam hałdę węgla. Podobno kilka osób widziało tam mordercę. Niestety, już nie żyli. "Mnie nie zabił – tak powiedziała – bo chyba jestem za stara". Popatrzyła na mnie i chyba zauważyła, że mam ochotę prysnąć z tego

cholernego miejsca. I mówi, że stąd nie ma ucieczki. Wszyscy, którzy tutaj przyjechali, już nie żyją...

- I co zrobiłaś? - obserwowałem, jak zjeżdżamy z autostrady w boczną dróżkę. Uwielbiałem podróże w nieznane. Od półtora miesiąca włóczyliśmy bez większego planu, i w każdym miejscu, do którego dotarliśmy, świetnie się czuliśmy, zawsze odkrywaliśmy coś, czym się zachwycaliśmy. Teraz, gdy jechaliśmy drogą do Trets, urzekły mnie pola lawendy – były pokryte lilowymi kwiatami, a przez uchylone szyby do auta wpadał ich delikatny zapach. To w takim miejscu, jak to, zdawał się drzemać prawdziwy duch Prowansji.
- Postanowiłam pozostać dłużej nad morzem i dopaść zabójcę, zanim ten dopadnie mnie. Udał się pomiędzy hałdy węgla. Odkryliśmy tam stosy fragmentów ludzkich ciał, poukładane wedle upiornej logiki: ręce przy rękach, nogi przy nogach, głowy przy głowach. Sprawcy nie wytropiliśmy. Pozostało nam zabezpieczyć miejsce i wrócić do baru na plażę...
- Ciekawe, czy jeszcze kiedyś wrócimy nad Lazurowe Wybrzeże? - pogłaskałem ją po głowie. W miasteczku, do którego wjechaliśmy, odbywał się targ. Chyba dosłownie wszyscy mieszkańcy wybrali się tego dnia na zakupy. Krążyli między stoiskami, wąchali, macali, kosztowali i głośno narzekali na jakość towarów. Mówili językiem, którego prawie nie rozumiałem. To chyba był prowansalski. Kupujący sprawiali wrażenie, jakby robili zapasy na cały miesiąc.
- Do następnego dnia targowego wszystko zostanie zjedzone – uśmiechnął się Gombro, pochwyciwszy moje pełne zdziwienia spojrzenie. - Jedzenie to największa pasja Prowansalczyków.
- Czyli świetnie byśmy tutaj pasowali – uśmiechnęła się Renia, gdy przetłumaczyłem jej słowa naszego kierowcy.
- Dzisiejsza Prowansja była pierwszą, zaalepejską prowincją rzymską – mówił Gombrowicz, zagryzając sałatkę po prowansalsku bagietkami maczanymi w oliwie i popijając wino z miejscowej winnicy. Aromat jedzenia mieszał się z dochodzącym zza okna zapachem ziół i kwia-

tów. - Po Rzymianach pozostało tutaj mnóstwo pamiątek. Na przykład amfiteatr w Orange. Jest on czynny i dzisiaj, mimo że powstał za cesarza Oktawiana Augusta. Brakuje w nim tylko niektórych elementów dekoracji i filarów podtrzymujących zasłonę przed publicznością. Wybierzemy się tam jutro, odbędzie się tam spektakl operowy – w głosie Gombrowicza po-brzmiewał zachwyt. Był dla nas kopalnią informacji. – Czy Orange to najstarsze miasto regionu? - zapytała Renata, zając sałatkę. Podróż zaostriżyła nasz apetyt. Staraliśmy się skosztować każdej regionalnej potrawy. – Najstarsza jest Marsylia – odrzekł Albert. - Z Aix jest tam tylko trzydzieści kilometrów. Została założona przez greckich kolonistów około sześćset lat przed Chrystusem.

- W Marsylii urodził się Zinedine Zidane, obecnie najlepszy piłkarz świata...
- To Algierczyk z pochodzenia. W Marsylii jest ich mnóstwo, to algierskie miasto. Tam lepiej nie przebierać się w swój mnisi habit, to za bardzo kojarzy się z religią katolicką, oni tam tego nie lubią.
- Dzięki za ostrzeżenie... - patrzyłem na Renię. - I co w końcu z twoim snem?
- Poszliśmy z niedźwiedziem do baru, żeby coś przekąsić. Zamówiłam po hamburgerze dla siebie i niedźwiedzia, i po coca-coli. Spytałam barmana, czy można stąd jakoś zadzwonić, bo moja komórka nie łapie zasięgu. Albo stąd wyjechać, bo skradziono mi zaparkowane przed barem auto. Ten na to, że się nie da, bo nikt nie ma ani samochodu, ani telefonu. Zjedliśmy z miśkiem hamburgery, popiliśmy colą i poszliśmy na plażę. Gdy byliśmy z niedźwiedziem na plaży, zauważyłam przepływający okręt. Pomachałam w jego stronę i okręt przypłynął. Na plaży roilo się od amerykańskich komandosów. Zaczęli odkopywać ciała. Domyśliłam się, kto pomordował tych ludzi. Pobiegłam z niedźwiedziem do baru. Za późno. Barman leżał w kałuży krwi.







ANNA JANKOWIAK

KUPON

Zaczynali od niego, między innymi, David Lynch, Gus Van Sant i bracia Coenowie. Jego specyficzna forma zdobyła już wielu zwolenników zarówno wśród twórców jak i publiczności. Dzięki powszechnemu dostępowi do sprzętu cyfrowego, kino niezależne, bo o nim mowa, przeżywa dziś rozkwit w Polsce. Czy można jednak połączyć pasję filmową z muzyczną? Okazuje się, że nie jest to takie trudne. O swoim zamiłowaniu do filmu i muzyki opowiada Zbyszek Bieniak, reżyser, a zarazem wokalista rockowego zespołu YokaShin.

Od dzieciństwa marzyłem o tym, by zrobić własny film, nieprzewidywalny, niepodlegający żadnym regułom i konwencjom - tłumaczy Bieniak.

Zawsze wymyślałem inne zakończenia obejrzanych filmów, pisałem w głowie scenariusze i dialogi. Sen się ziścił, gdy poznałem grupkę zapaleńców, ludzi bezpośrednio związanych z filmem, których udało mi się zarazić swoim entuzjazmem debiutanta.

Znani aktorzy często wspierają offowe produkcje swoim nazwiskiem. Korzyść z takiej współpracy jest obopólna, bo poza przełamaniem codziennej rutyny pracy w teatrze bądź na planie większych produkcji, nazwisko uznanego już aktora działa zachęcająco na publiczność. Wśród gwiazd „Kuponu”, debiutu reżyserskiego Zbyszka Bieniaka i Przemka Głowacza, znalazł się Marcin Kwaśny, młody aktor warszawskiego teatru Kwadrat, mający na koncie role, m.in. u Łukasza Palkowskiego i Krzysztofa Zanussiego, a także reżyserię spektaklu *Niedźwiedź* wg Antoniego Czechowa oraz premierę monodramu *Nienawidzę* wg Marka Koterskiego, mającej miejsce w



Teatrze Praskim, którego jest współzałożycielem i dyrektorem artystycznym.

Chociaż jego rola ograniczyła się jedynie do okrzyku „13 baniek” i zawału, to postać Kwaśnego jest znacząca - mówi reżyser.

Sam Marcin Kwaśny wspomina współpracę bardzo ciepło.

Praca przy filmie Zbyszka była krótka acz intensywna. Miałem wtedy rękę w gipsie, przez co pauzowałem w swoim zawodzie aktorskim i czułem się trochę jak garbaty outsider. Spotkany przypadkiem Zbysio nakreślił mi temat filmu. Widząc jego pasję i zapał, a także mając na uwadze swoją abstynencję aktorską, zgodziłem się bez wahania. Wiedziałem tylko tyle, że postać, którą mam grać, po wygraniu w totka 13 milionów dostaje zawału i umiera. Wprawę w umieraniu już miałem. Uśmiercali mnie bowiem w kilku wcześniejszych produkcjach. Tylko jako Jezus we "Wszyscy jesteśmy Chrystusami" miałem szansę zmartwychwstać, ale dla reżysera Koterskiego nie to okazało się wtedy ważne.

"Kupon" kręciła grupa zapaleńców, nie do końca może wprawnych warsztatowo, ale oddanych sprawie sercem tak mocno, jak grupa charakteryzująca się typem nakrycia głowy swojemu guru. To mnie ujęło. Zawsze istnieje ryzyko, że z filmu offowego, który często jest filmem amatorskim, wychodzi byle co, ale w tym przypadku nie było powodu do obaw. Zbyszek pisze dobre scenariusze, ma dobre ucho do dialogów i jest wizjonerem, niezależnie od stanu, w jakim się znajduje - śmieje się Kwaśny.

W realizacji brali udział profesjonalni twórcy kina offowego, m.in. Tomasz Karpowicz, członek grupy filmowej Framka, zdobywca wielu nagród na festiwalach kina offowego i wspomniany Przemysław Głowacz, współtwórca scenariusza i współreżyser *Kuponu*.

Zrobienie filmu zajęło nam trochę ponad rok. Oczywiście w trakcie produkcji zdarzały się lepsze i gorsze chwile, jak to w rodzinie, jednak wszyscy jesteśmy zadowoleni z efektu finalnego i mamy energię na dalszą pracę twórczą - mówi Głowacz.

Świeże i niekonwencjonalne podejście do branży kina niezależnego było połową sukcesu.



W połowie realizacji pracujący ze mną ludzie często mi powtarzali, że wierzą w ten film - opowiada Bieniak. To działało jak zastrzyk adrenaliny, nagle znikąd przychodziły siły i wiedziałem, że niezależnie od tego czy robimy film dla nas samych czy też szerokiej publiczności, chcę go skończyć pomimo piętrzących się trudności.

A tych istotnie nie brakowało. Film *Kupon* powstał bez żadnych środków finansowych, ale przy ogromnym wsparciu ze strony profesjonalistów i amatorów.

Brak sprzętu przysparzał największych problemów - mówi Bieniak - ponieważ pracowaliśmy na tym, co udało nam się pożyczyć. Kamery udostępniano nam sporadycznie i dlatego praca przy filmie nie była tak płynna, jakbym sobie tego życzył. Oczywiście nie mogło być też mowy o wynagrodzeniu, ponieważ nie miałem dostępu do żadnych źródeł finansowych, nie wspierali nas też żadni sponsorzy. Wszyscy biorący udział w projekcie pracowali przy nim za darmo i chyba właśnie dlatego satysfakcja z powstania „Kuponu” jest tak ogromna. Z góry było wiadomo, że poza nią nikt z nas nie dostanie nic więcej, dlatego wszyscy zaangażowali się na 100% i włożyli w film całe swoje serce.

Czas pokazał, że zaangażowanie się opłaciło. 10 listopada 2008 w warszawskim klubie Pikanteria odbył się premierowy pokaz „Kuponu”. Klub po brzegi wypełnili jego stali bywalcy, a także znajomi i przyjaciele ekipy filmowej. Reakcja po projekcji nie pozostawiła jednak wątpliwości, że *Kupon* jest udanym debiutem, a produkcja zdo-

była na starcie liczną rzeszę fanów. *W tej chwili chcę dotrzeć z „Kuponem” do jak najszerzej publiczności - mówi Bieniak. Zaczęliśmy od pokazów filmu we własnym zakresie, ale w tej chwili można go też obejrzeć w Internecie na stronie www.filmkupon.com. Jesteśmy również otwarci na wszelkie inicjatywy ze strony miłośników kina jeśli jest choćby jedna osoba gotowa do zorganizowania pokazu, bardzo proszę o kontakt na mojej stronie: www.bieniak.com - chętnie prześlę jej materiały filmowe i pomogę w każdy możliwy sposób. Dzięki właśnie takim ludziom zorganizowano już pokaz na Dolnym Śląsku. Ponadto jest w Polsce wiele festiwali kina offowego i na nich się obecnie koncentruję.*

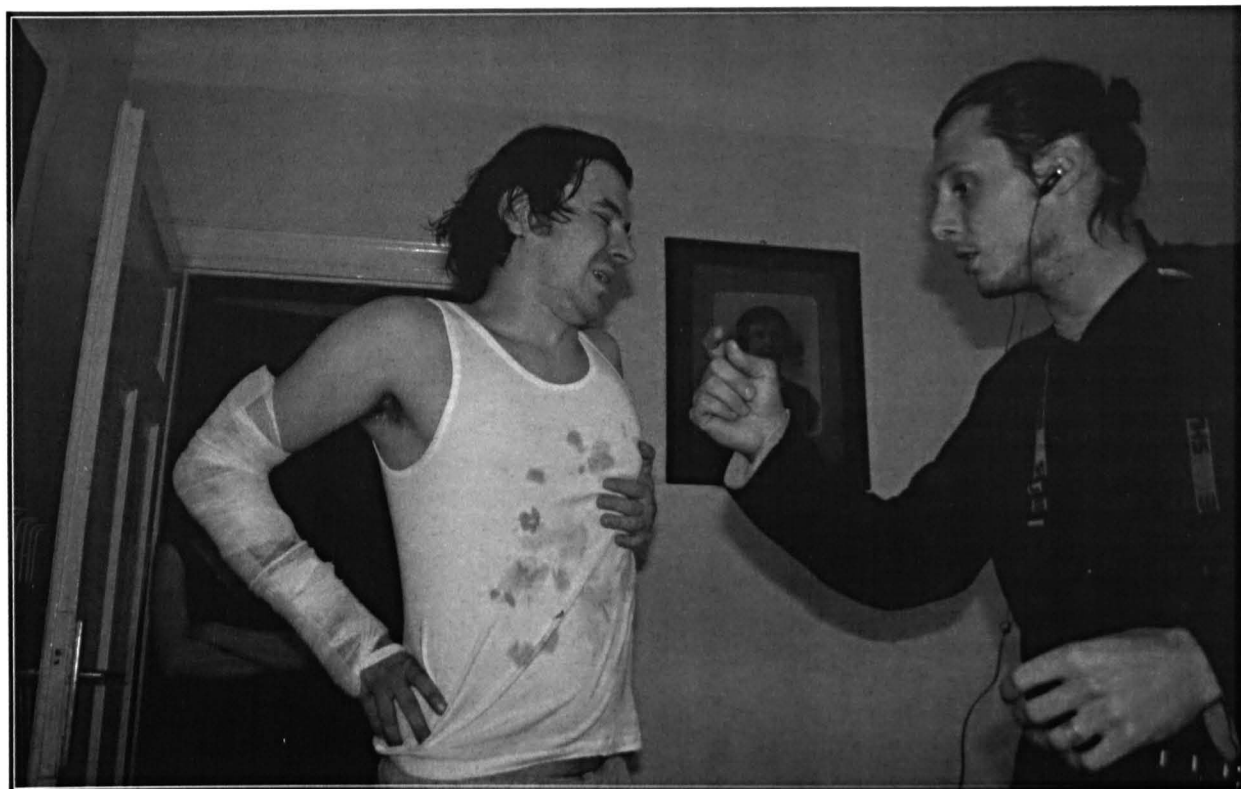
Mam też w planie pokaz „Kuponu” poza granicami kraju, bez względu na to, czy będzie to impreza dla pięciu, pięciuset czy pięciu tysięcy osób. Najważniejsze jest, by film żył i cieszył widzów. Myślę, że jest na tyle uniwersalny, że przyjmie się w większości kultur europejskich czy azjatyckich, tak więc prezentacja „Kuponu” w, na przykład, Hiszpanii czy Moskwie, nie będzie żadnym problemem.

Praca przy filmie wciągnęła ekipę Bieniaka na

tyło, że z marszu przystąpili do realizacji kolejnego. Dodatkowym bodźcem są przyjaciele i znajomi reżysera, którzy po sukcesie *Kuponu* ustawiają się w kolejce do wzięcia udziału w następnej produkcji. Tym razem jednak przedsięwzięcie stanowi wyzwanie dla wszystkich, bo forma nie jest łatwa.

W polskim kinie jest ogromna nisza dla horrorów i ten właśnie gatunek stał się moim celem - tłumaczy Bieniak. To jednak nie wszystko, bo konwencję horroru przelamuję komedią. Na palcach jednej ręki można policzyć polskie horrory, więc sama świadomość tego, że robimy coś tak nietuzinkowego jest niezwykle inspirująca. Jeśli natomiast doda się do tego elementy komediowe, to pole do popisu jest nieograniczone.

W tym wypadku próbuję swoich sił w pełnym metrażu, co jest dla mnie nietłumakowalnym tym bardziej, że film nie trzyma się sztywnych reguł - w pewnym stopniu scenariusz pisze się sam. Podczas pracy nad „Kuponem” los nie szczędził nam niespodzianek, np. przypadkowo spotkaliśmy ekipę filmową „Pitbulla”. Po krótkiej rozmowie okazało się tak nam przychylni, że z prędkością światła zaaranżowali dla nas jedną scenę na wła-



snym planie. Wracając do najnowszej produkcji, mam bardzo jasny plan fabuły, ale podczas pracy nad filmem jesteśmy świadkami tylu ciekawych i zabawnych wydarzeń, że grzechem byłoby nie skorzystać z tego, co niesie życie.

Psychopasja, bo taki jest roboczy tytuł filmu, to opowieść o Korneliuszu, z pozoru typowym szarym obywatelu, który stopniowo pogrąża się w paranoi. Jego obsesje stają się nie do opanowania, co dodatkowo potęguje obecność w jego życiu... wampirów. Jak w *Kuponie*, tak i w tym filmie swoją obecność zaznaczy Marcin Kwaśny.

Wiem, że Zbyszek pisze dla mnie kolejną rolę w swoim następnym filmie. Chyba o Wampirach. Z przyjemnością w nim zagram. Nawet niecierpa gacka.

Problemy finansowe niestety towarzyszą ekipie na każdym kroku i nieustannie dają o sobie znać.

To oczywiście - mówi Bieniak - że konwencja horroru wymaga nakładu finansowego i tak jak przy „Kuponie”, tak i tu stanowi to największą przeszkodę przy realizacji. Tu nie ma miejsca na amatorszczyznę, ponieważ każda prowizorka na ekranie wyjdzie nieprzekonywująco. Niezmiennie trwamy przy konwencji offu, stąd największym problemem jest dla nas brak profesjonalnego sprzętu i nakładów na najprostsze rekwizyty, jak np. sztuczna krew. Mam jednak nadzieję, że i w tym wypadku uda mi się zgromadzić wystarczające zaplecze znajomych i przyjaciół, którzy pomogą w każdy możliwy sposób, ale i tak obawiam się, że na tym etapie brak sponsora stawia przyszłość naszego pionierskiego komedio-horroru pod znakiem zapytania. Zatem bezustannie zapraszam ludzi, którym los kina grozy nie jest obojętny do bojnego wspierania naszej produkcji, zapewniając ich, że gorące podziękowania zaberą największą część napisów - śmieje się reżyser.

Kupon nie jest jednak pierwszą przygodą Zbyszka Bieniaka z filmem. Wszystko zaczęło się od teledysku do piosenki *Wierzę Ci* rockowego zespołu YokaShin, w którym śpiewa.

W celu zminimalizowania kosztów, muzycy wpadli na pomysł nakręcenia pierwszego w świecie teledysku przy użyciu telefonu komórkowego.

Wyposażeni w mały, niegroźny telefon, byliśmy w stanie wejść w każdy zakątek miasta, nie siejąc przy tym spustoszenia wśród ludzi, towarzyszącego zwykle tradycyjnemu sprzętowi filmowemu. Nasi statysci byli otwarci, chętni do współpracy, a przecież większości z nich żaden z nas nawet nie znał. W jeden dzień nagraliśmy wielogodzinny materiał z przypadkowymi ludźmi spotkanymi w klubach, na warszawskich ulicach, w parku, a także na naszym koncercie. W efekcie powstał zupełnie darmowy i całkowicie pionierski teledysk, z którego jesteśmy niezwykle dumni, tym bardziej, że montaż odbył się we własnym zakresie na oprogramowaniu, które również było bezpłatne.

Muzyka, to równorzędna pasja w życiu Zbyszka Bieniaka. W przeszłości śpiewał w takich grupach jak Oddział Zamknięty, Rezerwat, Houk, Collage, a obecnie związany jest ze wspomnianym zespołem YokaShin, mającym na koncie dwie płyty, nominację do nagrody Fryderyka oraz wspólną trasę koncertową z zespołem H-Blockx.

Odkrycie w sobie pasji do filmu było dla mnie samego ogromnym zaskoczeniem - opowiada Bieniak. Dotąd czułem, że poza muzyką nie potrafię i nie chcę nawet tworzyć nic innego. Teraz jednak wiem, że wszystko da się pogodzić, a z czasem uświadomiłem sobie, że te dziedziny świetnie się uzupełniają, bo przecież koncertowi można nadać ciekawą oprawę, a wartość filmu wzmocnić muzyką. Wciąż odkrywam dla siebie nowe drogi, każda jest równie ciekawa i w żadnej z nich nie powiedziałem jeszcze swojego ostatniego słowa. Zapewniam, że mam jeszcze kilka asów w rękawie. Może uchylę rąbką tajemnicy i powiem tylko, że np. w muzyce rockowej szykuje się mała rewolucja i podobna rewolta w filmie dokumentalnym.

Najważniejszy jest pomysł. A kiedy towarzyszą mu chęci, zapal i wiara w to, że się uda - wszystko staje się możliwe.





MAŁGORZATA OSAŚ

Kicz

kicz musi być
trzymany za smycz
bo gdy się rozlezie
na salony wlezie
to się robi dzicz
i z kultury nic
zanudzony widz

Pokój

zgubiłam się we własnym pokoju
nie wiem jak to się stało
nie wiem gdzie się znajduję
ściany meble- nic znajomego
chyba pomyliłam drzwi z oknem
chciałam wyjść na zewnątrz
ale jedyne co pamiętam to jakiś huk i
ciemność...
a potem już tylko to miejsce

Kapelusz

mokry od jesieni
miarkuje krople do głowy
rozcieńcza szarość aż do bieli

On i Ona

On taki zadziorny
bierna pozornie Ona
On wiecznie do przodu
za nim ciągle Ona
On w lekkim nieładzie
ułożona Ona
On taki bez miejsca
lecz i bez kąta Ona
postanowili być razem
dając sobie słowa

teraz On leży na kanapie
a ją ciągle boli głowa



CHIMERA

TOM III ZESZYT 7 - 8
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA KSIĄŻĘCA 7

Poemaciki prozą.

CUDZOZIEMIEC.

- Kogo, powiedz, kochasz najbardziej, zagadkowy człowiecze? ojca, matkę, siostrę, brata?
- Nie mam ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata.
- Przyjaciół?
- Używasz słowa, którego znaczenie do dziś zostało mi obcem.
- Ojczyznę?
- Nie wiem, pod jaką leży szerokością.
- Piękno?
- Radbym je kochał, boskie i nieśmiertelne.
- Złoto?
- Nienawidzę go, jak wy nienawidzicie Boga.
- Hę? Cóż więc kochasz, niezwykle cudzoziemcze?
- Kocham obłoki... przelotne obłoki... tam, ot tam... te cudowne obłoki!

ANY WHERE OUT OF THE WORLD.

GDZIEBĄDŹ PRECZ Z TEGO ŚWIATA.

Życie nasze jest szpitalem, gdzie wszystkich chorych opętało pragnienie zmiany łóżek. Ten chciałby chorować

POEMACIKI PROZA

115

naprzeciwko pieca, ów myśli, że ozdrowiałby z pewnością koło okna.

I mnie zdaje się zawsze, iż byłoby mi dobrze tam, gdzie nie jestem. Roztrząsam też nieustannie ze swą duszą sprawę przenosin.

„Powiedz mi, duszo moja, biedna wystygła duszo, co sądzisz o tem, abyśmy zamieszkali w Lizbonie? Musi tam być gorąco, odżyłabyś jak jaszczurka na słońcu. Miasto leży nad brzegiem morza; zbudowane jest, powiadają, z marmuru, a lud tameczny tak pono nienawidzi roślinności, że wyrzywa wszystkie drzewa. Oto byłby krajobraz według twojego smaku, krajobraz ze światła, minerałów, oraz cieczy do ich odbijania!”

Dusza nie odpowiada.

„Ponieważ lubisz tak spokój, z widowiskiem ruchu dokoła, zamieszkajmy w Holandyi, tej ziemi szczęśliwości. Może rozerwiesz się w krainie, której widoki tak często podziwiałaś po muzeach. Co myślisz o Roterdamie, ty, co tak lubisz lasy masztów i okręty przycumowane u stóp domów?”

Dusza jakby oniemiała.

„Może bardziej uśmiechałaby ci się Batawia? Znaleźlibyśmy tam zresztą dowcip europejski połączony z pięknnością zwrotnikową.”

Ani słówka. — Czyżby dusza moja umarła?

„Doszła-żeś już do takiej odrętwiałości, że znajdujesz upodobanie tylko w swojej chorobie? Jeżeli tak, uciekajmy do krajów, które są analogią śmierci. Wiem już wiem, biedna duszo! Pakujemy się w drogę do Torneo. Albo jedźmy jeszcze dalej, na kraniec świata, jeszcze dalej od życia, jeżeli to możliwe; osiedlimy się na biegunie. Tam słońce zukosa ledwie muska ziemię, a rzadkie zmiany światła i nocy usuwają rozmaitość i potęgują jednostajność, tę połowę nicości. Tam będziemy mogli

116

CHIMERA

brać długie kąpiele mroków, a zorze północne, aby nas rozerwać, poszły nam od czasu do czasu swój wytrysk różany, niby odbłask jakiegoś fajerwerku piekielnego!"

Nareszcie, dusza moja wybucha, wołając rozsądnie: „Gdziebądź! gdziebądź! byle tylko precz z tego świata!"

Karol Baudelaire.

PO POTOPIE.

Jak tylko idea Potopu zcherstwiała: —

Zając zatrzymał się wśród falujących koniczyn i dzwonek, i odmówił modlitwę do tęczy, poprzez sieć pajęczyn.

Oh! drogie kamienie kryć się jęły, kwiaty spoglądać już.

W wielkiej, brudnej ulicy stanęły stragany, poczęto ciągnąć barki ku morzu piętrzącemu się tam w górze, jak na starych rycinach.

Krew popłynęła u Sinobrodego, w jatkach, w cyrkach, kędy pod pieczęcią Boga bledną otwory okienne. Krew i mleko popłynęły.

Bobry jęły budować. „Mazagrany" parować w kawiarniach.

W wielkim domu, o szybach jeszcze ociekających wodą, dzieci w żałobie oglądały precudne obrazy.

Drzwi skrzypnęły, i na placu wioskowym dziecko obróciło się w kółko z wyciągniętymi rękoma, podobnie jak chorągiewki i koguty na wszystkich dzwonnicach, pod nagłą ulewą.

Pani *** ustawiła fortepian w Alpach. Odprawiono msze i pierwsze komunie przy stu tysiącach ołtarzy w katedrze.

POEMACIKI PROZA

117

Karawany wyruszyły. Pośród chaosu lodów i w mro-
kach nocy biegunowych pobudowano *Splendid*-hotele.

Odtąd księżyc słyszał znowu szakale sklamrzące w pu-
styniach cząbrów — i eklogi dwukopytne krzające w sa-
dzie. Potem, w borze fioletowym, całym w nowych la-
toroślach, Eucharis powiedziała mi, że to wiosna.

Rozlej się, stawie; — piany, zatopcie most i rozfaluj-
cie się nad drzew szczytami; — kiry i organy, błyskawice
i grzmoty, wzbierzcie i toczcie się; — wody i smutki,
wzbierzcie i zastąpcie dawne potopy.

Bo odkąd te wyparowały, odkąd — oh! skryły się
drogie kamienie a kwiaty otwarły — nuda, nuda bezbrzeż-
na! — a Królowa, Czarownica, utrzymująca żar w garnku
glinianym, nie zechce nigdy opowiedzieć nam, co wie,
a co nam niewiadome!

Artur Rimbaud.



PRZEŁOŻYL I. N.



BARTŁOMIEJ PIETRASZUK

Pejzaż

gdzie się podziali
ludożercy ludojady
z nimi było łatwiej
jakoś tak po ludzku

pejzaż też umierał inaczej
czyściej

jesteśmy wariatami

dzisiaj
polska wrona ze strachu
osrała grabarza
ten spojrzał w niebo
i stwierdził że Boga nie ma

gdzie się podziały oddziały
z nimi było łatwiej
walczyć za niższość
równość i wysokość

jesteśmy wariatami

dzisiaj nawet Rolandowa sosna
a widziała już wiele
nie wierzy
w ludzkość mózgów
naszych niepojętych

gdzie się podziała
łość
dziewczyna przy drodze
stoi zdziwiona
mi

jesteśmy wariatami
i może dlatego
jesteśmy wariatami

karmimy ją kpina
bądź pochwalona
panno nad pannami
panami
nami
mi

polska wrona
pieje z zachwyty
perswazja od
bytu
niedoleżność
łość





MARIA KRYŃSKA - SZOSTAK

KOZAK. KRÓLOWA. WENUS

Kozak

*Jakże pytać mam Kozaka?
Co na miłość chorą zapadł
On by z żalu świat podpalil
Gdyby stracił cię...*

Jacek Cygan, „Dumka na dwa serca”

Wysoki i przystojny. Niesłuchanie sprawny fizycznie. Jego uderzenia nogami i rękami, w przysiadzie i na stojąco, bloki i zbiecia ciosów, podcięcia, wachlarz kroków – to nie tylko taniec jak walka wręcz, to najczystszy, zwierzęcy seks, który rozpałał wyobraźnię niejednej dziewczki. Przed takim typem mężczyzny ostrzegały babki i prababki. Kumulowana przez lata gromowładna energia wypinała jego piersi i mięśnie. - Urodziłem się nie w tej epoce – mawiał – wolałbym zaprawiać się w boju, pić miód



Tomasz Młynarczyk

i wino, brać kobiety i spać, bo nie ma nic lepszego jak proste życie. Taki zew pohukiwał mu co noc przez otwarte wieczorne okno.

Zastanawiał się często nad sposobami realizacji swego tajemnego powołania. Z braku laku chodził na kobiety i - jak mawiał żartobliwie - je rwał. Gdy zamykały się za nim drzwi akademickich kawalerek, otwierał następne. W każdej z nich była kobieta, którą mógł kochać, pieścić, nosić na rękach, gotować jej obiady, podawać śniadanie do łóżka, prac, uwielbiać i rzucać ją z hukiem, jak rzucony w kąt za ciasny but. Wpadła w jego sidła, przechodząc, jak zwykle, przez akademicki korytarz. Przyparł ją do muru, do drzew, ruczajów, przerzucił przez siodło i gnał prosto w stepowy wiatr. „Przez kurhany spopielale/ przez chutory w ogniu całe,/ snu już nie znam,/ step odmierzam,/ miły mój...”. Drżała od stóp do głów w swoim dziewiczym ciele. Tyleż spragniona co przerażona. Kim był ten jej oprawca? Mężczyzna. Czy taki jest mężczyzna? Skąd w niej zatem ten lęk, to zajęte serce, ten brak oddechu i instynkt ucieczki. Coś tu jest na rzeczy - pomyślała i krzyknęła stanowczo: Nie! Zwalił ją z siodła jak zwierzyne do ubicia, lecz coś, coś nieznanego z wewnątrz, wprawiło go w obcą mu niemoc. Opuścił, nie rozumiejąc dlaczego.

Nalała wodę do wanny. Weszła w nią naga. Zanurzyła się cała – chciała się rozpuścić, uspokoić chociaż, lecz coś wygrywało przerażającą melodię na jej sercu jak bębnie. Metrum 2/4. Poznała ten rytm. Rozpoznała w sobie. - Muszę w to wejść. Muszę wejść tam, gdzie on już jest – stwierdziła z rezygnacją. Nałożyła świeżą bieliznę, jasną sukienkę i udała się do niego. Płakał, gdy weszła do jego pokoju. Zaskoczyło ją to, więc obserwowała go tylko, nie robiąc kroku naprzód. Jego jaźń rozpościerała skrzydła, spojrzał na nią, przymrużając sokole oko i wzbił się nagle w przestwór, w transcendencję przestrzeni.

Rozejrzała się po pokoju. Obejrzała resztki rynsztunku. Więc jest tam nagi, bezbronny, sam?

Królowa

*Kochanka trzeba mi takiego jak imperium
Co by mnie brał tak, jak ja daję: całą pełnią
Co by i władcy i poddania był wcieleniem
By mi zastąpił zające i jelenie
Co by rozumiał tak jak ja
Ten głupi dwór rozdanych ról
I pośród pochylonych głów
Dawał mi rozkosz albo ból*
Jacek Kaczmarski, „Sen KatarzynyII”

Sztuka niejedno ma imię i nie każdy pojmuje jej wielkość i dramat. Ta wielka jest jak królowa, która potrzebuje zastępów wielbiących ją poddanych i oddanych kochanków. Ja to rozumiem – tłumaczył jej, zdobywającej poetyckie laury – zostań moją królową. Potrafię być niewidzialny i pojawiać się, gdy tego zapragniesz, być na każde wezwanie. Wybuduję warownię. Z zamkiem i dworem może być trochę problemów z powodów finansowych.

Zasiadła na wysokim krześle ustawionym pośrodku pokoju. Zamyśliła się. „Mam psy, sokoły, konie, kocham łów szalenie” - nucila w myślach. Wzdychała ciężko, jak może wzdychać prawdziwy władca, który ma w sobie moc stwarzania zdarzeń.

Spoglądała na perspektywę miasta, geometryzującą się za oknem. Pomiedzy centralnie położonym blokowiskiem wiodła prosta, szeroka ulica. Dobrze, że tu jest - myślała. To możliwość ucieczki, rozwoju. Prawą oszczędzę, ale można by zburzyć tę dzielnicę po lewej. Przydałoby się tu więcej drzew i jakiś widok na rzekę, więcej wiatru, zamieci i gradobicia. Czasami jakiś kosmyk słonecznego światła, rzadziej upał. Myślała i myślała. Nie było pośpiechu. On czekał w milczeniu na skinienie ręką: herbata!

Czasami długo się nie odzywała. Chodziła po mieszkaniu, mieszała w garach, rozwieszała pranie na sznurach poddasza, rozrzucała książki. Wściekała się, gdy nie pękł zrzucony na podłogę talerz, złorzecząc na nietłukące się wynalazki. Popadała w jakiś dziwny smutek. Niemoc! – krzyczała.

- Przecież nic nie mogę tu zrobić, ta odpowiedzialność za miasto, kraj, za ludzkość, za zbiorowe samobójstwa, rewolucję, za wiary i niewiary, za upadki i wzloty, za niego. Co bez niej by zrobił? Płakała, a on obejmował ją swoim wszystko rozumiejącym duchem i ciałem.

Malował jej portrety, w których mogła przeglądać się jak w lustrze. Malował, gdy spała, gdy cierpiała, gdy śmiała się radośnie, gdy rozkładała kartki i kreśliła, skreślała wers po wersie, gdy tłukła palcami w klawiaturę komputera, gdy wygrywała na niej delikatne, rytmiczne dźwięki, gdy składała wiersze jak jaja, gdy rozpylała feromony wabiąc trutni z całego ula, gdy poruszała się w dowolnym kierunku: pionowo, poziomo i na ukos. Przestawał malować, gdy wołała: „Powstrzymaj mnie, zrób ten cholerny Mat, w przeciwnym razie zginę przez uduszenie”.

„Stój Katarzyno! Koronę carów/ sen taki jak ten może ci z głowy zdjąć/ Gdyby się kiedyś kochanek taki znalazł.../ Wiem, sama wiem! Kazałabym go ściąć.”* Wpadła w furję, gdy zobaczyła swój ostatni portret. Zobaczyła na nim kobietę wpatrującą się we własne odbicie. Pomiedzy dwiema kobietami z portretu wyrastała strzelista dziewczanna, roślina na miarę słowiańskiego bóstwa. Chwyciła szablę Olbrychskiego i zniszczyła całą galerię dzieł.

Wenus

*Przechodzili koło mnie
tak blisko
że mogłam ich dotknąć ręką*
Halina Poświatowska

Obserwował ją tak, jak obserwuje się morze. Przepastnie. Z nostalgią. Transcendentnie. Szedł za nią ulicą, wolnym krokiem, w pewnym oddaleniu. „Pół setki bogów /na obłoku/klaskało w ręce/gdy szła/chwiejąc się w biodrach”. Płynęła wśród przechodniów na tle ulicznych fregat, samochodów zakotwiczonych w miejskich parkingach. Wyłaniała się zza zakrętów jak laguna. Budziła namietność i tęsknotę za bezgranicznym spokojem, pięknem, pełnią.

Jego starcze ciało stawało się coraz bardziej sprężyste. Młodniał z każdym krokiem wykonanym w jej kierunku. Siwe włosy połyskiwały w słońcu niczym skropione kaskadą kropel wody, z której wynurzyła się Wenus. Kobieta. Oto Kobieta! Podążał za nią, kontemplując jej proporcje. Rozbierał ją oczami, chciał widzieć ją nagą, rozrzucił włosy, kreślił jej kontury pędzlem, podkreślał owal bioder, gładził linię kręgosłupa. Dotykał. Mógł już niemal chwycić za sztalugę, rozcierać farby w napięciu, skupieniu, w trosce o każdy szczegół. „I nawet nie głowa/ nie/ nie usta/ nabrzmiały południa owoc/ piersi – właśnie/ piersi miała takie/ że tylko stać/ i wyć z zachwytu”. W wyobraźni rzucał się na nie i ssał bez pamięci.

Przyspieszył kroku, gdy zniknęła w drzwiach księgarni. Ledwo dostrzegał jej twarz, znikającą za szybą pomiędzy wodospadami półek z książkami. Przygotował mowę. - Nie, nie tak - mruknął pod nosem - trzeba zwyczajnie. Wychodziła niespiesznie, gdy on zarzucał kotwicę, dobijał do brzegu. Wyszedł, jak dumny kapitan podrdzewiałego okrętu, brocząc w ciepłym pyłe chodnika, na którym pasły się leniwie gołębie. - Potrzebuję cię. - wyznał. - Mnie czy kobiety w ogóle? A może chodzi ci o seks? - spytała zaciekawiona. - Widzisz, ja maluję. Czuję, że mógłbym cię namalować. - ciągnął spokojnie. - Chcesz malować mnie? Pewnie nagą. - badała go. - Właśnie, tak. Mogę zapłacić za pozowanie. Normalna stawka. Mogę też więcej, jeśli chcesz, bo pewnie nie zechcesz pozować starcowi za darmo. - To zależy - wyznała z życzliwym uśmiechem - zdecyduje, gdy zobaczę twoje prace. Masz wizytówkę? Podaj mi swój adres, numer telefonu. Najpierw cię sprawdzę. - Naturalnie. Wydaje mi się, że mamy wspólnych znajomych. O, proszę - wyjął wizytownik, a z niego małą sztywną kartkę - ona powinna za mnie poświadczyć.

Czekał w swoim mieszkaniu, bezludnym jak wyspa Cast Away. Czekał jak rozbitek, który walczy o każdy następny dzień. Deszcz zaciął w okno, nadchodził spokojny zmierzch, świt rozdzierał zasłony, pies lizał jego spokojną dłoń. Antyczny zegar

wymierzał odległość od niego do niej. Zmniejszała się z każdym obrotem sprężyny. Raz w tygodniu otwierał jedną z nadchodzących kopert, wkładanych przez listonosza za klamkę drzwi. Pies spoglądał w oczy. Ulegał błaganiu. Wychodził na codzienny spacer. Wracał z zakupami, chlebem, kielbasą, paczką papierosów, czasami piwem. Kupował codziennie jedną różę i dokładał do wazonu, czekanie narastało w nim czerwonym płomieniem. Czekal, każdym oddechem. Nawet pies podnosił łeb na każdy szmer. Aż wreszcie zawył i rozszczeł się pogodnie. Pobiegł do swojego pana, podskakiwał i wylizywał na dłoni radosne Jest, lecz pan wydobywał właśnie z gruboziarnistego papieru błękitną lagunę, z wody wychodziła piękna, rudowłosa kobieta - jeszcze kilka macnięć gąbką, zamaszysty ruch pędzlem, kreska, kreska i Jest. Wytarł ręce o koszulę i podszedł do drzwi. Radosny, opanowany, męski.

- Witaj. Chodź, pokażę ci moją pracę. Właśnie skończyłem. Zobacz, to ona. Tu na brzuchu ma bliznę. Po porodzie. Cóż to był za poród, z przygodami. Pokażę ci zaraz fotografię naszego syna. Że też mi się udało tak ją sobie przypomnieć. To dzięki tobie. Tyle czekałem. Wpatrywałem się, aż zobaczyłem. Każdy szczegół. Doskonale. - To jak będzie z tym pozowaniem? - spytał pro forma. - Masz papierosa? Chętnie zapalę. - powiedziała, przechylając głowę w jedną stronę. Odrzuciła włosy na bok, by nie przesłaniały pracy. - Akwarela? - Tak. Taka delikatna to była wizja. Można rzecz wodnista. Nigdy bym nie przypuszczał, że wyjdzie tak sprawnie. Wiesz, nigdy nie umiałem namalować swojej żony. Nigdy, gdy żyła. Tak jakbym jej nie widział, nie widział wyraźnie. Dopiero teraz, jak czekałem. Więc palisz? - Nie. Tylko wtedy gdy się zastanawiam. Nie umiem palić dobrze. Chodzi mi tylko o to, by nie wygasł ten ogień. - To jak się umawiamy? Przyjdiesz? - Przyjdę. Chętnie przyjdę. Gdy będę stara. Będę chciała, abys odnalazł kiedyś moje utracone piękno.





ELOY M. CEBRIÁN

ŚWIETLIKI

Tłumaczenie z języka hiszpańskiego
Urszula Gronowska

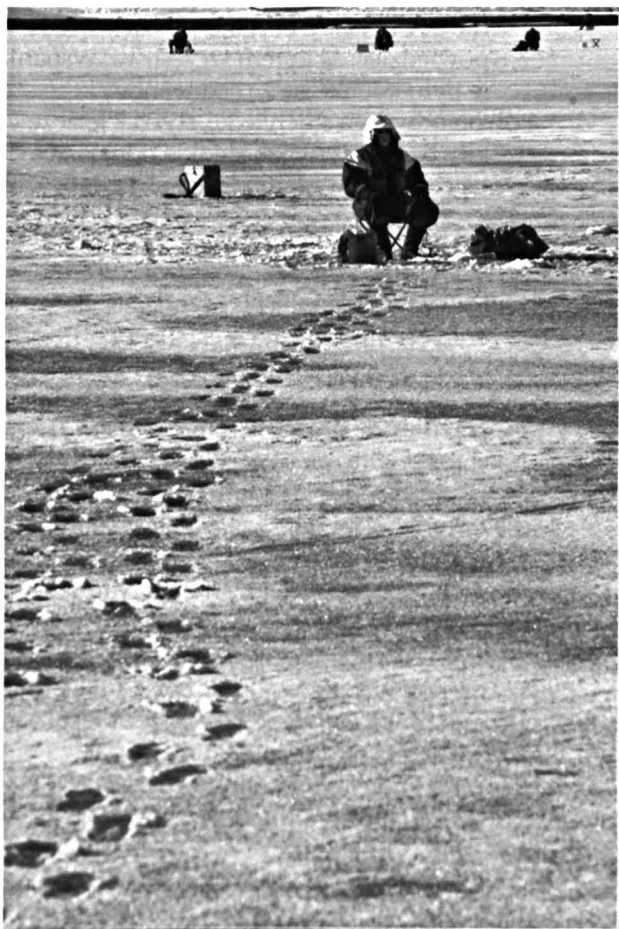
Właśnie się obudził i poczuł zimno. Już październik. Powinien był założyć piżamę, ale jakoś nie chce się pogodzić ze zwyczajem długiej i ciemnej jesieni. Kiedyś poszukałby pod prześcieradłem ciała swojej żony, objęłaby go i zasnęłyby pod jej okryciem. Teraz ten pomysł już go nie kusił. Nie czuje też impulsu szukania jej stóp swoimi stopami. To była ulubiona zabawa ich obojga: cztery stopy szukające się w ciepłym półcieniu łóżka, bawiące się w laskotki jak para szczeniaków. Dziś wie, że kiedy to zamierza, żona z pewnością odsunie się z pomrukiem niezadowolenia. Poza tym ma wrażenie, jakby jej stopy utraciły ciepło tamtego okresu. Czasem dotyka ich przypadkiem i wydają mu się jak dwa kawałki marmuru. Słyszy ją pochrapującą u swojego boku z jakimś ostrym i świszczącym odgłosem, jak para ulatująca z szybkiwaru. Jest w najgłębszym śnie. Woli jej nie przeszkadzać. Wstaje i po omacku szuka kłapek i szlafroka. Wstrząsa nim zimno. Okno zamknięte na głucho. Widzi pokój pobrużdżony smugami powietrza, jakby go zamieszkiwały zjawy. Wrażenie zimna narasta, kiedy wędruje po ciemku korytarzem. Do perfekcji zna każdy centymetr swojego mieszkania. Nawet w snach mógłby go przemierzyć o nic się nie potykając. Ale ciemność, ledwie rozróżnialna i podkreślona łagodnym światłem czerwieni z ulicy jest tej nocy tak gęsta, iż cienie wydają się bliskie połączenia w zwarte ciała. Kiedy więc idzie korytarzem, wyciąga przed siebie prawą rękę tak samo jak ślepiec pozbawiony laski. Po lewej stronie sonduje ścianę i odlicza otwory drzwi, jedno drugie, trzecie... aż dochodzi do kuchni.

Nie powinien był tyle pić. Tym samym przynajmniej by sobie zaoszczędził tego pragnienia, które go pali, tego smaku zgnilizny, który wypełnia usta, kiedy budzi się w połowie nocy. Otwiera lodówkę, a w twarz bije zimny podmuch przesycony zapachem pleśni. Wypija pół litra zmrożonej wody i przypomina sobie, że za mło-

du nigdy nie budził się w środku nocy. Wtedy jego sen był głębokim, jednolitym i czarnym okresem przeciągającym się aż do rana. Teraz noc jest dla niego ciągiem zmian, krótkich epizodów niespokojnego snu, przeplatanych dusznościami. A każdy epizod udręki nie jest niczym innym jak wstępem do nowego kryzysu bezsenności. Raz skonsultował to ze swoim lekarzem. Zapisał mu środek nasenny, lecz ulotka przestrzegała przed zażywaniem z alkoholem, więc zdecydował się go nie brać. Zimna woda wywołuje u niego bolesne klucie w zepsutym zębie. Jęczy. Potem idzie do łazienki. W połowie drogi dzwoni telefon.

Wzdryga się. Serce zaczyna mocno uderzać.

Wali o żebra jak werbel, aż w gardle może



Grzegorz Pawlak

wyczuć puls. Nie ma bardziej zło-
wroźnego odgłosu – myśli – niż telefon
dzwiejący w połowie nocy. Czwarta nad
ranem (nie popatrzył na zegarek, ale alko-
hol zawsze budzi go gdzieś o tej porze).
Najlepiej nie odpowiadać. Z całą pewno-
ścią chodzi o jakiegoś durnia, który się
pomylił. Ale dzwielek telefonu trwa i staje
się coraz bardziej natrączywy. Żona się
obudzi i poprosi o wyjaśnienia. Biegnie do
telefonu i podnosi słuchawkę, nic nie mó-
wiąc.

- Antonio? - słyszy pytanie. To kobiecy głos,
młody, oczekujący. Szykuje się, żeby
odpowiedzieć, że pomyliła numer. Myśli,
by dodać jeszcze jakiś komentarz o
nieprzyzwoitości, dzwoniąc do ludzi o
czwartej nad ranem. Ale ona nie przestaje
mówić.
- Kochanie - mówi - wiem, że tam jesteś, słyszę
twój oddech. Nic nie mów. Jeszcze czuję
cię obok siebie. Zdaje się, że nie wyszedłeś,
że jesteś jeszcze ze mną, pokrywając mnie
pocałunkami i pieszczotami. Nie, nic nie
mów. Chciałam ci tylko podziękować i
powiedzieć, że jestem szczęśliwa. Wspania-
le było kochać się z tobą tej nocy.

Powoli odwiesza słuchawkę, słysząc jeszcze
głos dziewczyny jak słodkie oddalające się
belcanto. Wstydem płonie mu twarz. Dłu-

go patrzy na telefon. Zdaje sobie sprawę, że
czeka pragnąc, by znów zadzwoniła. Nic
się nie dzieje. Wtedy spogląda w dół i wi-
dzi smutną erekcję, wychylającą się spod
fałd szlafroka.

Paczka papierosów jest schowana za piątym
tomem encyklopedii. Zostawił ją tam
przed rokiem, kiedy przestał palić, myśląc,
że to będzie dobry sprawdzian jego siły
woli. Wyciąga papierosa, wkłada go do ust
i odbiera go jak obce ciało. W jednej chwili
zaczyna się ślinić. Zapalka płonie z trzas-
kiem i z małym toksycznym obłoczkiem. I
kiedy jest o krok od zapalenia, myśli, że
lepiej wyjść na balkon, bo nie chce, żeby
żona złościła się na niego, wyczuwając
zapach nikotyny.

Zimno na dworze jest nie do zniesienia, więc
raptownie zaczyna drżeć, ale to nieważne.
W końcu zapala i głęboko się zaciąga. Dym
powoduje delikatny zawrót głowy, spo-
kojne uczucie rezygnacji. Opiera łokcie na
balustradzie i pali w ciszy, przypominając
sobie głos i słowa dziewczyny.

Na innych balkonach i w oknach jak chmara
jesiennych świetlików rozbłyskują żarem
dziesiątki papierosów.



CELINA WORYNA

Tatuaż

tatuażowy
motylek
jest sexi
kobiecia szyja
jest sexi
zwłaszcza kark
którędy
przechodzi kręgosłup
przykładam szablon
i maluję
motyla na karku
też chcę
być sexi

Marzenia mamy

moja mama
kupi mi kaganiec dla psa
żebym mogła z nim
wychodzić na spacer
słyszałam jak mówiła do taty
moja mama kochana
zapisze mnie na lekcje baletu
i do szkoły muzycznej
będzie mnie ubierać w kolorowe
sukienki i zaplać wstążki we włosy
a kiedy dorosnę
zostanę modelką albo aktorką
tak mówi moja mama kochana

już nie mogę się doczekać
kiedy się urodzę



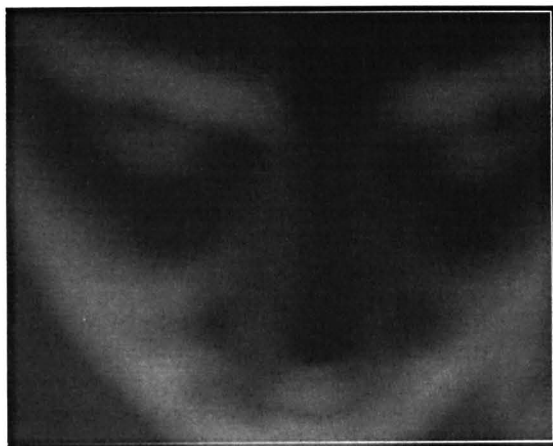
KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

PARSZYWY LOS WAMPIRA WIESŁAWA

Wampir to brzmi dumnie... Boże, co za durne pieprzenie! Jeśli słysząc słowo wampir myślicie: "piękny, bladolicy młodzian" to jesteście w błędzie. Nie ma nic gorszego, nic bardziej upadającego niż bycie wampirem. Wampir to nic innego, jak zwykły nałogowiec, który jak nie zażyje swojej "szkarłatnej działki", to dostaje pieprzonej trzęsawki. Ćpun, śmieć, wyrzutek! Tak, to ja! Tak, tak, nazywam się Wiesław i jestem krwioholikiem... jestem wampirem. Jak to się stało? Dorwał mnie taki jeden niedopity wampiorek, blade truchło, które chciało dopchnąć sobie krewki - ot, tak na zapas. No i sobie dopił i oczy-kurwa-wście nie dokończy! Nie wyszał mnie jak trzeba, do końca! Tak, cały ten romantyczny mit (o którym czytało się w książkach znanej autorki) - możliwość wyboru między kojącym czernią snem wiecznym, a hedonistycznym trwaniem wiecznie młodego potępienia z przerośniętymi kielkami, to tylko takie bla! bla! bla! Człowiek, gdy się go wysie do końca, umiera. Umiera nieodwołalnie. Jest kaput! Ale wystarczy, że w jego ciele pozostanie choć trochę niedopitej krwi i sam staje się wampirem. Odmieńcem. Wyrzutkiem.

I na co mi ta pieprzona nieśmiertelność, gdy jestem wrakiem? Na co? Za życia byłem wiecznie zalanym menelem, i po "śmierci" też nim jestem. Nic się nie zmieniło. Po prostu - jak od czasu do czasu nie wleję w siebie trochę gorzały, to jestem chory. Cierpiałem wtedy, cierpię i teraz. Tak, wampir to nie jest żadne чудо - tylko ludzkie truchło; wciąż uczepione życia, choć powinno spływać do rynasztoka. Truchło zbrukane tymi samymi wadami i ułomnościami co za "życia". Życia? Dobrze sobie! A co to jest kurwa to całe życie? Czy ten stan, w którym muszę trwać, różni się czymś od vegetacji z czasów zanim mnie ta bladokurwa-lica menda wyszała? Poza tym, że jest gorzej niż było, to nie widzę żadnej różnicy.

Jest gorzej, dużo gorzej. Kiedyś miałem tylko jeden nałóg - gorzałkę! Teraz tańczę w

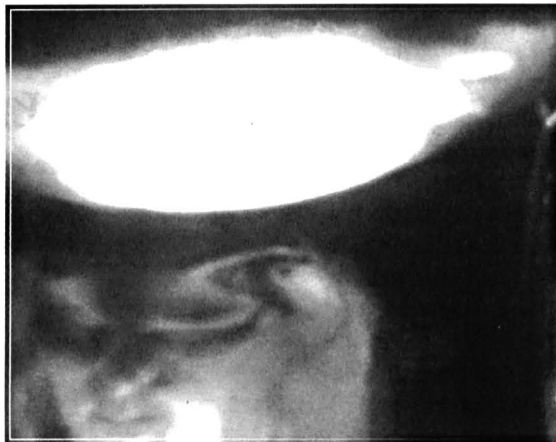


cierpiętniczym tańcu z dwoma - jestem także krwioholikiem. Każdy wampir to krwioholik! Wysoki sędzie proszę mnie natychmiast skazać, bo będę zabijał. Zabijał, zabijał i jeszcze raz zabijał. Nie po to by przeżyć, jak każdy szanujący się drapieżnik. Będę zabijał, by poczuć się trochę lepiej, by pozbyć się tej krwioholicznej dygawki... tej szkarłatnej deliry.

Nie wiem, jak to się dzieje, że mogę chlać wódę i mój organizm, choć serce stoi, nadal wpada w stan upojenia... Może dlatego, że teraz piję używając tych pieprzonych kielków? Ech, jak jakiś przyrypany w dekiel kiciuś! Muszę se nalać wódki do michy, zanurzyć mordę i ssać, ssać, ssać... To mogę - za to o jedzeniu nie może być mowy. Ten sukinsyn, który pozbawił mnie ludzkiego życia, pozbawił mnie także możliwości jedzenia normalnego żarcia. Dlaczego? Bo coś takiego, jak funkcjonujący układ trawienny, to u mnie nie istnieje. Nie wpieprzę chrupiących frytek. Nie będę się rozkoszował ciągnącym się serem na zapiekance z budki przy centralnym. Koniec! Finito!

O bzykanku też mogę zapomnieć - układ krwionośny też szlag trafił. Pikawa stoi. W żyłach pustka. Nawet próbując sobie postawić za pomocą pieprzonej pompki do penisu nic nie zdziałam. Wampir, jak sami widzicie, to istota uzależniona i upośledzona. To męczennik. Obywatel piekła na Ziemi.

Tak, niektórzy kończą ze sobą. Wyskakują z



mroków w promienie słońca, by w męczarniach zjarać się na popiół. TAK, SPŁONAĆ ŻYWCEM! Nie ma szans na bezbolesną śmierć. Jak przestaniesz pić krew, to nie umrzesz, tylko będziesz trwał na szkarłatnym głodzie - trwał całą wieczność, puki znowu se nie zassiesz... Wbić sobie kołeczek w serducho? Co za debil to wymyślił? Jakie serducho? Nieruchomy, zimny ochłap mięsa! A może by sobie tak w łeb strzelić? Też dupa! Ciało nie umrze - wampir, to dusza przyklejona astralną "kropelką" do zwłok. Nawet jak by go

zmiażdżyć, to w tych strzępkach będzie się tliło nienaturalne życie - póki ich słoneczko nie zjara. Kurwa, tylko się zjarać można. Tylko! To dlatego tylko nieliczni desperaci decydują się na to. Ja osobiście boję się tego cierpienia. I cóż... nadal jestem człowiekiem i boję się tego, co będzie mnie czekało po tej "drugiej śmierci"... gdy dusza odklei się od truchła.

Będę trwać w tej mordędze niemożliwej wieki całe; do końca świata, a może i jeden kurwa dzień dłużej, ale wiem jedno - nigdy nie będę takim ścierwojadem, co bym kogoś miał na to wampirstwo skazać. Nigdy! Choćby się waliło, paliło, to ja zawsze, ale to zawsze, dopiję każdego do ostatniej kropelki! Do krwi ostatniej!

Nadal sądzicie, że bycie wampirem jest takie mistyczne? Wy - którzy obnosicie się ze swym uwielbieniem dla "Księciuniów Ciemności" noszących zwiewne pelerynki - nadal uważacie, że to takie tajemnicze, takie osnute romantyczną mgiełką? Tak? Nadal tak myślicie? To idźta się przychłasty na główkę leczyc!



Oficjalna strona autora: <http://ktdabrowski.pl.tl>



TADEUSZ ZAWADOWSKI

ŚLADY

przed domem pies
obroża po psie
ślad po obroży

ślad po domu

W MOIM OGRODZIE

W moim ogrodzie rosną motyle
jodły i potężny orzech
Boję się że są w zмовie i kiedyś
razem odlecą do piękniejszego
ogrodu a mnie pozostanie
tylko pusta kartka
I para szpaków
daremnie szukającego swojego gniazda

WSPOMNIENIE

Andrzejowi Antczakowi

obok domu rosła
stara jabłoń
nie owocowała
już
czasem spadały z niej
małe szpaki
które nie umiały jeszcze
fruć



KLAUDIA BACZYK

POZA

Osaczają mnie różowe kwiaty. Wszędzie zielen roślin i zapach drzew. Tak piękna przestrzeń, a jednak odczuwam jakiś niedosyt. Nie to, żebym wymagał, czegoś ponad, jest mi dobrze. Gdziekolwiek spojrzę, widzę bowiem przyjazne twarze, miłe spojrzenia, szerokie uśmiechy. Wszyscy są przy mnie, ale w sumie to wciąż jestem sam. Kwiaty, które niegdyś tak bardzo kochałem, straciły czar nowości i stały się jakieś powszechne, banalne. Wszystko jest takie szare. Zapach też jakby stał się bardziej duszący... Granice drzew zacieśniają się coraz bardziej, a w środku ja i oni, tak bardzo zbliżeni do siebie, że jeszcze chwila, a nie będzie możliwości zrobienia kroku. Wszędzie ktoś, coś, fuuuuuj!

Spoglądam w niebo i jedynie w nim dostrzegam nadzieję na lepsze jutro, na poszerzenie granic świadomości, na jakiś byt. A gdyby tak odlecieć? Gdyby wyruszyć gdzieś daleko i zapomnieć o szarych drzewach, duszących zapachach, małej przestrzeni i ludziach szczerzących się, jak zwykle niekoniecznie szczerze? Gdyby tak być naprawdę i nie tłamsić się już w jednym miejscu, nie myśleć o nim jak o domu... A co, gdyby wyruszyć tam w dal i...

poczuć na nowo rośliny, ludzi, zapachy...

Czy bez tego miejsca nie będę sobą? Czy naprawdę nie ma możliwości bycia poza tym, co przyziemne i znane od wieków?...

Pomyślawszy to, niczym mitologiczny ojciec z synem, zbudował skrzydła, przyczepił do swego wątłego ciała i...

...skoczył z jedynej góry w okolicy. Jak łatwo się domyślić, nie przeżył... Nigdy wcześniej nie doczytał historii Dedala i Ikar, zgubił go brak pokory i chęć trwania poza ustanowionymi granicami.

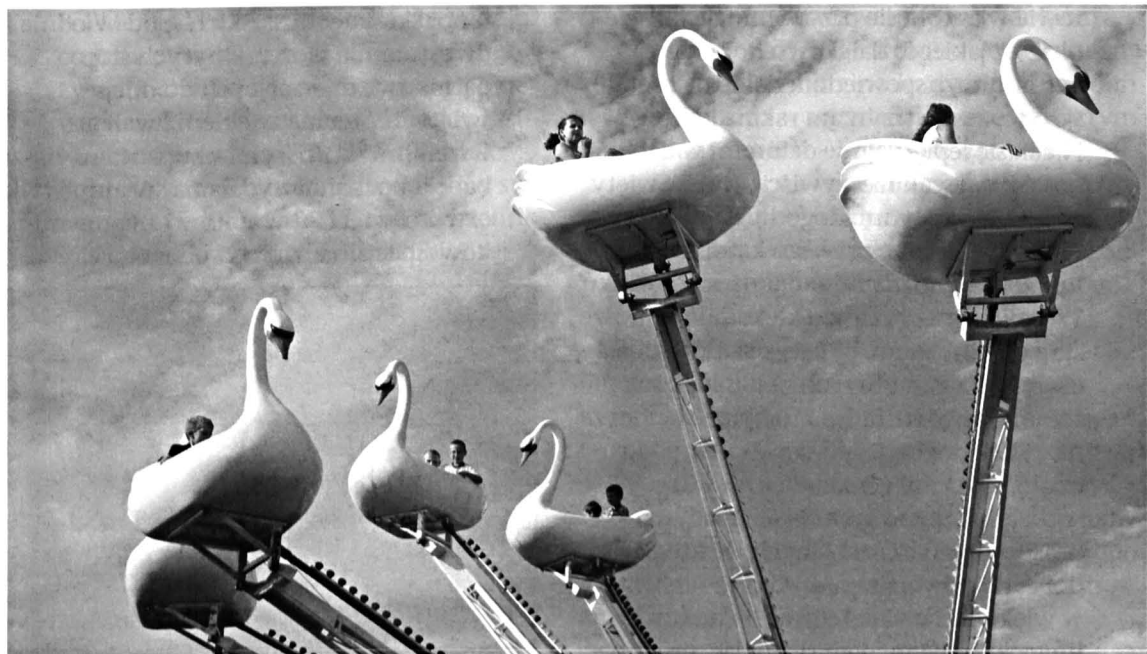
Czy z tej, jakże banalnej, śmierci może płynąć jakikolwiek wniosek?

Możliwe, że pod tą absurdalną sytuacją kryją się jedyne prawdy, wyznawane bez względu na zapachy, ludzi, rośliny, przestrzenie:

Bez względu na to, bowiem, co mówimy, granice są nieprzekraczalne...

Patriotyzmu nie ma, gdyż każdy marzy o wyjściu poza to, co znane i przytłaczające...

I tak poprzez swą śmierć pokazał coś więcej niż jakiś tam Dedal czy Ikar, bowiem jego historia była krótka i każdy doczytał ją do końca...





MARIUSZ KARGUL

KONFABULATORIUM (2)

POCHWAŁA AKWARYSTYKI

W młodości paralem się hodowlą i rozmnażaniem na skalę powiatową rybek akwariowych. Już od dobrych kilku lat staram się jednak zajmować szeroko rozumianą działalnością literacką. Mam czarny płaszcz, dandysowski kapelusz, sięgające ramion włosy, chmurne wejrzenie i opryskliwy sposób bycia. Nie szanuję klasyków, do kolegów i koleżanek „po piórze” odnoszę się z lekceważeniem, a debiutantów traktuję jak uporczywie nawracający zakwit sinic. Dostrzegam innych ludzi wokół siebie, lecz przydatność owego istnienia potwierdza się tylko w sytuacjach, kiedy mogę ich użyć jako materiału do kolejnych utworów. Owszem, mam żonę, ale sypiam z Masłowską, Tokarczuk robi mi śniadanie, a drzwi otwiera przede mną Grochola. Jest mi przykro, że sprawdzeni przyjaciele są już na tamtym świecie. I na prawdę nie ma w tym mojej żadnej winy, że Miłosz, Gombrowicz, Herbert czy Herling-Grudziński nie mogą opowiedzieć o wpływie mojej osoby na ich twórczość...

Takie to wszystko dokoła obmierzłe i nijakie. Dzieci tępawe, sąsiedzi skretyniali, pasażerowie w autobusie przypominają rasowe okazy z jakiegoś dalekowschodniego bestiarium, a spowiednik dalej ma pretensję o to, że nie trzymam rąk na kołdrze. Niech się lepiej zajmie dziurami w dachu kościoła, wszak rzeczywiście Duch Święty hula sobie kędy mu dogodniej. Muszę co niedziela udawać prawego katolika, bo inaczej wywiozą mnie stąd na rozrzutniku. W trakcie mszy celowo klękam i podnoszę się z opóźnieniem, byle tylko móc zobaczyć, która z nobliwych parafianek ma na sobie różowe stringi, a której nie wystarcza na żyletki i włos jej płaśa ochoczo po kroczu, odnóżach i ustach.

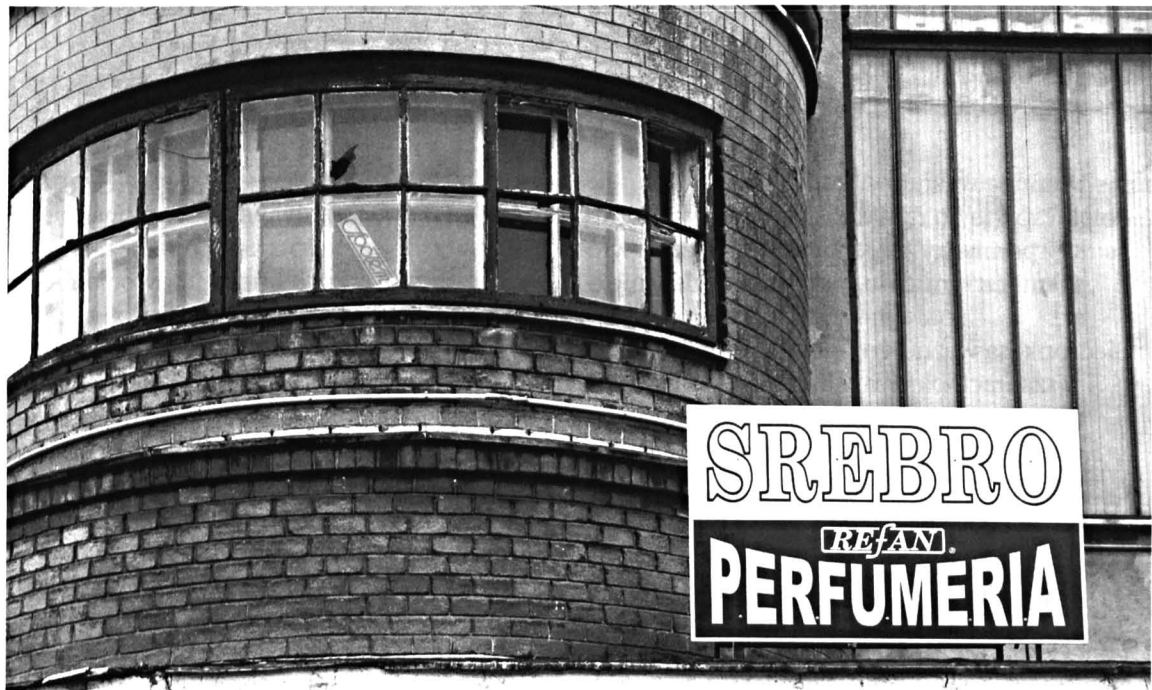
Staruszki z miejscowego Koła Gospodyń poprosiły swego czasu o napisanie kilku dobrych słów na temat jednej z nich, która w wieku 89 lat zadebiutowała na niwie literackiej. Już miałem się nadać, prychnąć, psami poszczuć, kiedy padło sakramental-

ne: „Panie, a wiele to będzie?”. Przyuczony na kursie kreatywnego pisania do natychmiastowej reakcji na tego typu dictum, rzekłem od razu: „Jak od pań szanownych, to z dwiestą za pięć pochlebnych zdań na okładce. Płatne z góry, mile widziane dodatki w postaci darów natury”. Niesiony natchnieniem, nawet nie zorientowałem się, że wszedłem w rym. W tym momencie ich nestorka zaczęła zdejmować z siebie zapaskę. Na szczęście w porę zdążyłem wyjaśnić, że chodzi mi o miód, mleko, schabik i inne jajka. Pochwaliłem przy okazji lotność jej dowcipu i obywatelską postawę.

W życzliwym „blurbie” stanęło więc: „Ludowa i patriotyczna poezja naszej siostry Dobrogniewy Zdziaślej przesiąknięta jest głęboką chłopską mądrością, umiłowaniem roli, miłością Ojczyzny i obroną podstawowych wartości religijnych i ludzkich. Z jej debiutanckiego tomiku *Krowy i słowiki granic nie znają* bije duch wojów Krzywoustego, słychać chrobot mieczy Jagiellowych wrzynających się w czaszki Krzyżaków pod Grunwaldem, zalatuje łopot skrzydeł husarskich spod Wiednia i dwustuletnia woń niemytych stóp pątników zmierzających do miejsc świętych. Sterana wiekiem i walką z wszelkimi możliwymi okupantami, nasza babcia kochana, wydała na świat nie tylko czworo dzieci, 12 wnuków i 18 prawnuków (specjalna nagroda od wójta za



Dariusz Hankiewicz



Mirosław Koczkodaj

„niespożytą aktywność na polu prokreacyjnym wsi i gminy oraz nieuleganie wrogiej propagandzie antykonceptyjnej”), ale pokusiła się także o przelanie na papier swych myśli, trosk i małych radości.

Dzięki temu światło dzienne ujrzał szokujący na swój sposób zbiór wierszy, które stawiają Dobrogniewę gdzieś między Pockiem a Puckiem. Autorka chyli się już co prawda nad trumną, ale nad dziełem jej życia pochylają się również powoli uniwersyteckie siwizny i krytykanckie łysiny. Nie bądźmy więc obojętni wobec tak dobrego kawałka literatury, unieśmy swe znużone postmodernistyczną codziennością członki i udajmy się do najbliższej księgarni Społem po tomik, w którym krowy mówią ludzkim głosem, a dopłaty z Unii wypłacane są co miesiąc!”.

Ostatnie zdanie dodałem gratis, żeby po wsi nie poszła fama, że zdzier tus ze mnie i hochsztapler. Zresztą, jak tu nie uczynić czegoś miłego dla pani Dobrogniewy, skoro w jednym z wierszy (pt. *Upiór w PeGeRze*) z rozbrajającą szczerością wyznaje: *Dojrzewalam, kwitlam, tulilam chłopców do lona / Gdy do wsi wjechał kombajn i na moim polu skołał / Prosiłam, błagałam, płakałam / I*

znowu od życia w dupę dostałam. Znamcy twórczości autorki *Krów i słowików* dotarli niedawno do emerytowanego dyrektora PGR-u Jana Bezrolina i ustalili, że wspomniany kombajn naprawdę wjechał na pole pani Dobrogniewy i z bliżej nie wyjaśnionych przyczyn całkiem zeszło z niego powietrze. Wrak stał tam jeszcze przez kilka żniw i napawał swym widokiem oczy piewców agrokulturowego przemysłu. A tak na marginesie, dyrektor Bezrolin wspomina w wywiadzie-rzecz (zawartym w antologii *Stonka nie była naszym wrogiem. Kierownicy domów kultury i dyrektorzy PGR wobec wyzwań transformacji*), że tę dupę, co to w nią tak Zdziaśła od życia dostała, on długo i z namaszczeniem przywracał do stanu pierwotnej użyteczności.

Złośliwi twierdzą, że w oryginale tytuł debiutanckiego tomu miał brzmieć: *Byliśmy sanacji kulą u nogi*, ale wójt i starosta uparli się, by poezja szła jednak z duchem czasu i odzwierciedlała na przykład wejście Polski do strefy Schengen. Stąd te nieszczęsne krowy i słowiki latające bez przeszkód po całej Unii i srające na głowy z(re)integrowanych Europejczyków.





JOANNA ZAKRZEWSKA

OBIAD DLA BIEDRONEK

Biedronki są ważne...

Polcia łapie je do rączki i patrzy, jak wyslizgują się spomiędzy jej paluszków. Walczą z włoskami na ramieniu, łaskoczą. Polcia śmieje się.

Biedronki są ważne, gdy nieruchomieją zimą w szparach okiennych, ale jeszcze ważniejsze są wtedy, gdy słońce każe im chodzić po szybach. Wtedy całe okno w te czerwone kropeczki.

Ważne są też listki, patyczki, bańki mydlane i nawet promień słoneczny złapany w małe lusterko. Polcia rządzi; każe mu się wspinać po ścianach, zaglądać w kąty pokoju.

Polka jest jak mały bączek, dziecinna zabawka. Jeszcze nieruchomy, czekający. Pełen wyrazistych kształtów i kolorów.

Potem biedronki i cała reszta przestaje być ważna. Bąk, napędzany niecierpliwą ręką, wiruje coraz szybciej. Nie ma już kolorów. Są tylko wielobarwne plamy, zlewające się

w szarość. Bąk jest taki głupi. Szybciej, mocniej, więcej...

W róg okna wcisnęła się czerwona gałeczka. Pola otwiera okno i ostrożnie bierze biedronkę na palec, zanim mróz zniszczy to małe życie.

– Raz, dwa, trzy – liczy kropki i chucha na czerwone skrzydełka.

Potem z cukiernicy wybiera parę kryształków cukru. Kładzie je na parapecie, zmięcza kroplą wody i delikatnie podsuwa biedronkę w kierunku słodkiej masy.

Bąk zwalnia. Czas zatacza koło. Pola gotuje biedronce obiad...



Dariusz Hankiewicz



PAWEŁ MATEJA

WEHIKUŁ CZASU

Wino. Pije się je dobrze nawet w dużych ilościach; wytrawne wino z wyższej półki nie traci smaku wraz z czasem spożywania, nie powoduje rano wymiotów, nie zmienia żołądka w karuzelę - o ile nie jest męśjące. Ale odpada - głowa boli po nim niemiłosiernie.

Piwo ma mało procent; nim się człowiek uczciwie zmorduje, ciało puchnie wodą jak balonik. Piwo jest moczoopędne i w gruncie rzeczy nie nadaje się do upijania. Spożywane zbyt szybko staje się niesmaczne, a znów zbyt długo nudzi - nie wspominając o wygazowaniu. Poza tym to diabelnie kaloryczne. Zbyt męczące.

Kolorowe i wysokoprocentowe trunki to zabawa na kieliszek, czy dwa. Dobre do jednego drinka, na którym wszystko się ma zakończyć. Działają mocno i w sposób nieprzewidywalny - co jest raczej zaletą, ale z drugiej strony ich przedawkowanie to niemal gwarantowane długotrwałe torsje i tortury o poranku. Kolorowe zatrują organizm, łupią w głowie, psują flaki. W gruncie rzeczy człowiek znajdujący się na rzeczy nie będzie nimi upijania ani zaczynał ani kończył. Kolorowe są dla ludzi którzy alkoholu nie rozumieją. Takie trunki dobrze wyglądają, wspaniale smakują, ale to blichtr, klubowe amatorstwo.

By pić profesjonalnie, trzeba pić czystą wódkę. Zapijana sokiem, lub zagryziona kwaśnym ogórkiem działa dobroczynnie, skutecznie i bezproblemowo. Wódka pita zawodowo nie sprasza rano demonów. Wódka czysta wchodzi doskonale. Nic nie może się z nią równać w tym względzie. Mimo, iż ustępuje smakiem ogromnemu towarzystwu, w ogólnym podsumowaniu wybijają się na czoło. To wódka czysta strzela gola, to ona przerywa wstęgę mety.

Oczywiście fakt spożywania akurat tego specjału nie daje gwarancji bezpieczeństwa. W stanie upojenia głupota ludzka rośnie w siłę.

Stan upojenia to taki stan, że ciało A porusza

się ruchem niejednostajnym, nieliniowym. Właśnie wtedy do głowy przychodzą niebezpieczne pomysły. W stanie upojenia ciało A wykonuje rzeczy irracjonalne. Ciało A może je pamiętać.

Nie musi.

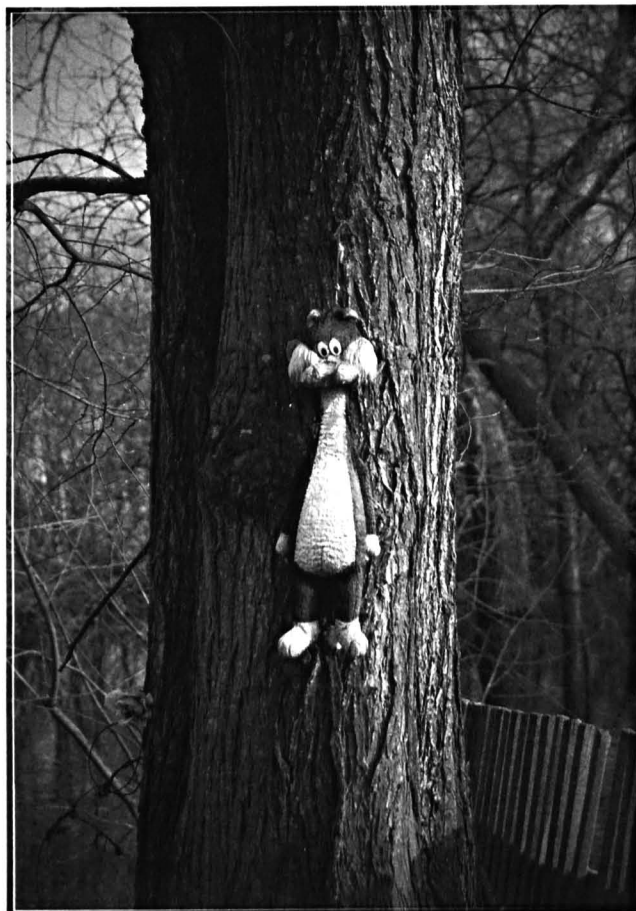
*

Ciało A nazywa się Franciszek M. Nawaliło się zeszłej nocy czystą wódką zapijaną sokiem pomarańczowym, by robić rzeczy grzeszne i niebezpieczne. By następnie je zapomnieć i obudzić się na lekkim, zdrowym kacu w cudzym mieszkaniu, obok nieznanym dziewczyny. Ciało B ma tak na oko nie więcej niż dwadzieścia lat. Młode i świeże ciało. Ciało B jest mimo to wielce nieapetyczne, bo całe uwalone krwią. Ciało B nie żyje. Ciało A oddycha szybko, serce pompuje adrenalinę. Franciszek M. nic nie pamięta z poprzedniej nocy. Może to on tak załatwił dziewczynę. Może ją zgwałcił i zabił?

Franciszek M. będący w pomieszczeniu X ciałem A wymiotuje na dywan. Pluje gęstą, lepłą śliną i ociera usta. Pomieszczenie X to sypialnia, to łóżko, rozległe okno wychodzące na trawnik, jakieś biurko i nocna szafka, barek. Mężczyzna, bo ciało A jest mężczyzną, wymiotuje raz drugi, siada na krawędzi łóżka i zastanawia się długo, wydłużając z pamięci żenująco nijakie wspomnienia. Blade i nieszczerze, migotliwe kadry - kończące się zbyt szybko, nie łączące. Ni ma w nich nic o zabijaniu, nie ma w nich większej części nocy.

Franciszek M. czuje się przegrany, sytuacja zda się nie mieć wyjścia. Jedyne, co może pomóc - myśli - to wehikuł czasu. Który nie istnieje właściwie. A który prawidłowo użyty może zadziałać.

W barku mężczyzna znajduje wermut, białe wytrawne, jakieś likiery, kolorowe świnstwa. Znajduje butelkę czegoś lepszego - zwyczajnej wódki. Pomieszczenie B to



📷 Tomasz Młynarczyk

kuchnia. Do lodówki na kilka chwil ładuje alkohol, ciało A znajduje ciało C czy może D, to jest karton soku. Sposób na uruchomienie wehikulu czasu jest prosty. Prawda, że takowe urządzenie – z tymi wszystkimi tranzystorami, diodami i śrubkami - nie istnieje, ale to przecież nie przeszkoda.

Ale najpierw trzeba sprecyzować cel. Jest nim powrót do stanu z dnia poprzedniego. Do domu: gdzie ciało B nie występuje, nie leży zakrwawione w pomieszczeniu X, gdzie zamiast pomieszczenia X jest Z. Celem jest więc cofnięcie się w czasie. Pamiętajmy, że maszyna będąca wehikulem czasu nie istnieje.

Więc po sprecyzowaniu celu trzeba zgromadzić niezbędne składniki rytuału. To już gotowe. Więc następnie trzeba odbyć rytuał. Nadzwyczaj prosta sprawa.

Cały problem właściwie leży w tym, żeby odwrócić bieg ważniejszych wydarzeń. Rzeczą podstawową jest, że nie da się od -

wypić wódki. Trzeba się trzymać rzeczy możliwych. Miast zapijać sokiem, trzeba sok zapić alkoholem. Należy zwrócić uwagę na kolejność, pomyłka może prowadzić do nieprzewidzianych problemów.

To już właściwe wszystko. Ciało B powoli wraca w czasie, kolory się rozmywają. Do końca powrotnej podróży zostało jeszcze około pięćset mililitrów, co znaczy, że dwieście pięćdziesiąt mililitrów podróży już upłynęło.

Największym problemem zawsze są składniki. Ważne jest, żeby sok był świeży, a wódka czysta i oczywiście zimna. Dwieście pięćdziesiąt mililitrów. Można zacząć odliczanie. Dwieście, sto pięćdziesiąt, sto... do zobaczenia w przeszłości.

Ciało A wróciło do pomieszczenia Z. B oraz C lub D oraz pomieszczenia X i Y zniknęły z układu współrzędnych. Wszystko zdaje się być zgodne z planem. Franciszek M. rozgląda się wokół. Wehikuł czasu zadziałał w sposób prawidłowy. Oczywiście takowe maszyny nie istnieją – nie przeszkadza im to jednak w funkcjonowaniu. Pomieszczenie Z to kuchnia Franciszka M. Mężczyzna podnosi się z podłogi. Lekki kac po wódce jest ożywczy i zdrowy, ale krótkodystansowo męczący. Za oknem wieczór, pada deszcz. W taki czas nie ma się ochoty na wychodzenie z domu. A spacer byłby odświeżający, dodałby wieczorowi wrażeń. W takiej pogodzie nie ma się ochoty na wychodzenie z pomieszczenia Z poprzez pomieszczenia poboczne na płaszczyznę zewnętrzną.

Na stole czeka karton świeżego soku pomarańczowego. Franciszek M. przypomina sobie o chłodzącej się w zamrażalniku wódce. Klin z zasady jest rzeczą efektywną. Po nim pewnie przyjdzie ochota na spacer po mieście.

Obiekt A zasiada przy stole S. Następuje przedstawienie zwrotnicy wehikulu czasu. Na razie pięćset mililitrów do przodu. Później się zobaczy, gdzie nogi poniosą.





AREK STOSUR

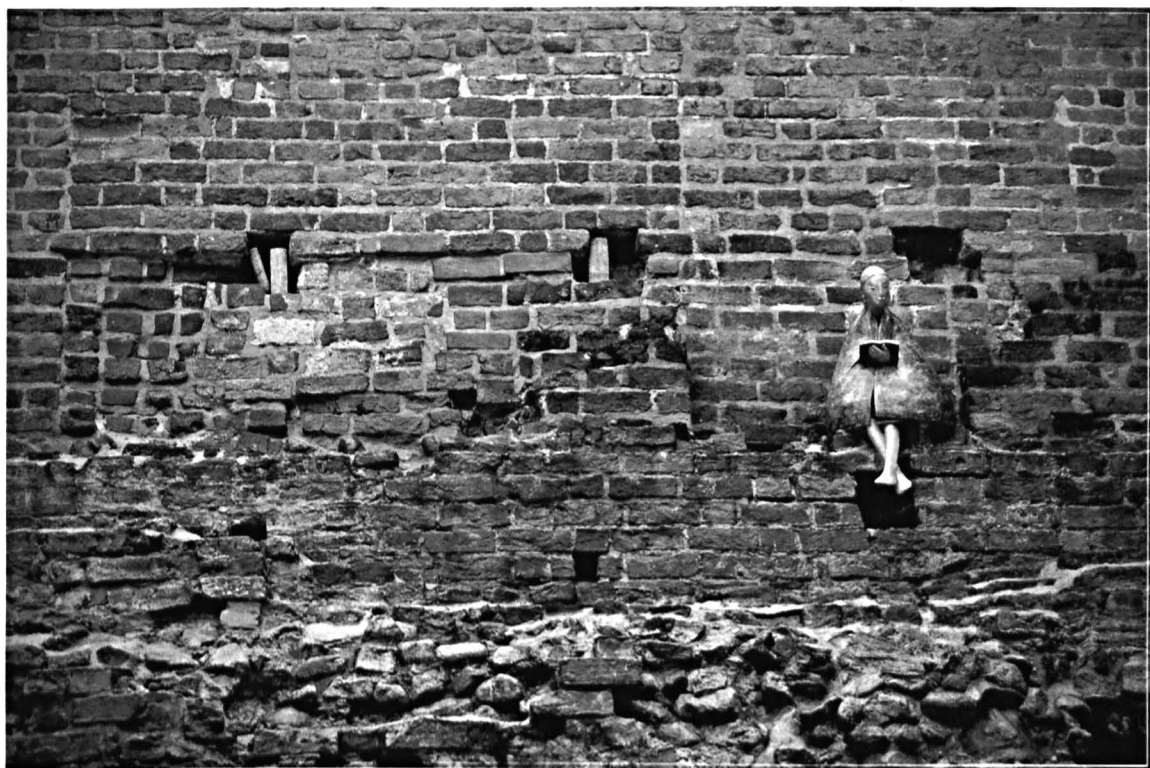
DOTYKANIE

Nie chcieli być razem. Próbowali od dawna, od miesięcy. Znali się od dzieciństwa, razem biegali po podwórku wśród bloków małej miejscowości na południu kraju; chcieli wspólnie uciekać tratwą, którą zbudowali z gałęzi i długich kłosów trawy. Wspólnie uczyli się, czytali te same książki. Jadzia była zapatrzona w Jarka, chciała być jego drugą siostrą, być blisko i zawsze – tak myślała, nie opuszczać go, nie zostawić, będę obok na dobre i złe. Płakała, gdy wyjeżdżał z kolegami na ryby na parę dni, gdy wracał czuć było od niego papierosami i alkoholem. Przywoził pusty kosz, zmęczone, przekrwione oczy, zwykle podartą kurtkę i kładła się od razu spać nad ranem, w niedzielę. Jadzia sama musiała iść do kościoła, gdzie obserwowały ją brzydkie i grube koleżanki i pytały o Jarka. Kłamała, że musiał zostać z chorymi rodzicami w domu. W duszy modliła się za Jarka, by Bóg odmienił go na zawsze. I za

jego rodziców, którzy chorowali od lat, lekarze byli bezradni, co roku rozkładali ręce mówili że koniec może przyjść za tydzień albo miesiąc. Razem z Jarkiem w to nie wierzyli. Gdy podpatrywał, jak Jarek rozmawia z mamą, wpatruje się w oczy cierpiącego ojca i pomaga młodszej siostrze w odrabianiu zadań chciała być z nim jak najdłużej.

gdy zamykam oczy widzę cię tak blisko, przytulasz mnie, nie boję się, jestem silna, przy tobie chcę więcej, razem przez świat pójdziemy, urodzę ci dzieci, słodkie, różowe i tłuste, będziemy im opowiadać baśnie, zamieszkamy w drewnianym domu nad jeziorem, na skraju lasu, będziesz mnie kochał i szanował, będziemy zwiedzać egzotyczne kraje, dzieci podrosną i zaopiekują się nami...

Kiedy budził się było inaczej, wszystko go drażniło. Ale wciąż byli razem. I tak przez całe liceum. Jadzia nie potrzebowała przyjaciółek, absorbo-



wal ją Jarek, jego niedojrzałość i siła. Gdy nosił ją na rękach, w przypiływie dobrego humoru, czuła się spełniona. Najczęściej jednak udawał nieszczęśliwego, zwłaszcza gdy wieczorem rozmawiali o przyszłości. Thumaczył Jadzi, że nie wiadomo jak będzie, że trzeba być samodzielnym, przytulał ją mocno, ale nic nie rozumiała i coraz częściej płakała. Tuz przed studiami chciała odejść, inaczej żyć, poukładać swoje sprawy i poznać nowych ludzi. Przestali rozmawiać. Jadzia modliła się częściej i częściej chodziła na samotne spacerunki nad rzekę, gdzie siadała na kamieniach słuchała śpiewu ptaków, czuła się pocieszona i uspokojona. Nie chciała wracać do domu, gdzie Jarek odwracał się plecami.

...nie rozumiesz mnie. Chce ci dać bezpieczeństwo, założyć z Tobą rodzinę, ale jeszcze nie teraz, chce poznać świat, ludzi, zabawić się, wiesz, jesteśmy młodzi, warto poczękać, poza tym musimy zdobyć wykształcenie i dobrą pracę, nie jestem gotowy, niewiele umiem, mało wiem, po co komplikować sobie życie, poczekajmy, bądź my cierpliwi, uczmy się kochać...

Po wypadku często chodziła do Jarka, do szpitala, leżał nieruchomo, patrzył w ścianę, nie odzywał się, sciskał tylko Jadzię mocno za rękę, gdy sie-

działa cicho na brzegu łóżka na wykrochmalonej pościeli. W powietrzu unosił się zapach leków, wody kolońskiej ordynatora i płynu do mycia podłóg. Mijały miesiące, Jarek wracał do zdrowia, pokłówkami mówił o wypadku, że niepotrzebnie wsiadł na motor, że wypił wcześniej z kumplem i pokłócił się z nim o pieniądze, które był mu winien, a potem ta ciężarówka na zakręcie za miastem.

Kto mógł przewidzieć...

Jadzia opiekowała się Jarkiem, a gdy nadeszło lato wyjechali nad morze. Na plaży, na ciepłym piasku patrzyli w horyzont zasnutą błękitem. Może tam kryje się nasza przyszłość - pomyślała Jadzia, ścisnęła mocniej Jarka za rękę. Wtedy on zrozumiał, że chce powiedzieć coś ważnego.

- Chcę być z tobą - powiedział cicho. Jadzia milczała. Zaczynał się przypływ, fale niepokojnie kłębiły się pod stopami przytulonej mocno pary.

Następnego dnia rano wracali samochodem do domu. Już nic nie było takie samo. Na progu przywitał ich szczęśliwy pies merdając ogonem. Kończyło się lato. Mgły zasnuwały wieczorem miasto, teraz wydawało się jeszcze mniejsze niż zwykle, w sam raz dla dwojga ludzi.



JERZY GRAJEWSKI

DIANA

Czy mam prawo się nią chwalić? Może tak, a może jednak nie... Nie wiem. Dla innych są lepsze, i co z tego? Dla mnie ona jest najcudowniejsza, najwspanialsza.

Ona jest...

Drobna w swojej naturze, nie pragnie mnie pozbawić przestrzeni życiowej. Jej wystarczy choćby odrobina miejsca...

Zgrabna? Pewnie tak, pod palcami przesuwają się jej zgrabna postać, krągłości, płaszczyzny. Rzecz pewna, nawet w naszym rozwiązłym świecie, gdyby wypadło, nosiłbym ją na rękach! Ale nie wypada, a szkoda.

Sam serwuję chłodny prysznic, odświeżona, jasnością swoją wabi, wabi... Wabi... A ile to razy oblewałem się przy niej rumieńcem? Rozpala, rozgrzewa, emanuje.

Mężczyzna jest głową rodziny, kobieta zaś jej szyć. Ona swoją prostotą, i mocą jednocześnie, no cóż, uzależniła mnie od siebie. Ma takie przepiękne imię, takie dziewczęce, dźwięczne, przejmujące: Diana. Czy porzucę ją dla innej? Oszalałbym chyba. Nigdy! Moja najwspanialsza przyjaciółka... Kuchenka dwupalnikowa.







ANDRZEJ WIELECKI

PRZECIWKO WSZYSTKIM (7)

IX

W tym samym czasie Diana di Cordona wraz z trzema swoimi towarzyszkami dojeżdżały właśnie do Krakowa, dokąd powrócił także z Niepołomic dwór królewski. Od pewnego czasu Wawel był świadkiem skandalicznych awantur, jakie Bona Sforza urządziła swojej synowej Elżbiecie. Na szczęście żył jeszcze stary król, który stał się prawdziwą ostoją dla synowej, gdyż Elżbieta bardzo mu przypadła do serca.

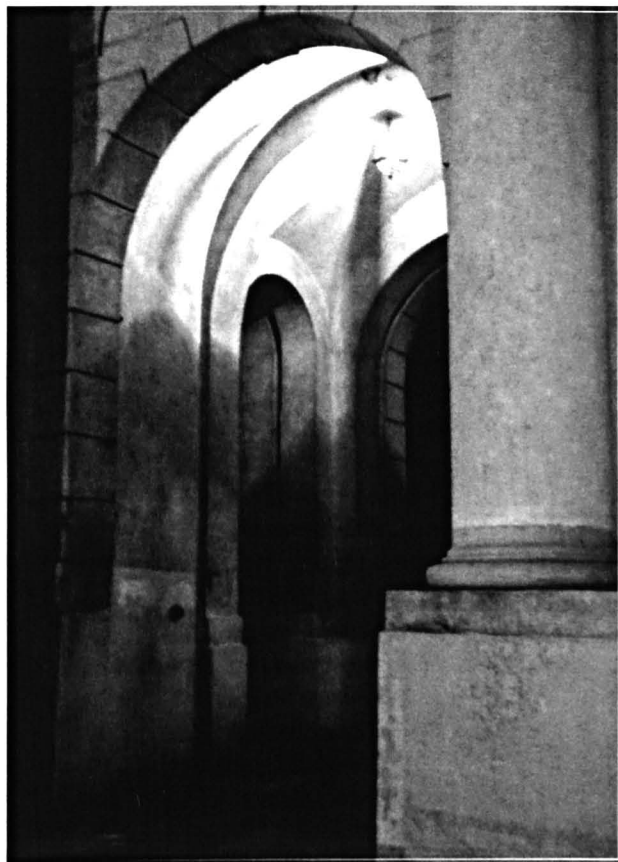
Bona przyjmowała w swojej komnacie przybyłą dopiero co Dianę, która w swej protektorcie szukała ratunku.

- Wasza królewska mość - zaczęła ze skargą w głosie Diana. - Syn wasz, pani, kazał nam wracać do Krakowa.
- Jakże to? Powróciliście wszystkie cztery?
- Tak pani, tamte czekają przed drzwiami.
- Syn nasz August jeno o tobie wspominał w liście, że wracasz do nas... No, ale jeśli taka jego wola, to niech tak będzie. - Oznajmiła Bona, nieco zaskoczona zachowaniem ukochanego syna.
- Ależ pani, służyłam waszej królewskiej mości przez tyle lat.
- To nie mnie służyłaś, jeno memu synowi - rzekła zimno Bona. - A skoro on zalecił, aby cię wydać za kogoś odpowiedniego, to tak się stanie.
- Ale ja nie chcę, pani! - I błagalnie spojrzała na królową, której służyła już dwadzieścia pięć lat. - Czemuż to nasz syn cię odprawił?
- Nie wiem, pani.
- Nie oszukuj, jeno mów prawdę! Musi być jakaś przyczyna, że was wszystkie cztery odesłał. - Diana jednak milczała, dopiero widząc surowy wzrok Bony oznajmiła.
- Wojewodzina trocka, Barbara z Radziwiłłów.
- A cóż ona? Przecie to nie ona was odesłała!
- Ale to przez nią. Król poznawszy ją w Wilnie, udał się do niej do Gieranojnow, a nas odesłał tu, na Wawel - wyjaśniła dwórka.
- Prawdę tedy nam pisał kanclerz litewski

Hlebowicz, że nasz syn w towarzystwie wdowy po Gasztołdzie jeno przebywa. - I po chwili namysłu zwróciła się do Diany. - Widzisz więc, że przegrałaś. A skoro naszemu synowi już nie jesteś potrzebna, to i mnie się raczej nie przydasz.

- Wasza królewska mość! - zawołała Diana. - Zawsze przecie czyniłam to coście jeno chcieli.
- Słuchaj no! Ile ty już masz lat?
- Trzydzieści i sześć pani.
- Łiesz mi prosto w oczy! Już od ponad dwudziestu років jesteś w Polsce! Zatem ile? - Diana zawahała się, ale wiedząc, że Bony nie da się oszukać, odparła.
- Czterdzieści, pani.
- Widzisz tedy, że masz już dawno swoje lata. Młody król cię odesłał, a on przecie jest żonaty. A ta jego, pożałuj Boże, małżonka Elżbieta, wie dobrze o tobie. Zatem nie sposób cię w pobliżu trzymać - mówiła bezlitośnie Bona. - A to ci jeszcze powiem, że nasz małżonek król Zygmunt, już dawno mi radził, aby cię oddalić.
- Poniechajcie tego, miłościwa pani! - błagała Diana. - Młody król powróci, to i przyśle po mnie.
- Nie! - rzekła stanowczo królowa. - Syn nasz August pisał mi, żeś mu się do reszty znużyła i to on polecił cię szybko za mąż wydać! - Diana milczała złamana takim ciosem. Za lata poświęceń i szyderstw jakie znosiła, przyszła teraz zapłata w królewskim wydaniu. - Pragnę cię zapewnić, że wiano otrzymasz stosowne i mam już kandydata do twojej ręki. Zgodził się ciebie poślubić w zamian za otrzymane od nas starostwo - ciągnęła bezwzględnie. Na koniec zaś uśmiechnęła się do Diany i wesoło oznajmiła. - Twój przyszły małżonek zapewnił mnie, że nie będzie ci czynił wyrzutów z racji twojego bezwstydnego dotąd żywota.
- Pani nie możecie mi tego uczynić - rzekła słabym głosem dwórka.
- Pamiętaj, że mogłam cię wyrzucić z Wawelu i odesłać do Italii z pustymi rękami. Jeno,

- że doceniam twoje oddanie i dlategoż zadbałam o twą przyszłość - wyjaśniła jej wielkodusznie Bona.
- Młody król już raz wrócił do mnie i zapewne niedługo znowu powróci.
 - Przegrałaś. Zaiste, ty Włoszka przegrałaś z Litwinką! Gdybyś była lepsza od niej, to teraz byłabyś w Wilnie.
 - Zemszczę się pani na tej Litewce, nie podaruję jej tego upokorzenia! - rzekła złowrogo Diana.
 - Pamiętaj, że o króla trzeba walczyć. A teraz wyjdź i czekaj aż cię każe wezwać. - Diana posłusznie spełniła polecenie Bony, chociaż wcale nie myślała rezygnować z walki o Augusta. Już raz po kilku miesiącach odtrącenia została przez niego przywołana, stąd też miała nadzieję, że i tym razem będzie podobnie.
- Niedługo potem żona Zygmunta Starego spacerowała po wawelskich krużgankach w towarzystwie kanclerza Tomasza Sobockiego. - Wasza królewska mość, czy może młody król wraca z Litwy?
- Bynajmniej kanclerzu. Syn nasz spędzi na Litwie Narodzenie Pańskie. A czemuż to pytacie?
 - Szczerze pani?
 - Mówcie - rzekła nieco zaskoczona. - Czekając na waszą królewską mość, widziałem nałożnicę młodego króla. A skoro ona już jest tutaj, to pewnie lada dzień powróci wasz syn pani.
 - Prawda to - odparła z uśmiechem Bona - że Diana i inne nałożnice powróciły z Litwy. Jenó, że bez naszego syna. - Musi tam być zatem niezwykła niewiasta, skoro tak omotała naszego młodego króla, że odprawił stamtąd swoją ulubienicę.
 - Dobrze rozumujecie kanclerzu - przytaknęła Bona.
 - Ośmielę się pani zapytać, któż to taki?
 - Musieliście słyszeć o wdowie po wojewodzie trockim Gasztołdzie - Tomasz Sobocki aż pokiwał głową na taką wiadomość.
 - Barbara z Radziwiłłów. Zaiste wielce to urodziwa niewiasta.
 - Zatem widzieliście ją?!
 - Jako i wasza królewska mość.
 - Jakoś sobie nie mogę przypomnieć. A kiedyż to miałam ją ostatnio widzieć kanclerzu?



 Joanna Bukowska

- Na koronacji waszego pani syna w Wilnie.
- Raczyście sobie żartować kanclerzu! Toż to trzynaście roków temu było. Przecie ona wtedy musiała zapewne być jeszcze dziecięciem!
- Już była młódką, jako, że miała dziesięć lat. Ale już wtedy jaśniała urodą. - I uśmiechnął się do siebie na to wspomnienie.
- Toż ona z tego roku co nasz syn August! A skądże tak wiele o niej wiecie kanclerzu? - dopytywała się Bona.
- Uszy mam duże, to i wiele usłyszeć mogę - zażartował Sobocki. - Bawiąc niedawno na Litwie, słyszałem na weselisku, że miała ciężki żywot z tym Gasztołdem, aż przed rokiem ostała się wdową - rzekł ze współczuciem.
- Radziliście mi kanclerzu, aby zabrać jej wszystko po umarłym wojewodzie trockim. - Tu Sobocki przytaknął i słuchał dalej. - Jenó, że uczyniłam odwrotnie i teraz widzę, że dobrze się stało. Bo dzięki mej łasce dla niej, syn nasz August

- przednio się tam bawi i zapewne wszystko co należne nam po zmarłym, dobrze spożytkuje.
- Wasza królewska mość potrafi zawsze wszystko przewidzieć. – Przyznał zadowolonej Bonie kanclerz i nieco się pokłonił.
 - August nawet nie wspomniał o braku pieniędzy. Z tego wnioskuje, że ta Radziwiłówna zadbała o wszystko.
 - Tak bardzo, że młody król nie myśli, aby wracać do Krakowa do swojej małżonki.
 - I dobrze czyni. Niech to Habsburżatko czeka na niego. A ja nie tylko, że nie będę nalegać, aby wracał na Wawel, ale jeszcze każę mu wysłać trochę pieniędzy i kosztowności. I niechaj się bawi z panią Barbarą! To przecie nic mnie nie kosztuje – dodała z zadowoleniem.
 - Jeno ostrzegam waszą królewską mość, że to wielce urodziwa niewiasta... jako i wy pani. A sami wiecie, co niewiasta może uczynić z mężczyzną. – I oboje znacząco uśmiechnęli się do siebie. – Dobrze, że nasz młody król jest już ożeniony, bo gdyby nie był, mógłby przecie odesłać w pierw swoje nałożnice, a potem przywieźć tu swą nową oblubienicę.
 - Wolne żarty, kanclerzu! – Oburzyła się Bona, po czym oboje weszli do budynku. Zaraz też dostrzegli w głębi korytarza czekającego na Bonę agenta dworu habsburskiego, Jana Marsupina. – Pani, ten Marsupin prosi o audiencję – rzekła zniżając głos kanclerz.
 - Niech czeka! – oznajmiła Bona tak głośno, aby tamten usłyszał.
 - Miłościwa pani, on już od trzech dni czeka na posłuchanie. To przecie poseł brata cesarza – wstawiał się nim Sobocki. Bona namyslała się chwile w końcu oznajmiła.
 - Dobrze, każę go wezwać.

- Jeszcze kilka godzin przyszło czekać agentowi habsburskiemu na audiencję. Wreszcie, po wielu dniach wyczekiwania, przedstawiciel Wiednia mógł oddać Bonie należne jej poklony.
- Wasza królewska mość, doszły mnie wieści, że królowej Elżbiecie zabroniliście osobnego kucharza i musi jadać to, co jej pani

- rozkazecie! – rzekł bez wstępów Marsupin.
 - Nie słyszeliśmy, aby małżonka naszego syna narzekała na jedzenie. Doprawdy, czy wy tam w Wiedniu myślicie, że my tu jemy surowe mięso? – odparła z ironią Bona.
 - Nie pani, mam na myśli ser parmezański, który to królowa Elżbieta uwielbia.
- Na te słowa Bona wpadła w złość i krzyknęła.
- A więc to wy puściliście tę plotkę, że myśmy tego zabronili i stąd kupiec Boner przywoził ser na Wawel!
 - Nie pani – zaprzeczył żywo Marsupin, Bona jednak nie zamierzała mu wierzyć.
 - Poskarżymy się na was do Wiednia, że jesteście szpiegiem!
 - Pragnę jeno zauważyć, że źle pani traktujecie młodą królową, która jest niejako waszą córką pani. – Zaznaczył z naciskiem, dając tym samym Bonie do zrozumienia, że nie da się jej zastraszyć.
 - A czegoż wy chcecie? Elżbieta jest wiecznie blada, choruje, potyka się, a raz to nawet ze schodów upadła. I to wszystko moja wina?
 - Chcę przypomnieć, że młody król już cztery miesiące temu opuścił swą małżonkę i sam udał się na Litwę!
 - To już nie nasza wina, że mu tak spieszo do małżonki. – Zadrwiła Bona, a zaraz potem dodała. – A i nie ma się czemu dziwić, bo sami powiedzieliście, że już minęło tyle czasu, a posagu wcale nie widać! – Marsupin poczerwieniał.
 - Młody król udał się na Litwę, jako że wy miłościwa pani nie chcecie, aby przebywał ze swoją małżonką, królową Elżbietą!
 - Uważajcie co mówicie, bo gdybyśmy tego chcieli, to możemy unieważnić ślub naszego syna, jako, że małżonków łączy zbyt bliskie pokrewieństwo.
- Teraz Marsupin pojął, że lepiej będzie dla niego, a przede wszystkim dla Elżbiety, żeby nie złościć już Bony. Zmienił więc ton swojej wypowiedzi.
- Pragnę tylko prosić waszą królewską mość, abym mógł się spotkać z królową Elżbietą.
 - Dobrze, jeno nie dzisiaj.
 - Zatem kiedy pani?
 - Pojutrze.
 - Pani, czekałem trzy dni! – oznajmił na nowo wzburzony.
 - Zatem jeden dzień was nie zbawi – ucięła krótko Bona. Audiencja była skończona.

Tymczasem Elżbieta siedziała sama w swojej komnacie i czytała Biblię. Wtem weszła jej zaufana dwórka Katarzyna Hölzelin.

– Pani, pani – zawołała radośnie. – Bóg nas wysłuchał!

– Cóż się stało? – pytała Elżbieta.

– Widziałam przed chwilą tę nierządnicę Dianę, była bardzo zasmucona. I dowiedziałam się, że wasz pani małżonek, król August, odesłał ją tutaj z Litwy.

– Pewna to rzecz? – niedowierzała Elżbieta.

– Tak pani, jeden z dworzan mi to powiedział.

– Ale królowa Bona... – rzekła bojaźliwie rozglądając się po komnacie.

– Stara królowa też ją odpawiła i chce ją wydać za jednego szlachcica, aby opuściła Kraków.

– Wreszcie! Bogu najwyższemu niech będą dzięki! – Zawołała i klękła przed krzyżem do dziękczynnej modlitwy. Lecz w tej chwili rozległo się pukanie i w drzwiach stanął posłaniec.

– Miłościwa pani, list od króla Augusta!

Elżbieta uśmiechnęła się promiennie do Katarzyny i gdy tylko posłaniec wyszedł, szybko jej rozkazała. – Czytaj, czytaj!

– My Zygmunt August...

– Dalej, dalej – mówiła nerwowo. – Czytaj kiedy przyjedzie.

– „Chcemy wam oznajmić pani, że wielce pragniemy was obaczyć i podarować wam to, cośmy tutaj na Litwie nabyli. Cieszymy się bardzo, że wam pani dopisuje zdrowie, jako to nam piszecie i że czekacie na nas. Chcemy wam jednak oznajmić, że zdrowie nam nie pozwala na rychły powrót do Krakowa”. – Tu uśmiech natychmiast znikł z twarzy Elżbiety i z lękiem słuchała dalej. – „Otóż chcąc wam przywieźć z Litwy niedźwiedzie futro, udaliśmy się na wielkie polowanie na dzikiego zwierza. Jenó, że olbrzymi niedźwiedź przestraszył tak bardzo naszego konia, że upadliśmy na ziemię. Wtedy to rozwścieczony zwierz runął na nas i gdyby nie pomoc panów Radziwiłłów, niechybnie skończylibyśmy żywot”. – Na te słowa w oczach Elżbiety ukazały się łzy i cała strasznie pobladła. – „Z pomocą niebios ubito zwierza, a nas przewieziono do pobliskiego zamku. Tam też przeleżeliśmy dni kilka nie podnosząc



 Dariusz Hankiewicz

się prawie z łoża, aż nam krew puszczać musiano. Teraz mamy się już lepiej i z tej to przyczyny nie odpisywaliśmy na wasze listy. Z powodu tejże rany nie możemy do was przybyć na Narodzenie Pańskie. A jako naszą umiłowaną małżonkę, prosimy was pani o modlitwę, abyśmy mogli rychło wrócić do zdrowia i was obaczyć”.

– Katarzyno! – zawołała wzruszona Elżbieta – Chodźmy do kaplicy, dziękować za to ocalenie i prosić o szybki powrót do zdrowia naszego umiłowanego małżonka.

– I za ten szczęśliwy dzień – dodała Katarzyna. I obie pospieszenie udały się do wawelskiej katedry. Biedaczki nie wiedziały, że list ten był jednym wielkim zbiorem kłamstw Augusta i jego sekretarza.





MAGDALENA KACZOR

Efekt motyla

Stukot zegara i ty
 w każdym mgnieniu powietrza
 sen nie przyjdzie
 prorok mojej ziemi obiecanej
 poprzez palce świadomości
 sący się krew istnienia
 zbawicielu moich dni
 rzęs i pieprzyków
 próchnic i zgrzytań
 zębów i marzeń
 uciec?
 tylko gdzie...
 za ciasno na świecie
 za mroczno w ludzkich umysłach
 zbyt głucho w odmętach serc
 zabierz mnie do jednego z twoich snów
 o cicha dłoni
 na śnieżnych zasłonach oczu

Mówiła, że można kochać ciepło na poduszce
 Strofą miłości na zaparowanej szybie
 jej chód niepewny i rozmarzony.

Mówiła, że można tęsknić do oddechu pełnego szczerego tytoniu
 Milionem liter nieposkładanych
 jej usta rozchylone zachwytem.

Mówiła, że można cierpieć szczęściem
 kropla po kropli upychać między palce
 jej lzy identyczne a inne w odsłonach duszy.

Mówiła, że można pragnąć błotnistych śladów na nowym dywanie
 niedbałych ruchów i ślamazarnych wyznań
 jej oczy błagały o więcej i więcej.

Mówiłam że można oddychać miłością
 Ufać nocy, że sprowadzi świt.
 Mój świt nie istnieje, bo byłeś nim ty





Z. MAREK PIECHOCKI

ROZMOWY LISTOWE

Pani pianistka

En-Suo

Genewa Post GV-12 45

Miła pani En-Suo

Jakże tu zacząć to pisanie do Pani? Może od przeprosin, bo już tyle czasu minęło od moich obiecań, że nie tylko pocztą mailową listy, że raz na tydzień w swojej skrzynce na drzwiach zastanie Pani kopertę ze swoim imieniem, adresem. Jestem ciekaw, jak wygląda ta skrzynka, jaki do niej kluczyk... Tak więc proszę wybaczyć moja opieszałość. Ale to może i dobrze, że się nie „produkowałem”, bo czas ostatnio nie był zbyt miłymi zdarzeniami wypełniony i ja - w nastrojach raczej „rilkowskich”. O takich rozmawialiśmy tamtego lata. Jakże wdzięczny jestem za Pani optymizm, wrażliwość, które wiele miesięcy trzymały mnie w jako takiej kondycji psychicznej. Później Pani listy, jakże miłe!

Urodził się 335 lat wstecz, a ja teraz, w słuchawkach słucham jego muzyki - Tommaso Albinioni *Adagio g-moll* na organy i smyczki precudnej urody. Osiem minut nutek, które unoszą w jakieś przestrzenie bardzo odległe. Niezwykle płodnym kompozytorem był ten Albinioni. Gdzieś czytałem, że skomponował 50 oper - nie zachowała się żadna partytura. Tak myślę, że jeśli to *Adagio* tak piękne, to ile jeszcze innych, które spłonęły w dziejach? Teraz uwertury Beethovena... Wzniosłe, potężne... i duch ulata. Duch. Seneka tak o nim napisał: „Zważcie, że nic oprócz ducha nie jest godne podziwu, i że wobec jego wielkości nic nie jest wielkie”. Co nie znaczy, że nie mamy słuchać chorałów Bacha czy scherz Chopina - z ducha i dla ducha stworzonych. Tak myślę.

Pytała Pani, co czytam ostatnio. Otóż stałem się posiadaczem dość grubego tomu listów Rainera Marii Rilkego do Lou Andreas Salome. Za sprawą pana antykwariusza, który polecił mi te książki, kiedy pytałem

o tomy wierszy poety. Owszem, wiedziałem już przedtem nieco o tej niezwykle miłości - później wielkiej przyjaźni pomiędzy Rainierem a Lou. Tutaj odkrywam rzeczy niezwykle, o których będę - jeśli Pani pozwoli - pisał. Latem, jeśli los pozwoli, i będzie Pani w moim kraju pożyczyć książkę do czytania.

3 czerwca 1897 roku, więc w dwa tygodnie od poznania się, tak pisał do Lou przeczuwając jej wpływ na niego, jego pisarstwo: „...Każdego mego słowa dotknij swą mocą szczerotłotą, a jak z gotyckiego relikwiarza wypłynie z nich dla Ciebie roziskrzony strumień mej nieograniczonej czułości. Słowa me skryją w sobie każdą najulotniejszą myśl, pragnienie, każde me marzenie. A ty, Pani, je wszystkie rozpoznasz”. I nieco dalej zapewne o wspólnocie dusz: „Znalazłem ojczyznę”. Tak też było. Znalazł, aż po swój dzień ostatni. A ja? Żeby nie „smutaskować” - pamięta Pani, jak uczyłem znaczenia tego słowa, kończę obiecując za tydzień nową kopertę.

Pozdrawiam z Miasteczka G. w zimowy dzień ósmego lutego 2009.

Marek

Pani pianistka

En - Suo

Genewa Post GV-12 45

Miła pani En-Suo

Dzisiaj słońce, tak pięknie, a ja prawie w domu. Nie licząc wyjazdu do bibliotek, gdzie Rainera jeszcze książek innych niż te, które już mam, szukałem i płyt z muzyką Liszta specjalnie z etiudami transcendentalnymi. A tak chciało się do lasu, na śnieg, na narty. Ale nie mogłem. Tak więc teraz *Elegie duinejskie* na biurku a w słuchawkach

franciszkowe nutki. Nie potrafię się powstrzymać by zaraz z *Pierwszej elegii* cytatu nie napisać. A taki on: „Piękno, bowiem, jest jedynie przerażenia początkiem, który potrafimy jeszcze znieść, i podziwiamy je, bo gardzi łaskawie naszym unicestwieniem”. Czyż moje zachwycenie się jego pisaniem nie jest uzasadnione. Dlaczego, nie rozumiem, taki teraz zapomniany jeden z większych. Jak się mają moje, czy też innych z mojego miasta wierszyczki, do tego co napisał Rainer Maria? Myślę - nijak! Zadziwia mnie nade wszystko jasność myśli i precyzja ich pokazywania słowami, niezwykła umiejętność obserwacji, patrzenia na otaczający świat, jego przeobrażenia - nie pisanie-a-objawianie. Wydawałoby się zwykłe słowa, ale ile w nich jest przekazu. Przekazu, który staje się budulcem naszego widzenia. Na naszą miarę, naszą wrażliwość, percepcję - znajomość i własne doświadczenia w oglądaniu. Choćby przyrody:

Przedwiośnie

*Ostrość zanikala. Raptem delikatność legła
na szarości odsłoniętych łąk.
Male strugi już zmieniają nastrój.
A pieszczota, sporadycznie, z wielu stron*

*gdzieś z przestrzeni chwyta ziemię.
Drogi to już ukazują w głębi łąd.
Niespodziewanie widzisz swego wlotu
wyraz w pustym drzewie.*

Jakbym oglądał krainę mojego dzieciństwa. Ale Pani przecież inną. W tym dalekim kraju, skąd los na nasz kontynent przyniósł. Nie pamiętam czy pisałem o moich fascynacjach poezją japońską. Nie tak dawno zaczytywałem się w antologii poetów z Pani Kraju. Wiele wierszy, bo książka nie moja, przepisałem do komputerowego folderu „Wiersze ulubione”.

Ależ ten Liszt mi się dzisiaj tu panoszy. Cały mój niewielki pokój w jego muzyce. Teraz *Liebestraum* z numerem trzecim. Dość często można je usłyszeć jako podkład w nastrojowych scenach filmowych. No bo to i takie jest. Teraz dwa utwory z cyklu

Consolation. Lubię te *Pocieszenia*. Nie wiem tylko, dlaczego tak je nazwał. Pisał je, bowiem, w czasie, kiedy już jego wymarzona kobieta - księżna Karolina Witgenstein, przybyła do Weimaru. Byli już razem. No, ale to jego tajemnica.

Jestem ciekaw, czy Pani gra jakieś utwory Franciszka Liszta, bo że sporo Fryderyka Chopina, to wiem jeszcze z naszych warszawskich rozmów. Może, jeśli starczy czasu pośród ćwiczeń i nauki, słów parę do mnie?

Pozdrawiam w późne popołudnie. Tutaj już niskie słońce - tam, gdzie Pani, jeszcze, jeszcze - bo o ileż ode mnie na zachód.

Marek, w dniu 15 lutego 2009 roku

Pani pianistka

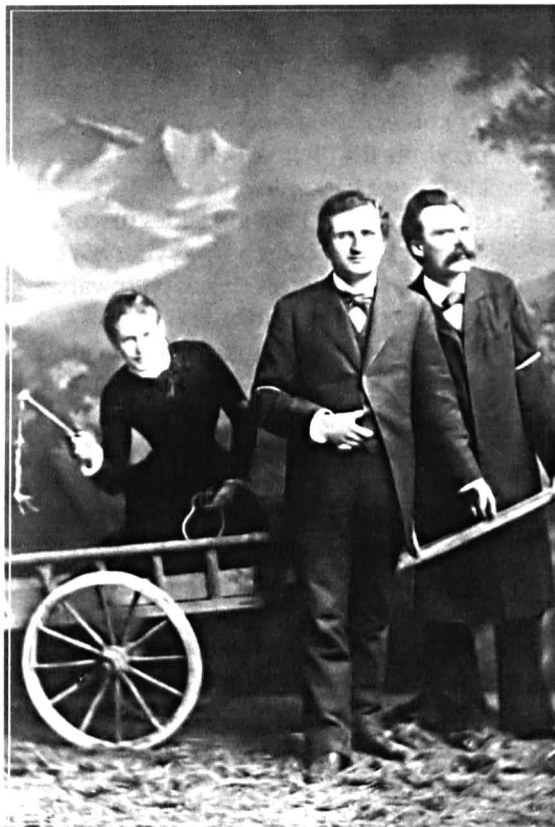
En-Suo

Genewa Post GV-12 45

Miła pani En-Suo

Najpierw to proszę wybaczyć moje roztrzęsanie - fotografia (Salome Lou z wózka poganiana bacikiem Paula Ree i Fryderyka Nietzschego), którą posłałem w ostatnim liście, dotyczy spraw pisanych dzisiaj.

Jakże ciepło na sercu, kiedy zobaczyłem kolorową kartkę w mojej skrzynce pocztowej. Bardzo dziękuję. Owszem, ma Pani rację - nie obiecywała Pani listów długich. Ale i kartka czyni mnie szczęśliwym. To tylko ja - może ulegając swoim grafomańskim zapędom - piszę wiele. Pani pochwały dla moich posłanych ostatnio wierszy pozwalają mi wierzyć, że nie zanudzam do końca. Owszem, nie potrafię tak pięknie jak Rainer Maria Rilke do Lou Salome: „Czy Pani lubi róże? Bo mnie się wydaje, że one wszystkie na świecie kwitną dla Pani i dzięki Niej - i że Pani ich się tylko wielkodusznie wyrzekła, by wiosna mogła je przyjąć w siebie, jak gdyby były jej własnością”. No, ale też to co połączyło tę parę - zauroczenie, później miłość a w końcu przyjaźń - nie może być naszym



Lou Salome, Ree i Nietzsche

udziałem. Chyba jednak jakieś głupoty tu wypisuję. Przepraszam.

A oni? Zostali sobie przedstawieni w domu Jakuba Wassermanna, początkującego literata, na dwa dni przed premierą sztuki pt. *Ciemne noce*, autorstwa von Schewitscha, która odbyła się w monachijskim teatrze 14 maja 1897 roku. Siedzieli obok siebie? Rilke miał wtedy 21 lat, Lou 36. On był zaczynającym karierę poetą, ona - znaną w Niemczech literatką. Damą, którą znało całe środowisko europejskich intelektualistów. Zarówno dla jej pisania, jak i dla skandali, które - moim zdaniem zupełnie mimochodem - wywoływała. Chociażby sławną „trójprijaźnią” z Paulem Ree i Fryderykiem Nietzschem, później „białym narzeczeństwem” z zakochanym w niej Paulem Ree. Obłęd Nietzschego, późniejsze samobójstwo Paula przypisywano zerwanom z nimi więzów przez Salome Lou. Kiedy poznawała Rilkego, była już od dziesięciu lat mężatką. Romans, za cichą zgodą męża trwał dwa lata. Później przekształcił się w przyjaźń. Do końca życia

poety pozostała Lou powiernicą, „deska ratunku”, recenzentką jego pisania. To jej powierzał swoje najtajniejsze sekrety ducha, także dni powszednich - radził się w sprawach ważnych i błahych. Opisywał swoje stany psychiczne i to co działo się w sferze kultury europejskiej, co myślał, czytał... Jego listy stały się ważnym elementem opisu tamtych czasów. Zawsze pisane „na gorąco”, nie obliczone na pokaz, niekiedy stylistycznie nie wyszlifowane - zawsze jednak szczere, przedstawiające sprawy w ostrych kolorach (choćby opisy cierpień fizycznych, psychicznych czy o niemożności tworzenia). Łatwo się je czyta.

U mnie dzisiaj Jan Sebastian rozpostarł ogromne skrzydła swojej muzyki - teraz *Toccata* i *Fuga d-moll*, za nimi zaraz *Pasacalia c-moll* i preludia. Edward Power Biggs na organach.

To może tyle dzisiaj. Pozostaję z Bachem, a pozdrawiam wieczornie, bo pora już późna.

Pozdrowienie zimowe natenczas. Marek
(22 lutego 2009)

Pani pianistka
En-Suo
Genewa Post GV-12 45

Miła pani En

wiersze, wiersze, wiersze... czytam, słucham, jak je czytają, czasem sam piszę - chociaż naprawdę nigdy - tak do końca nie wiem, czy to wiersze czy jedynie zapisywanie moich myśli, spostrzeżeń, zachwyty albo negacji. W minioną sobotę moi znajomi zrobili mi niezwykle miłą niespodziankę. Otóż namówili się między sobą - główną sprawczynią moja Pani od polskiego ze szkoły średniej - że wieczór literacki wypełnią moimi wierszami właśnie. Kiedyś udało mi się wydać niewielki tomik. Nazywa się *Zaistniałem*. I to z tego tomiku kiedyś adepta teatralna, teraz lekarka już nawet nie wiem ilu specjalności - taka mądra - przepięknie czytała wybrane przez siebie wiersze. Muszę przyznać, że lepiej

wybrać bym nie potrafił -pewnie gorzej, bo byłoby mi żal niektórych nie przeczytać. Poza tym nie umiałbym tak skomentować, wprowadzić w ich atmosferę, jak to uczyniła Ania. Trochę się pochwałę -było to moje pisanie komplementowane. Przede wszystkim za nastrój, który - jak i Pani zauważyła w swoim ostatnim liście - udaje mi się budować.

Chciałbym wydać następny tomik. Jednak przeciwności losu sprawiły, że pozostałem bez pracy i nie mogę sobie pozwolić na taki dla siebie prezent. Tak więc zapewne na razie nic z tego nie będzie. Ale za bardzo się nie martwię. Nie ośmielam się nawet porównywać, ale często zdarzało się poetom początkującym - i nie tylko - drukować własnym sumptem, zakładać wydawnictwo służące tylko ich pisaniu. Walt Whitman zatrudniał się w drukarni. Pracował składając swoje książki. W końcu nauczył się zawodu drukarza. Rainer Maria Rilke przy pomocy finansowej swej narzeczonej Walerii von David-Rhonfeld założył własne pismo literackie, którego był jedynym autorem, redaktorem i... kolporterem. Pewnie nie wpadłbym na pomysł - by stać się bardziej znanym - żeby swoje pisemko rozsyłać bezpłatnie do szpitali, rozdawać pod teatrami czy w klubach literackich. Do dwóch klubów sam należał. Zapewne Concordia i Stowarzyszenie Sztuk Pięknych w czasie, kiedy Rilke był już sławnym i cenionym, szczyliły się tym, że poeta był ich członkiem w swoich młodzińskich latach.

„Dzikie cykorie”, bo tak się gazetka Rainera nazywała, w formie zeszytowej wydał poeta w Pradze, gdzie mieszkał. Po przeniesieniu się do Monachium jeszcze jeden numer ujrzał światło dzienne, po czym pisemko umarło śmiercią naturalną. I jak pisze biograf „...było pięknym przejawem młodzińskich dążeń i marzeń poety”. Wprawdzie nie jestem młodzińcem, raczej moje życie chyli się już ku zachodowi, ale jest miło wiedzieć, że takie „akty strze-liste”, jak wydawanie siebie, są „pięknym przejawem”... A ostatnio właśnie na swoim domowym komputerze wydrukowałem tomik z moimi wierszami sakralnymi.

Osiem egzemplarzy z tytułem *Moje herezje*. Jeden posyłam z nadzieją na wyrozumiałość i życzliwość dla mojego pisania. Ciekawym jak się udał Pani recital w Bazylei. Tutaj, skąd pozdrawiam, wiatr, niskie chmury, śnieg z deszczem. Nic, tylko z jakimś ciekawym tomikiem wierszy w głębokim fotelu... zielona herbata w czajniczku obok...

Tym razem wieczorowa pora,
we wtorek 3 marca 2009

Marek

Szpital Rejonowy
Oddział Wewnętrzny
66-530 DREZDENKO

Pani dr Anna Kordis

Droga Aniu!

To ja. „Itoja” piszę znów do Pani, chociaż nic takiego nadzwyczajnego się nie wydarzyło, gdyby nie wziąć pod uwagę małej, przez nikogo nie przewidzianej śmierci. Bo oto mój kot przyniósł wczoraj w pyszczku mysz. Małą, szarą mysz. Była jeszcze żywa. Bawił się nią. To wypuszczał, to znowu łapał. W końcu, zmęczona tą kocią zabawą, zdechła. A on tarmosił ją nadal - zapewne popisując się przede mną - właścicielem jego kociego życia. O ile, oczywiście, ktokolwiek może być właścicielem życia! W końcu na tyle wkurzyły mnie te jego igraszki, że chwyciłem w dwa palce skołtunione zwierzątko i wyrzuciłem za okno. Pewnie z nerwów nieco za silnie, tak że wylądowało na ulicy. Za chwilę przejechał je kołami samochodu. Zostało małe, szare wklejone w asfalt futerko z nitką krwi. Tak więc - taka sobie mała śmierć.

Poza tym napisałem wiersz. Poślę następnym razem, bo może zmienię mu tytuł, który może wiele znaczyć. *Mała śmierć* czy *Mała niezasłużona śmierć*. Zastanowię się.

Jak Pani myśli? Czy w ogóle śmierć może być zasłużoną? Nawet skazanego na nią? Mówią - „Zasłużył sobie...”.

A kartkę piszę siedząc na kamiennych schodach Ratusza w Poznaniu - za chwilę otworzą drzwi, a nas, oczekujących, policzą i wpuszczą do Sali tzw. „Wagi” - może wejść tylko 90 osób - ponoć strop słaby a dzisiaj Poznańskie Trio Fortepianowe z utworami Andrzeja Panufnika i Andrzeja Koszewskiego.

Napiszę w liście jak było. Tymczasem pozdrowienie i dobre myśli.

No, przecież - i z okazji dnia kobiet życzenia najlepsze - wszak dzisiaj ósmy marca!

Szpital Rejonowy
Oddział Wewnętrzny
66-530 DREZDENKO

Pani dr Anna Kordis

Anno!

Napisałem długi e-mail do Ciebie i wszystko mi się zlikwidowało, nie wiadomo dlaczego, więc teraz piszę tutaj i posłę jako załącznik.

Wczoraj byłem padnięty po podróżach, więc tylko słów kilka.

Jeździłem jako szofer zaprzyjaźnionego ks. Pralata. Byliśmy w Częstochowie, św. Annie i Gidlach. Jasna Góra to szczególne miejsce. Lubię sobie tam pojechać. Dobrze się czuję w tamtej specyficznej atmosferze (mimo tłumów), jakiegoś wewnętrznego spokoju i

skupienia się na sprawach „wysokich”. Mam tam trochę lepiej niż zwykli pielgrzymi - pokój w hoteliku księży, regularne posiłki, możliwość przemieszczania się korytarzami klasztoru, spotkania paulinów, prywatnych rozmów... Tak więc to był dobry czas...

Potem jeszcze Gidle - sanktuarium MB - dominikanie. MB Gidelska to miniaturowa (12 cm) figurka Madonny z Dzieckiem, którą rolnik wyorał z ziemi w 1516 roku i od tego czasu słynie w tamtych rejonach z łask wszelakich. Nad tą miniaturową MB

wielka bazylika - cudny barok...

A spaliśmy u dominikanek w św. Annie - to klasztor kaluzuwowy, więc rozmowy przez kraty z „szefowymi” - bardzo miłe siostry Joanna (przeorysza) i Agnieszka - jej zastępczyni. Byłem tam już drugi raz. Teraz mają internet - dostałem adres od s. Agnieszki, więc od czasu do czasu coś tam do siebie napiszemy.

Fajnie, że mogłaś sobie trochę wypocząć, wyciszyć się - to jest bardzo potrzebne każdemu z nas

Tak, to już rok - i rok jak widzieliśmy się w Poznaniu, wszak to było tuż przed Twoim do Indii wyjazdem! Tak, tak - czas biegnie nieubłaganie. Nie da się zatrzymać, przebiega obok nas - i jak ktoś napisał - „nie daje przejść na ty”...

A taki wiersz-modlitwa napisał mi się na Jasnej Górze:

Moja modlitwa (jasnogórska)

*Przychodzę do Ciebie
pośród tłumy pokornych
ze smutkami i radościami szóstego krzyżyka
naręczem niewierności
zwątpień
zaprzepaszczonych szans
echem płaczu Piotra*

*Przychodzę do Ciebie
Matko na Jasnej Górze
wstawiać się za moją Mamą
rodziną przyjaciółmi
Całym sobą jakim jestem*

Chociaż popatrz na mnie

W Kaplicy zacząłem wymyślać ten tekścik - napisałem już w pokoju wersję pierwszą - dłuższą - potem w domu skróciłem, bo „przegadana”...

To może tyle na dzisiaj, Anno, mojego pleplania. Pozdrawiam Cię bb serdecznie. Również pozdrowienia od mojej Mamy, która mile Cię wspomina, wdzięczna za te wszystkie serca badania, oglądania go na monitorach w Twoim gabinecie.

W piętnastym dniu marca 2009.
Marek



Pani pianistka

En - Suo

Genewa Post GV-12 45

Witaj En!

To chyba w lutym pisałem o moim zauroczeniu się wierszami poetów japońskich. Tak, to prawda: piękne i mądre są. Przenoszą swoimi wersami w strony mi nieznane - zarówno te psychiczne, doznaniowe, jak i fizyczne - do krain, miejsc których nigdy nie zobaczę.

A wszystkie te teksty w książce pt. *Antologia poetów japońskich*. Z niej to wypisałem sobie kilka, co to w mojej, tzw. duszy, najbardziej się zadowoliły. Owszem, nie jest to poezja z lat ostatnich - raczej, tak sądzę - klasyczna - z lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Ileż w niej zaczarowania: proszę przeczytać, jak Oki Minoru wiedzie czytelnika jakąś ślepą uliczką wioski albo miasteczka - co odczytuję tytułową studnię (wszak w dużych miastach już wodociągi) do tej księżycowej poświaty w ostatnim wersie. Prosty opis, rekwizyty, jakiś wróbelek - a po nich ta niesamowitość: noc, ściek przy studni, a na nim blask luny - widz uwikłany w tamto nikle dla Świata zdarzenie:

Oki Minoru (1913)

Studnia w ślepym zaułku

*Po obu stronach ślepego zaułka stoją domy.
Głęboko na jego końcu też stoją domy.*

- *W tym ślepym zaułku jest także studnia.*

*Stale ktoś z niej czerpał wodę.
Od bladego świtu aż po mrok wieczoru.*

- *Czasem bałaśliwie, a czasem spokojnie*

*Pewnego dnia zobaczyłem,
że przy studni, kiedy nikogo tam nie było,
harcował wróbelek.
A kiedy indziej, późną nocą, na ściek przy studni
Padła księżycowa poświata . . .*

A już *Mozart na wsi* uwiódł mnie całkowicie.

Ozaki Kihachi (1892-1974)

Mozart na wsi

*W sali muzycznej gimnazjum rozbrzmiewa
pianino.*

*Uczniowie, chłopcy i dziewczęta,
z rękami na kolanach, w skupieniu
wsluchują się w modulacje dźwięków,
zdające się rozbłykiwać i płynąć.
Za oknami równina Azumidaira w pogodnej
jesiennej aurze*

*zielone zbocza Jonenu i pożółkłe akacje...
W tej wsi, gdzie w samej naturze leży przybieranie
kształtów
i zasłuchanie,
młoda, świeżo zatrudniona nauczycielka
gra brawurowo wspaniałe rondo Mozarta.*

Tak więc przenoszę się na równinę Azumidaira, do maleńkiej wioski, gdzie śliczna nauczycielka muzyki opowiada amadeuszowe życie, by zakończyć lekcję jego muzyką - w tamtym, jakże innym świecie, o zielone wzgórza Jonenu rozpryskiwały się srebrne nuty Mozarta... Ale przecież w jakże właściwym miejscu: „...W tej wsi, gdzie w samej naturze leży przybieranie kształtów / i zasłuchanie...”

U mnie też mozartowe granie z CD *Sonata D-dur* na cztery ręce - Naoko Sonoda i Piotr Świtoń, co to w miniony piątek właśnie ją grali podczas recitalu w niewielkiej sali gorzowskiego Jazz Clubu „Pod Filarami”, a sprytne komputery zarejestrowały. Muzykę i moje o niej opowiadanie.

En, nie mogę się doczekać relacji z Pani recitalu!!!

Pozdrowienie i myśli dobre z nieco już
wiosennej Polski!

Marek, w dniu 22 marca 2009

Pani pianistka
En-Suo
Genewa Post GV-12 45

Miła pani En-Suo

Jakże się cieszę, że zdobyła Pani tak wielkie uznanie szwajcarskiej publiczności! Gratuluję występu, bisów. Podziwiam jakże trudny, ciekawy program recitalu - dwa bisy same mówią o jakości wykonania! To miłe, że zakończyła Pani swój występ kompozycją Fryderyka Chopina - „mojego” Chopina. Ba, nokturn ten jest dla mnie najulubieńszym z wszystkich, które Fryderyk napisał. Co poniektórzy uważają go za naiwny, młodzieńczy, niedopracowany - sam Chopin też nie wydał go za życia uważając, że jest niegodny druku. Że nie dorównuje innym. A przecież najsłynniejsi pianiści mają go w swoim repertuarze. Sam słyszałem go w wykonaniu np. Kevina Kennera - a to przecież zdobywca II nagrody na Międzynarodowym Konkursie im. Fryderyka Chopina w Warszawie w 1990 roku (pierwszej wtedy nie przyznano). Byłem kiedyś na jego recitalu w Teatrze Stanislawowskim w Warszawie - też zagrał *Lento con gran espressione* na bis - sala zaczarowana wykonaniem milczała chwilę, by za chwilę aplauzować wykonawcę na stojąco... Tego samego roku (2000) Paul Badura-Skoda, profesor Konserwatorium w Wiedniu, zagrał tenże nokturn w sali Muzeum Chopina na Tamce w Warszawie - mam na programie autograf profesora! Taka pamiątka tamtych, warszawskich czasów - ta akurat papierowa; znajomość z Panią ze sfer innych...

Nie wiem czy Pani zna polską historię tego utworu. Może nie samej kompozycji, ale perypetii związanych z bolesnymi, historycznymi losami mojej ojczyzny, zapisanymi razem z tym utworem. A może raczej biografiami ludzi, których losy połączył ten krótki nokturn. Ale o tym, żeby nie zanudzać, może następnym razem.

Dzisiejszy dzień bardziej w lesie niż w mieście. Rowerowy spacer duktami. Wprawdzie pogoda niezbyt słoneczna - ono z rzadka tylko zza chmur, ale już taki zapach w

lasach wiosenny i ptaki śpiewają swoje trele miłosne. Na łąkach widziałem czaple. Spod nieba rozmowy wracających gęsi rozkrzyczane takie, jakby kłóciły się dokąd lecieć!

Jeszcze raz winszuję udanego recitalu!

W ostatnią niedzielę marca roku 2009

Marek

Pani pianistka
En-Suo
Genewa Post GV-12 45

Witaj En!

Tutaj już pierwsze oznaki wiosny! Krokusy kwitną, z ziemi nieśmiało świeże pędy trawy. A ja, mimo że na rowerku jeździłem co kilka dni przez całą zimę, teraz z większą przyjemnością i już nie tak „cebulkowo” ubrany. („cebulkowo” - bo nie znajdzie Pani w słowniku tego wyrazu - znaczy wielowarstwowo, zawsze, jak się zgrzeje, mogę coś zdjąć, którąś z kolejnych rzeczy co na sobie).

W ostatnim liście pisałem nieco o chopinowym nokturnie, co to go Pani zagrała na bis szwajcarskiej publiczności. Obiecywałem jego polską, sądzę, ciekawą historię. *Nokturn cis - moll op. posth. Lento con gran espressione*. Jego zapis nutowy odnaleziono w rękopisach już po śmierci Autora. Przyjętym jest, że ten niewielki utwór skomponował Fryderyk we Wiedniu, tuż po wyjeździe z Polski a przed świętami Bożego Narodzenia, i posłał w prezencie świątecznym swojej siostrze Ludwice.

Może dlatego zamieścił w nim cytaty z ulubionej przez siostrę pieśni pt. *Życzenie*. Jest w nim również kilka taktów *Koncertu fortepianowego f-moll*. Druga wersja powstania tej kompozycji powiada, że była to najpierw improwizacja na temat niewielkiego utworu na fortepian, skomponowanego przez Marię Wodzińską, późniejszą adresatkę uczuć Fryderyka Chopina. I że powstał w czasie, kiedy była uczennicą Johna Fielda - twórcy gatunku muzycz-

nego jakim jest nokturn. Ale cóż tam.
Niech się biografowie tym martwią!
Tak czy inaczej wydano go po śmierci
Kompozytora i wiedzie przez lata swój
odrębny żywot, mimo, że przez muzy-
kologów jest uważany za prosty i naiwny.
No, nie wiem. W każdym bądź razie jest
bardzo piękny i - jak już pisałem - wielu
wykonawców ma go w swoim repertuarze.

23 września 1939 roku Władysław Szpilman -
bardzo znany pianista naszego kraju - miał
grać w Polskim Radiu utwory Chopina.
Trwała już wojna z Niemcami i... była to,
jak się później okazało, ostatnia audycja
żywej muzyki. Kończyła się właśnie
Nokturnem cis-moll.

Kilka godzin później rozgłosnia zamilkła na
cały okres okupacji. Ciąg dalszy historii?
Jest już prawie koniec wojny. Władysław
Szpilman ukrywa się w zbombardowa-
nych domach, szuka jedzenia. „Nakrywa”
go niemiecki oficer. Wymiana zdań.
Niemiec prowadzi przez zrujnowane
mieszkanie - w jednym z pokoi fortepian -
zawilgocony, z brakiem repetycji - każe
grać; „Zacząłem grać *Nokturn cis-moll*
Chopina” - napisze później Szpilman, a
Roman Polański zrobi z tego epizodu pię-
kną scenę w *Pianiście*. I cóż jeszcze? Koniec
drugiej wojny światowej. Polskie Radio
wznawia program -pierwsza nadawana
audycja na żywo - Władysław Szpilman
gra Chopina - na początek *Nokturn cis- moll*.
Historia zatoczyła koło!

I może jedno jeszcze zdanie - ten Niemiec, któ-
ry uratował Władysława Szpilmana (pia-
nista był Żydem), to Wilm Hosenfeld.
Okazało się później, że ocalił wiele istnień
ludzkich w tych nieludzkich czasach - sam



zginął zamęczony w sowieckim obozie dla
oficerów niemieckich. Na nic zdały się
wysyłane przez uratowanych petycje,
prośby...

Tak to nieco smutnym akcentem kończę ten
przedwiosenny list. Może grając w przy-
szłości ten nokturn wspomni Pani tę
historię co, być może, przyda interpretacji
„łśnienia smutku”...

Pozdrawiam w niedzielny wieczór
29 marca 2009 roku.
Marek

Pani pianistka
En - Suo
Genewa Post GV-12 45

Miła En

...się tu pisze adres i „Miła En...”, a za oknem
zamiast słoneczka wiosennego i śpiewu
ptaków biało. Śniegowo. Pewnie za kilka
godzin stopi się wszystko, bo temperatura
czerwoną kreską ponad zerem.

I to tak jest dzisiejszego dnia, jak czytam w
wierszu mojej koleżanki, co to w stanie
Illinois pomieszkuje - teraz w leśnym bar-
dziej miejscu o ślicznej nazwie „Janella”.
Tuż za domem las, strumyk. Zwierzęta
przychodzą pod ganek do wyłożonej bryły
soli:

biały dzień z wiewiórką w dolince

*i ktośby pomyślał
jak na bis
biały sen pod koniec
placzącego marca
a szykowaliśmy już bażki
do koszyczków kudlate*

*i ktośby pomyślał
melodia na dachu
stuka jak dzieciół ułamana gałąź
niebieska lata okna
utkana koronkowym światłem
odbija zmarznęte dłonie nieba*

*i któżby pomyślał
że krokusy i że wierzby
pęcznieją pod śniegiem
płynie strumień bluszczu
a wiewiórka liże
bryłę soli*

i któżby pomyślał...

Jakże piękne opisanie.

Więc i tam wiosna się ociąga. I tekst o tym się ociąganiu, straszaniu śniegiem, mrozem Ela napisała - może tam, gdzie Pani też takie leniuchowanie „Pani wiosny” - też świeże paki wierzbowe przyprószone białym puchem? Więc i ten wiersz „amerykański” szwajcarskim się staje?

Marek, 4 kwietnia 2009.

PS.

Ela - Elżbieta Będkowska-Adamczyk (polska poetka, tłumaczka - obecnie mieszka w USA).

Szpital Rejonowy
Oddział Wewnętrzny
66-530 DREZDENKO

Pani dr Anna Kordis

Droga Aniu!

Już bez mała miesiąc jak do Ciebie pisałem! A tutaj tyle: dwa recitale, na których prowadząc „rozhawory” z publicznością wypatrywałem Ciebie (wiem, wiem - mówiono mi - masz tyle dyżurów na oddziale, uczysz się do specjalizacji...), potem spotkanie z poetą Jackiem Dehnelem - obiecywałaś sobie być... A tu, jak mówią: „ani widu, ani słyhu”! Nasza lekareczka zakamuflowana w Drezdenku! Na amen!

A teraz to jestem u swojej Mamy w Pniewach - występuję tutaj jako nadworny sprzątac przedświąteczny. Tak więc mycie okien, wieszanie „świeżych” firan, zasłon; odkurzenie, pastowanie i te wszystkie szorowania, czyszczenia wiosenne...

W międzyczasie wyjazdy. Dzisiaj do Szamotuł. Miasteczko, jak by nie było, powiatowe. Więc i szpital, i przychodnie wszelakie. Sklepów wokół Rynku różnorakich. I tak to moja Mama zakrąży - od lekarzy do „po sklepach”. A ja sobie siedzę obok maleńkiej kawiarenki, co to już wiosennie stoliki „na dwór” postawione posiada i rogalika kawką popijam. Słoneczko dzisiaj i bezchmurnie... ludziki krążą zaaferowane. A ja tutaj sobie, jak na wakacjach! I strofki sobie układam:

Fantasmagoria

*Przecież wiedziałem
mówiono mi że pojechałaś w Karkonosze
więc tęskniłem wysiadując drewnianą ławkę
na tym niewielkim rynku
peryferyjnego miasteczka Wielkopolski*

*Ale ale
przecież to ty szłaś ku mnie w strudze słońca
wiatr układał apaszkę jasną czuprynkę
sukienkę granatową w białe grochy*

*Przecież
przecież tak widziałem jak na fotografii
i taki obraz we mnie
zanim ta cholerna staromodna taksówka
marki fiat 1500
nie przejechała wzniecając za sobą pył*

Więc tak naprawdę, nie była to ławka, ale aluminiowe kawiarniane krzeselko - ale naprawdę fiat 1500 w kolorze - co dziwne - srebrnym!

No właśnie! Słowo o Jacku Dehnelu: na „kogoś” innego poszedłem - kogoś innego zastałem - to „zastałem” jak najbardziej pozytywne! Osobowość, kultura osobista, inteligencja... teksty - znakomite! Mam już dwa Jego tomiki - podzielę się z Tobą i na poczytanie pożyczę!

Tymczasem pozdrawiam i życzę, byś mogła ze swoją córeczką - moją kochaną Zosią - świętować Wielkanoc w domu, nie w szpitalu na dyżurach!

Marek, w piąty dzień kwietnia 2009.

PULP KOZITION





KAROL GRACZYK

PULP KOZITION

(WIOSNA 2009)

BOISKO BEZDOMNYCH



Boisko Bezdomnych zostało uhonorowane kilkoma znaczącymi laureami, jak Publiczności na Festi-walu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, czy w Filmów Polskich na Camerimage w 2008 roku. Minałbym się z prawdą, gdybym powiedział, że tematyka przed obejrzeniem filmu wywołała we mnie entuzjazm. Ot, kilku bezdomnych postanawia grać w piłkę, w dodatku w kraju, w którym każdy facet w młodszy lub starszy

wieku za piłką się uganiał. Niezbyt zachęcające, trzeba przyznać. Jednak jeszcze przed obejrzeniem filmu dowiedziałem się, że owa Reprezentacja Polski w Piłce Nożnej Bezdomnych, rzeczywiście istnieje, a film jest raczej fabularyzowany, niż fabularny, pojawia się więc światełko w tunelu. Już kilka minut od rozpoczęcia się filmu z tunelu wyziera przyjemne światło, światło twardej rzeczywistości, alkoholu, smrodu i brudu, nie dla wszystkich raczej, ale dla

zainteresowanych z pewnością. Reżyserka filmu – Kasia Adamiak, nie skupia się, na szczęście, na pokazywaniu bezdomnych od stro-ny piłkarskiej, co z pewnością zakończyłoby się mocnym tąpnięciem filmu, który musiałby się skończyć happy endem lub jakąś większą tragedią, tak czy inaczej po trzydziestu minutach znałbyśmy już zakończenie. Reżyserka skupia się jednak na przedstawianiu kolejnych bohaterów, ich krótkiej historii, wszyscy byli przecież kimś, zanim trafili na dworzec. I ta piłka jest gdzieś wokół bezdomnych, nie odwrotnie. To oni są bohaterami filmu i o nich jest tak historia, mimo sukcesów, nie zawsze kończąca się dobrze, bo i kończyć się dobrze nie może. Pamiętać trzeba, że w większości przypadków mówimy o ludziach, którzy przez alkohol trafili na ulicę i są, jak słyszy się kilkakrotnie, śmieciami. Ten rzeczownik jest punktem, wokół którego kręci się film, skoro ktoś może stać się śmieciem, to czy śmieć, na stałe lub choćby na chwilę, może być znowu kimś? Nie jest to proste, ale z pewnością warto obejrzenia. Świetna rola Eryka Lubosa.

HERBERT W GORZOWIE



W związku z mijającym Rokiem Herbertowskiemu Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim postanowił wydać (przy współudziale miasta) płytę z recytacjami i piosenkami do tekstów Zbigniewa Herberta, chcąc jednocześnie przypomnieć Herberta jako dyrektora literackiego Teatru, którym był w latach 1965/66, o czym

wielu gorzowian nawet, nie ma pojęcia. Piszac recenzję płyty nie będę oczywiście recenzował tekstów mistrza, bo ani nie mam takiej odwagi, ani nie widzę potrzeby, chodzi przecież o ich wykonanie. Aby zamknąć temat samych tekstów pozostaje mi jedynie powiedzieć, że nie tylko wybór, ale też kolejność recytacji i piosenek jest bardzo trafiona. Wiersze Herberta recytują zarówno aktorzy gorzowskiego teatru, jak i znani w Polsce aktorzy. Z pierwszej grupy wyróżnić trzeba Michała Anioła, Teresę Lisowską-Gałę, Cezarego Żołyńskiego, Marzenę Wiczorek (tak tak, zwyciężczyni II polskiej edycji Big Brothera ani na chwilę nie odeszła z teatru), Beatę

Chorażykiewicz oraz Jana Mierzyńskiego. Z aktorów znanych nam wszystkim wystarczy wspomnieć Zbigniewa Zapasiewicza, Annę Seniuk czy Krzysztofa Kolbergera. Największe wrażenie wywierają teksty recytowane przez Zapasiewicza, jego głęboki, skupiający uwagę głos, nie pozwala robić niczego innego, jak tylko słuchać. Nieco słabiej na pierwszy rzut oka wypada Anna Seniuk, ale wystarczy zwrócić uwagę na inność tekstów, które przypadły aktorce, by to od razu zrozumieć. Tekstom Zbigniewa Herberta towarzyszy bardzo dobra i nastrojowa muzyka Janusza Strobla, Mariana Szalkowskiego, Stanisława Radwana oraz Adam Bałdycha. Tylko raz wcześniej słyszałem lepsze recytacje tekstów, ale Josifa Brodskiego, zwłaszcza, że sam deklamuje swoje teksty, nikt nie jest, zdaje się, w stanie przebić. Może, gdybyśmy znaleźli na płycie chociaż jeden tekst, który zaprezentowałby sam autor. Nie będę jednak grymasił po przesłuchaniu tak dobrego wydawnictwa. Poboczną zaletą płyty jest świetny, udzielający się słuchaczowi klimat, który piszącym z pewnością pozwoli napisać pod wpływem płyty nie jeden dobry tekst.

JUNE



June to nowy zespół na polskiej scenie muzycznej, powstał wszak na początku 2008. roku, skupiając trzech muzyków, którzy dotąd występowali u boku innych. Dczekaliśmy się w końcu płyty, przy której powstaniu pomogły Kayah (producent i gościnny występ w jednej z piosenek) oraz Paulina

Przybysz (Sisters, występ gościnny). Trudno zakwalifikować gatunek, w jakim pozostaje zespół. Oficjalnie jest to elektronika, alternatywa, metal i rzeczywiście ten obszar na płycie

się pojawia, najbardziej wyczuwam tu jednak soul i jest to soul z całą pewnością z górnej półki, muzycy ocierają się również o muzykę klubową. Są jeszcze mało znani, ale jeśli nieco lepiej się poznają, będą się rozwijać w dotychczasowym kierunku, już niedługo możemy być świadkami narodzin naprawdę świetnego zespołu, którego świetnie się słucha i można się przyjemnie poruszać. Może i w Polsce uda się powrócić do dużej dawki dobrej, spokojnej, ale nie nudnej i inspirującej muzyki. Ten puls jest już mocno wyczuwalny.

DROGA DO SZCZĘŚCIA



4 ZŁOTYCH GŁÓW



Pisząc o *Drodze do szczęścia* zacznę, może nietypowo od odtwórcy głównej roli – Leonardo DiCaprio, bo męczy mnie ten aktor od dawna. Jest to idealny przykład tego, jak bardzo aktorstwo jest niesprawiedliwym zawodem. Oto, jeden z najlepszych aktorów ostatniego piętnastolecia, który stworzył kilka ocierających się o geniusz ról, pamiętany jest głównie z jednego z największych „gniotów” poprzedniej dekady –

Titanica, często zapominając m.in. o kreacjach w *Co gryzie Gilberta Grape'a*, *Pokoju Marvina*, *Człowieku w żelaznej masce*, *Krwawym diamentcie*, *Aviatorze*, czy *Gangach Nowego Jorku*, co ciekawe, karierę aktorską rozpoczął w wieku szesnastu lat rolą w serialu *Santa Barbara*. Piszę o tym wszystkim z dwóch powodów – po pierwsze z racji tego, że DiCaprio zagrał kolejną świetną rolę, po drugie dlatego, że film, podobno celowo, ma pewien związek z *Titanicem*. Żoną głównego bohatera (Franka Wheelera), a zarazem główną bohaterką filmu jest bowiem kochanka DiCaprio z planu *Titanica* właśnie – Kate Winslet (April), która zresztą zagrała w *Drodze do Szczęścia* nie gorzej od swojego partnera, a że miała więcej okazji, żeby się wykazać, może i lepiej. Skoro mowa o grze aktorów, nie można nie wspomnieć o drugoplanowej roli Michaela Shannona, który nawet na tle

świetnych wyżej opisanych ról pierwszoplanowych, bez wątpienia się wyróżnił, ba, dawno nie widziałem tak doskonałej roli drugoplanowej. Skoro już wiemy, że aktorzy spisali się na medal, warto kilka słów napisać o samym filmie. Rzecz dzieje się w latach pięćdziesiątych na amerykańskiej prowincji. Dwoje ludzi, pocałunek, seks (gdzieś w okolicach tego seksu przeskakujemy o kilka lat do przodu) małżeństwo, dwie córki, wszystko w normie. Czegoś jednak brakuje, pewnie tego szaleństwa, które było na początku (większy brak doskwiera April, wszak Frank nie ma problemu ze znalezieniem kogoś na boku). Z czasem wyłania się jednak prawdziwy problem małżeństwa. Frank, żeby kontrolować sytuację, traktuje momentami April, jakby była wariatką, podczas, gdy ona nie chce po prostu być taka, jak wszyscy wokół, chce być kimś wyjątkowym i kiedy wydaje się, że znalazła receptę na szczęście, a Frank pomoże jej w realizacji marzenia, ona zachodzi w ciążę, on zmienia zdanie. April popada w depresję, właściwie od pewnego momentu zdaje się być kimś bardzo podobnym do Virginii Wolf, zostaje zupełnie sama, a kiedy ofiaruje jej się towarzystwo, ona wybiera samotność i mimo, że jawi się jako słaba żona swojego męża, musi przejąć inicjatywę i obrać drogę, z której nie będzie już mogła wrócić. Film (przepraszam za kolokwializm) przepiękny, przerażająco prawdziwy, mądry. Dla każdego, kto kiedykolwiek chciał być wyjątkowy i dla każdego, kto z kimś takim musi się męczyć, więc dla nas wszystkich. Czapki z głów.

MARIA AWARIA



Maria Peszek wydając swoją trzecią płytę – *Maria Awaria* (wcześniej *Miasto Mania* oraz *Mania Zaku*), trafiła wreszcie na szczyt. Co ważniejsze, trafiła na ten szczyt nie szerokim prezentowaniem biustu i występowaniem na koncertach w samych stringach (w jej przypadku są to mniej seksowne męskie slipy), ale

tym, czym się zajmuje, czyli muzyką. Zadziwiające jest to, co powinno być naturalne – można trafić na czołówki gazet i list przebojów niczym więcej, jak po prostu świetną, ambitną i nowatorską płytą. Teksty są zajmujące, delikatne, chociaż dosadne, pozostawiające słuchaczowi pole do interpretacji i własnych przemyśleń, sposób przekazania tekstów w kolejnych piosenkach zawsze trafny, okazuje się, że krzyk i ciewki nie są potrzebne, żeby zwrócić na siebie, a raczej swoją muzykę, uwagę. Jeśli dodamy do tego muzykę Smolika i uzmysłowimy sobie, że jest to właściwie

piosenka autorska, mamy już pewność, że na takie wydawnictwo czekaliśmy w Polsce długo i pewnie długo podobnego się nie doczekamy. Jest w tej muzyce coś z poezji śpiewanej, bo rzeczywiście teksty Marii Peszek mogłyby być ozdobą dobrego tomiku poetyckiego, a jednak ta muzyka dotarła tak szeroko, że trudno się było tego spodziewać. Na szczególną uwagę zasługują takie piosenki, jak *Kobiety pistolety*, *Marzną bez ciebie*, *Rozpuda*, czy tytułowa *Maria Awaria*, które powinny wejść do kanonu polskiej muzyki rozrywkowej. Autorka tekstów i wokalistka została zauważona nie tylko przez słuchaczy, ale i przez krytyków, czego dowodem niech będzie choćby paszport Polityki. Oczywiście jest w Marii Awarii pewna kreacja, ale i ta kreacja jest wyjątkowa, bo z jednej strony nawiązująca do tych wszystkich wokół, którymi jesteśmy mordowani, z drugiej strony całkowicie inna i własna, wreszcie nieprzeszkadzająca, ale przyjemna i własna. Płyta absolutnie dla każdego.

PIESNI DARIUSZA PARADOWSKIEGO



Dariusz Paradowski jest jedną z największych indywidualności w światowej wokalistyce. Niezwykła barwa głosu i umiejętności Paradowskiego sprawiły, że w 1995. roku jako jeden z pierwszych był w stanie zaśpiewać arie kastratów z oper Wolfganga Amadeusza Mozarta. Obecnie jest

mezzosopranistą i w tym charakterze możemy Go poznać na płycie wydanej w Wytwórni DUX – *Pieśni*, akompaniuje Mu świetny pianista Jeff Cohen, a owe pieśni roz-

brzmiewają między innymi utworami wspomnianego Mozarta, a także Beethovena, Sergiusza Rachmaninowa, Mikołaja Rymskiego-Korsakowa, Mieczysława Karłowicza, czy Franza Schuberta. Bardzo dobrze dobrane do muzyki teksty, między innymi Adama Mickiewicza, Johanna Georga Jacobi oraz Joachima Heinricha Campe podbijają kompozycje i pozwalają im jeszcze lepiej wybrzmieć, działa to w obie strony. Świetna płyta na-wet dla tych, którzy z muzyką klasyczną nie obcuja na co dzień, dzięki Cohenowi i Paradowskiemu można się w niej zakochać.

CZTERY NOCE Z ANNA



Najważniejszą postacią *Czterech nocy z Anną*, o czym wiadomo było jeszcze przed premierą, jest reżyser – Jerzy Skolimowski, jeden z najlepszych polskich reżyserów ostatniego półwiecza, który tym filmem wraca do „reżyserki” po siedemnastu latach milczenia. Obraz był długo wyczekiwany przez koneserów polskiego kina, ale czy spełnił pokładane w nim nadzieje? Skolimowski opowiada o miłości Leona Okrasa (Artur Steran-

ko) do Anny (Kinga Preis), temat więc ekstremalnie nudny, bo i szalenie banalny. Miłość Leona jest jednak bardzo trudna, poznaje bowiem Annę, będąc świadkiem gwałtu na niej. Na sam gwałt nie reaguje, przygląda się, zostaje omylnie osądzony za gwałt i... zakochuje się w Annie obsesyjną miłością. Po wyjściu na wolność zatrudnia się w szpitalu, w którym pracuje Anna, w spalarni, aby być jak najbliżej obiektu pożądania. Nie umiejąc wyrazić uczucia, czy też zbliżyć się w inny sposób do bohaterki, podaje jej środki nasenne pozostałe po zmarłej babce i zakrada się przez tytułowe cztery noce do domu pielęgniarki. To krótkie streszczenie jest tylko mocno powierzchowną historyjką, bo filmu nie da się opowiedzieć. Nie da się opowiedzieć uczucia, które towarzyszy nieporadnemu Okrasie, kiedy jest blisko Anny. Faktycznie widać tu miłość, ale jest też coś z niebezpiecznej obsesji.

Skolimowski zepchnął dialog na dalszy plan, a właściwie prawie zupełnie się go wyżył, nie dając odbiorcy tak łatwych przecież w podobnym temacie wskazówek. Jesteśmy skazani na własne odczuwanie i odbieranie filmu, sam Okrasa również nie jest poddany żadnej ocenie, bo czy można poddać ocenie człowieka zakochanego, który według wszelkich normalnych odczuć postępuje źle, ale wynika to wyłącznie z faktu, że nie potrafi inaczej i przecież de facto nic złego ukochanej nie czyni? Zastanawia mnie tylko, czy jeszcze ambitniejszym wyzwaniem nie byłoby skonstruowanie, przynajmniej w kilku dodatkowych scenach, dialogu przystającego do tak dobrego obrazu. Trudno jest znaleźć odpowiedź na to pytanie. Trudno też powiedzieć, czy Skolimowski w pełni zaspokoili fanów swojego talentu, którzy tak długo czekali na jego film. Z pewnością jest to jednak film dobry, bardzo dobry, chociaż osobiście spodziewałem się wybitnego. Nie umniejsza to jednak faktu, że dla wymagających kinomanów będzie to uczta, tym zaś, którzy w filmie szukają taniej rozrywki, zdecydowanie odradzam. Na uwagę zasługuje świetna rola olsztyńskiego aktora teatralnego Artura Steranki, dla którego był to dopiero drugi film na dużym ekranie, oraz świetnego jak zawsze Michała Lorenca, autora muzyki do filmu. Gutek Film kolejny raz udowodnił, że dystrybucję filmów dla wymagających stawia ponad gustami szerokiego odbiorcy.

INFINITY



Kapela ze wsi Warszawa jest zjawiskiem na polskim rynku dość nietypowym. Nie dość, że mamy do czynienia z grupą młodych ludzi, którzy robią jakże „obciachowy” folk (sami mówiąc, że szukają korzeni swoich ojców), to jeszcze jakością swojej muzyki przenikają tym folkiem, tymi w większości

bardzo starymi rytmemi, bo wyobraźni równie młodych ludzi, koniec końców wracając ten styl muzyki szerokiemu odbiorcy. Siłą tej płyty, poza świetną muzyką i wyjątkowymi tekstami (nie pamiętam, żebym spotkał w polskiej muzyce teksty aż tak wyjęte z naszego czasu), jest współpraca wielu świetnych muzyków i należy podkreślić, że są to muzycy bardzo różni, choćby tylko wspomnieć gości, którzy pracowali przy powstawaniu płyty: DJ Feel-X (znany przede wszy-

stkim z Kalibra 44), Natalia Przybysz (Natu z Sisters), Jan Trebunia Tutka oraz Tymon Tymański. Do tego oczywiście cały, sześciuosobowy zespół, którego największą siłą jest hipnotyczny wokal Maji Kleszcz, Magdaleny Sobczak-Kotnarowskiej i Sylwii Świątkowskiej oraz muzyka wychodząca z instrumentów, nierzadko zupełnie u nas nieznaną. Ta wybuchowa mieszanka na czwartą, najlepszą płytę Kapeli faktycznie wybucha i daje nam coś niezwykłego, bo mimo świetnych tekstów, wokalu, samej muzyki, mamy tutaj coś trudnego do zdefiniowania, te korzenie nie oszukują, wciągają nas w pewny ciąg kultury, z której się wywodzimy tak, że słuchacz staje się łącznikiem między tym, co było, a tym, co dopiero ma być, jesteśmy przecież częścią tej tytułowej Wieczności (*Infinity*).

REJONY SZYMONA BIRY

Szymon Bira dał się dotąd poznać, za pomocą książki *Światło umieranie* jako poeta, dobry już od debiutu. Wiedząc, że zamierza wydać drugą książkę, spodziewałem się drugiego tomiku poetyckiego i tu spotkała mnie niespodzianka, bo nie są to wiersze, chociaż te, nazwijmy je – miniaturki, mają z poezją wiele wspólnego. Osobny język opisujący osoby, miejsca, zdarzenia, uczucia, nienachalnie, ale dokładnie i głęboko. *Rejony*, bo taki jest tytuł książki, zaskakują od początku swobodą, z jaką Bira porusza się w tekście prozatorskim, chociaż właściwie ani prozą, ani poezją do końca nie da się tego nazwać. Właściwie wydaje się, jakby autor chciał pokazać nawet nie, że równie dobrze czuje się w poezji jak i prozie, ale że już na początku literackiej drogi może oba rodzaje literackie swobodnie łączyć. Trudno jest mówić o tej książce nie wchodząc w jej treść, a tego chciałbym uniknąć

pozostawiając czytelnika nienaruszonego sugestiami, ale najmilsze i najbardziej zaskakujące w książce jest to, że Bira pisząc z pozoru o rzeczach błahych, a nawet robiąc to od niechcenia, w rzeczywistości oddaje nam do ręki coś, co bardzo chciał napisać, co jest ważne i to doskonale widać, jeśli wejdzie się w tekst ze swoim doświadczeniem i postrzeganiem świata. Jest to typowa książka, która nie istnieje bez czytelnika i każdemu czytelnikowi, ze względu na jego doświadczenia i wiążący się z nimi odbiór poszczególnych miniatur, da coś innego. Autor *Rejonów* znalazł pewną drogę pisania, która trafia do mnie bardzo naturalnie, bez egzaltacji, ale i bez mówienia wydźwięku w stylu „napisałem, co chciałem więcej mnie nic nie obchodzi”, bo Bira wiele tu obchodzi i to zaangażowanie w słowo, obraz i wyobraźnię, widać tu bardzo mocno.

PARIA MONIUSZKI



Nakładem Wytwórni DUX ukazała się właśnie opera Stanisława Moniuszki *Paria*, niebytu dobrze znana w porównaniu z innymi dziełami twórcy polskiej opery, zresztą mimo dobrego przyjęcia dość szybko zdjęta z afisza po warszawskiej premierze 11 grudnia 1869. roku. Od początku

zeszłego wieku z regularnością, co kilkanaście lat, miała kolejne premiery na deskach oper w całym kraju, ale i na świecie. Wykonanie, którego mamy okazję posłuchać zostało zarejestrowane na deskach Opery na Zamku w Szczecinie. Libretto na podstawie tragedii *Paria* Casimira

Delavigne'a traktuje, nie pierwszy zresztą i nie ostatni raz, o miłości dwojga ludzi z różnych warstw społecznych, historia jest tutaj jednak dość złożona i nie sposób jej streszczać, zresztą nie o to przecież chodzi. Warto przesłuchać całą historię osobiście, zwłaszcza, że wykonanie głównych partii przez Leszka Skrlę, Tomasza Kuka, Katarzynę Hołysz, Janusza Lewandowskiego, Andrzeja Lamperta oraz Chór i Orkiestrę na Zamku pod kierownictwem Wacława Kuca jest na naprawdę wysokim poziomie. Umiejętności odgrywających główne role, a w szczególności sposób wyrażania emocji sprawiają, że już po pierwszym przesłuchaniu opera przestanie być zagadką i na długo zapadnie w pamięć.

NOWA EX-TRADYCJA ŻYWIOLAKA



Wstyd przyznać, ale pierwsze spotkanie z zespołem przeżyłem dopiero podczas ubiegłorocznego Przystanku Woodstock. Na szczęście byłem w wystarczająco dobrej formie, by zespół od razu bardzo głęboko wrył się w pamięć. I oto do sklepów trafiła niedawno nowa płyta

Żywiolaka Nowa Ex-tradycja, którą współtworzą Robert Jaworski, Anna Piotrowska, Robert Wasilewski, Iza Byra oraz Maciek Łabudzki. Sami nazywają swoją muzykę „biometal” i faktycznie coś tu jest z metalu, szczególną wagę na

plycie ma jednak przedrostek „bio”, bo takiego życia i tętna ze świecą, ani nawet pochodnią, trudno nam będzie szukać. Ciekawe teksty, krótkie, ale jakże ciekawe historyjki i muzyka świetnie zgrana ze śpiewem, z żywiołowością i entuzjazmem, który słysząc w głosach, są doskonałym sposobem na oderwanie się od rzeczywistości i wejście gdzieś głęboko w tę ludowość, którą nam się proponuje. Właściwie po przesłuchaniu płyty wydaje się, że Żywiolak jest właśnie definicją folku i muzyki ludowej na wysokim poziomie. Nie pozwólcie, żeby ten zespół trafił do was przez przypadek, tej płyty trzeba posłuchać.

RAZ, DWA, TRZY BOX 2 CD

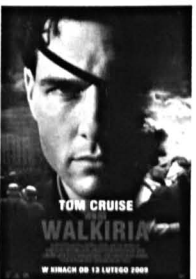


Nakładem 4ever music ukazał się niedawno BOX zawierający dwie płyty zespołu Raz, dwa, trzy, którego przedstawiać nikomu nie trzeba. Na płytach zarejestrowano piosenki zespołu ze słowami Agnieszki Osieckiej oraz Wojciecha Młynarskiego.

Szczególnie piosenki ze słowami tej pierwszej są godne uwagi, bo zmierzenie się z nimi nie było łatwe nawet dla tak klasowych artystów, jak wokalista Raz, dwa trzy Adama Nowaka, ale efekt końcowy powinien zadowolić największych koneserów muzyki, szczególnie oczywiście fanów Osieckiej oraz zespołu Nowaka. Jeśli

do damy do tego samo wydanie BOXu, dostajemy zestaw naprawdę z najwyższej półki. Świetne zdjęcia w obu opakowaniach i w gazetce płyty z piosenkami Młynarskiego, a do tego dodatkowa płyta ze świetnym teledyskiem do piosenki *Jesteśmy na wczasach* daje pewność, że do płyty wielokrotnie będziemy powracać. Warto zwrócić uwagę, że pierwsza z płyt, z piosenkami do słów Agnieszki Osieckiej, została nagrana w studio III Programu Polskiego Radia, jej imienia. Dodać jeszcze trzeba, że dzięki wydawnictwu możemy usłyszeć gościnny występ Hanny Śleszyńskiej (śpiew) oraz Thomasa Celisa Sancheza (instrumenty perkusyjne).

WALKIRIA



Walkiria wylamuje się tematyką z filmów opowiadających o drugiej wojnie światowej. Mamy oto historię Niemców, ba, żołnierzy Wehrmachtu i urzędników III Rzeszy, którzy są pokazani w świetle bohaterów. Nie będę jednak dłużej irytował tych, którzy sądzą, że jest to film fałszujący historię, jest dokładnie przeciwnie. *Walkiria* była planem mającym doprowadzić do upadku Hitlera. Planem kierował pułkownik niemieckiej armii Claus von Stauffenberg. Główną rolę gra Tom Cruise, dla którego była to, zdaje się, jedna z lepszych, o ile nie najlepsza rola ostatnich lat. Jest to film o tyle ciekawy, że szeroko opowiada historię, o której tak

naprawdę wiemy niewiele. Wiemy, że miał miejsce zamach na Hitlera, wiemy, że się nie udał i to wszystko. Tego typu filmy rozszerzają naszą wiedzę nt tego, co działo się po obu stronach barykady. Oczywiście film nie próbuje być dokumentem, zresztą dużo na ten temat mówiło się jeszcze przed premierą, ale nie zmienia to faktu, że dla zainteresowanych tematyką i historią w ogóle, ale też, zwyczajnie dla miłośników kina, z pewnością *Walkiria* nie będzie stratą czasu. Na uwagę zasługuje muzyka Johna Ottmana oraz zdjęcia Newtona Thomasa Siegela, ale też scenariusz i role drugoplanowe. Dwie godziny porządnego dramatu historycznego opartego w dużym stopniu na faktach. Czekaliśmy na podobny film od czasu *Pianisty* oraz *Falszery*.

wnik niemieckiej armii Claus von Stauffenberg. Główną rolę gra Tom Cruise, dla którego była to, zdaje się, jedna z lepszych, o ile nie najlepsza rola ostatnich lat. Jest to film o tyle ciekawy, że szeroko opowiada historię, o której tak

OSZUKANA EASTWOODA



Od niedawna mamy okazję oglądać nowy film Clint Eastwooda *Oszukana* z Angeliną Jolie w roli głównej. Eastwood zostawia nas z filmem trudnym, w którym główny wątek, poszukiwanie przez matkę zaginionego syna, jest tylko jednym z kilku, zdaje się nie mniej ważnych. Mammy tutaj korupcję, niekompetencję policji, brutalną rzeczywistość szpitala psychiatrycznego, słowem wszystko to, z czym musi walczyć matka zaginionego dziecka, aby je znaleźć lub chociaż dowiedzieć się, co właściwie się stało. Mammy wreszcie kogoś, kto tej matce pomoże i zdawać by się mogło, że jest to typowy amerykański film, który zmierza do szczęśliwego końca, cały czas jednak wyczuwa się coś niepokojącego, co ostatecznie sprawi,

że nie wszystko ułoży się szczęśliwie, dla dobra filmu zresztą. Christine Collins (czyli nasza główna bohaterka) przeżywa dające nadzieję wzloty i upadki w bardzo bolesnym poszukiwaniu prawdy o własnym dziecku i co chwilę znajduje się w innym otoczeniu i położeniu, zdaje się, że chwilami sama zaczyna wątpić, czy nie jest prawdą to, co sugeruje jej policja, że oto postradała zmysły, ale matka przecież umiałaby chyba rozpoznać własne dziecko. Świetnie oddane realia Los Angeles przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, świetna gra aktorska odtwórców głównych ról – wspomnianej już Jolie oraz Johna Malkovicha i Jeffreya Donovana oraz zdjęcia Toma Sterna sprawiają, że mimo, iż film, zwłaszcza od połowy, zaczyna być nieco nużący i wydaje się, że mógłby być krótszy (trwa grubo ponad dwie godziny), z pewnością nikt nie wyjdzie z seansu przedwcześnie.

HARAKIRI



Gutek film uraczył nas filmem nietuzinkowym. Nie jest to kolejna nowość, ba, film *Harakiri*, bo o nim mowa, miał światową premierę blisko pięćdziesiąt lat temu, trwa dwie godziny i kwadrans, jest czarno biały, a akcja, poza wspomnieniami, na pierwszy rzut oka zresztą nudna, trwa może dwadzieścia minut. Bardziej zniechęcić już chyba nie można, spieszę więc sam sobie na odsiecz. Czym jest tytułowe harakiri nikomu chyba

mówić nie trzeba (a jeśli ktoś nie pamięta, niechaj spojrzy na okładkę), ale czym jest w istocie, skąd się wywodzi i po co nam o tym film fabularny? Może chociażby po to, byśmy mogli zostać świadkami wspaniałej epickiej opowieści, która weszła już do kanonu japońskiego kina. Zresztą nie jest to

kino japońskie na wskroś, jest to kino, które bierze to, co tak bardzo identyfikujemy z Japonią – honor oraz to, co jest podstawą świata zachodniego – rodzinę i próbuje znaleźć odpowiedź na pytanie, czy warto poświęcić honor dla rodziny? Ile warta jest zemsta? Nie da się oczywiście jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania, ale reżyser Kobayashi, przy niemalym współudziale gry aktorskiej, muzyki i zdjęć, pozwala nam obcować z tematem i podpowiada, daje możliwości, a jednocześnie pozwala zrozumieć nie tylko jeden z filarów japońskiej tradycji, ale daje też znacznie więcej, bo mimo, że akcja filmu rozgrywa się blisko czterysta lat temu, nieraz już udowodniono, że dobre wykorzystanie podstawowych motywów musi być ponadczasowe i z tym właśnie mamy tu do czynienia.

CIEKAWY PRZYPADKI



Ciekawe przypadki Benjamina Buttona są odbierane bardzo różnie, od zachwytu, po jęk zawodu. Postaram się więc oprzeć na konkretach i nie oceniać tam, gdzie nie jest to potrzebne. Pierwsze, co przyciąga uwagę, to akterzy, Brad Pitt w roli tytułowej i Cate Blanchett. Oboje zagraли na swoim poziomie, mamy więc świetną Blanchett i niezłego Pitta. Druga rzecz, która już w trakcie filmu przyciąga uwagę, to doskonale zdjęcia.

Claudio Mirandy, dzięki którym (oczywiście nie licząc scenariusza), ten blisko trzygodzinny film, w wielu miejscach niedoskonały, nie powinien jednak znudzić odbiorcy. Wspominani już scenarzyści, a konkretnie Eric Roth i Robin Swicord sami się jednak pogubili w tej równie ciekawej, co ambitnej historii. Razi przede wszystkim to, że o ile Benjamin rodząc się ma ciało starca, a umierając dziecka, to zdaje się, że zarówno jako chłopiec, jak i starzec, ma duszę chłopca,

co jest błędem bardzo poważnym. Na początku filmu mocno uderza również pewne niedopatrzenie, trudno powiedzieć, czy wynikające z winy scenarzystów, czy reżysera Davida Finchera. Mammy oto umierającą w szpitalu kobietę, córkę, która jej towarzyszy i nagle od niechcenia, zupełnie nie wiadomo po co i dlaczego, zaczyna się czytanie pewnego pamiętnika. Oczywiście dalszy ciąg filmu wyjaśnia losy posiadania przez kobietę owego pamiętnika, ale sens samej sceny, bardzo przecież ważnej, jest mocno wątpliwy. W filmie dzieje się bardzo dużo, wystarczy powiedzieć, że jest to właściwie epicka historia pewnej miłości, trudnej i wielokrotnie przerywanej, ale innej i nie zawsze szczęśliwej i chociażby to jest powodem do obejrzenia filmu. Nie da się więc wymienić wszystkich wzlotów i upadków filmu, niemniej, z pewnością warto zobaczyć jedno i drugie samemu.

SERYJNI ZABÓJCY



Rodney Castleden dał się poznać w ostatnich miesiącach jako specjalista od monografii historycznych, w szczególności i dokładniej rzecz ujmując, jako specjalista od wszelkich złoczyńców. Po poprzedniej książce *Wcielenia zła*, która podobnie jak ta ukazała się nakładem najlepszego

wydawnictwa w kraju zajmującego się głównie historią – Bellony, z jednej strony miałem wielkie nadzieje po świetnej poprzedniej lekturze, z drugiej, po przeczytaniu spisu treści *Seryjnych* duże obawy, bowiem w obu książkach wiele nazwisk się powtarza, co zresztą nieuniknione, ciekawy, jak poradził sobie z tym autor, zacząłem czytać. Zgodnie z przewidywaniami, o „bohaterach”, o których czytałem już w poprzedniej książce, nie dowiedziałem się niestety niczego nowego, na szczęście o tych, o których Castleden nie pisał wcześniej, czyta się z zapartym tchem – jedynym mankamentem są nieco denerwujące powtórzenia, które autor stosuje przy kilku zabójcach, jakby musiał dobić do jakiegoś określonej objętości książki. Niemniej książka z pewnością warta

uwagi dla interesujących się tematyką zła, przestępczości, wynaturzeń i zawiłości ludzkiej psychiki. Autor bardzo zgrabnie dzieli książkę na rozdziały, z których najciekawsze, to: „Ludożercy”, „Sadyści”, „Morderstwa dla zysku”, „Teamy zabójców”, „Oprawcy”, „Zabójcy kobiet” oraz „Oblakani”. Nie można przecież wrzucać wszystkich tych niezwykłych ludzi do jednego worka, inne są wszak powody i skutki ich postępowania. Castleden świetnie opanował przedstawianie zabójców przez uciekanie od opisywania suchych faktów. Są to często historie, niemalże biografie ludzi, dzięki czemu możemy nie tylko posiadać encyklopedyczną wiedzę, ale też śledzić historie morderców już od wczesnego dzieciństwa. Każdy interesujący się tematyką po prostu musi mieć na półce książkę Castledena, jedna drugą z pewnym stopniem uzupełnia, ale też w obu część historii jest ta sama. Czytelnik sam musi zdecydować, czy woli mieć na swojej półce obie książki, czy też lepiej wybrać tematykę, która bardziej go interesuje i ograniczyć się do jednej. Ja bez zastanowienia wybieram pierwszą możliwość.

Rodney Castleden, *Seryjni zabójcy*, Bellona, Warszawa 2009, ss. 382, cena 45 zł.

GOMORRA

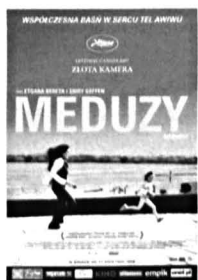


Gomorra – chyba wszyscy słyszeli już o tym filmie lub chociażby książce, o wydanych przez mafie wyrokach śmierci na autorze książki (Robert Saviano) i reżyserze (Matteo Garrone). Film świetnie oddaje klimat panujący we Włoszech, widać wyraźnie, że jest z tej ziemi wyrwany. Ba, szczerości dodaje fakt, że kilku aktorów grających mafiosów zostało po ukończeniu zdjęć, bo okazało się, że są... mafiosami. Brzmi bardzo zachęcająco, nie sposób było filmu nie obejrzeć, ale

rzeczywistość nie jest aż tak różowa, jak mogłoby się wydawać. Gra aktorska, biorąc pod uwagę fakt, że grają

właściwie amatorzy, bardzo dobra, w czym z pewnością głównie zasługa reżysera. Film jest znacznie mniej jednoznaczny od książki. Saviano oceniał sytuację jasno, był znacznie bardziej konkretny. Tymczasem twórcy filmu nie chcieli oceniać i zdaje się, że nie wyszło to ekranizacji na dobre. Mimo świetnego tematu momentami robi się nudno, ma się wrażenie, jakby coś się w tej historii rozchodziło. Poza tym niezorientowani w temacie mogą kilku rzeczy w filmie nie zrozumieć, a scenarzysta miał wystarczająco dużo czasu, żeby pewne rzeczy wyjaśnić. Krótko mówiąc, jest to niezłe studium dojrzewania w pogoni za pieniędzmi i szukaniem swojej drogi. *Gomorra* jest filmem, który z pewnością warto obejrzeć, pytanie tylko, czy dla Matteo Garrone jest to film warty tego, aby ryzykować własne życie?

MEDUZY



Film *Meduzy* Etgara Kereta i Shiry Geffen jest debiutem tego pierwszego, świetnego pisarza, w roli reżysera, a tej drugiej, jako reżyserki filmów dla dorosłych i trzeba przyznać, że jest to debiut imponujący, bo nagrodzony Złotą Kameralą w Cannes. Przechodząc do samego filmu, nie ma tu porywającej akcji, jak mówi w jednej ze scen bohaterka filmu „nie lubię, kiedy akcja się rozwija” i jeśli wziąć film zupełnie na poważnie,

można w początkowej fazie stwierdzić, że powiewa nuda, ale ma to być przecież „współczesna baśń w sercu Tel Awiwu” i *Meduzy* mają właśnie w sobie bardzo dużo z baśni. Wiele wątków w tak krótkim, bo trwającym niespełna osiemdziesiąt minut filmu, wiele niedopowiedzeń, nadaje

filmowi poetyckiego charakteru. Muzyka jest skromna, ale pojawia się w doskonałych momentach i odgrywa wówczas znaczącą rolę w rzadkich w filmie momentach budowania napięcia. Na uwagę zasługują świetne role aktorskie, w tym głównej bohaterki, którą gra Gera Sandler oraz Noy Raban. W filmie poruszane są takie tematy, jak samotność, poszukiwanie, uprzedzenia, problemy rodzinne, niepowodzenia. Ze wszystkim tym da się współistnieć, jeśli znajdzie się coś, cokolwiek, co chociaż na chwilę da uśmiech, pozwoli poznać nowego człowieka czy nową sytuację. Co najważniejsze, film jest szczery, stapia ze sobą ludzi, często nieszczęśliwych, daje im chwilę, ale nie rozwiązuje problemów, jak zauważył kinowy dystrybutor filmu, ten film nie jest bajką, a baśnią i nie dzieje się właściwie gdzieś daleko od nas, ale tu, i teraz.

WATCHMEN



Do kin trafił długo oczekiwany dramat fantasy *Watchmen. Strážníci*. Oczekiwany przez fanów komiksu i gatunku, ale też tych, którzy fantasy smakują od przypadku do przypadku, kiedy widzą, że zbliża się jakiś klasyk gatunku. Ci ostatni z pewnością nie zostaną fanami fantasy po obejrzeniu *Watchmena* przynajmniej z kilku powodów. Po pierwsze, film był reklamowany jako „film Zacka Snydera – wizjonerskiego reżysera”. Jeśli ktoś

dostrzegł w tym filmie cokolwiek wizjonerskiego, dostrzegł by to również w Bolku i Lolku i innych tego typu niesamowitych wizjach świata. Autorzy zadbali o to, by *Watchmen* był momentami straszliwie efekciarski (nie efektowny, co warto podkreślić). Właściwie fabuła wydaje się być ciekawa, z pewnością nie nowatorska, nie wnosząca do kina nowej

jakości, tematyki, czy rozwiązań, ale można odnieść wrażenie, że komiks, którego nie miałem okazji czytać, coś rzeczywiście ze sobą niesie, bo gdzieś daleko, mgliście, widać sens. Niestety twórcy *Watchmena* starają się ten sens ukryć za kolejnymi scenami, które nieraz wydają się zupełnie osobnymi wątkami i wreszcie, na deser, zamiast nam powiedzieć, że człowiek jest w tak złej kondycji, że trzeba zabić miliony, by uratować miliardy, mówi nam – osiągnęliśmy sukces, zniszczyliśmy Nowy York, Los Angeles i kilka innych wielkich miast, zabiliśmy dziesiątki albo setki milionów ludzi i wszystko jest w porządku, happy end. Jeśli ktoś lubi tego typu klimaty i oglądał „Mrocznego Rycerza” z doskonałym Heathem Ledgerem, wyjdzie ze *Strážníků* bardzo zawiedziony.

POPIELUSZKO



Wchodząc do kina na *Popieluszek. Wolność jest w nas*, zauważyłem ze zgrozą, że poza jednym młodym chłopakiem na widowni 100% to panie w wieku, powiedzmy, dość nas przeważającym. Zastanowiłem się, czy może nie wiem o filmie czegoś, co powinienem wiedzieć przed obejrzeniem, na przykład, że film jest „zrobiony” pod srodowisko, dajmy na to, „Jedynego Radia”. Na szczęście obraz dość szybko rozwiązał moje wątpliwości. Świetne zdję-

cia, świetnie ukazane realia czasów, w jakich żył Popieluszek i dużo prawdy o nim samym. Wyraźne pokazanie, że nie był jedynym głosem kościoła, że właściwie był nikim więcej, jak zwykłym księdzem i mam takie możliwości, jak każdy inny ksiądz. Właściwie nie powinien być wyjątkiem, ale regułą. Wracając jednak do filmu, jego najsilniejszą stroną są

właśnie realia, które nie pomijają znajomych księdza – zamordowanego studenta i poety Grzegorza Przemyka czy jego matki, poetki, Barbary Sadowskiej. Znakomicie została pokazana rodzina samego Popieluszki, rodzina bardzo prosta, bardzo zwyczajna i naturalna, ta naturalność właśnie będzie później charakterystyczna dla naszego bohatera. Wreszcie, bardzo dobrze została pokazana scena strajku, kiedy „bracia” – strajkujący robotnicy i milicjanci stoją twarzą w twarz i właściwie obie strony robią to, co do nich należy, z racji przekonań czy z racji wykonywanej pracy. Trzeba podkreślić świetną grę odtwórcy tytułowej roli Adama Woronowicza. Film trwa aż 150 minut, ale chciałoby się, żeby trwał jeszcze dłużej. I niech to będzie najlepsza rekomendacja.

MARLEY I JA



Marley i ja był reklamowany jako komedia rozgrywająca się w ważnym dla dwojga ludzi życiu – kiedy coś już osiągnęli i chcą już zupełnie wyjść wejść w dorosłe życie, zależne tylko od nich. I na taki leciutki film z przy-mrużeniem oka, jakich zresztą w ostatnich latach namnożyło się niezwykle, czekałem (o ile ktoś jeszcze czeka na tego typu filmy). Okazało się jednak, że twórcy filmu sobie z nas zakpili, bo głównym

bohaterem nie jest ani John (Owen Wilson), ani nawet Jennifer (Jennifer Aniston). Głównym bohaterem filmu jest właśnie Marley, labrador, którego kupuje John (z przeceny zresztą), aby oddać przerażającą myśl małżonki o potomstwie. Udaje się, psiak, jak każdy szczeniak, sprawia na początku problemy, ale to przecież mniejsze zło. Pies się

rozвивa, małżeństwo awansuje, kupuje nowy dom, a Marley sprawia coraz więcej kłopotów. W końcu John i Jennifer decydują się na potomstwo i słodki labrador nie jest już jedynym problemem, ale za to na tyle dużym, że młodzi rozważają oddanie go w „dobre ręce”. Rodzina jest coraz większa, Marley coraz starszy... Nie będę jednak opowiadał do końca. Zaskakują w filmie dwie rzeczy. Negatywnie to, że jeśli film rzeczywiście miał być komedią, to zupełnie nieudaną, jest lekki, z przymrużeniem oka, ale wcale nie śmieszny. Pozytywnie zaskoczenie jest jednak jeszcze większe. Oto udało się twórcom filmu do tego leciutkiego filmu wpleść kilka spraw poważnych, jak nieudana ciąża i naprawdę wzruszające, smutne, ale i piękne zakończenie. Film dla wszystkich miłośników i amatorów psów, a i nie tylko dla nich.

SLUMDOG



Kiedy dowiedziałem się, że *Slumdog* został zwycięzcą tegorocznych Oscarów, pomyślałem, że ta nagroda zrobiła kolejny krok w dół, później przeczytałem, dowiedziałem się, że nie jest to wcale film bollywoodzki, jak nie wiem dlaczego, sądziłem wcześniej, w końcu obejrzałem i jestem pod wielkim wrażeniem. Jeśli przeczytać, za co konkretnie *Slumdog* dostał Oscary, a dostał za najlepszy

film, reżysera, muzykę, zdjęcia, dźwięk, montaż, piosenkę i scenariusz adaptowany, jeśli cokolwiek może zdziwić, to to, że nie dostał ich więcej, chociażby za najlepszą scenografię. Film z pewnością ubarwiony, ale mimo to dramatycznie szczery, momentami mocny, a jednak, co

trzeba otwarcie powiedzieć, po prostu piękny, z doskonałą muzyką, świetną główną rolą zaledwie osiemnastoletniego Deva Patela. Przy okazji świetnie pokazano Bombaj i realia życia w prawdziwych slumsach. Każda scena tego filmu jest ważna i niezbędna na spójności całego obrazu, a to zdarza się rzadko. Trzeba zwrócić uwagę, że większość aktorów filmu to debiutanci lub aktorzy z minimalnym doświadczeniem, a jednak właściwie wszyscy wypadają co najmniej dobrze, za co brawa należą się reżyserowi Danny'emu Boyle'owi. Film dla wszystkich fanów Bollywood, którzy lubią otrzeć się czasem o coś realnego, jak i dla tych, którzy od Bollywoodu uciekają jak najdalej. Jeden z najbardziej zasłużonych zwycięzców Oscarów w ostatnich latach.

KOCHAJ I TAŃCZ

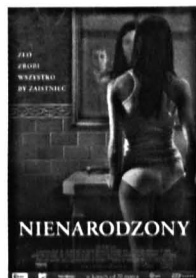


Kochaj i tańcz jest jednym z tych filmów, o których było głośno jeszcze przed premierą i stał przed niebezpieczeństwem „bycia znanym z tego, że jest znanym”. Mamy przed sobą historię miłosną ciągniętą rytmem tańca, do tego ona jest książniczką, a on zwyczajnym robotnikiem. On kocha taniec i występuje w castingu do konkursu tanecznego, ona jest zainteresowana konkursem z innych powodów.

Historyjka mocno skopiowana z filmów, które kilka lat temu powstawały i cieszyły się dużym powodzeniem w USA i nie tylko, jak chociażby *Miłość w rytmie rap*. Nie można powiedzieć, że nuda, nie można, że kiepska muzyka, ba, film ma jedną z najlepszych ścieżek dźwiękowych w polskim kinie w ostatnich latach, niezła

choreografia. Nawet gra aktorska ogólnie rzecz biorąc nie wypada najgorzej. Co prawda odtwórcy głównych ról – Izabella Miko oraz Mateusz Damięcki wielkimi aktorami nie są i, zwłaszcza w wypadku tego drugiego, raczej już nie będą, ale wypadają dość przyzwoicie, nadrabia za to grą fantastyczny Jacek Koman, który pokazał, że nawet w filmie dla niezbyt ambitnego widza można zagrać świetną rolę. Sam film nie ma nic ciekawego do powiedzenia, jest kolejną z serii podobnych historyjek, które na świecie już się raczej przejadły, inna rzecz, że tego typu kino zawsze znajdzie odbiorcę i film koniec końców będzie pewnie hitem. Hitem widza nieambitnego, wyłącznie. Jedna świetna rola i dobra muzyka nie załatwiają sprawy, tylko dla tych, którzy chcą odpocząć i nie mają lepszego pomysłu.

NIENARODZONY



Nie ukrywam, że wybierałem się na *Nienarodzonego* z pewnymi nadziejami. Mawiają, że jeśli nawet trailer jest zły, nie ma co wybierać się na film, w tym przypadku trailer był dobry, więc poszedłem. I cóż? Jak widać na filmowym plakacie w filmie główną rolę odgrywa całkiem zgrabna Odette Yustman, z nieco lepiej znanych aktorów partneruje jej Gary Oldman.

Najsilniejsze punkty filmu to muzyka, scenografia i, co dziwi w przypadku horroru, kilka całkiem mądrych dialogów. Przechodząc do meritum – poznajemy młodą Casey, zupełnie zwyczajną dziewczynę, którą nagle zaczynają nękać sny. Sny szybko zmieniają się w rzeczywistość. Okazuje się, że jest pewna dusza, zwana dybuk, która nie zdążyła się narodzić i teraz szuka ciała, w którym mogłaby zamieszkać. Tajemnica rodziny,

dopiero odkrywana przez Casey, pozwala jej zrozumieć, dlaczego właśnie ją spotyka ów dybuk i dla-czego będzie chciał zabić wszystkich znajomych naszej bohaterki, którzy będą chcieli jej pomóc. Powyżej wymienilem kilka zalet filmu, niestety nie równoważą one wad – naiwności, sztampy i tego, co w horrorach jest wadą najczęstszą – brak klimatu. Klimat służy w tego typu produkcjach do tego, żeby wzbudzić w widzu na-pięcie, sprawić, by utożsamiał się z bohaterami i wspólnie z nimi bał nawet wtedy, kiedy ci uprawiają seks. Niestety, jedyne momenty wzmożonego napięcia i strachu wywołują podczas filmu wyłącznie kilkukrotne, najprostsze do zrealizowania sceny – cisza, brak muzyki i nagły krzyk biednej Casey, ewentualnie upiornej twarzy (owszem, twarzy) ducha. Kilko dzieciaków, które siedziało za mną w kinie krzyczało w tym momencie, by po chwili wybuchać jeszcze głośniejszym śmiechem.

KOBIETY PRAGNĄ BARDZIEJ



kobiety pragną bardziej

Od kilku lat zasypywani jesteśmy filmami ukazującymi młodych i zazwyczaj pięknych przedstawicieli płci obojga, których jedynym zajęciem jest szukanie samic, tudzież samców, w celu prokreacji lub bezpiecznego seksu. Co gorsza, większość tych filmów udaje komedie, zupełnie nieudolnie, należy dodać. Tym razem za młodych i pięknych robią bardziej

i mniej znani - Scarlett Johansson, Jennifer Aniston, Ginnifer Goodwin, Justin Long, Ben Affleck, Drew Barrymore, Jennifer Connely oraz Kris Kristofferson. Co ciekawe, gra aktorska nie

była zła, była, zdaje się, właśnie taka, jaka miała być, czyli swobodna, niekiedy przejawiająca uczucia i trzeba przyznać, że na tle innych filmów tego typu *Kobiety pragną bardziej* (tytuł polski nie ma oczywiście nic wspólnego z oryginalnym) wypada całkiem nieźle, ba, kilka razy próbuje nawet zaskoczyć, a uważny i ambitny widz może znaleźć w filmie nawet coś mądrego. Nie zmienia to faktu, że film, sprzecznie z założeniem, absolutnie nie bawi, ale z pewnością odpręży i dla tych, którzy zmęczeni ciężkim dniem w pracy nie mają siły na nic ambitnego, będzie to nieźle odprężenie.

WŁATCY MÓCH



Dostaliśmy okazję obejrzenia nowych przygód Czesia i spółki w pełnometrażowym filmie *Włatcy móch. Ćmoki, czopki i mondzioly* i nie jest to, niestety, zbyt dobrze zrobiony film. Nie można oczywiście odmówić uroku Czesiowi, Anusiakowi i innym, jest kilka zabawnych scen, ale film jako całość jest znacznie mniej ciekawy od wersji serialowej. Wiele scen wydaje się naciąganych, a wręcz niepotrzebnych, jak chociażby cały wątek pluszaków,

które nie mają z głównym wątkiem nic wspólnego, do tego są wyjątkowo pozbawione humoru, poza tym odciągają od właściwego toku filmu. Odcinki serialu mają niepowtarzalny

klimat pewnej irracjonalności, mgły, jakiejś tajemnicy, a oglądający jest zwyczajnie obserwatorem, tutaj tego zabrakło. Nie można absolutnie niczego odbierać dźwiękowcom, a przede wszystkim lektorom, ale brakuje tutaj czegoś znacznie ważniejszego i koniec końców kreskówkę ratuje właściwie wyłącznie kreacja Czesia i Higienistki, która przecież nie jest jednak postacią wywołującą salwy śmiechu, a czymś głębszym, jeśli we *Włatcach móch* cokolwiek może aspirować do miana czegoś głębszego. Mam wrażenie, że film powstał właśnie po to, żeby zupełnie oderwać od rzeczywistości, dać nieco humoru, również czarnego, i zapaść nieco w pamięć, a i chociaż skrawek nieco wyższego humoru byłby na miejscu. Poza kilkoma scenami nic takiego nie ma jednak miejsca.

SEVEN PUNDS



Dawno nie miałem przyjemności oglądać tak wzruszającego i dobrze prowadzonego filmu, pełnego świetnych kreacji aktorskich. Ben Thomas jest sprawcą wypadku samochodowego, w którym poza jego ukochaną ginie sześć osób. Targany wyrzutami sumienia i myślami samobójczymi Ben (Will Smith), postanawia poświęcić się, by

uratować siedem wybranych przez siebie osób, które mają różnego rodzaju problemy, głównie zdrowotne. Podszywając się pod pracownika skarbowki zdobywa dane o ludziach, którzy wymagają pomocy, a to finansowej, a to zdrowotnej. Wśród nich są niewidomy Ezra (Woody Harrelson) oraz cierpiąca na chorobę serca i czekająca na przeszczep Emily Posa (Rosario Dawson). Traf chce, że Ben zakochuje się z wzajemnością w tej ostatniej, której ze względu na bardzo rzadką grupę krwi, a w związku z tym bardzo małe szanse na

udany przeszczep, pozostaje tylko kilka tygodni życia. Do tego Bena poszukuje jego brat, któremu ten niejako kradnie tożsamość i posługuje się jego dokumentem urzędnika skarbowego. Ben musi poświęcić całego siebie, a być może i oddać swoje życie, by zakończyć plan pomocy siedmiu osobom i odkupienia. Jego serce może pozwolić Emily na dalsze życie, ale ta nic nie wie o życiu Bena, co więc ten zrobi? I jak niby lekarze zgodziliby się zabrać serce zdrowemu człowiekowi, by oddać je komu innemu? Poruszający film o potrzebie odkupienia winy, o dobroci, ale i, głębiej, o niechęci do życia i przygotowywaniu się do śmierci. Trzeba obejrzeć.

PREZENTACJE





ROBERT WIECZOREK

ULICA WDOWIA

tej zimy chciały być młode. rozchylały w oknach firanki,
chowwały do szuflad obrazki z bolesną. planowały
radosną wiosnę.

nie szyły psom rękawiczek, nie biegły na każdą żałobę.
pamiętały co ważne lecz też chciały wiele zapomnieć.
choć trudno.

zaczęły kupować mrożonki, pisać wspomnienia znad morza.
ciągle się wstydzą, że kiedyś były nagie
i było im dobrze.

tej zimy wiele razy kręciły się w kółko. w starych sukienkach,
tylko dla siebie. przyjdzie wiosna – mówiły cicho,
coraz ciszej.

SEKCJA

wdech i wydech. cisza jak w pompejach
gdy pierwszy popiół sunął po stoku. mgnienie.
cień na posadzce. w skorupie rozbitego dzbana
kropla wina dająca złudzenie zwierciadła.

paraliżuje mnie prostota rzeczy nieuniknionych.
kończy się grafit ołówka. bazgroły. a w oknach
przyglądają się pyszne obrazy. już łatwiej dobrać
kolory do słów. lecz zabraknie. zamknę oczy.

tylko tyle. nie znam innego świata. rozbiorą
mój żołądek na części. nie będzie już żadnej
tajemnicy. chleb jak chleb. pomarańcza. skalpel
chłodny jak źródłana woda. otwieram się.

płynę.

WIDOK Z MOSTU

niżej jest rzeka. wyżej nie patrzę.
podobno niebo. opowiadają, że droga długa,
ale warto.

ja mam kryzys wartości. a może to lenistwo.
od bolesnych wędrówek wolę piwo
i seks.

schodzę na brzeg. śmierdzą zdechłe ryby.
to nie symbol tylko fabryka konserw
odprowadziła ściek.

mówią, że to nas czeka. wybieraj.
chcę być szczupakiem. mieć karabin maszynowy,
strzelać do mew.

OBCOWANIE

nie ma mostu, którym strach przechodzi na drugą stronę.
zostaje w nas na zawsze, schowany w sennych fantasmagoriach,
w drżącym charakterze pisma. kap, kap, kap. idzie strach -

dziecięca wyliczanka zasiedziała w pamięci długotrwałej,
rozbiegana ze śmiechem zanim zaczęło się całować pod kocem.
a w cieniu - zmarła kobieta obiera ziemniaki.

to przenikanie jeździ autobusem czterdzieści sześć,
córka opowiadała mi historię o niewidzialnych kasujących bilety -
ona też ich widzi, mcdonald nic nie zmienił.

nie ma wysokich klifów, nic się gwałtownie nie urywa.
w deszczu nie pasuje nam jakiś szczegół, odwracamy głowę, znika.
zostaje tylko poczucie niespełnionego dotyku

by na zawsze schować się pod skórę.

MIESZKANIE PO B.

całe życie spędził rozmyślając o śmierci
i karmiąc gołębie. pisał listy do dobrej ameryki
z prośbą o przyjęcie urodzinowe - tak bardzo chciał
urodzić się na nowo.

to świat hydraulików i cwaniaków
a ja jestem astronom, magik -
pił jak wszyscy, tylko szybciej odwracał się na pięcie
i szedł nie wiadomo gdzie.

potem odnajdywał się w windzie,
pachniał warsem, kochały go wszystkie wdowy -
całe życie tylko one,
sam nie wiem jak to możliwe.

nawet nie miał kogo zapomnieć,
gdy alzheimer wplątał mu się w głowę. szedł przed siebie
z rękami pełnymi okruszków. aż kiedyś
wyrzucił je wszystkie

zostało puste.

SZKOCJA

nie, nie byłem nigdy na wrzosowisku,
miejsce nie jest najważniejsze.

wszystko: hala fabryczna konserw,
grajdoł na plaży, pordzewiała ławka w parku,

wszystko układa się w obsuszony plaster
miodu
ogarnięty przez mrówki oraz inne owady.

więc i wrzosowisko jest tylko niezrozumiałą
płatanią odnóży, blaknących zapachów
farby,

kolorów znikających w cieniu. nie muszę tam
być żeby żyć ani żeby umrzeć. popatrz -

jestem tu.

AU PAIR

spełniają się twoje marzenia
- wyprzedaż u Harrodsa!!!
przy tym wydarzeniu
Big Ben to tamburyno

warto było układać całe kilometry śliwek
od Evesham po Manchester
sadzić milowe lasy drzewek pokoju
między narodami płoszyć ptaki na lotnisku

teraz kebab frytki herbata
w ostatnim kwadransie oczekiwania
po londyńskich mostach wciąż chodzą głupcy
tylko Tamiza mocniej świeci w oleju i ślinie

pomaluj tak usta

KOŃCÓWKA

kamień. kaczka na wodzie. tak łatwo
przejsz z rzeczy martwych w żywe,
wystarczy wziąć odpowiedni rozmach.
potem liczyć: raz, dwa, trzy, cztery

aż do skończenia. w plenerze kręca
się trzy kolory, panna z dzieckiem
na rękę zeszła z peronu. został jej
numer jednostki, pomysł na imię.

a my tu przypisani na zawsze -
okno z widokiem na jezioro,
energooszczędne żarówki, pies.
stacja kolejowa daleko

trzeba się przywiązać.

STARZEJĘ SIĘ

za oknem nic się nie zmienia
krople kolory katastrofy
ogłoszenia o pracę
zapowiedź druga

ciągle jeszcze potrafię
wymienić gwiazdozbiory półkuli północnej
od andromedy do żyraby
z zamkniętymi oczami

ale nie dotykam już
istoty rzeczy celną dowcipną ripostą
tylko siwieję nad słowem
podgrzewam co drugie

i coraz trudniej
wykrzesać prawdopodobieństwo odpowiedzi
więc się nie dziw że chłodniej
w końcu to jesień

a za oknem nic się nie zmienia
beZRUCH bzdury ból głowy
balkon ciągnie do ziemi

nic nie poradzę

ZNIKANIE

To podróż w nieznane. Nie mówię, że w jedną stronę
– tylko po prostu – cholera wie gdzie. Wokół zasmolona jesień,
liście szeleszczą pod nogami jak świerszczyki pod ławką.
Masz zamknięte oczy. Płynie rzeka.

Wpisujemy się w abstrakcyjny obrazek: on umarł
a my pchamy dalej. Podzielmy się herbatą, łóżkiem, seksem
– wszystko będzie lepsze od wspomnień. Grudki ziemi.
Nie znajdziesz na to lepszych słów. Prochem jesteś.

Można zmienić pleć, wystarczy inaczej myśleć,
mieć inne reakcje na dotyk. Kiedyś wymyślimy się na nowo
i nie pozwolimy, by ktoś majstrował przy kalendarzach.
Będę muchą. Ty pszczołą.

Cała łąka tylko dla nas.



RADZYŃSKIE STOWARZYSZENIE INICJATYW LOKALNYCH KONFRATERNIA KOZIRYNEK

ogłasza III edycję konkursu literackiego

"CHICHOT CHIMERY 2009"

którego temat przewodni brzmi: POLSKA

Regulamin

1. Celem konkursu jest:
 - ujawnianie talentów i promocja uzdolnionych twórców,
 - prezentacja najlepszych prac na łamach Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek”, stronach internetowych Stowarzyszenia oraz w mediach.
 - promocja i rozwój twórczości literackiej
2. Konkurs przeznaczony jest dla wszystkich zainteresowanych bez względu na miejsce zamieszkania i wiek.
3. Konkurs obejmuje dwie kategorie:
 - 1) w kategorii poezji należy przesłać 5 haiku,
 - 2) w kategorii prozy należy przesłać 1 miniaturę nie przekraczającą 1 strony znormalizowanego wydruku (przez stronę znormalizowaną rozumiemy ok. 1800 znaków ze spacjami; TNR 12; rozstaw wierszy 1,5).
4. Tematyka prac powinna być związana z tematem przewodnim.
5. Prace będą oceniane pod względem:
 - oryginalności,
 - wartości artystycznych,
 - wartości językowych i warsztatowych.
6. Prace oceniać będzie Jury, w skład którego wchodzi członkowie redakcji Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek”: Mariusz Bober, Przemysław Krupski, Dariusz Magier i Adam Świć lub w zastępstwie osoby upoważnione.
7. Na Konkurs należy zgłaszać utwory dotąd nie publikowane i nie nagradzane w innych konkursach. Wszystkie prace powinny być wyłącznie indywidualne i polskojęzyczne. Każdy uczestnik ma prawo zgłosić tylko jeden raz swoje prace w każdej z dwóch kategorii.
8. Do konkursu będą przyjmowane prace wydrukowane na papierze o formacie A4

(wraz z wersją elektroniczną na płycie CD),
opatrzone pseudonimem. W osobnej, zaklejonej kopercie należy dołączyć dane osobowe (imię i nazwisko, adres zamieszkania, e-mail).
9. Prace należy nadsyłać do dnia 30 września 2009 roku na adres: Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych, ul. Rynek 9, 21-300 Radzyń Podlaski z dopiskiem: KONKURS.
10. Dla autorów najlepszych prac z każdej z kategorii przewidziane są nagrody finansowe. Organizator konkursu zastrzega sobie prawo do potrącenia zryczałtowanego podatku dochodowego od nagrody zgodnie z art. 30 Ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych.
11. Prace wyróżnione przez Jury będą publikowane na łamach kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek” oraz wydawnictwie pokonkursowym w celu promocji twórców.
11. Wyniki Konkursu zostaną podane do wiadomości publicznej.
12. Rozstrzygnięcie konkursu odbędzie się w listopadzie 2009 roku. Wyniki zostaną opublikowane na stronie internetowej www.kozirynek.com. O terminie i miejscu wręczenia nagród wszyscy laureaci zostaną powiadomieni.
13. Dane osobowe uczestników pozyskane dla celów konkursu nie będą udostępniane osobom trzecim. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac, natomiast w stosunku do wyróżnionych i nagrodzonych utworów zastrzegają sobie prawo ich prezentacji i publikacji bez honorarium za prawa autorskie na łamach Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek” oraz w wydawnictwie pokonkursowym tylko w celu promocji uzdolnionych twórców.



JURATA BOGNA SERAFIŃSKA

Oda do kiczu

Współczesny kiczu o przewspaniały!
Wciąż pretendujesz do wielkiej chwały!
Wciskasz się gładko do przekaziorów.
Pragniesz zbudować księstwo humoru!

O wieki kiczu, sławetny gniocie!
Ty mewasz w mediach tysiące pociech!
Jednak czas wzlotów twych wymierzony
Odejdiesz kiczu w śmietnika strony!

O kiczu, jesteś jeszcze na fali,
Lecz oto widać zmiany w oddali
Nie będzie księstwa ani królestwa,
Bo na imperium kiczu już nie stać

NADESŁANE:

książki

- *@ntologia POSTscriptum 2/2008 (2)*, Kraków 2008.
- Józef Zenon Budziński, *Przekroilem niebo krążkiem księżycą*, Oficyna Wydawnicza Łośgraf, Warszawa 2008.
- Elżbieta Cichła-Czarniawska, *O twórczości Zdzisława T. Łączkowskiego*, Norbertinum, Lublin 2008.
- Elżbieta Cichła-Czarniawska, *Ruchome staloryty*, Norbertinum, Lublin 2008.
- Eligiusz Dymowski, *Wędrówki z Nolis*, Adam, Warszawa 2006.
- Krzysztof T. Dąbrowski, *Naśmierciny*, Armoryka, Sandomierz 2008.
- Rafał Jaworski, *Wyznania nicomal ostateczne*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2009.
- Zofia Korzeńska, *Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego Ogrody Kultury*, Oficyna Wydawnicza „Radostowa”, Starachowice - Kielce 2008.
- Stefan Pastuszewski, *Trumna nie ma kieszeni*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2009.
- Tomasz Rolko, *Pisemna spowiedź*, bmv 2008.
- Tomasz Sobieraj, *Dom Nadzoru*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2009.
- Tomasz Sobieraj, *Gra*, Studio Komunikacji Wizualnej, Łódź 2008.
- Andrzej W. Wodziński, *„Nie bój się. Wiersze dla Jana Pawła II”*, Instytut Papieża Jana Pawła II, Warszawa 2008.
- Marta Gdula-Żukowicz, *„Uładzić rzeczywistość”*, Stowarzyszenie Literackie „Witryna”, Stalowa Wola 2008.
- Elżbieta Ulanicka, *„Dobre myśli”*, Stowarzyszenie Literackie „Witryna”, Stalowa Wola 2008.
- *„Po kamykach dorastania. Antologia poezji dziecięcej i młodzieżowej”*, Stowarzyszenie Literackie „Witryna”, Stalowa Wola 2008.

czasopisma

- „Portret”, nr 27, Olsztyn 2008.
-



* Cena numeru upamiętnia rok 1147, w którym podczas trwającego synodu w Trewirze biskupi przysłuchiwali się słowom cytowanym przez papieża Eugeniusza III z pracy siostry Hildegardy z Bingen. Ta żyjąca w pierwszej połowie XII wieku zakonnica i mistyczka nie tylko potrafiła zachwycać swą postawą religijną i organizatorską, ale także talentem oratorskim, filozoficznym, muzycznym, znajomością nauk medycznych i przyrodniczych. Zajmujące było zwłaszcza jej rozumienie kosmosu, jako wyjątkowej Bożej kreacji, w której każde stworzenie ma wyznaczone zadanie i miejsce. Rolą zaś człowieka jest - i tego proponujemy się trzymać - kształtowanie swojego życia zgodnie z tym porządkiem, by kosmos utrzymać w równowadze.

Dofinansowano ze środków

Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Województwa Lubelskiego

Powiatu Radzyńskiego